

JOHN FLANAGAN



KSIĘGA DRUGA

# NAJEŹDZCY

Tłumaczenie  
Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: *Brotherband. The Invaders*

First published by Random House Australia in 2012

This edition published by arrangement with Random House Australia Pty Ltd Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2012

Copyright © John Flanagan 2012

All rights reserved.

Redakcja: Ewa Holewińska, Anna Pawłowicz

Korekta: Aneta Szeliga

Skład i łamanie: EKART

Typografia na okładce: Rafał Sadowski

Cover illustration © by Jeremy Reston Cover design

© by [www.blacksheep-uk.com](http://www.blacksheep-uk.com) *Heron* illustration

© 2011 by David Elliot

Copyright for the Polish edition © 2012 by Wydawnictwo Jaguar

**ISBN 978-83-7686-164-7**

Książka dla czytelników w wieku 11 +

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2012

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

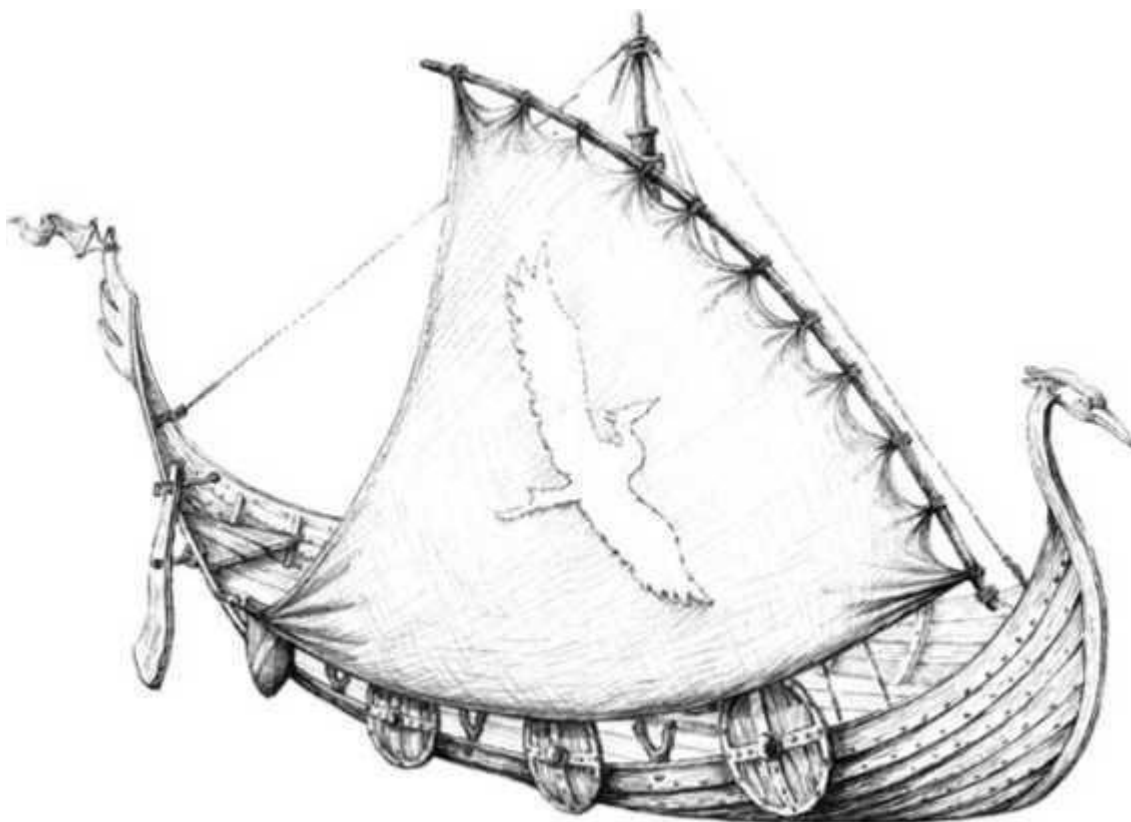
## Spis treści

Dedykacja

Część 1 Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7  
Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15  
Część 2 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21  
Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział  
29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36  
Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42 Epilog

*Dla mojego brata Petera,  
który robił najlepsze drewniane miecze na świecie!*

## Część 1



ZATOKA SCHRONIENIA



## Rozdział 1



Tak dalej się nie da – powiedział Stig.

Hal spojrział na niego. Oczy miał czerwone od morskiej soli i z wyczerpania. Od dziesięciu dni prawie nie odchodził od steru. Przez cały ten czas wiał ostry wiatr z południowego zachodu i „Czapla” szła prawym halsiem – co zresztą było dla nich korzystne, jako że nie mieli możliwości naprawienia rejki, która złamała się podczas zawodów, kończących trening drużyn.

Stig, pełniący funkcję pierwszego oficera, starał się odciążać Hala, kiedy tylko mógł. Jednakże potężne groźne fale, napędzane wichrem, nieustannie zalewały pokład ich niewielkiej łodzi. Wszyscy członkowie drużyny musieli wybierać wodę. Pracowali w czteroosobowych grupach, zmieniając się co godzina. Pod koniec zmiany padali na pokład, przemoczeni i wyczerpani, i starali się złapać choćby kilka minut snu, nie zważając na lodowatą wodę, siekącą ich ciała. Stig rzadko więc znajdował wolną chwilę, by pomóc Halowi – a Hal z kolei nie lubił zbytnio dzielić się obowiązkami sternika. Czuł, że to na nim spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo „Czapli” i całej załogi.

Stig spojrział sceptycznie do tyłu, na ślad kilwateru, który rzeźbiła „Czapla” na wodzie. Nadal nie widzieli ścigającego ich statku, ale domyślali się, że musi gdzieś tam być.

– Myślisz, że jesteśmy już wystarczająco daleko od Hallasholm? – zapytał Stig.

Chłopcy opuścili stolicę Skandii wbrew rozkazom oberjarla Eraka, zamierzali odnaleźć Andomala, najcenniejszy skarb Skandian. W dodatku odpłynęli na łodzi Hala, „Czapli”, którą Erak zamierzał skonfiskować. Byli pewni, że oberjarl zarządzi pościg. Stig nawet nie śmiał myśleć, co ich czeka, jeśli zostaną złapani.

– Nie zamierzam ryzykować – odparł Hal.

Stig wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po wzburzonych wodach.

– Jeśli zatoniemy, na pewno nas nie złapią – zauważył – ale to raczej niewiele nam pomoże.

– To prawda. Możliwe, że jeszcze nie wypłynęli z portu. Od chwili naszej ucieczki sztorm nie ustał nawet na chwilę.

Czy byli ścigani, czy nie, z pewnością nadszedł moment, by poszukać bezpiecznego schronienia. Hal czuł, że w ciągu ostatniej pół godziny wiatr znacznie przybrał na sile. Wiał tak

mocno, że zdmuchiwał białą pianę ze szczytów fal. Hal przekazał ster przyjacielowi, a sam zanurkował pod płócienną zasłonę na rufie. Znajdował się za nią schowek, w którym trzymał sprzęt nawigacyjny i zapiski, skrupulatnie zbierane podczas zajęć w ramach treningu drużyn.

Przez kilka minut studiował mapę wschodnich wybrzeży Morza Białych Sztormów, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Niemal wszystkie zatoki i zatoczki otwierały się na stronę południowo-zachodnią, czyli tę, z której wiał wiatr. Dostrzegł jednak drobne, ledwo zauważalne wcięcie w linii wybrzeża, skierowane ku północy, od południowego zachodu zaś osłonięte linią wzniesień, które dawały ochronę przed wiatrem i rozszalałymi falami. Chyba znalazł idealne miejsce, gdzie można rozbić obóz i poczekać na poprawę pogody.

Starannie zawinął notatki w kawałek nieprzemakalnej tkaniny i wynurzył się spod zasłony. Uderzyła w niego podstępna fala. Przemoczony, kaszląc i prychnając, chwycił się achtersztagu i wspiął na nadburcie. Bez trudu potrafił utrzymać równowagę mimo kołysania łodzi. Skierował wzrok w stronę wybrzeża o kilka kilometrów dalej.

Tam! Rozpoznał jeden z punktów orientacyjnych, zaznaczonych na mapie – wysoki bezdrzewny cypel o stromych stokach. Ciemna granitowa skała wyraźnie rysowała się na tle szarzielonych sosen, porastających brzeg niemal na całej długości.

Zeskoczył lekko na pokład i ponownie ujął ster. Thorn, który siedział oparty o maszt w przemoczonym kubraku z baraniego futra i obserwował jego poczynania, teraz wstał i podszedł do chłopców.

– Zamierzasz podpłynąć do brzegu? – zapytał.

– Jakieś trzy kilometry na południe jest niewielka, osłonięta od wiatru zatoczka – odparł Hal. – To mój cel.

Thorn skinął głową. Nie żeby Hal, skirl „Czapli”, potrzebował jego aprobaty. Skirl, nawet bardzo młody, na morzu posiadał nieograniczoną władzę. Hala ucieszyła jednak opinia starego wilka morskiego. Byłoby głupotą ignorować jego zdanie. Przeżył więcej sztormów niż Hal i Stig razem wzięci.

Mało brakowało, a przegapiliby wejście do zatoczki. Widoczność była bardzo zła, wiatr siekł deszczem i wodą morską, w dodatku dokładnie naprzeciwko wąskiego przesmyku między dwoma cyplami, pilnującymi wejścia do zatoczki, wznosiło się zalesione wzgórze, co dawało wrażenie nieprzerwanej linii brzegowej. W ostatniej chwili, kiedy „Czapla” wzniosła się na fali, Thorn bystrym okiem uchwycił błysk piaszczystej plaży. Wyciągnął prawe ramię, zakończone drewnianym hakiem, który zrobił dla niego Hal.

– Tam jest!

Stig i Hal prędko wymienili spojrzenia. Hal nie musiał wydawać rozkazów. Stig ruszył w stronę dziobu, a dokładnie lin, napinających zrefowany żagiel. Skinieniem przywołał Stefana i Jespera. Kiedy Hal odwrócił łódź w lewo i wiatr zaczął wiać od rufy, we trzech połuźnili żagiel, aż ustawił się niemal pod kątem prostym w stosunku do linii kadłuba.

Łódź, pchana teraz od tyłu siłą wiatru i fal, zaczęła pikować niczym mewa. Uczucie było wprost ekstatyczne, Hal jednak nie mógł pozwolić sobie na chwilę nieuwagi. Wypatrywał tak zwanych fal wyjątkowych, czyli o większej wysokości od pozostałych. Taka podstępna fala potrafiła zatopić statek. Przy tej pogodzie Hal musiał zachować czujność.

Po chwili poczuł na sobie pytające spojrzenie Thorn'a. Skinął głową. Znajdowali się już na tyle blisko brzegu, że mogli obrać odpowiedni kurs i przygotować się do wejścia do zatoki. Przesunął ster, dziób skierował się w prawo, a Stig, Stefan i Jesper jednocześnie wybrali liny, aż żagiel napiął się na wietrze. Łódź już nie pikowała miękko do przodu, popychana wiatrem, teraz jej ruch wyznaczały fale uderzające z boku. Hal spojrzał przed siebie, oceniając siłę dryfu – wiatr spychał „Czapkę” z kursu. Przesunął ster, aż uznał, że bez trudu pokonają wejście do zatoczki.

Prześliznęli się między skalnymi cyplami, które osłaniały zatoczkę od wiatru i fal – teraz „Czapla” miękko ciąła spokojne wody. Kiedy ruch łodzi się uspokoił, chłopcy wreszcie mogli pozwolić sobie na chwilę oddechu. Rozsiedli się na ławkach i odstawili wiadra, którymi przez cały czas wybierali wodę. Dopiero teraz Hal zdał sobie sprawę, jak mało brakowało, by całkiem opadli z sił. Jego decyzja nie była przedwczesna.

Wzdłuż brzegu ciągnął się pas piachu, za nim wznosiły się zalesione wzgórza. Hal przesunął ster i „Czapla” natychmiast poddała się jego rozkazom. Teraz, kiedy ryk sztormu ucichł, słychać było delikatny plusk fal, rozbijających się o kadłub.

– Witaj w Zatoce Schronienia – powiedział do Stiga.

– Tak się nazywa?

Hal posłał mu znużony uśmiech.

– Teraz już tak.



Początkowo spali na pokładzie, pod osłoną brezentowej płachty, wzniesionej na kształt namiotu, która chroniła ich przed kaprysmi pogody. Przez dziesięć minionych dni nawet we śnie musieli stawiać opór gwałtownym ruchom łodzi. Wspaniale było wreszcie całkowicie się rozluźnić, nie spinać przez sen mięśni w obawie przed nagłym ruchem łodzi i zderzeniem z twardymi deskami kadłuba. Drugiego dnia zaczęli jednak budować trwalsze miejsce do spania, podobne do namiotu, rozpiętego na drewnianej konstrukcji, w którym mieszkali podczas treningu drużyn.

Kiedy przed ucieczką zbierali broń i inne rzeczy z obozu, Stig w przyływie olśnienia ściągnął płócienną płachtę, służącą im za dach, zwinął ją starannie i zaniósł na pokład „Czapli”.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać – stwierdził filozoficznie.

Teraz Hal i pozostali towarzysze mieli okazję docenić jego zapobiegliwość. Nacięli w lesie młodych drzewek na szkielet dachu i ścian, dopasowali je odpowiednio, a potem rozpięli na tej konstrukcji płótno, tworząc w ten sposób dach. Ściany były niższe niż w ich oryginalnym namiocie, ale dzięki pochylonemu dachowi mieli w środku całkiem sporo miejsca. Uszczelnione mułem ściany broniły ich w pewnym stopniu przed złą pogodą, choć przy silniejszych podmuchach wiatr wciskał się do środka przez szpary. Byli jednak młodzi i taki drobiazg nie stanowił wielkiego problemu.

Thorn postanowił spać na pokładzie. Teraz, kiedy chłopcy zakwaterowali się w namiocie, miał dla siebie mnóstwo miejsca. Uszanowali jego potrzebę prywatności. Wiele lat spędził samotnie, przyzwyczał się do własnego towarzystwa. Poza tym, choć lubił członków załogi „Czapli”, byli to przecież młodzi chłopcy, z wszystkimi przynależnymi temu gatunkowi skłonnościami do kłótni, głośnego gadania i opowiadania dowcipów, które im wydają się całkowicie nowe, choć powtarzają je wszystkie istoty płci męskiej w ich wieku w każdym kolejnym pokoleniu.

Kiedy miejsce do spania było już gotowe, Hal, przy asyście zawsze skorego do pomocy Ingvara, zbudował niewielką szopę, która miała mu służyć za warsztat. Potem Hal, Ingvar i Stig poszli do lasu po drzewko na nową rejkę. Po kilku godzinach Hal znalazł w końcu takie, które spełniało wszystkie jego wymagania.

– Zetnij je – zwrócił się do Stiga.

Ingvar zaniósł przyszlą rejkę do obozu. Usunęli korę oraz biel podkorową i zostawili drzewko na kilka dni, by wyschło. Potem Hal przyciął je odpowiednio. Kiedy wreszcie

przywiązali doń żagiel, odetchnął z ulgą. Uświadomił sobie, że kwestia naprawy łodzi dręczyła go przez cały czas. Teraz „Czapla” była gotowa do drogi.

Stworzył grafik i każdy z członków drużyny po kolei zajmował się przygotowaniem posiłków. Nie potrwało to jednak długo. Zdażyli skosztować jedynie wyczynów kulinarnych Stiga, Ulfa i Wulfa, potem Edvin ogłosił protest.

– Nie zamierzam umrzeć na zatrucie pokarmowe – oznajmił cierpko. – Od tej chwili ja gotuję.

A ponieważ zdażył wykazać się pewnym talentem w tym kierunku, wszyscy z radością na to przystali. Hal zwolnił go z innych prac, jak zbieranie drewna i noszenie wody. Po kilku dniach Edvin wystąpił z kolejną propozycją.

– Mamy sporo suchego prowiantu, ale przydałyby się świeże mięso i ryby.

W zatoce wprost roiło się od ryb, a Stig i Stefan byli zapalonymi wędkarzami. Obiecali, że zapewnią drużynie stałe dostawy dorszy i fląder. Hal i Jesper zaś udali się do lasu w poszukiwaniu drobnej zwierzyny. Ingvar i tym razem ruszył za nimi, niczym wierny cień swego skirla. Niestety, potężny chłopak robił znacznie więcej hałasu niż cień, nieustannie wpadał na drzewa i nieostrożnie łamał leżące na ziemi gałęzie. I tak dzielni myśliwi odnaleźli mnóstwo śladów zwierzyny, królików, zajęcy i ptaków, lecz samych zwierząt już nie było dane im zobaczyć. W końcu Hal położył rękę na ramieniu przyjaciela i powiedział:

– Przykro mi, Ingvarze, ale okropnie hałasujesz.

– Nie robię tego specjalnie – odparł Ingvar.

Hal skinął głową.

– Wiem. Ale płoszysz zwierzynę. Usiądź tu i poczekaj na nas, dobrze?

Ingvar był bardzo rozczarowany. Od kiedy został członkiem drużyny Hala, wreszcie czuł się potrzebny i doceniony. Wcześniej nikt o nic go nie prosił i niczego specjalnego się po nim nie spodziewał. Jako członek drużyny przyczynił się do jej sukcesów i zwycięstwa nad pozostałymi drużynami. Hal jako pierwsza osoba na świecie czegoś od niego wymagał i Ingvar za nic nie chciał go zawieść – lecz tak naprawdę wiedział, że Hal ma rację. Rzeczywiście był zbyt niezgrabny i hałaśliwy, by pomagać przy polowaniu. Ale teraz, kiedy ukończyli budowę chaty, nie miał nic do roboty.

– W porządku. Skoro tak sobie życzysz. – Usiadł na ziemi, opierając się plecami o pień. Na widok jego rozczarowanej miny Hal powiedział:

– Nie martw się. Mam dla ciebie pewne zadanie. Ty jeden możesz się go podjąć. Tylko cierpliwości.

Hal i Jesper ruszyli w głąb lasu, zostawiając za sobą nieco udobruchanego Ingvara. Jego nieobecność od razu przyniosła owoce. Nie zdażyli przejść nawet pięćdziesięciu metrów, gdy zobaczyli pulchnego królika, skubiącego mech przy pniu zwałonego drzewa na skraju rozległej polany.

Jesper położył rękę na ramieniu Hala i w milczeniu wskazał potencjalną zdobycz. Hal ostrożnie zdjął kuszę z ramienia. Wsadził stopę w strzemię i obiema rękami odciągnął oporną cięciwę, aż zamek wskoczył na właściwe miejsce.

Królik czujnie podniósł wzrok. Chłopcy zamarli. Nos tłusciutkiego zwierzątka z drzeniem studiował powietrze, długie uszy zastrzygły, szukając obcego dźwięku. Na szczęście myśliwi stali pod wiatr. Poczekali, wstrzymując oddech, aż królik stwierdził, że jest bezpieczny, i wrócił do skubania mchu.

Hal powoli unióś kuszę do ramienia i wycelował. Znajdowali się niecałe dwadzieścia metrów od zwierzęcia, więc nie musiał brać poprawki na odległość. Wymierzył, ustawiając najniższy wskaźnik na linii z muszką, wypuścił powietrze, wciągnął, przytrzymał.

A potem zwolnił spust.

Rozległ się charakterystyczny nieprzyjemny trzask i bełt pomknął ponad polaną.

– Trafiłem go! – stwierdził Hal triumfująco i rzucił się do biegu, a Jesper za nim, w nieco wolniejszym tempie.

– Niewątpliwie – powiedział Jesper sucho, dogoniwszy dumnego z siebie kusznika. – Pytanie tylko, gdzie on jest?

Ciężki, zakończony żelaznym grotem bełt, przeznaczony do przebijania metalowych kolczug, całkowicie zdekonstruował królika. Kusza, tak przydatna w starciu bitewnym, okazała się niezbyt odpowiednią bronią na drobną zwierzynę.

– Może powinniśmy zastawić sidła – zaproponował Jesper.



## Rozdział 2



Jesper i Stefan pokłócili się. Znowu. Pogoda była okropna, wiatr wiał nieustannie, od morza zaczął deszcz. Od czasu do czasu nawet sypało śniegiem. W związku z tym chłopcy prawie nie wychodzili z chaty, leżeli na posłaniach, gapiąc się w płócienny sufit. W tej sytuacji kłótnie były nieuniknione – stanowiły ich jedyną rozrywkę. Ulf i Wulf sprzecali się, rzecz jasna, nieustannie, lecz teraz zaraza dotknęła również pozostałych członków drużyny – a Jesper i Stefan, jak się okazało, mieli mnóstwo powodów do niezgody.

Thorn i Stefan, którzy wracali z obchodu po lesie, podnieśli głosy, wkraczając na teren obozu. Thorn, wytrawny wojownik, nigdy nie czuł się dobrze, gdy nie wi – dział morza i stojącej przy brzegu łodzi. Dopiero upewniwszy się, że w pobliżu nie czai się potencjalny wróg, odzyskiwał spokój. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Hala. Ten jednak, wraz z Ingvarem, pracował w szopie, stojącej w pewnej odległości od chaty. Coś budowali, ale co, tego Thorn nie wiedział.

– Wiem, że ją wziąłeś! – powiedział Stefan. – Czemu po prostu się nie przyznasz i jej nie oddasz?

– Ach tak? A skąd niby ta pewność? – zapytał Jesper wyzywająco.

– Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś zło...

– Zło...? – powtórzył Jesper, z jeszcze większą wściekłością. – Co masz na myśli, mówiąc „zło”? Może chciałeś powiedzieć „złodziejem”?



– Nie powiedziałem tego – odparł Stefan, urażony i czujny.  
– O, na Gorloga! – mruknął Stig, odsunął połą płócienną płachtę i wkroczył do chaty.  
Ulf, Wulf i Edvin leżeli na posłaniach. Pośrodku stali naprzeciwko siebie Stefan i Jesper, obaj czerwoni i wściekli.  
– Moglibyście się zamknąć, wy dwaj? – powiedział Stig ze znużeniem. – Klóćcie się nieustannie już od kilku dni.  
O co chodzi tym razem?  
– Jesper ukradł moją oselkę! – oświadczył Stefan.  
– To ty tak twierdzisz! – rzucił ostro Jesper.  
– Owszem! Wiem, że ją wzięłeś. Zawsze... zabierasz ludziom różne rzeczy. Każdy o tym wie!  
Stig zbyt późno zorientował się, że wcale nie przerwał kłótni, lecz sprawił jedynie, że wróciła do punktu wyjścia.  
– Słuchajcie...  
– Może i czasem coś sobie wezmę – wrzasnął Jesper, pochylając się w stronę Stefana. – To taki sport. Ale potem zawsze oddaję!  
– No to oddaj moją oselkę.  
– Oddałbym, gdybym ją wziął. Ale nie wzięłem! To żadne wyzwanie, zabrać coś sobie.  
Twoje rzeczy zawsze walają się dokoła.  
– To prawda – wtrącił Ulf i tym samym do dyskusji włączył się Wulf.  
– I kto to mówi! Zawsze rozrzucasz swoje rzeczy na moim miejscu!  
Rzeczywiście, poprzedniego dnia znalazł koło swego posłania jedną ze skarpetek Ulfa. Jako że była to wspaniała skarpetka, przywłaszczył ją sobie, ale w jego oczach nie zmieniło to faktu, że brat naruszył jego przestrzeń prywatną.  
– Może gdybyś nie zabierał tyle miejsca, nigdy by do tego nie doszło! – odciął się Ulf.  
Wtedy do ataku znów przystąpił Stefan.  
– W każdym razie moja oselka nigdzie się nie wałała, jak to raczyłeś ująć. A więc ty musiałeś ją zabrać.  
– Dlaczego ja? Czemu nie ktoś inny? – wrzasnął Jesper. – Czemu nie Ulf czy Wulf?  
– Chcesz powiedzieć, że ja ją wzięłem? – zapytał Wulf. Na chwilę ogarnęły go wyrzuty sumienia. Może Jesper widział, jak chowa skarpetkę brata między swoimi rzeczami.  
Jesper potrząsnął głową. Był na skraju wytrzymałości.  
– Nie! Chciałem tylko powiedzieć, że...  
– Ja jej nie wzięłem – powiedział Wulf.  
Oczywiście, Ulf uznał, że musi zareagować.  
– Pewnie wzięłeś. Zawsze robisz takie rzeczy. A potem zwalasz winę na Jespera.  
– Kto zwala na Jespera?! – krzyknął Wulf. – Nie powiedziałem, że Jesper to zrobił!  
– Nie, ale stałeś spokojnie obok i słuchałeś, jak Stefan go oskarża, zamiast się przyznać.  
Stig powiódł spojrzeniem po zagniewanych twarzach swych towarzyszy. Zatrzymał wzrok na Edwinie, który popatrzył na niego spokojnie, po czym położył się na posłaniu i przymknął oczy.  
– Poddaję się – oznajmił Stig. – Szczekacie jak wściekłe psy.  
Thorn, stojący na zewnątrz, potrząsnął głową.  
– Trudno się nie zgodzić – stwierdził, po czym ruszył przez mokrą trawę w stronę warsztatu Hala. Wciąż słyszał dochodzące z chaty gniewne głosy i wzajemne oskarżenia.  
– Chłopcy – mruknął do siebie. – Dzięki Lorganowi, że nigdy nie byłem chłopcem!  
Hal i Ingvar stali pochyleni nad jakąś skomplikowaną drewnianą konstrukcją, ułożoną na

prowizorycznym stole, zmontowanym przez Hala. Thorn przyjrzał się jej, ale nie potrafił stwierdzić, do czego mogłaby służyć. Na odgłos jego kroków Hal uniósł głowę.

– Co tam robicie? – zapytał Thorn.

Hal wzruszył ramionami i przysłonił konstrukcję kawałkiem płótna.

– Takie tam – odparł wymijająco i machnął ręką w stronę wnętrza szopy, gdzie pośród przeróżnych ścinków i kawałków drewna stało dziwne pudło. Było otwarte u góry, a w dnie miało wyciętą szparę, w której tkwiła płaska szeroka deseczka, przypominająca ostrze. Thorn nadal nie potrafił określić, jaką funkcję miałyby pełnić ta dziwna rzecz, a Hal najwyraźniej na razie nie zamierzał tego wyjawiać. Thorn postanowił więc przejść do najważniejszej sprawy.

– Podczas gdy ty zajmujesz się budowaniem tego czegoś, cokolwiek to jest, twoja drużyna się rozpada.

– Drużyna się rozpada? – powtórzył Hal, marszcząc brwi. – A co z nią nie tak?

– Nudzą się. Nie mają nic do roboty i ciągle się kłócą. Stefan oskarżył Jespera, że ten zabrał mu oselkę.

Hal wzruszył ramionami.

– To wszystko? W takim razie nie ma się czym przejmować. To chyba normalne, że się nudzą. Kiedy znów wypłyniemy, wszystko wróci do normy – powiedział beztrzesko.

Thorn potrząsnął głową.

– Jest się czym przejmować. Czy pomyślałeś o tym, że Zavaac dysponuje grupą pięćdziesięciu ludzi, a wszystko to piraci i doświadczeni wojownicy? Podczas gdy twoja drużyna to grupka wyrostków, którzy tracą czas na kłótnie o jakieś drobiazgi.

Zavaac był piratem, który ukradł Andomal. Przez chwilę Hal nic nie mówił. Pomyślał, że może Thorn na rację. Ten zaś ciągnął:

– Podczas treningu udało ci się obudzić w nich ducha wspólnoty. Stworzyłeś zdyscyplinowaną grupę, kierującą się wspólnym celem. Byli prawdziwą drużyną. Teraz zmieniają się w gromadę znudzonych dzieciaków. Jeśli na to pozwolisz, w starciu z Zavaakiem nie masz szans. Przywołaj ich do porządku, inaczej wszyscy zginiemy.

– Może i tak... – odparł Hal, z wahaniem stawiając czoło prawdzie.

– O ile w ogóle zdołasz dogonić Zavaaca! Kiedy znów wypłyniemy, może się okazać, że nic nie zostało z poczucia przynależności do drużyny i zdolności do działania we wspólnym celu. Wystarczy silniejszy wiatr i wszyscy mogą zginąć. Wiesz, że na morzu nie ma miejsca na dysputy i głupie niesnaski. Drużyna musi współpracować!

– To co mam zrobić? – zapytał Hal. Thorn prychnął.

– Masz zachowywać się jak na skirla przystało! Interweniuj! Tak postępuje przywódca. Weź się za nich, zamiast tracić tu czas przy... – Machnął ręką w stronę tajemniczych przedmiotów. – Tych tam.

Hal zarumienił się nieznacznie.

– Ja nie tracę czasu. Pracuję nad pewnymi pomysłami, które pomogą nam w starciu z „Krukiem” – powiedział. Tak nazywał się okręt Zavaaca.

Thorn wywrócił oczami.

– Wspaniale, tylko że to wszystko nie na wiele się zda, jeśli drużyna przestanie istnieć! Każ im ruszyć tyłki i zrobić coś pożytecznego! A potem możesz wrócić do tych swoich pudełek.

– Jeśli tak mówisz... – zaczął Hal, ale Thorn przerwał mu, wyciągając w jego stronę drewniany hak.

– Nie, jeśli ja tak mówię. Jeśli ty tak mówisz! To musi wyjść od ciebie. Pokaż im, że nadal jesteś przywódcą.

– Naprawdę sytuacja jest aż tak poważna?

Thorn popatrzył na niego groźnie i dopiero po chwili odpowiedział.

– Powiem tak: wczoraj Ulf i Wulf pokłócili się o miejsca do spania.

Hal machnął ręką.

– To nic takiego. Ulf i Wulf zawsze się kłócą. To ich specjalność.

– Nie skończyłem. Pozostali włączyli się do kłótni – powiedział Thorn. Oczy Hala rozszerzyły się ze zdumienia.

– W takim razie to rzeczywiście poważna sprawa – zgodził się. – Najlepiej od razu się tym zająć. Chodź, Ingvarze.

Ułożył narzędzia na stojaku, po czym wyszedł z warsztatu, a Ingvar za nim, niczym oswojony niedźwiedź.

Thorn z zadowoleniem skinął głową.

– Najwyższy czas – powiedział do siebie.



### Rozdział 3



Cóż, nic dziwnego, że jej nie zauważyłem! – krzyknął Stefan, kiedy weszli do namiotu. – Moje miejsce znajduje się najdalej od wejścia. Jest ciemne i duszne. Tobie to dobrze! Zawsze masz światło i świeże powietrze!

Jesper rozłożył ręce, pokonany brakiem logiki w argumentacji Stefana.

– Czy to moja wina? – zapytał. Nim Jesper zdążył odpowiedzieć, Ulf zrobił krok w stronę Stefana i wtrącił:

– I jeszcze narzekasz! Ja mam miejsce tuż przy wejściu. Jest tam zimno i wieje, a ostatniej nocy ktoś nadepnął na mnie, wychodząc za potrzebą!

– I pewnie sądzisz, że to byłem ja – powiedział Wulf, jak zwykle biorąc słowa brata do siebie.

Ulf spojrzał na niego i odparł:

– Zapewne tak. To by było do ciebie podobne.

– Tylko że ja nie wychodziłem ostatniej nocy za potrzebą! Więc zawiń to w swój kocyk i wyrzuć do strumienia!

– Chłopaki – zaczął Hal, próbując przybrać rozsądny ton – uspokójcie się na...

Ale jego głos zniknął, zagłuszony głosami Ulfa, Wulfa, Stefana i Jespera, którzy podjęli

przerwaną na chwilę kłótnię. Bliźniaki nadal sprzeczały się o to, czy Wulf wychodził za potrzebą, czy nie – Ulf twierdził, że nawet jeśli nie, to całkiem możliwe, iż jego brat wstał specjalnie, by na niego nadebrać, to byłoby w jego stylu. Stefan i Jesper tymczasem nadal dyskutowali o niewygodach miejsca do spania na samym końcu namiotu, które przypadło Stefanowi. Hal, zdając sobie sprawę, że jego głos nigdy nie zdoła przebić się przez taki hałas, spojrzał na Ingvara i dał mu znak, by wystąpił naprzód.

– Ucisz ich, Ingvarze, bardzo proszę.

Chłopak skinął głową. Hal pamiętał z treningów, że potężna klatka piersiowa Ingvara potrafi wyprodukować ogłuszającą ilość dźwięku. Gdy zobaczył, że olbrzym nabiera powietrza w płuca, odsunął się przezornie.

– CISZA! – zaryczał Ingvar. – CISZA, PRZEKŁĘTA HAŁASTRO!

Wrzask kompletnie zaskoczył kłócących się chłopców i w chacie momentalnie zapadła cisza. Odwrócili się. Dopiero teraz zobaczyli Hala, który, korzystając z okazji, przemówił, nim zdążyli otrząsnąć się z zaskoczenia i wrócić do kłótni.

– Na Gorloga, co tu się dzieje? Powariowaliście czy jak? O co się kłócicie?

– Moje miejsce do spania jest beznadziejne – odparł Stefan. – Ciemne i na samym końcu. Duszne. Zbiera się tam smród brudnych skarpetek całej drużyny.

– Ciesz się, że nie śpisz przy wejściu, tak jak ja – powiedział Ulf. – Można zamarznąć na śmierć!

Hal spojrzał na niego, marszcząc brwi. Jego posłanie znajdowało się dokładnie naprzeciwko posłania Ulfa. Hala bardzo cieszyło, że ma stały dostęp świeżego powietrza. A kiedy robiło się zbyt przewiewnie, wystarczyło przecież naciągnąć koc na głowę i zwinąć się wygodnie.

– Ciągnęliśmy losy – przypomniał, starając się zachować rozsądny ton.

Ulf wzruszył ramionami, robiąc nadąsaną minę.

– Gdybym wiedział, że dostanie mi się miejsce tuż przy wejściu, wyciągnąłbym inny los.

Hal uznał, że w tym przypadku racjonalna argumentacja nie ma sensu. Spojrzał na Ulfa.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak bezdennie głupie jest zdanie, które właśnie wypowiedziałeś?

Ulf cofnął się o pół kroku, zaskoczony gniewnym tonem. Hal był ich skirlem. Wybrali go jednogłośnie, a on dowiódł, że jest tego wart. Zdobył ich lojalność i zaufanie. Podczas treningu wykazał się umiejętnością przewidywania i planowania, dzięki jego pomysłom nieraz udawało im się przechytrzyć przeciwnika. Był doskonałym sternikiem i nawigatorem, co Skandianie cenili szczególnie wysoko. Poza tym posiadał pewną trudną do zdefiniowania cechę – wydawał się urodzonym przywódcą i emanował autorytetem. Wszystkie te rzeczy budziły w Ulfie podziw i szacunek. Tak więc, kiedy Hal wpadał w gniew, tak jak teraz, Ulf instynktownie się wycofywał. Hal był stworzony do tego, by przewodzić innym, a Ulf do tego, by słuchać cudzych rozkazów.

– Cóż, ja...

Hal powstrzymał go lekceważącym ruchem ręki i odwrócił się do pozostałych.

– Ktoś jeszcze ma problem z miejscem do spania?

Chłopcy popatrzyli po sobie. Pierwszy odpowiedział

Stig.

– Ja jestem zadowolony.

Edvin, Wulf i Jesper zamruczeli zgodnie. Zza pleców Hala dobiegł dudniący głos Ingvara.

– Ja też nie narzekam.

– Ani ja – dodał Hal i spojrzał na Ulfa i Stefana. – W takim razie zostajecie tylko wy dwaj, tak?

Miny im zrzedły, kiedy okazało się, że są w mniejszości. Stefan z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Cóż, jak wspominałem, moje miejsce jest trochę ciemne i...

– Nie musisz się tłumaczyć – przerwał mu ostro Hal. – Wystarczy „tak” lub „nie”. Jesteś niezadowolony ze swojego miejsca, zgadza się?

Stefan rozejrzał się dokoła, Ulf również. Żaden z nich nie dostrzegł oznak poparcia czy sympatii wśród towarzyszy.

– Yyy... tak. Chyba tak – odparł Stefan po chwili.

Hal przeniósł wzrok na Ulfa.

– A ty? Też jesteś niezadowolony, zgadza się?

– Eee... tak. Tak mi się wydaje.

– Dobrze – powiedział Hal. – W takim razie możecie zamienić się miejscami.

Na chwilę zapadła cisza. Pozostali chłopcy podwracali się, kryjąc uśmiechy. Stefan i Ulf wpatrywali się w Hala, nie do końca pewni, czy dobrze zrozumieli.

– Co takiego? – odezwał się w końcu Stefan.

– Możecie zamienić się miejscami. Ty będziesz spał tam, gdzie Ulf, Ulf tam, gdzie ty. Załatwcie to od razu.

– Ale... – zaczął Ulf. Tak naprawdę był całkiem zadowolony ze swojego miejsca przy wejściu. Skarzył się tak tylko, żeby mieć o czym pogadać. Stefan podobnie. Było mu ciepło i przytulnie w jego kąciку, czasami rzeczywiście robiło się duszno, ale przy takiej pogodzie nie stanowiło to wielkiej niedogodności.

Ale obaj chłopcy zdawali sobie sprawę, że gdyby teraz znów zmienili zdanie, wyszliby na głupków. Mimo to nadal się wahali.

– Jeśli chcecie, mogę poprosić Ingvara, żeby wam pomógł – powiedział Hal. To wystarczyło, by zmusić ich do działania. Przestraszyli się o swoje rzeczy, bo gdyby Ingvar zabrał się do dzieła, na pewno zaraz leżałyby porozrzucone po całej chacie. Zabrali śpiwory, ubrania oraz całą resztę i zamienili się miejscami.

Kiedy Stefan rozłożył posłanie, chatą zatrząsł powiew lodowatego wiatru. Płótno, zasłaniające wejście, nie mogło go powstrzymać. Stefan spojrział tęsknie na swoje poprzednie przytulne legowisko, gdzie Ulf już rozwijał śpiwór. Westchnął. Mógłby czuć żal do Hala, był jednak na tyle uczciwy, by przyznać, że sam na to zasłużył. Podobnie jak Ulf, narzekał, bo nie miał żadnej innej rozrywki. Hal tylko wykazał bezsensowność ich postępowania.

Hal przyglądał się im z rękami skrzyżowanymi na piersi. Pozostali leżeli na swoich posłaniach, wsparci na łokciach, szczerząc się szeroko. Z przyjemnością obserwowali, jak Hal rozprawia się z marudami. Ale po chwili uśmiechy zgasły na ich twarzach, bo Hal wydał kolejny rozkaz:

– Dobra! A teraz ruszcie tyłki i na zewnątrz! Już!

Niepewnie podnieśli się z miejsc. Jesper wyjrzał na zewnątrz, po czym odwrócił się i zmarszczył brwi.

– Pada – stwierdził. – Po co mamy wychodzić?

Nagle poczuł, że jakaś żelazna obręcz obejmuje jego ramię. Gdy się odwrócił, tuż przy swojej twarzy zobaczył twarz Stiga.

– Ponieważ twój skirl tak każe! – powiedział Stig z groźnym grymasem. – A teraz ruchy!

Jesper bez udziału własnej woli przeleciał przez płócienną zasłonę i zatrzymał się na zewnątrz, z trudem łapiąc równowagę na mokrej trawie. Z niepocieszoną miną czekał, aż pozostali do niego dołączą. Jeden po drugim powoli wychodzili z chaty.

Stig, ostatni, zatrzymał się, przechodząc koło Hala.

– Dobrze, że znów objąłeś dowództwo.

Hal skinął głową z przepraszącą miną.

– Przykro mi, że pozwoliłem sprawom wymknąć się spod kontroli. Ustaw ich, dobrze?

Stig kiwnął głową, wciąż uśmiechnięty, i wyszedł z chaty. Hal odczekał kilka sekund, wziął głęboki oddech i ruszył, by dołączyć do swej drużyny.

Thorn siedział z boku, na pniu zwalonego drzewa. Dyskretnym skinieniem głowy wyraził uznanie. Najwyraźniej słyszał, co działo się w chacie. Chłopcy już stali w półkolu, czekając na skirla, Stig na końcu, z prawej strony. Hal podszedł bliżej i powiódł wzrokiem po ich twarzach. Szczególnie baczny spojrzeniem obdarzył Ulfa i Stefana. Z zadowoleniem stwierdził, że nie wyglądają na zagniewanych. W rzeczywistości obaj żywili wobec Hala wielki podziw za to, jak się z nimi rozprawił. Jesper miał nieco kwaśną minę, pewnie z powodu brutalnego zachowania Stiga. W myślach Hal wzruszył ramionami. Jesper często miał kwaśną minę.

Pozostali chłopcy czekali niecierpliwie, co skirl ma do powiedzenia.

– Panowie, źle z nami – zaczął Hal. Niektórzy spojrzeli na niego z zaciekawieniem. – Odbyliśmy trzymiesięczny trening, podczas którego wzmacnialiśmy sprawność fizyczną, uczyliśmy się władać bronią i nawigować na morzu. A najważniejsze – uczyliśmy się funkcjonować jako drużyna, współpracować i pomagać sobie nawzajem. Wygląda na to, że o wszystkim tym zapomnieliśmy. Znów jesteśmy sobie obcy.

Chłopcy popatrzyli na siebie. Hal widział, że wprawdzie z wahaniem, ale zgadzają się z jego słowami. Edvin wystąpił przed szereg.

– Nudzimy się – powiedział. – Tylko o to chodzi. Tu nie ma nic do roboty.

Kilku innych zamruczało zgodnie. Hal ukrył pełen zadowolenia uśmiech. Miał ochotę wyściskać Edvina za to, że go wyręczył.

– To prawda – powiedział. – Ale teraz to się zmieni. Od jutra znów zaczynamy treningi.

Reakcje były mieszane. Stig, Edvin i Stefan od razu pokiwali głowami. Bliźniacy dołączyli do nich po kilkusekundowym namyśle. Tylko Jesper, jak można było się spodziewać, zgłosił zastrzeżenia.

– Treningi? Ale jakie?

Hal spokojnie popatrzył mu w oczy, aż Jesper spuścił wzrok.

– Takie jak wcześniej. Walka z bronią. Biegi. Żeglowanie.

– Ale już to robiliśmy. Czemu mamy teraz powtarzać?

Hal podszedł bliżej do Jespera.

– Robiliśmy, przez trzy miesiące. Trzy miesiące! Uważasz, że w tak krótkim czasie zdołaliśmy opanować wszystkie umiejętności? Mamy zmierzyć się z załogą „Kruka”, złożoną z pięćdziesięciu ludzi. To wojownicy, którzy całe życie spędzili na najazdach i bijatykach. Sądzisz, że trzymiesięczny trening nas do tego przygotował? Ja nie. Kiedy ich dogonimy, zamierzam odzyskać Andomal, a nie stracić życie. – Odwrócił się w stronę Thornia, który nadal siedział na zwalonym pniu. – Thornie! Czy zechcesz być naszym trenerem?

Thorn podniósł się powoli i ruszył w ich kierunku.

– Z przyjemnością – odparł, kiedy był już blisko.

Stig uniósł rękę.

– Hal, powiedziałeś, że mamy trenować umiejętności żeglarskie. Jak mamy to robić przy tym wietrze?

Hal kiwnął głową.

– Wzniesiemy maszt na brzegu, przywiążemy do niego żagiel i olinowanie, by Ingvar mógł ustawiać żagiel odpowiednio w zależności od kierunku wiatru, i będziemy ćwiczyć. A przy spokojniejszej pogodzie wypłyniemy na morze bądź będziemy trenować w zatoce.

Stig przez chwilę zastanawiał się nad jego słowami, z przekrzywioną głową.  
– Dobry pomysł – ocenił w końcu.  
Hal uśmiechnął się szeroko.  
– Tak myślałem.  
Teraz z kolei Jesper uniósł rękę.  
– Tak? O co znowu chodzi?  
– Bez obrazy, ale – zaczął, a Hal pomyślał, że kiedy ktoś mówi „bez obrazy, ale”, to znaczy, że zamierza powiedzieć coś bardzo obraźliwego – ale jakie kwalifikacje ma Thorn, by nas trenować? To znaczy... to w końcu Thorn. Tylko bez obrazy – powtórzył.  
Thorn uśmiechnął się do Jespera, ale uśmiech nie objął oczu.  
Hal spojrzał na niego.  
– Thornie, czy chciałbyś udowodnić Jesperowi, że posiadasz odpowiednie kwalifikacje?  
Thorn zamyślił się na moment. A potem ruszył przed siebie i w błyskawicznym tempie pokonał dzielącą ich odległość.  
Jesper z racji swego hobby potrafił w razie zagrożenia naprawdę prędko uciekać. Teraz jednak nawet nie zdążył zarejestrować, kiedy Thorn znalazł się przy nim. Stary wilk morski zacisnął żelazną pięść na karku Jespera i podniósł go, dyndającego nogami w powietrzu.  
A potem z całych sił cisnął nim jak workiem kartofli. Chłopak przeleciał kilka metrów i walnął o ziemię, padając na plecy, bez tchu. Spojrzał na brodatą twarz Thorny, na której malował się drapieżny uśmiech.  
– No i jak oceniasz moje kwalifikacje?  
Jesper kilka razy kiwnął głową i z wysiłkiem uniósł rękę.  
– Całkiem nieźle – wydyszał. – Naprawdę nieźle.



#### Rozdział 4



Kiedy następnego ranka Thorn obudził chłopców, nad koronami drzew widniał zaledwie nikły poblask.

Słowo „obudził” może nie jest w tym przypadku odpowiednie, jako że czynności tej zwykle towarzyszy jakiś element troski i delikatności względem budzonych, Thorn zaś po prostu wparował do chaty z przeraźliwym rykiem i zaczął ściągać koce z chłopców, którzy kulili się

z przerażenia, skomląc i pojękując. W rękę trzymał długą pałkę z ociosanej gałęzi orzesznika, którą uderzał rytmicznie o drewnianą konstrukcję.

– Wstawać! Wstawać! – darł się. – Nie traćmy czasu, dzień jest krótki, światło zaraz zniknie! Wstawać i ubierać się. Raz! Raz! Raz!

– Jakie światło? – wymamrotał Stig, mrużąc oczy.

– Nie widzę żadnego światła.

– Jest go mnóstwo na Wschodnich Stepach – odparł Thorn. Owszem, daleko na wschodzie słońce wstało już kilka godzin wcześniej. Thorn uśmiechnął się złośliwie.

– A jeśli natychmiast nie wstaniesz, zrobię tak, że zobaczysz gwiazdy. – Po czym walnął pałką o podłogę, dosłownie kilka centymetrów od głowy Stiga. Przerażony chłopak zerwał się z posłania i zaczął szukać spodni. Wciąż nie całkiem rozbudzony, wkładając je, nadepnął na nogawkę i upadł. Pozostali członkowie drużyny radzili sobie nie lepiej. Thorn obserwował ich pląsy, potrząsając głową z niesmakiem.

– Banda żalonych ramoli! – Jego wzrok padł na Hala, który na czworakach szukał ubrania, nieświadom, że leży ono pod kocem, który ściągnął z niego Thorn. Hal ziewnęła, a ziewnięcie przeszło w okrzyk bólu, gdy Thorn wymierzył cios w tylną część jego ciała.

– I to ma być skirl! – powiedział wzgardliwie. – Powinieneś dać innym przykład, a nie łazić dokoła na czworaka jak jakiś ospały kundel! Raz! Raz! Raz!

Po kilku minutach członkowie drużyny Czaplili stali na zewnątrz w niezbyt równym szeregu, niektórzy pospiesznie kończąc ubieranie, a wszyscy potargani i drżący w chłodzie ciemnego poranka. Słaby blask ponad koronami drzew zabarwił się czerwienią. Stefan rzucił przez ramię tęskne spojrzenie na swoje ciepłe posłanie. Mimo ponurych przepowiedni Ulfa, że zamarnie w przeciągu, spało mu się cudownie – aż do chwili, gdy brutalnie zbudziły go obłąkańcze wrzaski Thorny i walenie drewnianej pałki.

Thorn, irytująco jowialny i przygnębiająco energiczny, powiódł wzrokiem po chłopcach, szurających nogami i wydających ciężkie westchnienia.

– Na spłowiele kości Gorloga! Ależ z was żalona banda! – wrzasnął. – Każdy pirat na wasz widok nieźle by się przeraził. Kiedy już przestałby się śmiać. A teraz rozgrzewka! Skaczcicie! Skaczcicie i uderzajcie rękami nad głową! No, dalej!

Niechętnie zaczęli skakać w miejscu zgodnie z poleceniem Thorny, który przechadzał się wzdłuż szeregu za ich plecami, zachęcając do większego wysiłku za pomocą wyzwisk i celnych ciosów pałką.

Stig, który ćwiczył obok Hala, mruknął półgębkiem podczas kolejnego skoku:

– Chyba wołałem go, kiedy był zulem i opojem. Thorn zresocjalizowany jest nieco...

AU!

Okrzyk bólu wyrwał się z jego gardła, gdy Thorn niepostrzeżenie podszedł od tyłu i wymierzył cios – wyjątkowo perfidny. Po wpływie tej zachęty Stig skoczył nieco wyżej, niż zamierzał, a Thorn zachichotał.

– O to właśnie chodzi, drogi Stigusiu! Wyżej, mocniej! Pokaż innym, jak to się robi!

Stig rzucił coś gniewnie w odpowiedzi, nie przerywając podskoków. Nagle zdał sobie sprawę, że zaczyna się rozgrzewać. Krew płynęła swobodnie w jego żyłach, dostarczając ciepło do rąk i nóg. Dzięki głębokim oddechom tlen dotarł do płuc i przegnał resztki snu.

Hal posłał mu pozbawiony współczucia uśmiech. Stig pomyślał, że ludzi zawsze bawi widok cierpiącego przyjaciela.

– Dobrze ci tak, za dużo gadasz. AU! AU!

Hal był pewien, że Thorn już poszedł dalej, okazało się jednak, że z powrotem zakradł się za ich plecy, niezauważony. Nie po raz pierwszy zaskoczył Hala szybkością i zwinnością



ruchów.

– Powinieneś dawać lepszy przykład, skirlu! – zarechotał Thorn.

Kilku członków drużyny również się zaśmiało. Rozcierając obolały tyłek, Hal rozważał w myślach taktykę Thorna. Karząc skirla, zapobiegł wszelkim ewentualnym oskarżeniom o faworyzowanie go. Poza tym pozostałym najwyraźniej poprawił się humor na widok Hala, skaczącego z przerażenia wysoko do góry – tak jak przed chwilą jemu wiele radości dostarczył widok Stiga w identycznej sytuacji.

Thorn ruszył dalej i zatrzymał się za plecami Ingvara. Wielki chłopak ledwo odrywał nogi od ziemi. Na jego twarzy malowała się determinacja. Przy każdym podskoku starał się, jak mógł, lecz potężne rozmiary jego ciała stawiały niepokonany opór. Ale w każdym razie próbował. Thorn przyglądał mu się przez chwilę z aprobatą, kiwając głową. Pomyślał, że Ingvar ma wiele zalet, a jego krótki wzrok wcale ich nie umniejsza. Okazywał wielką lojalność Halowi i zawsze zgłaszał się jako pierwszy, kiedy było jakieś zadanie do wykonania.

– Nie bij mnie, Thornie – powiedział. Widocznie jakiś szósty zmysł ostrzegł go, że Thorn stoi tuż za jego plecami. – Naprawdę wyżej nie mogę.

– Widzę – odparł Thorn łagodnym tonem i ruszył dalej. Przechodząc obok Ulfa, machnął pałką od niechcenia.

– Au! – wrzasnął Ulf. – Za co? – Skakał tak wysoko, jak tylko potrafił, i klaskał rękami z całych sił.

– Mój błąd – odparł Thorn. – Myślałem, że to twój brat.

– A, w takim razie w porządku.

Thorn zmarszczył brwi, próbując zrozumieć pokrętną logikę tego stwierdzenia. W końcu ruszył na koniec szeregu i stanął naprzeciw skaczących chłopców.

– Wystarczy! – krzyknął, a oni z wdzięcznością przerwali ćwiczenie. Niektórzy pochylili się do przodu, opierając dłonie na kolanach i oddychając głęboko. Ten i ów zakaszał z wysiłku.

– Nieźle się zapuściliście, co? – stwierdził Thorn z przyganą. Nikt nie odpowiedział. Z zawstydzeniem musieli przyznać mu rację. Już od kilku tygodni nie robili żadnych ćwiczeń, choć podczas treningu drużyn stanowiły one nieodłączną część rozkładu dnia. A na morzu nawet nie musieli wiosłować, bo popychał ich silny wiatr.

– Doskonale! – podjął Thorn, po czym, wskazując długi, wygięty łukowato pas plaży, dodał: – Czas pobiegać.

Chłopcy spojrzeli we wskazanym kierunku i jęknęli. Plaża ciągnęła się na długości niemal dwóch kilometrów.

– Tam i z powrotem – powiedział Thorn. – Do samiutkiego końca. Widzicie ten ładny twardy mokry piaseczek wzdłuż linii wody?

Począł, aż wszyscy spojrzeli w tamtą stronę i pokiwiają twierdząco, że tak, widzą.

– No więc po nim nie będziemy biegać. Będziemy biegać po tym okropnym, miękkim suchym piachu obok. To przyniesie nam znacznie większe korzyści.

– Nam? – powtórzył Stefan. – Ty też zamierzasz pobiec?

Thorn spojrział na niego z rozbawieniem w oczach.

– A jak myślisz?

Stefan z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Myślę, że zostaniesz tutaj.

– I kto śmiał twierdzić, że wolno kojarzysz? – odparł Thorn. Potem zatoczył ramieniem. – Ruszajcie. I pamiętać, żadnych spacerków. Będę was obserwował.

Chłopcy odwrócili się i ruszyli przed siebie nieskładną grupą, Jesper na czele. Po chwili Thorn wrzasnął:

– Edvin! Ty nie! Wracaj!

Edvin odłączył od grupy i podszedł do Thorny, z zaciekawieniem przekrzywiając głowę.

– Coś źle zrobiłem? – zapytał, zerkając czujnie na kij w ręku Thorny.

Thorn potrząsnął głową.

– Skądże. Rozpal ogień. Zrób herbatę, przygotuj chleb i bekon. Przyda im się porządne śniadanie.

W jego głosie zabrzmiała ciepła i troskliwa nuta, przecząca wcześniejszemu zachowaniu. Edvin ułożył w piramidkę gałązki na podpałkę i spojrział na starego wojownika.

– Wcale nie jesteś taki okropny, za jakiego próbujesz uchodzić, prawda?

Thorn zmroził go spojrzeniem.

– Ależ owszem, tak – odparł. – I przekonasz się o tym na własnej skórze, jeśli piśniesz komuś choćby słowo.

Po jakimś czasie członkowie drużyny Czapli przywlekli się do obozu nieskładną grupą. Na samym przedzie kroczył Jesper. Thorn zauważył, że chłopak prawie się nie zadyszał. Następni w kolejności nadeszli Ulf, Wulf i Stefan, potem Hal i Stig, ciągnąc ciężko człapiącego Ingvara. Thorn zacisnął wargi. „Wstyd”, pomyślał. Ingvar był wielki i mocny, miał ogromne rezerwy sił. Wszystko psuł jego kiepski wzrok. Poruszał się niezgrabnie, bo ciągle bał się, że straci równowagę. Widział akurat tyle, żeby się przestraszyć.

Thorn zamyślił się, uderzając kijem w łydkę. Czy można by jakoś temu zaradzić?

W pewnym momencie bezwiednie uderzył mocniej, niż zamierzał.

– Au! – mruknął, zapisując sobie w pamięci, by więcej tego nie robić. Podniósł głowę i napotkał spojrzenia członków drużyny Czapli, którzy, od dobrej chwili zajęci pałaszowaniem śniadania, teraz wpatrywali się w niego, wyszczerzeni od ucha do ucha. Zmarszczył brwi i uśmiechy natychmiast zniknęły z ich twarzy.

Wiedział jednak, że wciąż tam są, tuż pod powierzchnią, i bardzo go to cieszyło. Nie zamierzał zastraszać ich i terroryzować. Chciał, by odzyskali dobrą formę, psychiczną i fizyczną, utraconą podczas długich nudnych dni w obozowisku.

Skinieniem przywołał Edvina.

– Jadłeś już?

Edvin potrząsnął głową.

– Byłem zbyt zajęty. Właśnie zamierzałem to zrobić.

– A więc odłóż swoją porcję. Teraz twoja kolej, żeby pobiegać.

Edvin był zdruzgotany.

– Przecież jestem kucharzem! – zaprotestował.

– Zgadza się. Z pewnością będziesz mógł posłużyć się tym argumentem, kiedy staniesz twarzą w twarz ze spragnionym krwi piratem, planującym oddzielić twoją głowę od reszty ciała.

Zamilkł, odczekał, aż Edvin przyswoił jego słowa, i powoli pokiwał głową.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedział chłopak.

Thorn klepnął go w ramię.

– Poza tym w ten sposób możesz się przekonać, że naprawdę jestem tak okropny, za jakiego próbuję uchodzić – oznajmił Thorn, po czym zepsuł cały efekt, wskazując na niewielką kępę drzew mniej więcej pośrodku trasy.

– Nie musisz pokonywać całej odległości. Tylko do tych drzew i z powrotem. A później możesz zjeść śniadanie.

Edvin odwrócił się, ale potem jeszcze raz spojrział na Thorny.

– Nie martw się – powiedział. – Nikomu nie powiem, że nie jesteś okropny.

– Od razu mi ulżyło – odparł Thorn, po czym wykonał ramieniem ten sam gest, którym

wcześniej dał drużynie sygnał do rozpoczęcia biegu, i Edvin ruszył wzdłuż plaży. Pozostali chłopcy obserwowali go z zaciekawieniem. Zdążyli już zjeść i teraz odpoczywali, siedząc wygodnie i sącąc herbatę. Idylla nie potrwała jednak długo, po chwili wrzask Thorna znów postawił ich na nogi.

– Starczy tego dobrego! Teraz umyjcie się i uprzątnijcie teren obozowiska. Niech ktoś zabierze broń Edvina. Za piętnaście minut macie być z powrotem. Przynieście saksy.

Chłopcy niezwłocznie przystąpili do dzieła. Umyli się w chłodnych wodach strumienia, który wypływał z lasu i biegł dalej w stronę zatoki, a potem zajęli się obozowiskiem. Kiedy Edvin skończył jeść spóźnione śniadanie, zebrali się dokoła Thorna, który z namysłem popatrzył na Hala.

– Ta konstrukcja, nad którą pracujesz – powiedział, kiwając głową w stronę warsztatu – to coś ważnego, czy też jakiś kolejny pretensjonalny wymysł, jak ten system, doprowadzający bieżącą wodę w kuchni twojej mamy?

Hal westchnął.

– Czy kiedyś wreszcie przestaniecie mi to wypominać?

Thorn z namysłem wysunął dolną wargę, po czym spojrzał na Stiga.

– Jak myślisz?

Chłopak potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się – odparł.

– Mnie też nie. – Thorn odwrócił się z powrotem do Hala. – No, co powiesz?

Hal rzucił przyjaciółom zrezygnowane spojrzenie, po czym odpowiedział:

– To coś ważnego. Może zapewnić nam przewagę w starciu z Zavakiem i jego ludźmi.

Thorn skinął głową, usatysfakcjonowany.

– W takim razie, pracuj dalej. Pewnie potrzebujesz Ingvara do pomocy?

– Owszem. Pomaga mi od początku.

Thorn spojrzał na Ingvara i wskazał na niego kciukiem.

– Dobra, Ingvar zostaje pomagać Halowi. Reszta za mną.

– Co będziemy robić? – zapytał Ulf.

– Zbierać pnącza i gałązki brzozone, a potem spleciemy z tego linę. Dużo liny.

– Po co nam dużo liny? – spytał z kolei Wulf. Brat rzucił mu gniewne spojrzenie.

Zamierzał zadać to samo pytanie.

– Ponieważ do zrobienia sieci potrzeba dużo liny – wyjaśnił Thorn. Na widok ich min dodał przezornie: – Tylko nie pytajcie, po co nam sieć.



## Rozdział 5



Erak i Svengal obserwowali fale, wlewające się przez wąskie wejście do portu Hallasholm. Rozbijały się gwałtownie o skalne ściany, pryskając wysoko w górę białą pianą. Mężczyźni słyszeli głuchy miarowy grzmot i czuli tępe wibracje pod stopami. Potem fale, już nieco osłabione, mknęły dalej przez port i w końcu uderzały w kamienne nabrzeże. Za każdym razem wydawało się, że odzyskają poprzednie rozmiary, ale potem zielonkawa woda wznosiła się na wysokość około metra, by zaraz rozprysnąć się o mur oporowy.

Wiatr wiał nieprzerwanie z południowego zachodu, zawodząc wśród omasztowania okrętów, dla bezpieczeństwa stojących teraz na plaży, wysoko powyżej linii przy – pływu, szarpiąc falami, które uderzały o maszty, które wydawały nieustanny miarowy stukot.

„Wilczy Wicher”, okręt Eraka, również tam się znajdował. Svengal, czując, że pogoda tak szybko się nie zmieni, zabrał okręt ze stałego miejsca przy nabrzeżu, naprzeciwko wejścia do portu. Nacierające gwałtownie fale stanowiły zbyt duże zagrożenie. Przy tej pogodzie na nic by się zdały wiklinowe osłony, mocowane na burtach – fale prędko przerobiłyby je na miazgę, by potem zaatakować sam okręt. A gdyby zjawiała się jakaś wyjątkowo wysoka i gwałtowna fala, okręt mógłby po prostu rozbić się o kamienne nabrzeże.

Podobnie jak pozostałe jednostki, również „Wilczy Wicher” został przykryty brezentową płachtą w celu ochrony przed wiatrem i wodą.

Erak dokładnie przyjrzał się swemu skarbowi.

– Wszystko gotowe? Prowiant, wyposażenie?

Svengal cierpliwie kiwnął głową. Słyszał to pytanie dopiero dziesiąty raz w tym tygodniu.

– Wszystko. W ostatniej chwili zabierzemy jeszcze chleb, mięso i wodę. No i sprzęt, którego nie chciałem wystawiać na działanie deszczu i wody morskiej. Ale jak tylko sztorm ucichnie, wystarczy nam godzina i będziemy gotowi do drogi.

Erak mruknął ponuro, znów kierując wzrok na morze, i wciągnął powietrze w nozdrza.

– Jak sztorm ucichnie – powtórzył. – O ile w ogóle ucichnie.

– To musi się wkrótce skończyć – stwierdził optymistycznie Svengal. – Dmucha bez przerwy już od dziesięciu dni.

– Z dzieciństwa pamiętam sztorm, który trwał ponad miesiąc – odparł Erak.

Svengal uniósł jedną brew.

– Już mówiłeś, wodzu. Ale pomyśl tylko. Takie sztormy nie zdarzają się zbyt często. Byłeś wtedy małym chłopcem, od tamtej pory minęło sporo czasu.

Erak popatrzył przeciągle na swego byłego oficera, oburzony uwagą, którą uznał za głęboko obraźliwą.

– Wcale nie tak dużo – odparł sztywno. – Nie zamierzam jeszcze kłaść się do grobu.

Svengal wyrócił oczami.

– Ale w kwiecie młodości też już nie jesteś.

Erak skrzyżował ramiona na piersi, odwrócił się i spojrzał Svengalowi prosto w twarz.

– W kwiecie młodości? – powtórzył z niedowierzaniem. – W kwiecie młodości? To chyba trochę wydumany zwrot, nie uważasz? Od kiedy to zrobił się z ciebie taki poeta?

– No, dobrze – odparł Svengal. Prawdę mówiąc, zaczerpnął to wyrażenie z poematu, który zaledwie kilka nocy wcześniej czytała mu na głos pewna niezwykle pojętna młoda dama. Poemat ów zrobił na nim wielkie wrażenie. Oczywiście, w jej towarzystwie tego typu zwroty były bardziej na miejscu niż teraz. – Skoro wolisz prozę, ujmę to tak: masz już swoje lata.

– Czyżby? – Erak zbliżył się o pół kroku, agresywnie wypinając klatkę piersiową. A rozmiary klatki piersiowej Eraka nie skłaniały do dyskusji. Niejeden mąż w tej sytuacji struchlałby ze strachu. Svengal jednak do takich mężów nie należał. Sam mógł poszczycić się potężną sylwetką, a poza tym znał oberjarla od lat. Razem żeglowali, razem łupili obce miasta, razem świętowali i razem oplakiwali utraconych towarzyszy. Tytuł oberjarla też nie robił na nim wrażenia. Spokojnie powtórzył:

– Wodzu, nie chodzi mi o twój zaawansowany wiek. – Tu Erak zmarszczył brwi. – Chodzi mi o to, że byłeś małym chłopcem, kiedy zdarzył się ten sztorm, który szalał przez cały miesiąc. To było wiele, wiele lat temu. A więc z tego wniosek, że takie zjawiska nie występują zbyt często, prawda?

Kiedy oberjarl przemyślał słowa Svengala, wyraz jego twarzy nieco złagodniał, groźny błysk w oczach zgasł.

– Chyba tak – powiedział z wahaniem.

– A więc można przypuszczać, że obecny sztorm nie będzie równie długi jak tamten? – naciskał Svengal.

– Chyba masz rację – zgodził się oberjarl.

– A jeśli nawet, chyba ani ja, ani moja droga ciocia Bessie nie możemy nic na to poradzić, prawda?

– Myślałem, że twoja droga ciocia miała na imię Winfredia?

Svengal wzruszył ramionami.

– Ciocia Bessie była jej młodszą siostrą. Cudowna kobieta, mówię ci.

Oberjarl potrząsnął głową. Svengal często powoływał się na swoje drogie ciocie w przeróżnych kwestiach, ich imiona jednak dziwnie często się zmieniały. Erak naliczył już co najmniej dziewięć.

– Ale co twoja ciocia ma z tym wspólnego?

Svengal uśmiechnął się szeroko.

– Ciocia zwykła mawiać: „Można zmienić portki. Można zmienić zdanie. Ale pogody nie da się zmienić”.

– Wymyśliłeś to – stwierdził Erak.

– Możliwe, co jednak nie czyni tych słów mniej prawdziwymi. I mniej mądrymi. Faktem jest, że kiedy sztorm ustanie, będziemy mogli wypłynąć w ciągu godziny.

Erak odchrząknął. Opóźnienie bardzo go irytowało. Nie potrafił zrozumieć filozoficznej postawy Svengala. Chciał, by „Wilczy Wicher” wreszcie wypłynął na poszukiwanie drużyny „Czapli” – oraz pirackiego okrętu, na którego pokładzie znajdował się skradziony Skandianom Andomal, ich największy skarb.

Spojrzał na rozpędzone chmury, pchane wiatrem po niebie. Nie zanosilo się na poprawę pogody.

– Miałbym prawdziwe szczęście, gdyby okazało się, że ten sztorm również potrwa miesiąc, jako pierwszy od czasów mojego dzieciństwa – mruknął.

Po chwili zastanowienia Svengal stwierdził:

– Rzeczywiście, jak tak chwilę pomyśleć, fakt, że coś takiego nie zdarzyło się od bardzo

dawna, raczej zwiększa prawdopodobieństwo, że może wydarzyć się ponownie.

Erak zmarszczył brwi.

– Twe słowa są dla mnie prawdziwą pociechą – stwierdził, po czym odwrócił się w stronę ścieżki, wiodącej do hali. – Nie ma sensu stać w deszczu. Lepiej chodźmy spojrzeć na mapy, może uda nam się określić, gdzie oni teraz mogą być.

Svengal ruszył za nim.

– Może uda nam się zgadnąć, chciałeś raczej powiedzieć.

– To też – burknął Erak.

Ruszyli w kierunku hali. Z powodu kiepskiej pogody siedziało tam więcej mężczyzn niż zazwyczaj. Popijali i opowiadali różne historie dla zabicia czasu. Bez większego zainteresowania spojrzeli na Eraka i Svengala, kilku przywitało się. Większość domyślała się, gdzie ci dwaj byli przed chwilą.

Nikt nie okazywał Erakowi jakichś szczególnych względów. Owszem, był oberjarlem, najwyższym przywódcą Skandian, lecz Skandianie nie uznawali płaszczenia się przed władzą. Byli zorganizowani na sposób demokratyczny i lubili podkreślać swą niezależność, traktując władcę raczej obojętnie – no, z wyjątkiem chwil, gdy wpadał on w gniew. Wtedy zaczynali zachowywać się z większą rewerencją. Erak nie obrażał się na nich. Sam podobnie odnosił się do poprzedniego oberjarla.

Przy jednym ze stołów siedział Gort z grupą mężczyzn. Erak uchwycił jego spojrzenie i skinął mu głową na powitanie. Gort pełnił funkcję instruktora i odpowiadał za drużynę Czaplí podczas treningów. Zapewne ze wszystkich mieszkańców Hallasholm to właśnie on wiedział najwięcej o łodzi swych podopiecznych i jej możliwościach. Gort wstał, wniósł kufel z piwem i przeszedł przez halę, by do nich dołączyć.

– Muszę się z tobą skonsultować – oznajmił Erak i poprowadził go do części prywatnej.

Zasiedli przy wielkim drewnianym stole. Meble Skandian przeważnie odznaczały się sporymi rozmiarami, stosownie do rozmiarów swych właścicieli. Erak rozłożył mapę Morza Białych Sztormów. Po chwili zastanowienia powiedział:

– Próbuje określić, jak daleko stąd mogli dopłynąć Hal oraz jego drużyna i w którym miejscu byli zmuszeni dobić do brzegu.

Gort pochylił się i popatrzył na mapę, mrużąc oczy. Prawdę mówiąc, nawigacja zliczeniowa nie należała do jego mocnych punktów. Owszem, nauczał chłopców żeglarstwa i władania bronią, były to jednak stosunkowo proste dziedziny.

– Jedna rzecz, wodzu – wtrącił Svengal. – Dlaczego mam szukać chłopców? Czemu nie złodzieja Zavaca?

Erak zwrócił na niego spojrzenie.

– Jeśli uda ci się namierzyć Zavaca, to droga wolna, goń za nim. Istnieje jednak szansa, że chłopcy wiedzą, w którą udał się stronę. Wyłynęli niemal natychmiast po nim, ślad był jeszcze ciepły.

– Więc jeśli ich odnajdę... – zapytał Svengal z wahaniem – to mam ich przywieźć z powrotem? – Chyba domyślał się zamiarów oberjarla, chciał jednak wyraźnie to usłyszeć.

Erak potrząsnął głową.

– Pomóc im – odparł. – Jest ich tylko dziewięciu przeciwko załodze Zavaca. Będą cię potrzebować.

– Mają Thorna, nie zapominajmy – powiedział Svengal.

Gort zerknął na niego.

– Thorna? – spytał. – Przecież to tylko lump i pijaczyna, prawda? – Przypominał sobie, jak któregoś razu Sigurd, główny instruktor drużyn, zasugerował, że w przypadku Thorna pozory

mogą mylić. Nic więcej jednak wówczas nie powiedział.

Erak i Svengal spojrzeli na siebie. Erak dał mu znak ruchem ręki.

– Niegdyś pływał z nami na wyprawę – powiedział Svengal. – Był najlepszym wojownikiem w naszej załodze. Lepszym ode mnie. Lepszym od Eraka. – Spojrzał na oberjarla, ten zaś krótkim skinieniem głowy potwierdził jego słowa. – Tylko jeden człowiek mógł się z nim mierzyć. Jego najlepszy przyjaciel. Mikkel, ojciec Hala.

Gort z namysłem zacisnął wargi.

– Tak czy inaczej, jeden wojownik nie czyni takiej znowu wielkiej różnicy. W dodatku pozbawiony ręki.

– Był kimś więcej niż zwykłym wojownikiem – odparł Erak. – Thorn był Potężnym.

– Trzy lata z rzędu – dodał Svengal.

Gort z wrażenia aż odchylił się na oparcie krzesła.

– Potężnym? Thorn?!

Tytuł Potężnego przyznawano najlepszemu wojownikowi ze wszystkich Skandian. Gort jakoś nie potrafił pogodzić tego ze znanym sobie obrazem zapijaczonoego obszarpańca. Nagle dotarły do niego słowa Svengala. Wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Powiedziałeś trzy lata z rzędu? – zapytał. Sam miał dwadzieścia dziewięć lat, był młodszy od Eraka i Svengala i nie pamiętał Thorna sprzed wypadku, w którym stracił rękę. Tamci ponuro pokiwali głowami.

– Nikt poza nim tego nie dokonał – powiedział Erak.

– Tak więc nawet bez jednej ręki nadal jest wojownikiem, z którym należy się liczyć.

– Szczególnie od kiedy Hal zrobił dla niego to sztuczne ramię – dodał Svengal. –

Widziałeś je? Zakończone wielką nabijaną ćwiekami maczugą. – Potrząsnął głową.

– Ten chłopak naprawdę jest wyjątkowy.

Erak powoli pokiwał głową.

– Właśnie dlatego chcę, żebyś ich odnalazł i im pomógł.

– Ale przecież ich ukarałeś – zauważył Gort, marszcząc brwi. – Rozwiązałeś drużynę Czapl i kazałeś nam wymazać wszelkie ślady jej istnienia. I chciałeś skonfiskować łódź Hala.

– Wiem – odparł Erak. – Musiałem tak postąpić. Chłopcy popełnili straszny błąd, dopuścili do tego, że skradziono Andomal. Musiałem ich ukarać. Ale musiałem też dać im szansę odkupienia winy. Ich jedyną nadzieją jest odzyskanie tego, co stracili.

– Wiedziałeś, że wyruszą w pogoń za Zavakiem? – spytał Svengal. Erak nigdy wcześniej się do tego nie przyznał.

– Miałem nadzieję, że tak zrobią. Nie możemy pozwolić sobie na utratę takich ludzi jak oni. Mają w sobie zbyt wielki potencjał. Hal przejawia genialne zdolności w dziedzinie szkutnictwa, nawet jeśli maszty „Czapl i” okazały się nieco za lekkie. W dodatku już jest doświadczonym sternikiem i nawigatorem.

– Przecież stracił maszt podczas ostatniego wyścigu – zaprotestował Svengal.

Gort potrząsnął głową.

– Ale sobie poradził. Doskonale rozwiązał problem, improwizując. Każdy może popełnić błąd, Svengalu. Prawdziwą wartość człowieka można poznać po tym, jakie wyciągnie z tego wnioski i jak wybrnie z zaistniałej sytuacji.

– Chyba masz rację – przyznał Svengal i ponownie pochylił się nad mapą. – No dobrze, spójrzmy, jak daleko mogli dopłynąć i gdzie być może poszukali schronienia.

Palcem wskazującym zatoczył kółko nad mapą.

Pozostali przysunęli się bliżej. Svengal wskazywał na wschodnią część wybrzeża Morza Białych Sztormów. Był to rejon politycznie niestabilny, złożony z drobnych niezależnych

państwerek, które, jedno bardziej zaciekle i kłótlive od drugiego, od lat konkurowały o ziemie położone wzdłuż wybrzeża. Niektóre z owych państwerek były niewiele większe od miast czy własnych stolic. Inne rozciągały się na obszarze dziesięciu, czasem więcej kilometrów wzdłuż brzegu i dalej, w głąb lądu – póki nie zjawił się jakiś zazdrosny sąsiad i nie zajął ich terytorium.

W okolicach istniało przynajmniej tuzin takich kłopotliwych państw-miast. Sytuacja na tych terenach nieustannie się zmieniała. Kartografowie już dawno poddali się i nie próbowali nadążyć za zmianami. Oznaczali całe terytorium jako przynależne Teutonii. Władcy tej krainy nie oponowali, ale zajęci ciągłymi wewnętrznymi sporami i przepychankami o władzę, nigdy też nie mieli okazji, by rzeczywiście objąć panowanie nad ziemiami, które przyznali im twórcy map.

Erak pomyślał, że przedstawiciele tego zawodu słyną z lenistwa i rzadko podróżują do tamtej części świata.

– Wyplłynęli jakieś dziesięć dni przed tym, jak sztorm zrobił się naprawdę groźny – powiedział Svengal. – Przypuszczam, że mogli dotrzeć gdzieś do tego miejsca.

Gort jednak ponownie potrząsnął głową.

– Może na normalnym wilczym okręcie tak. Tylko że „Czapla” jest szybka. Naprawdę potrafi fruwać. A przy stałym wietrze z tej strony z pewnością rozwinęła największą prędkość, mimo uszkodzonej rejki i zrefowanego żagla.

Urwał i w wielkim skupieniu, wykrzywiając wargi, przesunął palec niżej od punktu, wskazanego przez Svengala.

– Sądzę, że mogli dotrzeć aż dotąd – powiedział i wszyscy trzej pochylili się nad mapą.

– Hal ma, oczywiście, kopię tej mapy? – zapytał Erak.

– Każda z drużyn otrzymała kopię podczas zajęć z nawigacji. Jak znam Hala, z pewnością ją zachował.

– Tutaj – powiedział nagle Svengal. Wskazywał niewielkie, ledwo widoczne zagłębienie w linii wybrzeża. Wejście do zatoczki było skierowane na północ, od południowo-zachodniej strony chroniła ją linia wzniesień.

– To chyba najlepsze schronienie w tej części wybrzeża, osłonięte od wiatru przez wysoki cypel. Jeśli sądzisz, że mogli dopłynąć tak daleko, to założę się, że właśnie tam ich znajdziemy.

– Chyba że zginęli podczas sztormu – stwierdził Erak. Gort uniósł rękę na znak protestu.

– Na pewno nie. Hal jest zbyt dobrym żeglarzem. A Czaple to świetna załoga. – Zerknął przepraszająco na oberjarla. Erak zakazał wymieniania nazwy drużyny Czapli. – Wybacz.

Erak tylko machnął ręką.

– W takim razie tam właśnie ich poszukam – powiedział Svengal, intensywnie wpatrując się w mapę, by zapamiętać wszystkie szczegóły.

– O ile sztorm w ogóle ustanie – stwierdził Erak ponuro, odchylając się na oparcie krzesła.

Svengal wyszczerzył się szeroko.

– Moja droga ciocia Tabitha świetnie zna się na pogodzie – powiedział. – Zapytam ją o zdanie.

Gort zmarszczył brwi.

– Droga ciocia Tabitha? – Nie kojarzył mieszkanki Hallasholm o takim imieniu. – Kto to jest, u licha?

Erak zwrócił na niego udręczone spojrzenie.

– Nie pytaj. Po prostu nie pytaj.





## Rozdział 6



Członkowie drużyny Czapli przez resztę dnia skręcali mocny sznur z pnączy i cienkich młodych gałązek brzozowych. Pod wieczór porządnie bolały ich palce i nadgarstki. Hal i Ingvar nadal pracowali w warsztacie. Dochodziły stamtąd wyraźne odgłosy cięcia, piłowania i zbijania drewna. Niektórzy chłopcy zastanawiali się, co też to może oznaczać.

– Hal na pewno powie nam, o co chodzi, w odpowiednim czasie – stwierdził Stig. – Nie lubi pokazywać niedokończonych rzeczy.

Tuż przed zachodem słońca Thorn ogłosił koniec pracy i wysłał ich na kolejną rundę po plażę. Edvin poszedł przygotowywać kolację.

Tej nocy niewiele rozmawiali i nikt się nie kłócił. Wyczerpani, z radością wczłgali się na posłania. Kilka godzin po zapadnięciu zmroku w obozie zapanowała cisza. Tylko przy dopalającym się ognisku majaczyła jedna ciemna postać – Thorn. A gdy żar wygasł, Thorn cicho zszedł na plażę, wdrapał się na pokład łodzi i również zasnął.

Następnego ranka, jeszcze przed świtem, powtórzyła się sytuacja z poprzedniego dnia. Kij Thorna odbębnił pobudkę na drewnianej konstrukcji chaty, a także na tylnych częściach ciała tych chłopców, którzy nie dość szybko wygramolili się spod koców.

Thorn pospiesznie zawinął kawałek bekonu w kromkę chleba, a potem ułożył linę w kwadrat o powierzchni mniej więcej ośmiu metrów, wreszcie podzielił go na mniejsze kwadraty o długości boku około czterdziestu pięciu centymetrów. Chłopcy wrócili, porządnie wygłodniali, chwycili chleb, bekon i kubki z herbatą, po czym otoczyli Thorna, z zaciekawieniem przyglądając się jego pracy.

– To sieć – stwierdził Stig. – Po co nam sieć?

Thorn nie odpowiedział. „Chłopcy i te ich niekończące się pytania”, pomyślał tylko.

– Spora – skomentował Stefan. – Co będziemy w nią łapać? Niedźwiedzie?

Thorn spojrzał na niego z kamienną twarzą.

– Nie. Będziemy polować na znacznie groźniejszą zwierzynę – odparł, a gdy Stefan z zaciekawieniem przekrzywił głowę, dodał: – Nastoletnich chłopców. Nie są może aż tak agresywni, ale wonieją znacznie gorzej.

– I kto to mówi – wtrącił Hal.

Thorn uniósł brwi.

– Ja wonieję całkiem nieźle – stwierdził.

– Oj, nieźle – zgodził się Hal.

Thorn zerknął na niego podejrzliwie.

– Brałem kąpiel zaledwie pięć tygodni temu – oznajmił, po czym uznał, że nie ma co wdawać się w dyskusje z młodym skirlem. – Uprzątnijcie obóz. Potem tu wróćcie – rzucił szorstko, a chłopcy, szczerząc się od ucha do ucha, pospieszyli wypełnić polecenie.

Poprzedniego dnia, gdy ścinali pnącza i brzozowe gałęzie, Thorn zebrał naręcze giętkiej winorośli, przypominającej cienki sznur. Teraz, gdy wrócili, rzucił je na ziemię.

– Zwiążcie liny, tam gdzie się krzyżują – polecił. Potem wskazał na Ulfa i Wulfa. – Wy dwaj, natnijcie patyków, takich mniej więcej na pół metra. Przytnijcie je równo i zaostrzcie końce.

– Ile? – zapytał Ulf.

Po chwili namysłu Thorn odpowiedział:

– Szesnaście powinno wystarczyć.

Ruszyli do lasu. Kiedy wrócili z patykami, pozostali zdążyli uporać się ze swoim zadaniem. Thorn sprawdził rezultaty ich pracy, pociągając za węzły. Ale chłopcy od małego uczyli się wiązać węzły żeglarskie, więc nie mógł im niczego zarzucić.

– Doskonale – przyznał. – Teraz przymocujecie sieć do tych patyków, trzydzieści centymetrów nad ziemią. Umieście patyki w rogach i wzdłuż boków, w równej odległości. Tylko naciągnijcie porządnie sieć. Nie może wisieć.

– Na co to? – spytał Stefan.

– Na spadające niedźwiedzie – odparł Thorn. Zdawał się całkowicie poważny. Stefan zmarszczył brwi. Chyba gdzieś już słyszał o tych tajemniczych zwierzętach.

– Spadające niedźwiedzie? – powtórzył z powątpiewaniem.

– Nieduże niedźwiedziowate stworzenia z błoną między palcami przednich i tylnych łap, która pozwala im całe mile unosić się w powietrzu. Kiedy się zmęczą, spadają na ziemię – wyjaśnił Thorn. – Dzięki tej sieci może uda nam się jakiegoś złapać.

– O ile postanowi spaść akurat w tym miejscu – stwierdził Hal.

Stefan wyczuł rozbawienie w jego głosie i prędko się odwrócił. Pozostali chłopcy próbowali ukryć uśmiechy. Stefan zrozumiał, że dał się nabrać.

– O - powiedział. Przez chwilę zamierzał się obrazić, ale w końcu uznał, że nie ma to sensu. Żart Thorn'a nie był złośliwy, więc uśmiechnął się tylko i postanowił inaczej rozwiązać sprawę.

– Skoro jesteście tacy mądrzy, to może któryś mi powie, do czego ma służyć ta sieć?

Thorn zaśmiał się.

– Dobre pytanie. – Spojrzał na pozostałych. – No, czy któryś z szanownych geniuszy ma jakiś pomysł? – Wszyscy mieli raczej niepewne miny. – W takim razie zaraz się dowiecie. Przynieście broń i tarcze. Migiem!

Gdy pobiegli do chaty, Thorn uśmiechnął się pod nosem. Scenka ze Stefanem w roli głównej stanowiła dobry znak. Jeszcze poprzedniego dnia wymiana zdań przybrałaby zapewne znacznie ostrzejszy charakter, może nawet doszłoby do bójk. Dziś, po dniu wyczerpujących ćwiczeń fizycznych i ciężkiej pracy, nagrodzonej zasłużonym snem i dodatkową porcją ćwiczeń o poranku, atmosfera w obozie znacznie się polepszyła. Nuda została przegnana. Chłopców bardzo zaciekawiła tajemnicza sieć. Grupa znów miała wspólny cel. Thornowi zrobiło się przyjemnie na myśl, że była w tym jego zasługa.

Chłopcy ustawili się w szeregu, dzierżąc broń w rękach. Thorn przyglądał się im bacznie

przez chwilę. Pomyślał, że najlepiej będzie zacząć od Stiga. Był atletycznie zbudowany i odznaczał się dobrą koordynacją ruchów. Wyciągnął rękę w jego stronę.

– Stig. Podejdź tu. Włóż stopy w sieć, tak by oddzielał je jeden kwadrat.

Stig, zaintrygowany, posłusznie włożył stopy w dwa kwadraty przy samym brzegu.

– A teraz – podjął Thorn – będę dawał ci kolejne polecenia, a ty musisz je wykonywać. Zgodnie z tym, co ci powiem, masz robić krok w przód, w tył, w lewo lub w prawo. Za każdym razem podam też liczbę kroków. Jasne?

Stig przytaknął, marszcząc brwi z namysłem. Zaczynał rozumieć, o co chodzi w tej zabawie.

– Świetnie. Podnieś tarczę, topór w gotowości. Unieś wzrok – przed tobą stoi okrutny dziki Madziar. A teraz zaczynaj. Trzy do przodu... dwa w prawo... jeden do tyłu... dwa w lewo.

Stig wykonywał kolejne polecenia, wysoko unosząc stopy, by nie zaczepić o sieć, i lekko stawiając je na ziemi. Początkowo Thorn wydawał polecenia powoli i spokojnie, ale kiedy Stig nabral pewności, zwiększył tempo, dodając też „pół w lewo”, „pół w prawo”, co oznaczało ruch po skosie. Prócz tego przypominał też Stigowi, który przez cały czas ze skupioną miną śledził instrukcje, by unieść wyżej tarczę i patrzył prosto przed siebie.

Po minucie czy dwóch nastąpiło to, co nieuniknione. Kiedy Stig próbował zrobić krok w lewo, jego prawa stopa zaplątała się w sieć i wyrznął jak długi. Pozostali zaczęli się śmiać, choć zdawali sobie sprawę, że ich kolega spisał się bardzo dobrze. Chyba mało kto wierzył, że potrafiłby mu dorównać.

Stig podniósł się ze strapioną miną. Thorn jednak nagrodził go krótkim skinieniem głowy, a potem zwrócił się do pozostałych.

– Nie ma się z czego śmiać. Wątpię, by komuś udało się zrobić to lepiej.

Chłopcy zgodnie pokiwali głowami. Tylko Jesper – „Czemu zawsze Jesper?”, pomyślał Hal – oczywiście musiał przyczepić się do Thornia.

– A ty, Thornie? Potrafisz mu dorównać?

Thorn przez chwilę zastanawiał się nad pytaniem, przyglądając się temu, który je zadał.

– Hmm. Dobre pytanie. Czy potrafię? Od dawna tego nie robiłem. Możliwe, że zapomniałem. Ale cóż, sprawdźmy to. – Wyciągnął prawe ramię, zakończone drewnianym hakiem, w stronę Stiga. – Tarcza – powiedział i Stig pomógł mu zawiesić tarczę na ramieniu, przyglądając się z zainteresowaniem, jak Thorn ujmuje imasz między drewniane kleszcze i zaciska je.

– Topór – powiedział, kiedy już uporał się z tarczą. Ujął go w lewą rękę i unieś do ramienia.

Podszedł do sieci, przystanął i rzucił chłopcom niepewne spojrzenie.

– Zastanawiam się, czy to na pewno dobry pomysł. – Potem wzruszył ramionami, westchnął głęboko i wszedł w środek sieci. – Hal, ty wydajesz polecenia.

Hal zawahał się, ale zaraz zaczął podawać kolejne kroki, w tym samym tempie, jakie zastosował Thorn w przypadku Stiga.

– Dwa do przodu... trzy w lewo... jeden w prawo...

– Szybciej! – warknął Thorn i Hal zwiększył tempo.

– Cztery w lewo, trzy w przód, dwa w tył...

– Szybciej! – zawołał Thorn. – Co się tak guzdrasz?

– Trzy w prawo, jeden w przód, dwa w lewo...

– Szybciej! No, dalej! Tempo!

– Jeden w tył-dwa w lewo-trzy w prawo-pół w lewo-jeden w przód...

Mimo że Hal wydawał polecenia właściwie jednym ciągiem, Thorn bez problemu

utrzymywał tempo, za każdym razem z wielką pewnością siebie wysoko unosił stopy i nigdy się nie pomylił. Wyglądał, jakby tańczył w sieci, poruszając się lekko na czubkach palców, nigdy nie tracąc równowagi, nigdy się nie zatrzymując. Potem jeszcze włączył do tego dodatkowe ruchy, a to zamachnął się toporem przy kroku w lewo, a to przy kroku w tył uniósł tarczę wysoko nad głową. Raz, kiedy Hal spóźnił się z kolejnym poleceniem, wykonał pełen obrót wokół własnej osi. Chłopcy zamruczeli z podziwu i zdumienia. Nie mogli oderwać wzroku od lekko poruszającej się postaci.

A potem, ignorując kolejne instrukcje, Thorn obrócił się prędko w ich stronę i zobaczyli, że ma zamknięte oczy. Hal zamilkł, a Thorn wykonał ostatnią, skomplikowaną sekwencję kroków, ani razu nawet nie dotykając stopą liny. Otworzył oczy i ruszył biegiem w stronę zapatrzonych chłopców. W końcu wyskoczył z sieci, odrywając obie stopy od ziemi i lądując w kucki tuż przed nimi, z tarczą uniesioną i toporem gotowym do ciosu.

– UAAAA! – ryknął, a oni odruchowo zrobili krok w tył.

Thorn podniósł się do pozycji stojącej, opuścił topór i posłał Jesperowi uśmiech.

– No i co? Nadal nieźle mi idzie.

Jesper kilka razy kiwnął głową. Był pod wrażeniem. Wielkim wrażeniem. I zanotował sobie w pamięci, by w przyszłości nie prowokować Thorną.

– Tak – przyznał. – Rzeczywiście, nieźle ci idzie.

– Thornie – odezwał się Hal. – Czy mógłbyś wytłumaczyć nam, jaki jest cel tego ćwiczenia?

Thorn spojrział na niego i skinął głową. Hal dobrze rozumiał, na czym polega dowodzenie grupą. Czasami, kiedy chce się wprowadzić dyscyplinę, trzeba wymagać ślepego posłuszeństwa. Ale czasami lepiej działa rzeczowe wyjaśnienie. Mężczyźni – tak teraz myślał o członkach drużyny – lepiej wypełniają polecenia, jeśli rozumieją, jaki jest ich sens. W tym ćwiczeniu chodziło o coś więcej niż ślepe posłuszeństwo. Chciał, by zrozumieli, na czym ono polega i dzięki temu wykonywali je z większym zapałem i, w dalszej perspektywie, wytworzyli w sobie umiejętności, które mogły uratować im życie.

– Chodzi o prędkość i zwinność – powiedział. – To będą wasze największe atuty w starciu z załogą „Kruka”. Ci ludzie to doświadczeni wojownicy. Od lat pływają po morzach i uczestniczą w walkach. Wy takich umiejętności nie posiadacie. Ale jesteście młodzi. Wasze największe zalety w walce to prędkość i zwinność. Dlatego będziemy nad tym pracować. Prędkość i zwinność. Będziemy je ćwiczyć, aż każdy z was osiągnie maksimum możliwości. Jeśli uczciwie przyłożycie się do pracy nad tymi cechami, kiedyś mogą ocalić wam życie.

Urwał i popatrzył na ich twarze. Malowała się na nich determinacja. Zrozumieli, że to dziwaczne ćwiczenie z siecią to tylko środek służący do osiągnięcia celu. Patrzyli w przyszłość, myśląc o chwili, kiedy umiejętności, o których właśnie opowiedział Thorn, mogą rozstrzygnąć o wygranej. O ich życiu lub śmierci.

– No – powiedział Thorn, kiwając głową w stronę sieci – kto następny?





Przedpołudnie mijało, a oni po kolei zajmowali miejsce w sieci, z różnym rezultatem.

Zgodnie z przypuszczeniami Thorn'a, Stig znakomicie radził sobie z ćwiczeniem, za każdym razem coraz lepiej. Stary wilk morski stwierdził również, przyjemnie zaskoczony, że Hal niewiele mu ustępuje. A Jesper był niemal tak dobry jak Hal. Oczywiście, Jesper trudnił się złodziejskim rzemiosłem, a złodzieje przeważnie odznaczają się zwinnością i lekkością ruchów – nie mówiąc już o tym, jak zręczne mają palce. Hal z kolei zawsze mógł się pochwalić doskonałym postrzeganiem przestrzennym. Właśnie ta cecha uczyniła zeń tak doskonałego sternika.

Ulf i Wulf radzili sobie całkiem nieźle. Oczywiście szydzili z siebie nawzajem, co było dość zabawne, zważywszy na fakt, że żaden z nich nie przewyższał drugiego ani mu nie ustępował. Stefanowi również szło nie najgorzej, Edvin za to miał duże problemy z wykonaniem ćwiczenia. Często zahaczał stopą o linę i padał na ziemię, nim zdołał zrobić choćby trzy czy cztery kroki. Marszczył brwi i próbował od nowa, lecz za każdym razem popełniał ten sam błąd, wykonywał za szybkie ruchy i znów ponosił porażkę.

– Zwolnij – poradził mu Thorn. – Musisz nauczyć się robić to instynktownie. Nauczyć się chodzić, zanim zaczniesz biegać.

Edvin spojrzał na niego, czerwony i wściekły.

– Jakieś inne dobre rady? – zapytał.

Thorn wziął głęboki oddech i dopiero wtedy odpowiedział. W pierwszej chwili miał ochotę rąbnąć Edvina w łeb za jego bezczelność. Ale musiał przyznać, że chłopak bardzo się stara. Tak, starał się nawet za bardzo. Patrzył, z jaką – stosunkowo – lekkością jego towarzysze wykonują ćwiczenie i desperacko pragnął im dorównać. Nie mógł pochwalić się taką samą koordynacją ruchów i próbował nadrobić te braki zbyt szybkim tempem.

– Słuchaj moich poleceń i zwolnij – powiedział Thorn. – Obiecuję, że w końcu ci się uda. Ale to trochę potrwa. Nie możesz oczekiwać, że za każdym razem zrobisz to bezbłędnie.

– Stig robi – odparł Edvin.

Thorn potrząsnął głową.

– Nieprawda. Radzi sobie lepiej niż ty, ponieważ ma lepiej wyważone i skoordynowane ruchy. Ale możesz nadrobić te braki. Po prostu musisz ćwiczyć. I stopniowo zwiększać tempo. Nie staraj się mu dorównać. Ćwicz we własnym tempie, a zobaczysz, że nabierzesz sprawności. – Kiedy zauważę, że lepiej ci idzie, zwiększę tempo. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odparł Edvin z wahaniem. Thorn zapraszającym gestem wskazał na sieć.

Na twarzy Edvina pojawił się wyraz determinacji. Skinął głową i czekał na instrukcje, bezgłośnie poruszając ustami.

Tym razem się nie spieszył. Thorn wydawał polecenia wolniej niż poprzednio. Pozostali chłopcy rozłożyli się wygodnie na trawie, patrząc, jak Edvin wykonuje kolejne kroki, wysoko

i ostrożnie unosząc stopy oraz dostosowując się do narzuconego rytmu. Widząc, że chłopak zaczyna sobie z tym radzić, Thorn nieznacznie zwiększył tempo.

– Patrz przed siebie! – krzyknął nagle, gdy Edvin spojrział na sieć. To mogło łatwo doprowadzić do upadku. Thorn chciał, by nauczył się wyczuwać rytm i odległość. Gdyby próbował patrzeć na liny, nigdy nie nadążyłby za poleceniami, nawet tymi wydawanymi w wolnym tempie.

Thorn ponownie zwiększył tempo. Edvin nadal dobrze sobie radził. W końcu Thorn zarządził przerwę. Edvin zatrzymał się, wsparł miecz na ramieniu, opuścił tarczę. Thorn poklepał go po plecach.

– O wiele lepiej – powiedział.

Edvin potrząsnął głową.

– Stig robi to znacznie szybciej niż ja. Hal i Jesper tak samo.

– Niedługo ich dogonisz. Jeśli będziesz dużo ćwiczył, też staniesz się szybki. Uwierz mi.

– Tak szybki jak Stig? – zapytał Edvin. Thorn już otworzył usta, lecz zawahał się.

Stwierdził jednak, że najlepsza będzie szczerość.

– Zapewne nie. – W oczach Edvina pojawił się gniewny błysk. – Ale wystarczająco, by ocalić życie podczas bitwy. A o to właśnie chodzi. Pogódź się z tym, że każdy z nas ma inne atuty. Musimy jednak się starać.

– Pewnie tak – stwierdził Edvin, lecz bez większego przekonania.

Thorn przyglądał mu się bacznie przez chwilę, a potem powiedział:

– Wiem, co myślisz: że jeśli będziesz ćwiczyć wystarczająco długo i ciężko, to udowodnisz mi, że się mylę. Że możesz być równie szybki jak Stig. Zgadza się?

Edvin uniósł głowę, zarumienił się lekko i odpowiedział wyzywającym tonem:

– Tak. Właśnie tak myślę.

– I bardzo dobrze! – stwierdził Thorn i klepnął go serdecznie w plecy. Z taką siłą, że Edvin o mało nie wpadł w środek sieci. Zachwiał się i zrobił kilka kroków w bok, by zapobiec upadkowi. – Nieźle. A teraz odpocznij. Później znów możesz poćwiczyć.

Patrzył, jak chłopak odchodzi na bok, zsuwa ciężką tarczę z ramienia i siada na trawie. Thorn był pewien, że Edvin podejmie wyzwanie. Chciał coś udowodnić – zarówno sobie, jak i pozostałym. Skoro potrzebował takiego bodźca, by pracować nad sprawnością fizyczną, to doskonale. Jak Thorn wcześniej zauważył, od tych umiejętności mogło zależeć jego życie.

W końcu odwrócił się w stronę chłopców, czekających na swoją kolej.

– Ingvar – powiedział. – Teraz ty.

Wśród zebranych przeszedł pomruk. Czekali w napięciu. Do tej pory Ingvar nie próbował swoich sił w tym ćwiczeniu. I nikt się nie spodziewał, że Thorn każe mu je wykonać.

Ingvar podniósł się, spojrział w kierunku Thorny, zawahał się.

– Jesteś pewien?

– Tak, jestem pewien – odparł Thorn z irytacją. – Jak coś mówię, to znaczy, że jestem pewien. Zapraszam.

Ingvar podszedł niepewnie do sieci. Kiedy uniósł nogę i próbował ją przełożyć, palec u lewej nogi zaczął o linę. Ingvar zachwiał się i zamachał rękami, by złapać równowagę. Przy okazji wypuścił maczugę z ręki.

Ktoś zachichotał. Thorn odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł, jak Stefan zakrywa uśmiech dłonią. Thorn zmrużył oczy.

– Naśmiewasz się z kolegi? – zapytał, zwodniczo łagodnym tonem. Stefan od razu spoważniał.

– Nic nie szkodzi – powiedział Ingvar. – Jestem przyzwyczajony.

– Ale ja nie. – Thorn zwrócił się do całej grupy: – Nie należy śmiać się i robić żartów z kolegi, który stara się najlepiej, jak potrafi.

– Właśnie, Stefan, nie bądź dupkiem – wtrącił Ulf, ku powszechnemu zaskoczeniu. Wulf poparł brata:

– Właśnie, Stefan. Zamknij się.

Thorn uniósł brwi, zdumiony. „Oby Wielki Wieloryb uleciał prosto do słońca”, pomyślał.

– Przepraszam – powiedział Stefan. Wcale nie z powodu ostrzegawczego tonu Thorn, lecz dlatego, że Ulf i Wulf po raz pierwszy zgodzili się w jakiejś sprawie. W takiej mianowicie, że Stefan to dupek. Podziało to na niego bardzo otrzeźwiająco.

– Dzięki, chłopaki – powiedział Ingvar.

– Nie ma za co – odparł Wulf.

– Absolutnie – zgodził się Ulf.

Potem Wulf spojrzął na Thorn.

– Możesz zaczynać – powiedział wspaniałomyślnie. Z odpowiednim gestem prawej ręki.

– Och, dziękuję ci bardzo. – Thorn potrząsnął głową.

Chłopcy z trudem zdusili śmiech. Wulf wyszczerzył się od ucha do ucha.

– To było dobre – stwierdził Ulf, pochylając się ku niemu.

Wulf skinął głową, wyraźnie zadowolony z samego siebie.

– Wiem.

– Tak dobre, że aż się dziwię, czemu sam tego nie powiedziałem – ciągnął Ulf.

Wulf, który leżał na trawie, wsparty na łokciu, usiadł wyprostowany i spojrzął na brata.

– Czyżby? Cóż, ja.

– Stop! – Głos Hala był jak smagnięcie batem. Wulf odwrócił się w jego stronę.

– Ale co?

Hal z irytacją potrząsnął głową.

– Cokolwiek zamierzałeś powiedzieć. Już ci się udało wszystkich rozśmieszyć, więc przestań, póki twoje jest na wierzchu.

– Raczej jednak pod spodem – zachichotał Ulf. Hal skierował na niego spojrzenie.

– Ty też przestań – warknął. Ku jego zaskoczeniu, Ulf zrobił skruszoną minę i powiedział pokornie:

– Tak jest, Hala.

Hal odwrócił się z powrotem w stronę Thorn i powtórzył gest Wulfa.

– Możesz zaczynać.

– Na pewno? – zapytał Thorn sarkastycznie. – Może ktoś jeszcze chce coś dodać?

Wszyscy zgadzają się, że mogą zaczynać? – Powiódł spojrzeniem dokoła. Nikt nie odpowiedział.

– Cóż, w takim razie chyba rzeczywiście mogę. Ingvar, gotowy?

– Nie jestem pewien – odparł szczerze Ingvar. Bo rzeczywiście nie czuł się szczególnie gotowy.

– No, dobrze. Widziałeś, jak to robił Edvin, prawda?

– Ymmm... niezbyt wyraźnie. Tak trochę podskakiwał i machał rękami, tak?

Thorn skrył uśmiech.

– Tak, ten opis z powodzeniem może się odnosić do wyczynów każdego z tu obecnych – odparł. Edvin zrobił obrażoną minę, nic jednak nie powiedział. Podejrzywał, że faktycznie był to trafny opis. – Dobrze, zacznijmy bardzo powoli. Gotów?

– Tak myślę.

– Wolałbym, żebyś był pewien.

Chłopak pokiwał głową, oblizując nerwowo wargi.

– Dobrze. Jestem pewien. – Nie zabrzmiało to jednak zbyt przekonująco.

– W takim razie zaczynamy. Jeden w przód... dwa w prawo. Ostrożnie!

To ostatnie krzyknął, ponieważ Ingvar zaczepił o linę palcem lewej nogi i zachwiał się niebezpiecznie. Z trudem odzyskał równowagę i odwrócił się, kierując wzrok w stronę Thorny. Ten odczekał, aż chłopak stanął pewnie na nogach i podjął:

– Dobrze. Teraz dwa do przodu... jeden w lewo... trzy w prawo... jeden. Stig, pomóż mi wstać.

Ingvar bowiem znów zaplątał się w linę i upadł niezgrabnie. Stig skoczył na równe nogi i pomógł koledze się podnieść.

– Dzięki – powiedział Ingvar. Potem spojrzał na Thorny. – Chyba tylko tracimy czas. Nie jestem w tym dobry i tyle.

Thorn z namysłem potarł podbródek. Zauważył, że podczas wykonywania ćwiczenia Ingvar wpatruje się w sieć i własne stopy. To była naturalna reakcja. Innym chłopcom musiał kilkakrotnie przypominać, by tego nie robili, tylko patrzyli prosto przed siebie i wykonywali kroki na wycucie. Podszedł do Ingvara i zapytał:

– Widzisz sieć?

Ingvar wzruszył ramionami z nieszczęśliwą miną.

– Jak przez mgłę.

– Chyba właśnie na tym polega problem. Widzisz ją, ale nie za dobrze i dlatego tracisz równowagę. Napinasz mięśnie, bo czujesz się niepewnie. Zamknij oczy, proszę.

Ingvar posłusznie wypełnił polecenie.

– A teraz oddychaj równo. Wdech, wydech. Wdech, wydech. – Patrzył, jak ramiona chłopca wznoszą się i opadają. – Rozluźnij się. Wyobraź sobie, że widzisz sieć. Zobacz ją oczami wyobraźni.

– Oczami wyobraźni? – skomentował Jesper po cichu. – A co to takiego?

– W twoim przypadku – odparował sucho Hal – to bardzo mały narząd.

Jesper już miał odpowiedzieć, ale uświadomił sobie, że nie potrafi znaleźć trafnej odpowiedzi.

– Widzisz teraz sieć? – spytał Thorn Ingvara.

Ingvar, wciąż nie otwierając oczu, przytaknął.

– Dobrze. W takim razie zacznijmy od początku. Jeden w tył... dwa w lewo... trzy do przodu... dwa w prawo.

Chłopcy patrzyli ze zdumieniem, jak Ingvar wykonuje kolejne polecenia, pewnie, choć ostrożnie. Oczywiście, poruszał się bardzo wolno, lecz precyzyjnie. Nie machał już rękami jak szalony i prawie nie tracił równowagi. Raz, kiedy jego prawa stopa zaplątała się w sieć, Thorn, który przyglądał mu się z wielką uwagą, natychmiast krzyknął, by się zatrzymał.

– Stań prosto! – polecił. Ingvar zrobił tak i przez chwilę oddychał głęboko. Potem wrócili do ćwiczenia.

Hal zauważył, że Ingvar nabiera coraz większej pewności. Potrząsnął głową i mruknął do Stiga:

– Niesamowity, co?

Stig uśmiechnął się szeroko.

– Kto by pomyślał, że mu się uda?

W końcu Thorn kazał Ingvarowi przerwać ćwiczenie i otworzyć oczy. Chłopak stał pośrodku sieci, zarumieniony z zadowolenia.

– Dobra robota. Nawet się nie obejrzyysz, a będziesz tańczył.

Ingvar potrząsnął głową, ale szeroki uśmiech na jego twarzy wyraźnie świadczył o tym,



jaki jest zadowolony.

– Może nie tak od razu. Ale daj mi jakieś cztery-pięć lat, a z pewnością uda mi się osiągnąć tempo przeciętnego spacerowicza.

Wszyscy zaczęli się śmiać, lecz tym razem z sympatią, nie złośliwie.

– Dobra – powiedział Thorn. – A teraz wylaż z tej sieci. Już! – krzyknął nagle, a Ingvar spojrział w dół, gdzie ma postawić stopy. – Patrz przed siebie! Wyobraź sobie, że widzisz sieć!

I ku zdumieniu i podziwowi zebranych, Ingvar, wysoko unosząc głowę i kierując wzrok prosto przed siebie, wyszedł z sieci. Nie potknął się ani razu, a każdy jego krok był precyzyjny.

Zaraz jednak zaczepił stopą o kępę trawy i padł na twarz. Podniósł się niezgrabnie i zaczął się śmiać razem z resztą drużyny. Nic nie mogło zakłócić jego szczęścia z powodu wcześniejszych osiągnięć.

– Tego chyba nie zobaczyłem oczami wyobraźni – stwierdził, wywołując kolejne salwy śmiechu. Thorn skinął głową.

– Musisz dalej ćwiczyć – powiedział. – Ćwicz, ćwicz, ćwicz. Im więcej będziesz ćwiczyć, tym więcej osiągniesz.



Hal obudził się w środku nocy, długo po tym, jak wszyscy udali się na spoczynek. Jakiś dziwny dźwięk docierał do jego podświadomości. Przez kilka minut leżał, nasłuchując. Jakieś dziwne rytmiczne szuranie. Próbował zidentyfikować dźwięk, lecz bezskutecznie. Przyzwyczał się już do szumu morza, wiatru i deszczu. Ten odgłos był nowy.

Wysunął się spod okrycia, chwycił pas z sakwą, wstał i po cichu wyszedł z chaty.

Dźwięk dochodził z miejsca, w którym odbywały się treningi. Rytmiczne szuranie nie ustawało. Nagle uświadomił sobie, że słyszy też jakiś głos. Ktoś mruczał coś do siebie. Słów nie potrafił rozróżnić. Po chwili odprężył się i przewiesił pas przez ramię. Nie działo się nic złego.

To był Ingvar, stał pośrodku sieci, twarzą zwrócony do Hala. W blasku księżyca Hal widział jego zamknięte oczy i skomplikowane serie ruchów. W prawo, w przód, w lewo, w tył, w lewo, w prawo. Jego stopy ślizgały się po mokrej od rosy trawie. Wargi poruszały się, kiedy półgłosem mruczał do siebie.

– Dwa w prawo... trzy do tyłu... jeden w lewo... dwa do przodu...

Hal uśmiechnął się i wrócił do chaty i ciepłego pośłania. Nie zamierzał przeszkadzać Ingvarowi.



## Rozdział 8



Trening odbywał się każdego dnia i wszyscy członkowie drużyny zdobywali coraz większą sprawność, nawet Ingvar, choć pozostawał daleko w tyle za resztą. Po kilku dniach potrafił już przemieszczać się w sieci nawet z otwartymi oczami.

I chociaż nie dorównywał kolegom, poruszał się z dużo większą pewnością niż kiedykolwiek w całym swoim dotychczasowym życiu. Nikt nie określiłby go mianem zwinnego, lecz jego wyczucie równowagi poprawiło się w znacznym stopniu.

Hal pomyślał, że bardzo mu się to przyda, kiedy znów wypłyną w morze i będą musieli utrzymać się na wiecznie rozkołysanym pokładzie „Czapli”. Potrzebował Ingvara do zrealizowania swojego projektu i bardzo się cieszył z postępu, którego dokonał on dzięki ćwiczeniom z siecią.

Po tygodniu Thorn wprowadził nowy element: pozorowane walki na drewnianą broń. Prędko zorientował się, że wszyscy mają braki w technice.

– Nic dziwnego – powiedział do Hala, gdy po pracowitym poranku zasiedli, by przedyskutować postępy drużyny. – W końcu ci, którzy ich uczyli, też nie są ekspertami. Owszem, posiadają pewne kwalifikacje, lecz potrafią nauczyć jedynie podstaw, w bardziej wyrafinowanej technice sami mają braki.

Hal uśmiechnął się.

– Pewnie żaden z nich nigdy nie zdobył tytułu Potężnego.

Thorn przytaknął i wzruszył ramionami.

– Pewnie nie. Ale nie mogę patrzeć, jak chłopcy popełniają błędy. W ten sposób nabierają złych nawyków, których potem trudno im będzie się oduczyć.

– W takim razie pokaż im, co jest nie tak.

Thorn zacisnął wargi, a potem powiedział:

– Na pewno tego chcesz? To ty jesteś skirlem, nie ja. Nie chcę podkopywać twojego autorytetu.

Hal tylko się roześmiał.

– Jestem skirlem i kiedy znów znajdziemy się na morzu, będą musieli mnie słuchać. Ale również jako skirl wyznaczyłem cię na naszego instruktora. Ty masz największe kwalifikacje w tej dziedzinie. Ja niczego nie potrafię ich nauczyć, sam się uczę.

– Cieszę się, że tak mówisz. Wolę wszystko z tobą wcześniej ustalić.

– Jedna rzecz – powiedział Hal, po czym zawahał się. Nie był pewien, jak zacząć.

W końcu uznał, że najlepiej będzie ująć to najprościej, jak się da. – Twój popis w sieci bardzo ich zaskoczył. Zastanawiają się, skąd u ciebie taka sprawność i wiedza.

Jeszcze zanim zdążył dokończyć zdanie, Thorn potrząsnął głową.

– Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli...

– To nie są jacyś ludzie – przerwał mu Hal. – To twoja drużyna. Thornie, potrafisz zrozumieć, że nie chciałeś, by mieszkańcy Hallasholm na twój widok mówili: „Ależ ten Thorn

nisko upadł. A przecież był Potężnym”. Ale chłopcy nie myślą w ten sposób. Oni już bardzo cię szanują. Nie porównują cię z tym, kim byłeś niegdyś. Biorą cię takim, jakim jesteś teraz, i cię podziwiają.

– Szanują i podziwiają? – powtórzył Thorn z niedowierzaniem.

Hal z zapalem skinął głową.

– Oczywiście, że tak. Co więcej, moim zdaniem nabrałoby wiary w siebie, gdyby wiedzieli, że trenują pod okiem prawdziwego eksperta. A wiara w siebie bardzo nam się przyda, jeśli mamy stanąć do walki z załogą „Kruka”.

Thorn z ociąganiem wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Pozwól, że to przemyślę.

– Ja wiem, że mam rację. – Hal uśmiechnął się i dodał: – W końcu jestem skirlem. To teraz powiedz, jak zamierzasz poprawić ich technikę?

– Pokażę ci po południu.

Po obiedzie Thorn zwołał chłopców i kazał im usiąść w półkolu. Przez chwilę przechadzał się w tę i z powrotem, uderzając swym sławetnym kijem o buty i szukając odpowiednich słów.

Wreszcie uznał, że najlepiej będzie po prostu im to zademonstrować. Odchrząknął raz i drugi, nie zwracając uwagi na zaciekawione miny, a potem wskazał kijem Stiga.

– Wstań i przynieś broń ćwiczebną i tarczę. Oraz tarczę dla mnie.

– Tylko tarczę? – upewnił się Stig. – Topora nie?

Thorn potrząsnął głową i machnął kijem w powietrzu.

– To wystarczy. No, pospiesz się.

Kiedy Stig pobiegł po broń, Thorn zwrócił się do czekających chłopców:

– Pracowaliśmy nad zwinnością ruchów i wyczuciem równowagi – zaczął. – Wszyscy poczynili znaczne postępy. Nawet Ingvar. – Uśmiechnął się do olbrzyma. – Tylko że to za mało.

Spojrzał na Stiga, który właśnie wrócił, niosąc oręż. Wziął od niego tarczę, zawiesił ją na prawym ramieniu i poczekał, aż Stig umieści swoją na lewym i ujmie w dłoń drewniany topór. Przełożył kij do lewej ręki i powiedział:

– No, dobrze. Zobaczmy, co potrafisz.

Stanęli naprzeciwko siebie, uginając nogi w postawie bojowej. Stig zmrużył oczy, skupiając całą uwagę na przeciwniku. Mimo splątanej brody, siwych włosów i zaplamionych połatanych ubrań Thorn z bronią w ręku był kimś zupełnie innym niż Thorn-stary lump. Sprawiał wrażenie, jakby nagle odmłodził, poruszał się lekko i pewnie, kiedy tak krążyli wokół siebie. Trzymając tarczę w gotowości, zatoczył kijem niewielkie koło w powietrzu. Prócz Hala tylko Stig znał tajemnicę Thorny. Wiedział, że stoi naprzeciw wyśmienitego wojownika i wcale nie było mu spieszno zadać pierwszy cios. Teraz, patrząc na jego lekkie ruchy, tym bardziej nie miał na to ochoty.

– Uaaaa! – wrzasnął Thorn, wyskakując do przodu z kijem uniesionym do ciosu. Stig cofnął się, zaskoczony. Zaczepił stopą o kępę trawy i zachwiał się, ale w ostatniej chwili zdołał uwolnić stopę.

Chłopcy zaśmieli się, a Stig zarumieniał mocno, bo zdał sobie sprawę, że cios był udawany. Stary wilk morski wyszczerzył się szeroko i wywrócił oczami. Odrzuciwszy wszelkie obiekcje, Stig zaatakował.

Drewnianym toporem walił w tarczę Thorny raz za razem, wkładając w to całą swoją siłę. Ale tarcza zawsze w odpowiednim momencie odpierała każdy cios, nie dopuszczając do tego, by któryś odłączył głowę Thorny od reszty ciała. Chłopcy dzielnie zachęcali walczących okrzykami. Thorn zaczął się cofać, a Stig ruszył za nim, waląc z jeszcze większą siłą i zaangażowaniem.

I nagle, w mgnieniu oka, wszystko się skończyło.

Stig wymierzył ostatni potężny cios. Tym razem, zamiast go zablokować, Thorn przekrzywił nieco tarczę i pozwolił toporowi zsunąć się po niej. Stig, nie napotkawszy żadnego oporu, stracił równowagę i poleciał do przodu, odsłaniając przy tym prawy bok.

A wtedy Thorn walnął go boleśnie kijem po żebrach, z szybkością atakującego węża.

– Auuu! – wrzasnął Stig, odskakując w bok.

Thorn zrobił krok w tył i oznajmił:

– Koniec!

Kiedy Stig, porządnie wkurzony, zebrał się do kolejnego ciosu, Thorn uniósł kij na wysokość twarzy i wymierzył w niego ostrzegawczo.

– Wystarczy, powiedziałem! Koniec – powtórzył, nie spuszczać wzroku z chłopaka. Złość powoli z niego opadła, opuścił tarczę i topór. Niegdyś skończyłoby się to wybuchem niekontrolowanego gniewu, ale dzięki treningom w drużynie Stig nauczył się panować nad sobą. Ostrożnie potarł żebra.

– To bolało – poskarżył się. Thorn skinął głową, otworzył szczypce, w których ścisnął tarczę i zsunął ją z ramienia.

– Bolałoby znacznie bardziej, gdyby to był miecz – powiedział, potrząsając kijem. Stig, zrozumiałszy sens tych słów, uśmiechnął się stropiony.

– Nie myślałem o tym w ten sposób – stwierdził.

– To pomyśl teraz – odparł Thorn, po czym odwrócił się do pozostałych członków drużyny, którzy przyglądali się im w milczeniu. Prędkość ręki Thorny, łatwość, z jaką odparował atak, wprawiła ich w prawdziwą konsternację.

– Wszyscy pomyślcie – dodał, przesuając wzrokiem po ich twarzach, nagle bardzo poważnych. – Wyobraźcie sobie, że zamiast kija użyłem miecza. Teraz zostałoby nam tylko wspominać, jakim wspaniałym kompanem był Stig podczas swego krótkiego i barwnego życia. I wdychać, jak bardzo nam go brakuje. – Zatrzymał się. – Albo i nie.

Te słowa wywołały spore rozbawienie.

– Stig prawdopodobnie najlepiej z was wszystkich włada toporem – podjął. Popatrzył na nich, szukając ewentualnych oznak niezgody, lecz oni tylko lekko pokiwali głowami dla potwierdzenia jego słów. – Ale trening, który przeszedł, był stanowczo niewystarczający.

– Masz na myśli trening drużyn? – zapytał Edvin.

Thorn przytaknął.

– Wasi instruktorzy nauczyli was bardzo podstawowych rzeczy. Kazali wam po prostu z całej siły grzmocić w pieńki treningowe bądź w najbliższego kolegę. Mam rację?

Znów przerwał, a oni znów odpowiedzieli zgodnym kiwaniem głowami.

– Większość Skandian dobrze włada toporem. Poprawnie, powiedzmy. Ale tylko niektórzy mogą wykazać się czymś więcej. A spośród nich tylko nieliczni są prawdziwymi mistrzami. Wasi nauczyciele to raczej przeciętni wojownicy. – Znów urwał, widząc, jak kilku marszczy brwi. – Nie mówię tego z braku szacunku. To fakt. Ich zadaniem jest nauczyć was podstaw. W dodatku mają na to tylko kilka miesięcy, który to czas muszą wykorzystać również na nauczanie wielu innych przedmiotów. Trening drużyn to tylko początek. Nie uczą wszystkiego. To niemożliwe. Nauczyciele po prostu nie mają na to czasu. Kiedy ćwiczyliście walkę z bronią, najczęściej słyszałem polecenia typu: „Uderz mocniej! Włóż w to całą siłę! To ma być cios?”. Tak było?

Kilku zamruczało zgodnie.

– W porządku, to świetna metoda, jeśli chce się zbudować mięśnie i najlepszy środek przeciw bezsenności, bo wieczorem po prostu pada się ze zmęczenia. Nie wystarczy jednak, by

poradzić sobie w prawdziwej walce. Pomyślcie o tym w ten sposób: właśnie się z kimś bijesz.

Unosisz topór i walisz w przeciwnika z całych sił. Jeśli trafisz, rozłupiesz go na pół mniej więcej do tego punktu. – Tu wskazał środek swojej klatki piersiowej. – Przy lżejszym ciosie, tylko dotąd. – I pokazał miejsce między brwiami. Chłopcy znów pokiwali zgodnie głowami, choć z pewną konsternacją. – I co, czy wtedy będzie mniej martwy? – zapytał. Widział, że kilku już załapało, o co chodzi.

– Musicie nauczyć się kontrolować własną siłę. Przy ciosie zachować równowagę. Nie walić za mocno, to niepotrzebne. Widzieliście, z jaką łatwością odparowałem cios Stiga i spowodowałem, że stracił równowagę i wystawił się na cios. Jutro zaczynamy nowe ćwiczenie, dzięki któremu nauczycie się zachowywać równowagę podczas walki.

Chłopcy wymienili spojrzenia. Widział, że do nich dotarł. Teraz zastanawiali się, na czym ten nowy rodzaj treningu będzie polegał.

„Świetnie”, pomyślał. „To znaczy, że udało mi się rozbudzić ich ciekawość”.

– To tyle na dziś. Możecie wrócić do chaty i odpocząć. Czeka was ciężki dzień.



To Jesper zadał pytanie. Hal pomyślał, że mógł się tego spodziewać.

Chłopcy odpoczywali na posłaniach, naprawiali sprzęt i ubrania, ostrzyli broń i rozmawiali półgłosem, kiedy mistrz złodziejskiego fachu wypowiedział na głos to, o czym myślał chyba każdy z nich.

– Skąd Thorn ma taką wiedzę? W końcu pamiętam go od zawsze jako głównego obwiesia Hallasholm. – Kilku innych pokiwało głowami. Jesper zwrócił spojrzenie na Hala. – Dzisiaj wszyscy widzieliśmy, jak rozprawił się ze Stigiem. Wyglądało na to, że nie sprawiło mu to najmniejszej trudności. – Stig podniósł głowę, a Jesper zrobił pojednawczy gest. – Bez obrazy. Wiemy, że jesteś niełatwym przeciwnikiem. A więc jak Thorn tego dokonał? Musicie przyznać, że, jak już wspominałem, wyglądało to tak, jakby nie sprawiło mu najmniejszej trudności, nawet jeśli było inaczej.

Hal i Stig wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wzrok Stiga wyrażał milczące pytanie. Hal skinął głową.

– Czas im powiedzieć. Idź po Thorną i poproś go, by tu przyszedł, dobrze?

Stig podniósł się i wyszedł z chaty. Za jego plecami sypnął się prawdziwy grad pytań. Uśmiechnął się do siebie. Czekala ich prawdziwa niespodzianka.



Thorn odsunął płócienną płachtę i wszedł do środka. Harmider momentalnie ucichł. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego. Stig wśliznął się do chaty i zajął miejsce na swoim posłaniu, szeroko uśmiechnięty.

Thorn powiódł wzrokiem po twarzach, na których malował się wyraz niedowierzania. Zatrzymał spojrzenie na Hala.

– Przypuszczam, że im powiedziałaś?

Hal przytaknął.

– Był już najwyższy czas.

Thorn przez kilka sekund żuł koniuszki wąsów, niepewny, co powiedzieć. Odwrócił się ku drzwiom.

– No tak – stwierdził. – To teraz już wiecie.  
Zorientowawszy się, że zamierza sobie pójść, chłopcy zaprotestowali gwałtownie.  
– Chwileczkę! – To był oczywiście Jesper. – Nie możesz teraz uciec! Opowiedz nam o wszystkim.

– Ale o czym?  
Tym razem odezwał się Stefan.  
– O tym, jak zostałeś Potężnym.  
– Trzy razy! – dodał Edvin.  
– Cóż, to była ciężka praca – odparł Thorn niepewnie. Nigdy nie potrafił mówić o sobie.  
– W jakich konkurencjach brałeś udział? – Hal zauważył, że Thorn potrzebuje pytań pomocniczych. Stary wojownik spojrzął przed siebie, przywołując w pamięci tamte dni.  
– Ee... zapasy. Walki na miecze i topory. Rzucanie włócznią. Wyścigi. Testy wytrzymałości...  
– Jakie na przykład? – zapytał Ingvar, wpatrując się w twarz Thorną.  
– Na przykład musiałem spędzić zimną noc w górach, ubrany w same kalessy.  
– I jak było? – zainteresował się Ulf.  
Thorn uśmiechnął się słabo i odparł szczerze:  
– Zimno. Bardzo zimno. Mało nie odmroziłem tyłka, prawdę mówiąc.  
Chłopcy zaczęli się śmiać. Siedzieli, zapatrzeni w niego, uważnie chłonąc każde słowo.  
Thorn spojrzął na Hala.  
– Chyba nieprędko będę mógł sobie pójść? – zapytał, a Hal powoli pokręcił głową.  
Thorn westchnął i usiadł po turecku na ziemi. Dziwne, choć przez tyle lat próbował pogrzebać własną przeszłość, teraz sprawiało mu przyjemność opowiadanie o niej tym chłopcom, wpatrzonym w niego okrągłymi oczami, pełnymi nieskrywanego podziwu.  
– W takim razie przynajmniej usiądę – stwierdził, po czym machnął ręką na zachętę. – Dobra, dawajcie.  
– Ludzie bardzo się zdziwili, kiedy wygrałeś po raz drugi i trzeci? – spytał Stefan.  
Thorn spojrzął na niego z szerokim uśmiechem.  
– Cóż, ja na pewno się zdziwiłem.  
Chłopcy znów się zaśmiali. Thorn rozsiadł się wygodniej. Czuł się coraz lepiej.  
– Kto był twoim najtrudniejszym przeciwnikiem? – spytał Stig.  
Nad tym Thorn nie musiał się zastanawiać.  
– Ojciec Hala.  
Wszyscy zwrócili spojrzenia na skirla, który zarumienił się z zadowolenia. Potem Thorn dodał:  
– Twój tata też był niezły, Stigu. Kiedy startowałem drugi raz, dotarł do półfinałów.  
– Mój tata? – powtórzył Stig, zaskoczony.  
– Był bardzo sprawny. Świetnie radził sobie z toporem. Odziedziczyłeś po nim talent.  
Stig spuścił głowę, by ukryć łzy, które nagle napłynęły mu do oczu. Nie przypominał sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek powiedział coś pozytywnego na temat jego ojca, który ukradł łupy wojenne swych towarzyszy i zwiął z Hallasholm. Ku wielkiej uldze Stiga, Jesper znów zadał pytanie i wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego.  
– Ile walk musiałeś stoczyć?  
Thorn wziął głęboki oddech i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.  
I tak to trwało przez prawie czterdzieści minut. Chłopcy z wielkim zapałem zadawali pytania, Thorn odpowiadał – początkowo z wahaniem, ale stopniowo coraz swobodniej, kiedy zorientował się, że żaden z jego młodych towarzyszy nie szuka pretekstu, by go skrytykować czy

umniejszyć jego zasługi. Wręcz przeciwnie. Cieszyli się, że mają kogoś takiego w drużynie, że ktoś taki jest ich nauczycielem. Czuli dumę, że są jego uczniami. Pomyślał, że Hal miał rację – dzięki temu, że dowiedzieli się o jego osiągnięciach, zapewne chętniej będą przykładać się do ciężkiej pracy i rozwoju własnych umiejętności.

Najlepsze, że nie porównywali go, takiego, jakim był teraz, z nim z czasów, kiedy był Potężnym. Byli za młodzi. Pamiętali tylko żalosego obszarpańca i patrzyli na niego z nieskrywanym podziwem.

Kiedy Hal zarządził koniec posiedzenia, zauważając, że ich Potężny zaplanował dla nich wiele atrakcji na kolejny dzień, Thorn poczuł się, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar – ciężar, który przygniatał go od wielu lat. Zbyt wielu. Teraz wiedział, że ci chłopcy szanują go, podziwiają i po raz pierwszy od bardzo dawna czuł, że ma powód do dumy z samego siebie.

Skinął głową na pożegnanie i wstał. Kiedy skierował się do wyjścia, zapadła cisza. Przerwał ją Jesper.

– Dzięki, Thornie – powiedział po prostu, a reszta mu zawtórowała.

Thorn wyszedł w ciemność i spojrział w mroźne niebo, usiane gwiazdami. Wciągnął powietrze w płuca. Od dawna nie czuł się tak wyśmieniecie.

– I kto by pomyślał? – powiedział cicho do siebie. – Kto by pomyślał?



## Rozdział 9



Atak! Paruj! Atak! Odbij! Wstawaj, Ulf!

– Jestem Wulf – odparł bliźniak, którego twarz przybrała kolor purpury.

– Nieważne – rzucił Thorn. – Nie wal za mocno. Kontroluj siłę! Utrzymuj równowagę! Ty też, Wulf! – dodał, bo w tym momencie drugi z braci również padł na ziemię.

– Jestem Ulf! – zaprotestował, gramoląc się na równe nogi i rozcierając obolały tyłek.

– Powiedz to komuś, kogo to interesuje. – Thorn spojrział w kierunku, skąd dobiegł jego uszu kolejny okrzyk bólu, i zobaczył, jak Stefan traci grunt pod nogami. – Mówiłem! – wrzasnął, mając na myśli całą grupę. – Nie walcie za mocno, bo wtedy jedynie tracicie równowagę.

Zacznijcie spokojnie, stopniowo zwiększajcie siłę ciosów. Powoli!

Ośmiu członków drużyny zawzięcie próbowało opanować nowe ćwiczenie pod okiem mistrza Thorna. W czasie, gdy jak zwykle o poranku biegali wzdłuż plaży, Thorn ustawił osiem

niskich drewnianych konstrukcji. Każdą z nich tworzył gruby konar, wsparty z obu stron na rozdwojonych drągach na wysokości jakichś dwudziestu centymetrów nad ziemią. Drągi wysmarował tłuszczem, tak by konar z łatwością się na nich obracał. W rezultacie powstała bardzo niestabilna równoważnia. Każdy z chłopców miał za zadanie ćwiczyć na niej podstawowe ciosy toporem, jednocześnie starając się zachować równowagę.

Jak Ulf, Wulf i Stefan zdążyli się przekonać, przy zbyt mocnym ciosie konar zaczynał obracać się na widełkach, a oni lądowali na ziemi.

Thorn zdecydował, że Ingvar będzie ćwiczyć samo utrzymywanie równowagi, bez broni.

– Twoja maczuga jest tak ciężka, że będziesz spadał za każdym razem – stwierdził.

Teraz Ingvar, wystawiając koniuszek języka, chwiał się niepewnie na swojej grzędzie, szeroko wyciągając ramiona na boki i machając nimi w powietrzu.

– Rozluźnij się – rzucił do niego Thorn, przechodząc obok. – Jeśli będziesz się spinał, spadniesz. Rozluźnij mięśnie i wykonuj bardzo małe ruchy.

W tym momencie Ingvar zachwiał się, konar zaczął się obracać i chłopak zleciał na ziemię. Ale przynajmniej nie padł jak długi.

– Mniejsze – skomentował Thorn. Ingvar potrząsnął głową i wdrapał się z powrotem na równoważnię, znów machając ramionami. Rozluźnił spięte mięśnie. Nagle poczuł, że stoi całkiem pewnie i posłał Thornowi promienny uśmiech.

– Znacznie lepiej – stwierdził, po czym poleciał do przodu i walnął o ziemię z wielkim hukiem. Thorn skrzywił się. Nie czekając, aż Ingvar się pozbiera, poszedł dalej.

Chłopcy z różnym rezultatem radzili sobie z nowym ćwiczeniem. Hal i Stig stosunkowo szybko opanowali technikę. Jeśli nawet spadali, potrafili zapanować nad ruchami i lądowali na stopach. Jesper także nieźle sobie radził. Thorn przyglądał mu się z lekko ściągniętymi brwiami. Jesper lubił się wymądrzać i był leniwy – szkoda, bo naprawdę miał cechy urodzonego atlety.

Bliźniakom jak zwykle przeszkadzało porywcze usposobienie. Po każdym upadku podnosili się, pełni gniewu, i wracali na równoważnię, tak zdenerwowani, że wykonywali zbyt gwałtowne ruchy i po kilku sekundach znów tracili równowagę i spadali. Wyglądało to tak, jakby sądzili, że szybki powrót na równoważnię wymaże wcześniejszy upadek. Rozsądniej byłoby odczekać kilka sekund, dać sobie czas na oddech i zachować większy spokój oraz ostrożność.

W końcu zorientowali się, że nie powinni łąpać równowagi za wszelką cenę, gdyż przy nagłych ruchach konar obracał się gwałtownie, co kończyło się bolesnym upadkiem. Teraz, w chwili kiedy czuli, że tracą równowagę, starali się pogodzić z nieuniknionym i po prostu zeskoczyć na ziemię. Potem, prychnąwszy z irytacją, zaczynali od nowa – zwykle obrzucając się nawzajem obelgami.

– Powoli – upomniał Thorn po raz kolejny. Nie miał jednak złudzeń, że w ogóle go słuchają. Wzruszył ramionami. W końcu sami nauczą się, jak kontrolować ruchy.

Po paru minutach zarządził przerwę. Chłopcy ostrożnie zeszli, a w kilku przypadkach spadli z równoważni i zasiedli na trawie. Niektórzy zaczęli rozcierać napięte łydki, obolałe kostki i pięty. Ćwiczenie bardzo obciążało mięśnie i stawy.

Thorn wyszczerzył się szeroko i stwierdził:

– Ciężko, co? – Wszyscy zgodnie pokiwali głowami. – Niedługo nabierzecie wprawy.

– I co wtedy? – zapytał Edvin. On i Stefan radzili sobie całkiem nieźle. Nie wyróżniali się jakoś szczególnie, ale nie byli też najgorsi. Jak zwykle, zresztą. Byli przeciętni. Thorn obiecał sobie jednak, że to zmieni.

Spojrzał na Edvina.

– Kiedy już będziecie potrafili utrzymać się na równoważni przez kilka minut, zaczniemy walki w parach.



– Na tych wspaniałych kurzych grzędach? – zapytał Edvin z niedowierzaniem. A kiedy Thorn przytaknął, potrząsnął głową. – Nigdy nam się nie uda.

– Możesz zaskoczyć samego siebie – odparł Thorn. – Dobrze, skoro już robimy małą przerwę, może czas coś przekąsić?

– Ulf i Wulf – powiedział Hal – możecie pomóc Edwinowi. Ulf, ty rozpal ogień. Wulf, przynieś wody i zbierz trochę warzyw. Edvinie, coś jeszcze?

Edvin potrząsnął głową.

– To powinno wystarczyć. Zostało nam jeszcze co nieco sarniny, a wczoraj wieczorem upiekłem chleb.

Słuchając tej wymiany zdań, Thorn pomyślał, że po zakończonym treningu Hal niezwykle szybko wrócił do roli przywódcy. Kiedy ćwiczyli, bezdyskusyjnie rządził Thorn. Zauważył, że chłopcy słuchają go teraz chętniej i uważniej, na pewno dzięki rozmowie, którą odbyli poprzedniego wieczoru. Ale kiedy trening dobiegał końca i wracali do zwykłej obozowej rutyny, Hal momentalnie przejmował dowodzenie, chyba nawet się nad tym nie zastanawiając. Nie pierwszy raz Thorn stwierdził, że jest on urodzonym przywódcą.

Teraz Hal, który przez cały czas leżał na trawie i rozcierał obolałe łydki, podniósł się i ruszył w stronę Thorn, lekko utykając z powodu napiętych mięśni.

– Jakie masz plany na popołudnie? – zapytał. Thorn skinął głową w stronę sieci.

– Kolejna sesja – odparł. – Po treningu na równoważni to będzie bułka z masłem.

– Możesz zwolnić Ingvara i mnie?

– Czemu nie? Jak poczujesz, że zostajesz w tyle, zawsze możesz dołączyć do niego podczas nocnych sesji.

Hal uniósł brwi.

– A, więc też go widziałeś?

Thorn spojrział na Ingvara, który rozprawiał wesoło ze Stigiem i Stefanem.

– Strasznie mu zależy, by być pełnowartościowym członkiem drużyny.

Hal powiódł spojrzeniem w tym samym kierunku.

– I będzie. Kiedy pokażemy ci rezultaty naszej pracy, zobaczysz, co mam na myśli.

Ingvar okaże się niezastąpiony.

– Świetnie. Każdy powinien czuć, że robi coś dla wspólnego dobra. Ktoś taki jak Ingvar z łatwością może stać się celem żartów. To kiedy zobaczymy tę twoją tajemniczą maszynę?

Po chwili zastanowienia Hal odparł:

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dziś po południu. Musimy wykończyć jeszcze kilka rzeczy.

– Nie przegapiłeś żadnego szczegółu? – spytał Thorn, z trudem opanowując uśmiech.

Hal westchnął.

– Chciałbym, żebyście wreszcie dali sobie spokój, ty i Stig.

Thorn zrobił poważną minę.

– Mamy przestać o tym wspominać?

Hal spojrział na niego twardo.

– O niczym innym nie marzę!

Thorn w końcu spuścił uśmiech ze smyczy.

– Tylko że to niemożliwe – stwierdził radośnie.

– Tak właśnie myślałem.



Po czterdziestominutowym treningu z siecią Thorn zarządził przerwę. Chłopcy powlekli się do chaty, marząc tylko o tym, by wyciągnąć się na posłaniach i odpocząć. Thorn usiadł na pieńku przy ognisku i zaparzył kawę. Zapasy były bardzo ograniczone, z kolejną porcją poczekał więc, aż chłopcy sobie pójdą.

– Nie ma co marnować dla nich cennych ziaren – mruknął, chowając woreczek z kawą w tajnym miejscu. Edvin nie wiedział, że dla Thorna już nie jest ono tajne.

Był zadowolony z postępów, które czynili chłopcy. Za kilka dni zamierzał przejść do bardziej wyrafinowanych ćwiczeń z bronią. Podobało mu się również, że zmieniła się atmosfera w obozie. Pomyślał, że ciężka praca i bolące mięśnie to najlepszy środek przeciw nudzie. Jednocześnie jednak wiedział, że wraz z Halem będzie musiał wprowadzać kolejne urozmaicenia i tworzyć nowe wyzwania.

– Kiedy pogoda się poprawi, będziemy mogli wypłynąć – uznał. – Trochę wiosłowania i ćwiczeń z żaglami powinno zdziałać cuda.

Choć przez ostatnie dni od czasu do czasu wiatr się uspokajał, cisza nigdy nie trwała długo. Nadal istniało ryzyko, że złapie ich sztorm, kiedy wypłyną na morze. Zawsze jednak mogli poćwiczyć wiosłowanie na spokojnych wodach zatoki. Tylko że nie miało to większego sensu. Trenowali wiosłowanie od wczesnego dzieciństwa, ich technice nie można było nic zarzucić. Pływanie po zatoce w tę i z powrotem raczej szybko by się wszystkim znudziło.

Kiedy tak rozmyślał, nagle do jego świadomości dotarł jakiś słaby dźwięk. Ludzki głos? Nie, nawet dwa głosy.

Podniósł się i skierował wzrok w stronę plaży. No tak, to Hal i Ingvar wracali do obozu. Widział w oddali jasne owale ich twarzy. Przytknęli złożone dłonie do ust i po kilku sekundach wiatr przywiał kolejny słaby dźwięk.

– Thooorn!

– W samą porę – mruknął i pomachał do nich na znak, że usłyszał wołanie. Potem wyrzucił fusy po kawie do ogniska. Kiedy stawał kubek na ziemi, przyszło mu do głowy, że Edvin może odnaleźć ślady jego zbrodni w czajniku. Zacerpnął więc wody ze stojącego obok wiadra, zakręcił czajnikiem, by pozbyć się zapachu i wylał wodę.

Potem wszedł do chaty, w której odpoczywali chłopcy – jedni rozmawiali stłumionymi głosami, drudzy drzemali, a jeszcze inni naprawiali sprzęt i ubrania. Ci, którzy nie spali, podnieśli wzrok. Thorn wskazał kciukiem za siebie i powiedział:

– Jeśli was to interesuje, nasi wielcy wynalazcy są gotowi pokazać swe ostatnie dzieło.

Zdecydowanie ich to interesowało. Od kiedy poznali zalety rewolucyjnego żagla pomysłu Hala, z wielkim szacunkiem odnosili się do jego talentu. Thorn i Stig, którzy byli świadkami, jak parę projektów ich skirla skończyło się katastrofą, mieli nieco bardziej sceptyczne podejście do sprawy.

Ale teraz, gdy chłopcy z entuzjazmem wybiegli z chaty i ruszyli na plażę, Thorn również poczuł dreszcz niecierpliwości. Przeważnie wynalazki Hala działały, i to całkiem nieźle. Nawet nie zauważył, kiedy przyspieszył kroku, by dogonić chłopców.

Cokolwiek Hal miał im do pokazania, Thorn nie chciał zobaczyć tego jako ostatni.



## Rozdział 10



To kusza – stwierdził Stig, potrząsając głową z zadziwieniem.

– Największa, jaką widziałem – dodał Edvin.

Ogromna kusza spoczywała na drewnianym wózku. Miała półtora metra długości, a łożo mierzyło około metra. Zostało zrobione z kilku warstw drewna, sprasowanych, sklejonych i związanych ścięgami sarny. Thorn pokiwał głową. Przez ostatni tydzień Hal dostarczył im spore zapasy sarniny na obiad i jak widać niczego nie zmarnował. Z wygotowanych kopyt na pewno zrobił klej – Thorn przypominał sobie ten straszliwy smród, walący z chaty kilka dni wcześniej.

Hal wskazał na łożo i powiedział:

– Użyłem różnych rodzajów drewna. Giętką biel podkorową po stronie zewnętrznej, a od wewnątrz twardziela, ze względu na sztywność i wytrzymałość.

– Jak się z tego strzela? – spytał Ulf. – Przecież nie zdołasz jej podnieść.

– Nie, będzie zawsze stać na wózku. – Hal wskazał na drewniany mechanizm zapadkowy z jednej strony.

– Mogę poruszać nią za pomocą tego – wyjaśnił i obrócił zapadkę, skutkiem czego kusza skierowała się do góry.

– Genialne. – Stig uśmiechnął się z uznaniem do przyjaciela. – Sprawdzałeś ją? Naprawdę strzela?

Hal popatrzył na niego z chłodnym uśmiechem. Spodziewał się nieuniknionego pytania o szczegóły i podejrzewał, że to może być dopiero wstęp.

– Owszem, strzela. Sprawdziliśmy dziś rano. Potrafi wyrzucić jeden z tych pocisków na odległość prawie czterystu metrów.

Uniósł ciężki drewniany pocisk półmetrowej długości. Jego czubek został zaostroszony, utwardzony w ogniu i wzmocniony czterema żelaznymi paskami. Na samym końcu drzewca nasadzono trzy trójkątne drewniane brzechwy, niczym pióra strzały.

– Choć dla celów praktycznych powiedzmy, że zasięg wynosi trzysta metrów. Kiedy wy słodko drzemaliście, my wyskalowaliśmy celownik – dodał.

Stefan podszedł bliżej, by przyjrzeć się dokładnie potężnej broni.

– Niesamowita – stwierdził. Chwycił ciężki sznur ze splecionych witek brzoźowych. Spróbował go odciągnąć, lecz bez skutku. Zdołał przesunąć go zaledwie o kilka centymetrów.

– Pytanie, jak ją będziesz ładować? – powiedział z irytacją.

– Nie ja – odparł Hal. – I wątpię, by potrafił dokonać tego ktokolwiek z nas. Prócz Ingvara.

Ruchem ręki dał mu znak, by dokonał prezentacji. Olbrzym wystąpił naprzód, uśmiechnięty i mile połączony, że znalazł się w centrum zainteresowania. Z obu stron kuszy znajdowały się lewary, nachylone do przodu. Ich wygięte końce sięgały miejsca, gdzie został przyczepiony sznur. Lewary były połączone prętem, przechodzącym pod łożem kuszy.

Ingvar odciągnął lewary do tyłu. Ciężka zaczęła o nie i zaczęła się napinać.

– Zatrzymaj się na chwilę – polecił Hal i Ingvar ustawił lewary w poprzedniej pozycji. Hal spojrzął na Stiga.

– Może spróbujesz?

Stig wzruszył ramionami i podszedł do kuszy.

– Skoro sobie życzysz – odparł z uśmiechem. Ingvar odsunął się, robiąc mu miejsce. Stig chwycił lewary i zaczął je odciągać.

Zatrzymał się.

Uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy uświadomił sobie, że odciągnął ciężką zaledwie do połowy i dalej nie da rady. Spróbował jeszcze raz, wyęzając wszystkie siły. Ciężka przesunęła się o centymetr. Stig potrząsnął głową, ustawił lewary w pierwotnej pozycji i wyciągnął ramię w stronę Ingvara.

– Pokaż, jak to należy zrobić – powiedział. Domyślał się, że Hal nie chciał go ośmieszyć, tylko udowodnić, że w tym przypadku Ingvar jest niezastąpiony. Ingvar znów podszedł do kuszy, chwycił lewary i odwiódł je jednym płynnym ruchem, aż ciężka naprężyła się i zaczęła o zamek. Potem umieścił lewary w ich pierwotnej pozycji.

Wśród zebranych przeszedł pomruk uznania. Stig przewyższał siłą wszystkich członków załogi Czaplí – za wyjątkiem Ingvara. Wiedzieli, że skoro on nie zdołał naciągnąć ciężki, żaden z nich również by tego nie dokonał. Hal uchwycił spojrzenie Stiga i skinął głową. Wcześniejsze przypuszczenia Stiga potwierdziły się.

– Chciałem tylko – zaczął – pokazać wam, że bez Ingvara ta kusza byłaby na nic. Kiedy ja będę strzelał, on będzie naciągał ciężką.

Thorn podszedł bliżej. Pomyślał, że maszyna niewątpliwie sprawia groźne wrażenie. A skoro naciągnięcie ciężki wiązało się z tak wielkim wysiłkiem, znaczyło to, że broń wyrzuca pociski z wielką prędkością i mocą. Thorn nie potrafił sobie jednak wyobrazić, jaką funkcję miałby pełnić tak ciężki sprzęt podczas starcia z przeciwnikiem.

– Jak zamierzasz ją wykorzystać?

Dumny uśmiech na twarzy Hala zrobił się jeszcze szerszy.

– Zamierzam ustawić ją na dziobie „Czaplí”, na platformie obrotowej. Kiedy dogonimy „Kruka”, możemy zatrzymać się w odległości jakichś stu metrów i trochę podziurawić im kadłub. Raczej nie będą zachwyceni, kiedy potraktujemy ich tymi ślicznymi – wyjaśnił, unosząc jeden z ciężkich pocisków. Wszyscy wpatrywali się weń, wyobrażając sobie, jak trafia w kadłub statku – czyli raczej lekką konstrukcję.

Słowa Hala spotkały się z chóralną aprobatą i entuzjazmem. To był rzeczywiście nowatorski pomysł – choć innych po swoim skirlu się nie spodziewali. Nawet Thorn był pod wrażeniem.

– Zamierzasz uzbroić okręt – stwierdził. Skandianie nigdy czegoś takiego nie próbowali. Zawsze używali okrętów jako środka transportu, nie wykorzystywali ich w walce.

– Właśnie. Łódź będzie naszą bronią. Jeśli podpłyniemy za blisko „Kruka”, piraci potraktują nas taranem. Dzięki tej maszynie możemy załatwić ich, zanim się do nich zbliżymy. – Spojrzał na Stiga. – Będziesz musiał przejąć ster.

Stig wyszczerzył się od ucha do ucha i skinął głową.

– Z przyjemnością.

Hal przeniósł spojrzenie na pozostałych.

– Stefan, Jesper, wy będziecie odpowiedzialni za wciąganie i opuszczanie żagli. W razie potrzeby Ingvar wam pomoże. Nie będziemy strzelać podczas robienia zwrotów. Ulf i Wulf, wy odpowiadacie za trzymowanie żagli i za szoty. Edwin, ty masz trzymać się blisko Stiga i przekazywać moje rozkazy. Kiedy wreszcie uda nam się wypłynąć w morze, będziemy ćwiczyć, by wszystkie czynności przebiegały płynnie. Sterowanie, żagle, strzelanie – to wszystko musi być skoordynowane, inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Skierował wzrok na bliźniaków.

– A to znaczy, że wy dwaj musicie współpracować. Żadnych sprzeczek – powiedział stanowczo. – Od tego może zależeć nasze życie. Jeśli nie zdołacie się powstrzymać, każę Ingvarowi wywalić was za burtę.

– A ja obiecuję, że to zrobię – potwierdził Ingvar z powagą. Chłopcy przypuszczali, że zrobiłby wszystko, o co Hal go poprosi. A po niedawnej demonstracji jego możliwości żaden z nich nie wątpił, że bez trudu wypełniłby takie polecenie.

Ulf i Wulf wymienili spojrzenia.

– Nie zawiedziemy cię, Halu. Masz moje słowo – oznajmił Ulf.

– Moje także – dodał Wulf. – I wcale nie z powodu tej groźby, choć oczywiście zdajemy sobie sprawę, że Ingvar mógłby ją spełnić.

– Tak, wiemy, że z pewnością by to zrobił – zgodził się Ulf. – Ale wiemy też, że masz rację. Nasze życie zależy od sprawnego działania i skutecznej współpracy.

Hal powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, po kolei spoglądając im głęboko w oczy. Widział, że jego słowa do nich trafiły. W ich spojrzeniach pojawił się jakiś nowy rodzaj determinacji.

– Dobrze – powiedział. – Cieszę się, że to słyszę. – Kiedy Ulf podniósł rękę, zapytał: – Tak, Ulfie, o co chodzi?

– Jestem Wulf – odparł bliźniak, marszcząc brwi.

Hal rozłożył ręce gestem pod tytułem „A skąd ja mam to wiedzieć?”.

– Skoro tak twierdzisz. A więc o co chodzi?

– Czy musimy zaprzestać kłótni również w czasie, kiedy nie walczymy z „Krukiem”? Tak na co dzień, na przykład teraz. Czy teraz nie możemy się kłócić?

– Teraz się nie kłócimy – zauważył jego brat.

– Wiem! Ale możemy zacząć w każdej chwili! – odparł Wulf.

– Może, ale... – zaczął Ulf, lecz Hal przerwał mu pospiesznie.

– Byłoby miło, gdybyście się nie kłócili – stwierdził. – Ale przypuszczam, że żądam zbyt wiele.

– Chyba tak – powiedział Ulf, którego zresztą Hal wziął za Wulfa. – Tak trochę... się przyzwyczailiśmy. Chyba.

– Bez tego byłoby jakoś dziwnie – zgodził się Wulf.

Hal ciężko westchnął.

– W takim razie na co dzień jesteście zwolnieni z obietnicy. Bardzo mi przykro – dodał, rzucając przeproszające spojrzenie pozostałym członkom drużyny.

– Muszę powiedzieć, że poczułem ulgę – stwierdził Stig. – Już nic nie byłoby takie samo,

gdyby przestali sobie dogadywać.

– Pewnie nie – zgodził się Edvin – ale może byłaby to całkiem miła odmiana. – Powiedział to udawanie znużonym tonem, z wyraźną nutą ironii. Pozostali zaśmiali się cicho.

Hal powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Były poważne. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że niedługo stawią czoło bardzo groźnemu przeciwnikowi, że przyjdzie im walczyć o życie. Ale strachu na ich twarzach nie dostrzegł, jedynie spokojną pewność siebie i zaufanie do towarzyszy.

Thorn zakaszłał znacząco i wszyscy zwrócili spojrzenia w jego stronę.

– Wszystko pięknie, ładnie – powiedział – ale nic to nie pomoże, jeśli ten monsturalny zadymiarz odmówi nam posłuszeństwa. – Tu wskazał kciukiem na ogromną kuszę, która przycupnęła na wózku niczym wielkie drapieżne ptaszysko. – Może zademonstrujesz jej możliwości?

Hal skinął głową. Stał za maszyną, przykucnął, prędko rzucił okiem i spojrzał na Ingvara.

– Po ostatnim strzale trochę się przesunęła – stwierdził. – Możesz przynieść lewarek?

Miał na myśli długi kij, leżący kilka metrów dalej. Ingvar okrążył maszynę i podniósł go. Kij miał średnicę około trzech centymetrów i długość dwóch metrów, lecz Ingvar trzymał go tak, jakby to była gałązka żarnowca. Chłopak podszedł do kuszy, a Hal znowu zmierzył ją spojrzeniem ze swego miejsca.

– Przesuń trochę w lewo – polecił.

Ingvar wsadził kij w piasek, po prawej stronie wózka, po czym zaczął powoli go dociskać, by przesunąć maszynę w lewo.

– Jeszcze trochę – powiedział Hal.

Ingvar zaczął stukać w koniec kija spodem prawej ręki. Były to krótkie mocne uderzenia, za każdym razem kusza przesunęła się o kilka centymetrów. W końcu Hal uniósł ramię.

– Wystarczy – powiedział, po czym odwrócił się do pozostałych. – Kiedy kusza stanie na platformie obrotowej, znacznie łatwiej będzie ją przesunąć. Na razie musi nam wystarczyć siła mięśni Ingvara. – Uśmiechnął się do potężnego chłopaka, ten zaś wyszczerzył się w odpowiedzi.

„Ingvar cieszy się, że ma cel w życiu”, pomyślał Thorn. Nagle ze zdumieniem uniósł brwi, bo uderzyła go jeszcze jedna myśl. „Tak samo jak ja”. Hal mówił dalej i stary wilk morski postanowił skupić uwagę na jego słowach.

– ...dziś rano ustawiliśmy celownik, mierząc do tych tarcz na plaży. Zmierzyliśmy odległość i ustawiliśmy je co pięćdziesiąt kroków. Najbliższa znajduje się sto kroków od nas.

Kiedy chłopcy zwrócili spojrzenia we wskazanym kierunku zobaczyli rząd drewnianych tarcz na słupkach wbitych w piach. Thorn przyjrzał się najbliższej tarczy. Była kwadratowa, zrobiona z grubych kawałków gałęzi, przybitych do drewnianej ramy. Bok kwadratu mógł mieć około metra długości.

– Zakładam, że te tarcze stawiają podobny opór jak burta statku – podjął Hal.

Znow zajął pozycję z tyłu maszyny i skierował wzrok na pierwszą z tarcz. Następnie przesunął drewniany element z boku kuszy, na którym widniała zaznaczona skala. Wskazał na pierwszą z kresek i odwrócił się do towarzyszy, którzy w skupieniu i z dużym zainteresowaniem obserwowali każdy jego ruch.

– Ta kreska wskazuje odległość stu metrów – powiedział. – Kiedy ustawię ją w jednej linii z muszką, cel będzie namierzony.

Chłopcy pochylili się do przodu. Zobaczyli drewniany kołeczek umieszczony w przedniej części kuszy, zwieńczony małą białą kulką.

– To przypomina celownik przy twojej kuszy – stwierdził Stig, rozpoznając mechanizm.

– Zgadza się. Założyłem, że jeśli tam zadziałał, to zadziała i tu. I miałem rację.

Przykucnął i jeszcze raz popatrzył na obrany cel. Muszka znajdowała się na linii celu, ale nieco poniżej szczerbinki, którą ustawił wcześniej na odpowiednią odległość. Sięgnął do drewnianego kółka zębatego, na które chłopcy już wcześniej zwrócili uwagę, i zaczął obracać nim powoli. Przednia część kuszy uniosła się. Hal przerwał, sprawdził jeszcze raz i skinął głową.

Wziął do ręki ciężki pocisk, leżący na ziemi u jego stóp i wsunął go w wąską szczelinę, pilnując, by cięciwa weszła w karb na końcu pocisku.

– Uważajcie – ostrzegł kolegów i pociągnął za spust, zwalniając w ten sposób zamek przytrzymujący cięciwę. Ułamek sekundy później rozległ się straszliwy huk. Kusza podskoczyła, szarpnięta siłą odrzutu, i pocisk łagodnym łukiem poleciał do celu.

Chłopcy, ogłuszeni, śledzili wzrokiem jego lot. Sekundę później tarcza zatrzęsała się od gwałtownego uderzenia. W powietrze poleciała chmura drewnianych odłamków. Usłyszeli trzask pękającego drewna. Słupek, do którego była przybita tarcza, przechylił się na bok. Tarcza trzymała się na nim tylko jednym rogiem, kołysząc się w tył i w przód.

– Nic dziwnego, że kusza przesuwana się przy strzale – mruknął Stig.

Hal nie odpowiedział.

– Ingvar! – krzyknął i potężny chłopak wystąpił naprzód, chwycił lewary i ponownie naciągnął cięciwę. Hal umieścił kolejny pocisk w szczelinie i przykucnął, wpatrzony w celownik. Ingvar zdążył już ująć w rękę kij i zaczął przesuwac maszynę zgodnie z instrukcjami Hala.

– W prawo! – polecił Hal i Ingvar posłusznie obrócił kuszę, by naprowadzić ją na kolejny cel. Hal powtarzał melodyjnie: – Prawo... prawo... prawo... Teraz spokojnie... I jeszcze trochę. I jeszcze. I jeszcze. Stop! – zarządził, jednocześnie wyrzucając ramię do góry. Ingvar odłożył podnośnik i stanął obok Hala, który zaczął obracać kółkiem. Przednia część kuszy podniosła się powoli. Hal spojrzął przez celownik, obrócił jeszcze trochę.

– Uwaga! – krzyknął i odciągnął spust.

I znów rozległ się ogłuszający huk, kiedy drewno uderzyło o drewno, kusza znów podskoczyła. Tym razem chłopcy mogli lepiej zaobserwować lot pocisku – odległość była większa, łuk wyraźniejszy.

Druga tarcza zakołysała się gwałtownie, rozległ się trzask drewna, odlupane kawałki poleciały w powietrze. Tym razem jednak pocisk trafił dokładnie w sam środek i tarczę dosłownie zmiotło ze słupka.

Na ten widok członkowie drużyny zaczęli radośnie wiwatować. „Trochę bezmyślnej demolki i chłopaki zaraz się cieszą”, pomyślał Thorn, uśmiechając się pod nosem. Czuł jednak, że podziela ich radość. Hal stworzył przerażającą broń. Jeśli uda im się dopaść „Kruka”, piratów czeka nie lada niespodzianka.

Hal uśmiechnął się, szczęśliwy, że pokaz się powiódł. Stig wystąpił do przodu i klepnął go w ramię.

– Znów ci się udało! – stwierdził. – Ta maszyna jest niesamowita. I nie przegapiłeś żadnych drobnych szczegółów. – Ostatnim słowem towarzyszył szeroki uśmiech i kolejne klepięcie w ramię. Hal przyjął to wszystko ze stoickim spokojem.

Stig przesunął ręką po gładkim drewnie kuszy, podziwiając pracę Hala. Nie było tam żadnych zbędnych ozdobników, po prostu świetnie wykonany mechanizm.

– Nie mogę się doczekać widoku twarzy Zavaca, kiedy zaczniesz dziurawić jego okręt!

– I jego załogę! – dodał Wulf z entuzjazmem, wyobrażając sobie panikę, jaka zapanuje wśród piratów.

– Wyskocz za burtę! – zawtórował mu Ulf i wszyscy zaśmiali się, a potem podeszli bliżej, by podziwiać kuszę.

– Powinniśmy ją jakoś nazwać – zaproponował Jesper. Chłopcy zamruczeli zgodnie i nastąpiła cisza. Każdy myślał intensywnie.

– Gruba Gaba! – rzucił spontanicznie Ulf.  
Wulf prychnął z pogardą.

– Chcesz ją nazwać imieniem dziewczyny?  
Ulf zaczerwienił się. Czasami zapominał, że powinien dwa razy zastanowić się, zanim coś powie. Lub przynajmniej raz.

– A może Młot Gorloga? – zaproponował Edvin. Pozostali spojrzeli na niego, marszcząc brwi.

– Taki klasyk, tak? – powiedział Stefan, a Edvin niepewnie wzruszył ramionami.

– Tylko że Gorlog nie ma młota – wytknął mu błąd Jesper. – To Tharon posługuje się młotem. – Tharon był bogiem burzy i piorunów.

– W takim razie Młot Tharona – odparł Edvin, próbując bronić swojego pomysłu. Ale pozostali tylko pokręcili głowami.

– Nieeee. Nadal zbyt klasycznie – zawyrokował Stig. – Potrzebne nam imię soczyste i pełnokrwiste.

Znów zapadła cisza, którą wreszcie przerwał Hal.

– Podobało mi się, jak nazwał ją Thorn. – Wszyscy spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– Zadymiarz.

Przez chwilę zastanawiali się nad propozycją. Stopniowo na kolejnych twarzach pokazywał się uśmiech.

– Zadymiarz? – powtórzył Stefan z wyraźną aprobatą.

– Bo właśnie do tego będzie służyć. Do robienia zadymy – dodał Ulf. Nawet jego brat musiał się z nim zgodzić.

Hal wyszczerzył się szeroko do Stiga.

– No i co, wystarczająco soczyste i pełnokrwiste? Stig przytaknął i teraz z kolei on się wyszczerzył.

I tak maszyna została nazwana Zadymiarzem.



## Rozdział 11





Następnego dnia wypłynęli „Czaplą” na zatokę.

Na otwartym morzu nadal hulał wiatr z południa, tworząc strome fale. Nie było to odpowiednie miejsce dla niedużej „Czapli”. Za to w zatoce, osłoniętej od wichru przez wysokie cyple, wiała tylko lekka bryza.

Ale wystarczyło spojrzeć na drzewa rosnące na cyplach i w wyższej części gór w głębi łądu, by przekonać się, że na pełnym morzu nadal trwa szaleństwo. Szarpane gwałtownymi porywami, wyginały się i miały dziko, potrząsały koronami.

„Czapla” płynęła wzdłuż brzegu, w odległości jakichś trzydziestu metrów od niego. Wiatr wiał od bakburty, żagiel strymowali.

– Stig – zawołał w pewnym momencie Hal i wskazał na wiosło sterowe.

Stig natychmiast podbiegł i przejął kontrolę nad sterem. Przesunął go, sprawdzając, jak łądź zareaguje. Uśmiechnął się do Hala.

– Fantastycznie. Jest taka lekka, tak szybko odpowiada.

– Też to uwielbiam – zgodził się Hal. Potem dodał, bardziej rzeczowo: – Zbliżamy się do pierwszego celu. Na mój znak skieruj łądź w stronę brzegu. Kiedy znajdziemy się w odległości stu metrów od celu, oddam strzał.

Omówili wszystko poprzedniego wieczoru, Stig dokładnie pamiętał każdy szczegół. Hal uznał jednak, że powtórka nie zaszkodzi. Zawahał się. Dziwnie się czuł, przekazując „Czaplę” w cudze ręce. Stig odsunął go przyjaznym gestem.

– Idź zająć się Zadymiarzem.

Hal zaśmiał się głośno, odwrócił na pięcie i ruszył w stronę dziobu. Po drodze minął Ulfa i Wulfa, przykucniętych przy szotach. Z poważnymi minami pozdrowili go skinieniem głowy, a on odwzajemnił pozdrowienie. Wiedział, że przestrzegają zakazu kłótni na pokładzie. Schylił głowę, przeszedł pod wantami podtrzymującymi maszt i zbliżył się do Zadymiarza, gdzie już na niego czekał Ingvar.

Ogromna kusza stała teraz na drewnianej platformie, która mogła obracać się o czterdzieści pięć stopni w lewo i prawo. Hal dobudował w tylnej części wózka niewielkie siedzenie, aby było mu wygodniej. Przysiadł teraz na twardym siedzisku i skierował wzrok na tarczę na brzegu. Potem zwrócił się do Edvina, który czekał, by przekazać instrukcje Stigowi, i wskazał na prawą burtę.

– W prawo! – zawołał Edvin. Stig przesunął ster i dziób łodzi posłusznie zaczął się obracać. Wiatr wiał teraz od rufy. Ulf i Wulf poluzowali żagiel, aż wydał się dumnie. Cały ten manewr przedyskutowali poprzedniego wieczoru, każdy wiedział, co ma robić. Thorn przeszedł na dziób i stanął tyłem do masztu.

Hal schylił się i spojrzął. Zgrał z muszką celownik, ustawiony na odległość stu metrów.

Znajdowali się trochę za bardzo na prawo w stosunku do celu. Uniósł lewą rękę.

– W lewo... w lewo... w lewo – powtarzał, podczas gdy Ingvar przesunął kuszę, pchając dźwignię... umieszczoną w otworze w tylnej części wózka. Kusza przesunęła się gładko.

– Stop! – krzyknął Hal, namierzywszy cel. Ingvar zaczął ładować kuszę.

Muszka nadal znajdowała się poniżej celu, ale w miarę, jak „Czapla” zbliżała się do brzegu, różnica powoli się niwelowała. Łódź bujała się na falach i celownik to wznosił się, to opadał poniżej linii celowania. Hal pomyślał, że musi to wziąć pod uwagę.

Począł, aż łądź znowu nieco się uniosła i celownik znalazł się w odpowiednim położeniu. Odciągnął spust.

BUM!

Kuszą rzuciło do przodu, wózek podskoczył, pocisk pomknął w stronę brzegu. Hal, sztywno wyprostowany na swoim siedzeniu, nie odrywał oczu od tarczy.

Jakieś pięć metrów za nią wzbila się fontanna piachu.

– Pudło – stwierdził Thorn. Owszem, był najstarszym członkiem drużyny, ale wzrok miał najostrzejszy z nich wszystkich.

Chłopcy zamruczeli, rozczarowani. Thorn zwrócił się do nich:

– Pierwsze koty za płoty. Nie tak łatwo trafić w cel, strzelając z okrętu.

– Musimy odpłynąć dalej od brzegu – polecił Hal Edwinowi, który przekazał te słowa Stigowi. Znaleźli się zbyt blisko lądu. Hal nie potrafił ukryć rozczarowania. Miał nadzieję, że już za pierwszym razem trafi w cel. Nie zdawał sobie sprawy, jakie to trudne, kiedy trzeba wziąć pod uwagę tyle czynników: ruchy statku i ten drobny upływ czasu między odciążeniem spustu i zwolnieniem cięciwy.

Stig kazał strymować żagle i „Czapla” obróciła się płynnie w lewą stronę. Ulf i Wulf wybrali żagiel.

– O ile chybiłeś? – zapytał Ingvar. Oczywiście, jak zwykle nic nie widział.

– Pięć metrów – odparł Hal.

– Ale było w linii – stwierdził Thorn.

Hal wzruszył ramionami. „Zawsze coś, ale to słaba pociecha”, pomyślał i spojrzał na Thorna.

– To trudniejsze, niż przypuszczałem – powiedział.

Stary wilk morski skinął głową.

– Próbuj dalej. W końcu się uda.

Ale jakoś się nie udawało. Próbowali jeszcze cztery razy. Za trzecim pocisk musnął tarczę z prawej strony, a poza tym omijał ją górą, dołem lub bokiem. Został już tylko jeden pocisk.

Znajdowali się dość daleko od brzegu. Hal zwołał naradę wojenną, w której wzięli udział on sam, Stig i Thorn.

– Musimy podpłynąć bliżej – stwierdził. – Łódź cały czas się rusza, podskakuje na falach. Z „Krukiem” będzie tak samo. Sto metrów to za daleko, by wymierzyć precyzyjnie w cel. Spróbujmy teraz z odległości pięćdziesięciu metrów.

Thorn skrzywił się. Stig również miał sceptyczną minę.

– Pięćdziesiąt metrów? – powiedział Thorn. – Chcesz podpłynąć tak blisko „Kruka”?

Hal rozłożył bezradnie ręce.

– Nie ma sensu zachowywać bezpiecznej odległości, skoro nie mogę z niej trafić.

Thorn z ociąganiem skinął głową.

– Jeśli mają łuczników, znajdziesz się w zasięgu strzału – zauważył.

Hal zmarszczył brwi.

– Później się nad tym zastanowimy. Najpierw sprawdźmy, czy uda nam się trafić z pięćdziesięciu metrów.

Dokonał szybkich obliczeń. Najniższy wskaźnik celownika pokazywał sto metrów. Taką odległość pocisk pokonywał dość płaskim łukiem. Jeśli wymierzy nieco poniżej celu, powinno się udać.

– Załaduj – polecił Ingvarowi. Kiedy ten odciągnął cięciwę i umieścił ostatni pocisk w szczelinie, Hal przedstawił mu swój plan. Ingvar spojrzał z namysłem.

– Pięćdziesiąt metrów? Czy to nie za blisko?

Hal unióś jedną brew.

– Każdy mi to powtarza – odparł i usiadł na swoim miejscu z tyłu kuszy.

Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy „Czapla” skierowała się ku brzegowi. Ingvar obrócił Zadymiarza, aż znalazł się w odpowiednim położeniu. Hal pochylił się nad celownikiem, skupiony. Muszka to wznosiła się, to opadała poniżej linii celowania.

– Szykuj się! – krzyknął Thorn. Umówili się, że da Halowi sygnał pięć sekund wcześniej, zanim zblizą się na odległość pięćdziesięciu metrów.

Hal wpatrywał się w muszkę. Wiedział, że musi wziąć pod uwagę czas, który upływa między odciągnięciem spustu i zwolnieniem cięciwy – powinien wystrzelić, kiedy muszka znajdzie się tuż poniżej celu.

Prawie... prawie... teraz!

BUM!

Wyprostował się i akurat zdążył zobaczyć, jak tarcza eksploduje gradem odłamków drewna. Znajdowali się tak blisko, że usłyszeli huk uderzenia. Kiedy Hal o tym pomyślał, jednocześnie uświadomił sobie, że znajdują się również niebezpiecznie blisko brzegu.

– Odplywamy! – krzyknął i Stig znów obrócił ster. Hal klapnął ciężko na swoje siedzisko. Napięcie, które przeżył w ciągu ostatnich minut, całkowicie go wyczerpało. Pozostali chłopcy wiwatowali, Jesper i Stefan tańczyli między ławkami. A Ulf i Wulf klepali się nawzajem po plecach!

Thorn zaś klepnął Hala. W ramię.

– Dobra robota! – powiedział z szerokim uśmiechem. Hal przewrócił oczami.

– Może i tak. Ale miałeś rację. Pięćdziesiąt metrów to rzeczywiście bardzo blisko. Muszę pomyśleć, co z tym zrobić.



Minęło kilka kolejnych dni. Chłopcy konsekwentnie realizowali nowy plan: rano trening, po południu strzelanie z Zadymiarza.

Szło im coraz lepiej. Z odległości stu metrów Hal trafiał co najmniej jeden raz na cztery. Z pięćdziesięciu szło mu jeszcze lepiej – przy każdym strzale tarcza rozpadała się na kawałki.

Tylko że taka odległość, jak zauważył Thorn, nie była bezpieczna.

„Kruk” był szybki i, jeśli załoga użyła wiosł, bardzo zwrotny. Najdrobniejsza pomyłka, najmniejsze opóźnienie mogło narazić „Czapkę” na spotkanie z taranem, straszącym u dziobu pirackiego okrętu. W środku nocy Hal wyobrażał sobie, jak potworne żelastwo masakruje delikatny kadłub „Czapki”, jak zimna woda napływa do środka przez ogromną dziurę.

Ktoregoś wieczoru, kiedy pozostali poszli spać, Hal postanowił omówić ten problem ze Stigiem i Thornem.

– Chyba przesadzasz – powiedział Stig. – W końcu „Kruk” to znacznie większy cel niż metrowa tarcza. Trafisz w niego nawet z odległości stu metrów.

Hal potrząsnął głową.

– Tylko że ja chcę trafiać w bardzo konkretne, mniejsze cele – odparł. – Na przykład ster czy kadłub na linii wody. Lub nadburcie, w miejscu, gdzie przywiązane są wanty, podtrzymujące maszt. Lub samego Zavaca, czy kto tam będzie stał u steru. Nie mamy tylu pocisków, żeby po prostu strzelać w okręt, z nadzieją, że trafimy akurat w jakiś ważny punkt.

– W takim razie musimy podplynąć bliżej – stwierdził zdecydowanie Thorn, a kiedy Hal spojrział na niego, podjął: – Zawsze możemy dla ochrony załogi ustawić tarcze wzdłuż całego nadburcia. Natomiast ciebie i Ingvara mógłby osłaniać Edvin.

– Przynajmniej Ingvara – powiedział Hal. – Jeśli zostanie ranny, nie będziemy mogli strzelać. I jeszcze coś. Jeśli podplyniemy tak blisko, nikt z nas, ja, Stig przy sterze, bliźniaki przy szotach, nie może popełnić błędu. Inaczej znajdziemy się na łasce „Kruka”.

– A wiadomo, że „Kruk” nie jest zbyt łaskawy – zauważył Thorn. Nie miał wprawdzie

żadnych konkretnych dowodów, ale był przekonany, że to „Kruk” odpowiada za zniknięcie niewielkiej floty handlowej z Hallasholm kilka tygodni wcześniej. – Czy możemy polegać na umiejętnościach Ulfa i Wulfa? – podjął. – Może Jesper i Stefan byłiby lepsi?

Hal z namysłem zacisnął wargi.

– Coś muszą robić – odparł. – A nieźle sobie radzą z żaglami. Jak myślisz, Stig?

– Masz rację. Praca przy żaglach w dużej mierze polega na odpowiednim wyczuciu, a oni to wyczucie mają. Nie muszę im mówić, kiedy i co mają robić. Sami wiedzą.

Hal skinął głową. Też zauważył, że bliźniaki mają talent żeglarski.

– Ale jeśli zaczną się kłócić... – zaczął Thorn, lecz Hal mu przerwał:

– O to nie musimy się martwić. Wiedzą, że od tego zależy ich życie.

– Nie martwię się aż tak bardzo o ich życie – odparł Thorn. – Moje też od tego zależy.

Zapadła cisza. W końcu Hal podjął decyzję.

– Zostawmy ich tak na razie i zobaczymy, co się będzie działo. Jeśli zaczną się kłócić podczas ćwiczeń, jeden zastąpi Jespera przy stawianiu rejki, a drugi Stefana przy trzymowaniu żagli.

Thorn przyglądał mu się bacznie przez kilka sekund. Nie znalazł śladu wahania ani w głosie Hala, ani w jego oczach. W końcu kiwnął głową.

– Ty jesteś skirlem – stwierdził.

– Chciałem poruszyć jeszcze jedną sprawę – powiedział Hal. – Mówiłeś, że kluczem do naszego sukcesu jest prędkość i zwinność.

Thorn przytaknął, ciekaw, do czego zmierza Hal.

– Wydaje mi się, że to samo dotyczy walki naszych okrętów. Szczególnie jeśli znajdziemy się naprawdę blisko. Musimy wydobyć z „Czapli” maksymalną prędkość. Musimy sprawić, że będzie poruszać się zwinnie i szybko.

– Przecież natychmiast reaguje na poruszenia sterem – stwierdził Thorn. – I jest szybka.

– Myślę, że możemy uczynić ją jeszcze szybszą. – Hal spojrzał na Thorną. – Jak sądzisz? Prześcignęłaby „Kruka”?

Thorn potarł zarośnięty podbródek.

– Na pewno, w większości przypadków. Przy dobrym wietrze. Ale jeśli wiatr ucichnie i załoga „Kruka” siądzie do wiosł, nie mamy szans. Wtedy „Kruk” będzie szybszy i bardziej zwrotny. Wystarczy, że Zovac wyda rozkaz, by ludzie przy jednej burcie wiosłowali w przód, a ci przy drugiej wstecz i „Kruk” wykona szybki obrót. Jaki masz pomysł?

Hal uporządkował myśli i dopiero wtedy odparł:

– Dwa lata temu udałem się z Andersem na wyprawę handlową. Kupował deski i konopie. Zawinęliśmy do kilku portów w Sonderlandzie. Widziałem ich wielkie statki handlowe. Po obu stronach miały one doczepione takie deski, które można podnosić i opuszczać wedle życzenia.

– Spojrzał pytająco na Thorną, który skinął głową.

– Nazywają je „mieczami bocznymi” – wyjaśnił. – Można je opuścić poniżej linii kadłuba. Zwiększają opór jednostki, co ogranicza dryf. To ważne, gdyż te statki pływają głównie na płytkich wodach przybrzeżnych, gdzie wiatr wieje przeważnie od morza do lądu. A na bardzo płytkiej wodzie można schować miecze, by statek nie ugrzązł na mieliźnie.

– Pomyślałem, że mógłbym skonstruować coś podobnego – powiedział Hal.

Thorn i Stig spojrzeli na niego z powątpiewaniem.

– To raczej niewykonalne w przypadku „Czapli” – stwierdził Stig.

Thorn podzielał jego opinię.

– Statki Sonderlandczyków są mocne i wielkie – powiedział. – „Czapla” jest znacznie

lżejsza i ma wygięty kadłub. Nie da się umieścić na nim dwóch mieczy. Po pierwsze, brakuje na to miejsca, po drugie, konstrukcja jest za lekka.

– Myślałem o jednym centralnym, nie dwóch po bokach. Wzdłuż stępki.

– A jak zamierzasz go tam umieścić? – Thorn nadal nie potrafił sobie tego wyobrazić.

– Mógłbym wyciąć część poszycia tuż obok stępki.

– Zaraz, zaraz! – wtrącił Stig. – Zamierzasz wyciąć dziurę w pokładzie, tuż obok stępki?

Hal przytaknął.

– Zgadza się. A potem...

– Ale chyba wiesz, co się stanie, kiedy wytnie się dziurę w dnie łodzi? Wówczas łódź zwykle zaczyna tonąć.

– Stig spojrział na Thorną, szukając wsparcia. – Powiedz mu, Thornie.

Ten uniósł brwi. Z reguły ufał pomysłom Hala, ten jednak wydawał się raczej ryzykowny.

– Tak, zwykle uważa się, że wycinanie dziur w poszyciu statku może źle się skończyć.

Stig rozłożył ręce w wymownym geście „Właśnie to miałem na myśli”.

– Nie zamierzam wycinać dziur w dnie łodzi, jak to ująłeś. Tylko jedną dziurę. – Więcej

Hal nie zdążył powiedzieć, bo Stig znowu mu przerwał.

– Mamy tylko jedną łódź! Jedna dziura wystarczy, byśmy poszli na dno, więcej nie trzeba. Ty wycinasz dziurę. My toniemy. To nie jest dobry pomysł. – Stanowczo potrząsnął głową. – A może to jeden z tych drobnych szczegółów, które czasem ci umykają?

Hal gniewnie uniósł głowę.

– Właśnie się zastanawiałem, kiedy to powiesz – odparł.

Stig znów rozłożył ręce.

– Cóż, to pytanie chyba nasuwa się samo. Jakoś tak się składa, że twoim eksperymentom często towarzyszy niekontrolowany wyciek wody.

Na chwilę zamilkli, wspominając znamienne sceny, które rozegrały się niegdyś w kuchni Kariny. Próba zbudowania systemu doprowadzania wody zakończyła się prawdziwą katastrofą.

Kuchnia została dokumentnie zalana, a wielki zbiornik o mało nie wylądował na głowie Stiga.

– To co innego – stwierdził Hal.

Stig energicznie pokiwał głową.

– Jasne, masz rację. Wtedy jedynie przemokliśmy. Tym razem grozi nam utonięcie!

Thorn uznał, że czas interweniować. Pomyślał, że trzeba dać Halowi szansę, by przynajmniej przedstawił im swój projekt.

– Posłuchajmy, co Hal ma do powiedzenia, zamiast ciągle mu przery.

– Kto przerywa? – przerwał mu Stig, ale poddał się pod stalowym spojrzeniem Thorną. – A... no, tak... Chyba ja.

– Chyba tak – zgodził się Thorn. Stig kilka razy wzruszył ramionami, potem machnął ręką.

– Przepraszam. Mów, Halu. Już nie będę przeszkadzał.

– Byłoby miło – odparł Hal i zamilkł, czekając, czy jego przyjaciel coś jeszcze powie. Ale ponieważ Stig milczał, Hal podjął po chwili: – Woda zawsze szuka własnego poziomu.

Stig jednak nie mógł się powstrzymać.

– Właśnie o tym mówię! Wytniesz dziurę i woda zacznie szukać swojego poziomu. Zaleje pokład i zatoniemy. – Przerwał i potrząsnął głową. – Tyle że ty ująłeś to bardziej naukowo.

– Stig – wtrącił Thorn – jeśli nie zamkniesz się przynajmniej na pięć minut, zawlokę cię na plażę i od razu utopię. Nie będziesz musiał czekać, aż wypłyniemy na morze.

Stig spojrział Thornowi w oczy i zobaczył w nich ostrzegawczy błysk. Czuł, że to nie są czcze pogrożki.

– Dobrze – powiedział niechętnie. – Zamknę się.

– Gdybym tylko w to wierzył... – zaczął Hal, ale Thorn przerwał mu z irytacją:

– Przestań, bo i ciebie utopię! No, zaczynaj z tym swoim szalonym projektem.

– Ha! – powiedział Stig, który poczuł się zrehabilitowany. Thorn przeniósł na niego wściekle spojrzenie.

– Chłopcze, igrasz z ogniem! A właściwie z wodą. Hal, zaczynaj.

– Stigu, masz rację. Gdybym po prostu wyciął dziurę, znaleźlibyśmy się w tarapatach. – Uniósł dłoń, by powstrzymać kolejne protesty. – Ale planuję wyciąć część desek obok stępki, a potem zbudować dokoła koferdam.

Stig zmarszczył brwi.

– Kufeldam? A co to takiego?

– Koferdam – poprawił Hal. – To coś w rodzaju osłony, chroniącej przed wodą. Taka konstrukcja, której ścianki wystają ponad linię wody. Napływająca woda sięga swojego poziomu i nie podnosi się dalej.

Stig zmarszczył brwi. Nie do końca rozumiał. Thorn sprawiał wrażenie bardziej przekonanego, ale też nie w stu procentach.

– Dlaczego woda się zatrzymuje? – spytał Stig.

– Bo osiągnęła swój poziom. Taki jak po zewnętrznej stronie kadłuba.

– Jesteś pewien? – spytał Thorn. W teorii brzmiało to całkiem logicznie, ale z doświadczenia wiedział, że teorie nie zawsze sprawdzają się w praktyce.

– Jestem pewien – odparł Hal z całkowitym przekonaniem. Nieraz jednak widzieli, jak mówił z przekonaniem o różnych rzeczach. Wpatrywali się w niego sceptycznie. Hal wzruszył ramionami.

– Dobrze. Zbuduję model na próbę. Pokażę wam jutro rano.

Thorn podniósł się i jęknął cicho, gdy strzyknęło mu w kolanach.

– W takim razie do jutra – powiedział. – A teraz chodźmy spać.

Chłopcy również wstali. Im nie sprawiło to najmniejszej trudności. Spojrzał na nich spode łba.

– Zobaczcie, kiedyś i wam zacznie strzykać w kościach.

Stig wywrócił oczami.

– O ile w ogóle dożyję. Na razie grozi mi śmierć przez utonięcie.





Model był zwykłym prostokątnym pudełkiem, długim na półtora metra, szerokim na metr, otwartym od góry.

W dniu, pośrodku, Hal wyciął wąski prostokątny otwór, w którym umieścił drugie pudełko, pozbawione wieczka i denka. Jego ścianki sięgały mniej więcej do połowy wysokości ścianek większego pudełka. Ingvar zaniósł całą konstrukcję na brzeg. Do zaprezentowania eksperymentu wybrali niewielki zbiornik wody w zagłębieniu skały. Na znak Hala Ingvar umieścił pudełko na wodzie.

Stig pochylił się prędko. Spodziewał się, że zobaczy, jak woda wpływa przez otwór i zalewa większe pudełko. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zmarszczył brwi, rozczarowany. Pudełko pływało spokojnie po powierzchni. Poziom wody wewnątrz mniejszego pudełka podniósł się o centymetr czy dwa i zatrzymał się.

– Większe pudełko jest zanurzone na około dwa centymetry – wyjaśnił Hal. – I o tyle też wzrośnie poziom wody w mniejszym pudełku. Ingvarze, włóż kilka kamieni do środka.

Kamieni nie brakowało. Ingvar zaczął wkładać je ostrożnie do pudełka. Pod ciężarem zanurzyło się głębiej, aż woda sięgnęła znaku, który Hal narysował wcześniej na ścianie.

– Spójrzcie teraz – powiedział.

Thorn i Stig weszli do wody, która sięgała im kolan, i zajrzeli do mniejszego pudełka. Woda dotarła do kreski, narysowanej na ścianie od wewnątrz.

– Ten znak odpowiada znakowi na zewnętrznej ścianie dużego pudełka – wyjaśnił Hal. – Kiedy łódź się zanurza, woda wewnątrz koferdamu się podniesie, ale tylko do tego samego poziomu, co po stronie zewnętrznej.

– Fascynujące – stwierdził Thorn, potrząsając głową i nadal wpatrując się w pudełko. – Wydaje się logiczne, kiedy się na to patrzy. Ale ty wcześniej o tym wiedziałeś, prawda?

Hal zawahał się, ale uznał, że szczerść to najlepsze rozwiązanie.

– Przypuszczałem, że tak będzie, ale całkowitej pewności nie miałem. – Wyszczerył się do Stiga. – W końcu pomysł wywalenia dziury w dnie wydaje się dość ryzykowny. Dlatego uznałem, że muszę to sprawdzić.

– Ja też nie przypuszczałem, że to zda egzamin – powiedział Ingvar. – Ale Hal zna się na takich rzeczach.

– Twoja wiara we mnie jest doprawdy poruszająca – stwierdził Hal, rzucając Stigowi znaczące spojrzenie.

Ten wzruszył ramionami, niespeszony.

– To dlatego, że nie widział, co się stało w kuchni twojej mamy. Ale muszę przyznać, że tym razem miałaś rację. A teraz powiedz mi, jaki jest sens tego błyskotliwego projektu?

– Dobrze – odparł Hal, znów rzeczowy i konkretny. – Załóżmy, że jesteśmy na morzu, wiatr wieje z boku. Trymujemy żagiel i łódź przechyla się pod naporem wiatru, prawda?

Thorn i Stig przytaknęli. Hal dał znak Ingvarowi, który przechylił pudełko.

– Im mocniej wybierzemy żagiel, tym większego tempa nabierze łódź. Ale jednocześnie będzie coraz bardziej się przechylać.

Ingvar przechylił pudełko jeszcze trochę, aż woda zaczęła wlewać się do środka.

– W końcu zaczniemy nabierać wody i będziemy musieli poluzować żagiel. Wtedy łódź wróci do normalnej pozycji – Tu Ingvar zabrał rękę. – I wytraci prędkość.

Spojrzał na Stiga i Thornę, a oni pokiwali głowami na znak, że zrozumieli.

– Gdybyśmy potrafili sprawić, że nawet przy wybranym żaglu łódź nie będzie się przechylać, moglibyśmy utrzymać większą prędkość.

Hal podszedł do brzegu i podniósł niewielką deseczkę, którą wcześniej położył tam Ingvar, i wsunął ją w wąski otwór w dnie pudełka. Wpasowała się gładko. Hal przepchnął ją przez otwór.

– Teraz, kiedy wiatr będzie przechylał łódź, ta deseczka postawi dodatkowy opór. A to oznacza, że nie musimy luzować żagla i nie wytracimy prędkości.

– To jak wielka płetwa pod dnem łodzi – stwierdził Stig. Początkowo sceptyczny, teraz, dzięki pokazowi, wyzbył się wszelkich wątpliwości. Spojrzał na przyjaciela z podziwem. – Znów ci się udało. Najpierw żagiel, teraz płetwa. Co o tym sądzisz, Thornie?

– Wygląda przekonująco – odparł Thorn. – Czasami, kiedy „Wilczy Wicher” za bardzo się przechylał, Erak kazał siadać załodze na nawietrznej burcie, by to zrównoważyć. Ta wymyślona przez ciebie płetwa da podobny efekt. Tylko nie każ mi patrzeć, kiedy będziesz wycinał dziurę w poszyciu „Czapli”.



Rozpoczęli prace jeszcze tego popołudnia. Chłopcy pod nadzorem Stiga opróżnili łódź z zapasów i kamieni służących za balast. Stig uśmiechnął się przepraszająco do Thornę.

– Chyba musisz znaleźć sobie inną sypialnię na kilka kolejnych nocy – powiedział. Thorn odchrząknął.

– Rozłożę sobie namiot pod drzewami. Wszystko, byle uniknąć noclegu w waszym towarzystwie. Nie znoszę woni dorastających chłopców.

Stig uniósł brwi.

– Ty też nie wydzielasz zbyt pięknych zapachów – zauważył, lecz Thorn prychnął wzgardliwie.

– Znowu to samo. Ja to co innego, mój zapach jest dojrzały.

– Podobnie jak ser.

Ponieważ Thorn nie znalazł odpowiednio miażdżącej odpowiedzi, poszedł sobie, zostawiając Stiga z szerokim uśmiechem na twarzy.

Podczas gdy chłopcy opróżniali łódź, Hal zabrał Ulfa do lasu, by poszukać odpowiedniego drzewa na płetwę. Znaleźli młodą jodłę, której pień w przekroju mierzył około pięćdziesięciu centymetrów. Ścięli ją, ociosali i skrócili do długości półtora metra. Hal zamierzał za pomocą klina przyciąć zaokrąglenia, tak by powstał płaski prostokąt o grubości piętnastu centymetrów, a końcowe poprawki wykonać za pomocą ciosła.

Kiedy wrócili do obozu, ciągnąc ciężki pniak, chłopcy już skończyli opróżniać łódź. Do szczytu masztu dowiązali linę. Ingvar i Wulf ciągnęli, reszta pchała – tak wspólnymi siłami przewrócili „Czapkę” na bok i podparli, by leżała stabilnie. W ten sposób Hal zyskał dostęp do dna łodzi. Zaznaczył fragment poszycia między stępką i dwiema listwami szkieletu, po czym wyciął go, posługując się dłutem i piłą.



– Będzie trochę przesunięty w stosunku do linii kadłuba – powiedział – ale nie możemy przeciąć stępki. To jakby kręgosłup łodzi. Poza tym przy takim położeniu mogę przymocować koferdam ściśle do stępki, co da mu mocne oparcie.

Thorn i Stig pokiwali mądrze głowami, tak jakby rzeczywiście coś z tego rozumieli. Hal przybił dodatkowe gwoździe do brzegów deski, w ten sposób przytwierdzając ją mocno do listew szkieletu. Kiedy skończył, zapadał już zmrok. Podniósł się i wskazał na kołki, podtrzymujące łódź w przechylonej pozycji.

– Możecie postawić ją normalnie – powiedział. – Przez najbliższe dni będę pracować wewnątrz kadłuba.

Chłopcy odwiązali linę, usunęli kołki i ustawili łódź w normalnej pozycji. Hal otrzepał rękę, zadowolony z rezultatów pracy.

– A teraz sprawdźmy, co Edvin przygotował na kolację.



Przez kolejne dni chłopcy trenowali pod okiem Thorny, Hal zaś nadal pracował nad płetwą dla „Czapli”. Wyglądził ją i dopasował, a potem zbudował skrzynkę, wsunął ją do przygotowanego otworu i przymocował z jednej strony do stępki, a z przodu i z tyłu do listew szkieletu. W środku wybił skrzynkę skórą i baranym futrem, co miało na celu utrzymać płetwę w miejscu i uszczelnić skrzynkę.

Hal krytycznym okiem przyjrzał się skromnemu zbiorowi materiałów. Kiedy opuszczali Hallasholm, zabrał ze swego warsztatu nad strumieniem wszystkie narzędzia oraz zapas desek, sznurka, gwoździ, płótna i kawałków żelaza. Teraz wszystkiego zaczynało brakować.

– Niedługo trzeba będzie uzupełnić braki – mruknął do siebie. Wcześniej sprawdził na mapie, że w odległości dnia żeglugi na południe znajduje się port handlowy. Kiedy tylko pogoda się poprawi, mogliby wypłynąć na morze, by przetestować płetwę. Przy okazji mógłby kupić potrzebne rzeczy. Szczególnie odczuwał brak żelaznych pasków, których używał do wzmocnienia pocisków. A musiał przygotować ich sporo. Podczas ćwiczeń stracił już trzy pociski.

Westchnął. Pomyślał, że z tym problemem trzeba poczekać, aż wiatr się uspokoi.

Wyprostował plecy i rozciągnął obolałe mięśnie. A potem wrócił do pracy – klejenia, wbijania gwoździ, uszczelniania złączeń kawałkami natłuszczonej liny i wełny. Akurat kiedy wciskał na miejsce ostatnie pasmo, zgasło światło dnia.

– To powinno wystarczyć – stwierdził. – Jutro sprawdzimy, czy działa.



Hal obudził się w środku nocy. Przez chwilę leżał, zastanawiając się, co było tego przyczyną i słuchając nocnych odgłosów w chacie. Ktoś pochrapywał lekko, przypuszczalnie Ingar. Ktoś inny od czasu do czasu mruczał coś niezrozumiale. Ale to nie te dźwięki go zbudziły. Odsunął płachtę u wejścia i wyjrzał. Księżyc wisiał nisko nad ziemią, więc musiało być po północy. Hal po cichu wysunął się spod okrycia, włożył kubrak i wyszedł.

Wiatr ustał.

To właśnie go zbudziło. Wycie wiatru z południowego zachodu towarzyszyło im przez cały czas pobytu w obozie. Wiatr nieustannie potrząsał koronami drzew, porastających cyple, czemu towarzyszył dźwięk podobny uderzeniom fal o brzeg.

Oddaliwszy się od chaty, Hal stwierdził, że nadal słyszy fale, rozbijające się o skały. Wiedział, że trochę czasu zajmie, nim się uspokoją. Ale drzewa już nie szumiały, a kiedy spojrział w niebo, zobaczył gwiazdy, a nie, jak wcześniej, pędzące ciemne chmury. Niebo było czyste.

– Najgorsze chyba minęło.

Hal aż podskoczył. Odwrócił się i zobaczył Thorną, który stał kilka metrów za nim.

– Czemu tak się skradasz? Mógłbyś dać jakiś znak – powiedział trochę kapryśnym tonem.

– Przyzwyczajenie – odparł Thorn i wykrzywił się w uśmiechu. Spojrzął na gwiazdy, lśniąco pośród czerni nieba. – Jutro chyba możemy wypłynąć – stwierdził. – Wydaje mi się, że sztorm wreszcie się uspokoił. Przynajmniej na kilka dni.

Hal wciągnął nosem powietrze. Sam nie wiedział, dlaczego. Widział, jak starzy żeglarze tak robią, ale nie miał pojęcia, jaki to zapach pozwala im przewidzieć pogodę.

– Chyba masz rację – powiedział. Nie potrafił stwierdzić na żadnej podstawie, czy Thorn rzeczywiście ma rację, czy nie. Po prostu ufał jego intuicji. Thorn spędził na morzu wiele lat i rozumiał prawa, rządzące pogodą. – Potrzebuję paru rzeczy. Jutro wypłyniemy na morze. Widziałem na mapie, że o jakiś dzień żeglugi stąd na południe znajduje się miasto o nazwie Skegall.

Thorn skinął głową, po czym zaczął bić się rękami po bokach. Miał na sobie spodnie i wełnianą koszulę, nic poza tym. Teraz, gdy pokrywa chmur znikła, temperatura spadła gwałtownie.

– Zimno – mruknął. – Nie mogłem znaleźć swojego kubraka. Nie widziałeś go przypadkiem?

Hal zawahał się.

– Kiedy? – spytał.

Thorn popatrzył na niego z oburzeniem.

– A jak myślisz? Dzisiaj, rzecz jasna.

Hal potrząsnął głową.

– Nie, nie widziałem.

Odwrócił wzrok, by umknąć spojrzeniu Thorną, który znów zadrżał z zimna.

– Co za utrapienie. Zamarznę na śmierć.

– Może kupisz sobie nowy w Skegall – podsunął mu Hal. Thorn prychnął z irytacją.

– Nie chcę nowego. Lubię tamten.

– Był dość zniszczony.

– Właśnie dlatego go lubię. Pasuje na mnie – odparł Thorn. Po chwili zapytał: – Dlaczego powiedziałeś: „Był zniszczony”?

– Yyy... Bo był. I jest. Gdziekolwiek jest. Idę się położyć.

I pospieszył w stronę chaty. Thorn odprowadził go podejrzliwym spojrzeniem.





„Kruk” kołysał się na falach.

Kilka dni wcześniej przejaśniło się i Zavac postanowił wypłynąć na morze. „Kruk” był dużym okrętem, większym od „Czapli”, miał też większą załogę, która w razie czego, gdyby morze znów się wzburzyło, mogła szybko wybrać wodę z pokładu, więc Zavac nie musiał obawiać się zmiany pogody.

A jego instynkt łowcy znów się rozbudził.

Wiedział, że po tak długo trwającym sztormie kupcom będzie się spieszyć. Ci, którzy pierwsi dotrą do portów handlowych, mieli prawo żądać wysokich cen, bo z powodu opóźnień spowodowanych niepokogą wszędzie brakowało towarów. Potem ceny znów się unormują.

To znaczyło, że po morzu pływa wiele samotnych statków, wyładowanych cennymi towarami. Żaden z kapitanów, liczących na wysokie zyski, na pewno nie szukał towarzystwa – choć takie rozwiązanie byłoby znacznie bardziej bezpieczne – gdyż musiałyby dostosować prędkość do najwolniejszej jednostki. A przecież chodziło o to, by wyprzedzić pozostałych.

Zavac pomyślał, że chciwość i apetyt na złoto są wspaniałą motywacją. On akurat doskonale na tym się znał. To była również jego motywacja. Wypłynął poprzedniego dnia, stał u steru niemal do świtu. W końcu uznał, że w najbliższej przyszłości pogoda nie przyniesie żadnych niemiłych niespodzianek i przekazał ster pierwszemu oficerowi.

Obudził się kilka godzin później, kiedy zmieniali się wioślarze. Wysunął się spod futrzanego okrycia i usiadł. W przeciwieństwie do „Czapli”, „Kruk” posiadał krytą część, która biegła przez całą długość kadłuba. Zavac miał własną niewielką kabinę od strony rufy, do której schodziło się przez właz koło podwyższenia dla sternika. Pomieszczenie było bardzo niskie – ledwo półtora metra. Ale osłonięte od wiatru i suche. No i zapewniało odrobinę prywatności.

Oraz miejsce na skarby. Zavac usiadł, włożył buty z foczego futra i bramowaną futrem skórzaną kurtkę. Jego miecz leżał z boku, schowany w pochwie. Podniósł go i już miał wyjść na pokład, lecz się zawahał. Stał tak przez chwilę, przygarbiony w niskim pomieszczeniu. Na jednej ze ścian wisiała półka, przybita pod kątem, by rzeczy nie spadały z niej przy gwałtowniejszym kołysaniu. Sięgnął do niej i poglądził giemzowy woreczek – jak robił za każdym razem, nim opuścił kabinę. Wyczuwszy okrągły kształt, uśmiechnął się do siebie.

– Och, oberjarlu Eraku, pewnie bardzo chciałbyś odzyskać swój skarb, co? – powiedział miękko, a potem, wciąż z uśmiechem na ustach, odsunął pokrywę włazu i wygramolił się na pokład. Andras, pierwszy oficer, skinął mu głową na powitanie, nie odrywając wzroku od horyzontu.

– Coś nowego? – spytał Zavac, a jego zastępca potrząsnął głową.

– Wiatr chyba jeszcze bardziej się uspokoił.

Zavac pokiwał głową.

– To bardzo dobrze.

– „Żmija” nadal płynie za nami.

Zavac już wcześniej widział ten niewielki okręt. Jego przede wszystkim szukał na horyzoncie, ściśle rzecz biorąc. „Żmija” znajdowała się w odległości pół kilometra, kołysząc się na nieustających falach. Podobnie jak „Kruka”, napędzała ją siła wiosła, żagle miała zwinięte, by nie dojrzały jej z daleka inne okręty.

Pierwotnie nazywała się „Lew Morski” i należała do niewielkiej skandyjskiej floty handlowej, na którą Zavac i jego ludzie napadli kilka miesięcy wcześniej. Zavac kazał ją spalić, tak jak pozostałe statki, ale kilka minut później cofnął rozkaz. „Lew Morski” czy też „Żmija”, jak nazwał swój nowy nabytek, doskonale nadawała się do transportu towarów, było na niej mnóstwo miejsca i Zavac doszedł do wniosku, że może ona bardzo mu się przydać.

Nie, żeby zamierzał używać jej do transportu towarów na sprzedaż. Ładownie mogły pomieścić również piętnastu do dwudziestu mężczyzn. „Żmija” wyglądała raczej nieszkodliwie, w przeciwieństwie do „Kruka”. Chyba każdy rozsądny kapitan uciekłby na widok długiego niskiego kadłuba „Kruka”. Ze „Żmiją” sprawa przedstawiała się zgoła inaczej.

Istniały spore szanse, że w razie potrzeby – kiedy zaczną tonąć czy znajdzie się w jakichś innych tarapatkach – każdy obcy statek przyjdzie jej z pomocą. A kiedy już podpłynę wystarczająco blisko, spod pokładu wyskoczą ukryci piraci i zaatakują niedoszłych wybawców. Załogi statków handlowych zwykle liczyły niewielu ludzi. Zavac nieraz się o tym przekonał. Poza tym „Kruk” będzie czekał niedaleko, by w razie czego przybyć na pomoc.

– Żadnych sygnałów? – zapytał Zavac.

Andras pokręcił głową.

– Na razie nic. Ale jest jeszcze wcześniej.

Zavac odchrząknął. Pierwszy oficer miał rację. Byli na morzu niecałe dwanaście godzin. Ale Zavac i tak się niecierpliwił. Spędzili kilka tygodni u wybrzeży Morza Białych Sztormów – w miejscu nad strumieniem, które prócz niego znało jeszcze tylko kilku innych Madziarów. Denerwowało go, że tracą czas. Jego ludzie byli lojalni – ale zapewne tylko tak długo, jak dostarczał im złota, srebra i innych dóbr. Wiedział, że ma opinię kapitana, któremu szczęście sprzyja, lecz mogła się ona zmienić, jeśli szybko nie dopadną jakiejś ofiary. Zavac był przesądny, wierzył, że jeśli jeszcze tego dnia nikogo nie obrabują, również przez kolejne miesiące szczęście przestanie się do nich uśmiechać.

Spojrzał na podwójny rząd wiosłarzy. Przez chwilę patrzył, jak pochylają się do przodu, zapierają nogami i odchylają w tył. Wiosła wznosiły się i opadały po obu stronach niczym ptasie skrzydła, za każdym razem bijąc wodę na białą pianę. Okręt sunął rześko do przodu.

– Chcesz przejąć ster? – zapytał Andras, lecz Zavac potrząsnął głową. Chyba każdy kapitan czuje szczególną więź ze swoim okrętem i uwielbia poddawać go swym rozkazom. Zavacowi jednak nie sprawiało to jakiejś szczególnej rozkoszy. Okręt był środkiem do celu, sposobem na dostanie się z punktu A do punktu B i tyle.

Andras zmarszczył brwi. Stał u steru od niemal sześciu godzin, podczas gdy Zavac słodko sobie spał. Silny prąd i wysokie fale bynajmniej nie ułatwiały mu zadania. Wiosłarze zmienili się dziesięć minut wcześniej. Zmieniali się co dwie godziny. A on nie miał chwili wytchnienia. Andras nie darzył Zavaca wielką sympatią, czekał tylko na dzień, kiedy uzbiera dość łupów, by kupić sobie własny okręt.

Czuł też, że obojętność, z jaką Zavac traktuje „Kruka”, nie przydaje mu umiejętności żeglarskich. Uważał, że dobry kapitan powinien wyczuwać swój okręt, rozumieć wszystkie jego subtelności i kaprysy. Tylko w ten sposób mógł w pełni wykorzystać jego możliwości. Bał się, że kiedyś przyjdzie im słono zapłacić za ten brak więzi między Zavakiem i jego „Krukiem”. Do tej pory Zavac odnosił sukcesy, ponieważ okręt był szybki – nawet jeśli dałoby się wydobyć z niego znacznie więcej. I tak naprawdę nigdy nie miał okazji stawać w zawody z okrętem, który mogłby

dorównać mu szybkością.

– „Żmija” puściła sygnał!

Okrzyk obserwatora wyrwał Andrasa z zamyślenia. I on, i Zovac wyciągnęli szyje i skierowali spojrzenia w stronę dziobu. Zwinięty żagiel nie zasłaniał widoku. Zobaczyli błysk światła – ktoś z załogi „Żmii” nadawał sygnał lusterkiem.

– Odpowiedz im – rzucił Zovac.

Obserwator na dziobie chwycił kawałek wypolerowanego metalu, ustawił go do słońca i zamigał kilka razy. Na razie nie musieli przekazywać sobie konkretnych wiadomości, chcieli tylko dać znak, że są w pogotowiu, czekają na kolejne sygnały, w specjalnym prostym kodzie, który stworzył Zovac.

Zobaczyli pojedynczy błysk. Potem nastąpiła długa przerwa. I znów błysk.

Jeden. Jeden statek. To musiał być statek. Cóż innego mogliby sygnalizować?

– Odpowiedz! – rozkazał Zovac. Obserwator posłał kolejną serię błysków, które oznaczały, że „Kruk” zrozumiał wiadomość, i że teraz mogą przejść do następnej części, czyli wskazać kurs ich potencjalnej ofiary.

„Żmija” wysłała kilka prędko następujących po sobie błysków. Zovac i Andras liczyli z zapartym tchem.

– Osiem – powiedzieli jednocześnie, gdy migotanie ustało. Po krótkiej przerwie znów się zaczęło. Znów naliczyli osiem błysków. Zovac spojrział na pierwszego oficera.

– Zmierzają na północny zachód – potwierdził Andras.

W tym prostym kodzie główne stopnie kompasu zostały oznaczone numerami: jeden – północ, dwa – północny wschód, trzy – wschód i tak dalej. Osiem znaczyło północny zachód. Nagle „Żmija” posłała kolejną serię błysków. Wedle ustaleń, nadający miał kontynuować, póki nie dostanie potwierdzenia, że jego wiadomość została przyjęta.

– No odpowiedz, durniu! – warknął Zovac z irytacją. Mężczyzna przewrócił oczami. Nie wolno mu było nadawać żadnych sygnałów, póki nie dostanie wyraźnego polecenia. Zovac nie miał prawa wyzywać się na nim. Mężczyzna ustawił metalową płytkę do słońca i poruszył ją kilkakrotnie.

Zovac zamyślił się. Wiatr wiał z południa, od czasu do czasu zmieniał kierunek na południowo-zachodni. W takim razie nieznan statek, zmierzający na północny zachód, na pewno płynął pod żaglami, miał wiatr z lewej strony.

– Zasygnalizuj „trzy” – zawołał do obserwatora. Ten skinął głową i posłał sygnał złożony z trzech błysków. Powtórzył go kilka razy, aż „Żmija” odpowiedziała szybkim miganiem, oznaczającym, że odebrali wiadomość.

Zovac, nie odrywając wzroku od „Żmii”, rzucił półgębkiem do Andrasa:

– Przerwać wiosłowanie.

Pierwszy oficer przekazał rozkaz, mężczyźni unieśli wiosła równolegle do powierzchni wody i wsparli na nich łokcie. Stopniowo okręt zaczął wytracać prędkość. Kołysał się i podskakiwał na falach.

Na pokładzie „Żmii” członkowie załogi prędko wyrzucili za prawą burtę złamany maszt i splątane płótno żagla wraz z olinowaniem. Okręt przechylił się gwałtownie. Potem jeden z mężczyzn podpalił nasączone olejem szmatki w małym żelaznym naczyniu i do nieba wzniosł się słup ciemnego dymu. Wyglądało to tak, jakby niewielki okręt był w poważnych tarapatkach.

– Zawracamy – oznajmił Zovac. Andras rozkazał załodze wrócić do wiosel i przesunął ster, kierując „Kruka” na północny wschód. Po chwili „Żmija” znikła za horyzontem. Widać było jedynie słup dymu, rozwiewany lekkim wiatrem.

– Utrzymaj okręt w tym miejscu! – rozkazał Zovac.

Andras rozkazał członkom załogi, by wiosłowali raz w tył, raz w przód.

– Postawić wyciąg blokowy – krzyknął Zavac i kilku mężczyzn podniosło cienkie drzewce i przymocowało je do dzioba. Obserwator prędko wspiął się po drzewcu, które zakołysało się pod jego ciężarem. U samej góry znajdował się poprzeczny element. Mężczyzna, dotarłszy do niego, oplótł drzewce rękami i nogami.

– Widzę „Żmiję” – zawołał.

Zavac kiwnął głową z zadowoleniem. Cienkie drzewce nie rzuciły się tak w oczy jak gruby maszt. Ryzyko, że ktoś z obcego statku zauważy figurkę obserwatora tuż nad linią horyzontu, było naprawdę niewielkie.

Czekali. Minuty mijały, a obserwator nie dawał żadnych sygnałów. W końcu Zavac krzyknął:

– Widzisz coś?

– Tylko „Żmiję” – odparł tamten.

Andras spojrział na Zavaca z lekkim pobłażaniem.

– Gdyby widział, toby powiedział.

– Nie ucz mnie, co mam robić! – warknął Zavac. – Lepiej pilnuj swojej działki.

„Swojej i twojej”, pomyślał Andras, lecz rozsądnie nic więcej nie powiedział.

Dalej czekanie. Zavac zaciskał i otwierał ręce na rękojeści miecza, przytroczonego do pasa. Klął pod nosem, zastanawiając się, co też dzieje się tuż za horyzontem. Może nieznaną statek wyczuł pismo nosem i zawrócił. Kod sygnalizacyjny, który Zavac opracował w pośpiechu, był zbyt prosty, by „Żmija” mogła dzięki niemu opisać zmieniającą się sytuację. Za jego pomocą można było podawać liczbę jednostek i kierunek, w którym zmierzają, niewiele więcej.

– Obserwator! – warknął Zavac. – Widzisz coś?

Przez chwilę obserwator rozważał, czy nie krzyknąć w odpowiedzi: „Gdybym widział, to chyba bym powiedział”, zwalczył jednak pokusę. Zavac miał nieprzewidywalny temperament, obserwator nieraz był świadkiem, jak ludzie płacili życiem za znacznie drobniejsze przewinienia. Odpowiedział więc tak jak wcześniej:

– Tylko „Żmiję”.

Znow zapadła cisza. Zavac zaczął przemierzać pokład w tę i z powrotem, gniewnie marszcząc brwi. Andras miał ochotę powiedzieć, że gdyby ich niedoszła ofiara odpłynęła, „Żmija” przerwałaby przedstawienie. Dym, wciąż snujący się nad horyzontem, wskazywał na coś przeciwnego.

– Kapitanie! – krzyknął obserwator.

Zavac prędko uniósł głowę.

– Coś widzę! Śliczny tłusty statek handlowy. Zmierza wprost na „Żmiję”!





Wiosła chwyć! – krzyknął Zovac, tym razem nie przekazując rozkazu przez Andrasa. Wioślarze przybrali odpowiednią postawę, zaczęli machać ramionami i rozciągać mięśnie, szykując się do pracy.

Pozostali członkowie załogi w tym czasie szykowali broń i wymieniali żarciki na temat nieuniknionego losu ich ofiary.

– Obserwator! – warknął Zovac.

– Podpływa do „Żmii”... Jest już blisko... Tuż-tuż... Ha! Chłopaki zaczęli akcję!

Ostatnie słowa wykrzyknął triumfalnie. Obserwator odwrócił się, by zobaczyć reakcję Zovaca. Reakcja była natychmiastowa.

– Do wiosła! – wrzasnął.

Wiosła zanurzyły się w wodzie, zatrzymały na chwilę, a potem piracki okręt ruszył przed siebie, pchnięty nagłą siłą. Główny wioślarz, zajmujący miejsce w połowie długości bakburty, skąd wszyscy mogli go usłyszeć, przez chwilę nadawał rytm, który pozostali szybko podchwycili. Zamilkł, by nie tracić sił, potrzebnych do wytężonej pracy.

Powoli zza horyzontu wynurzyły się dwa statki. „Kruk” prędko sunął w ich stronę. Po kilku minutach Zovac mógł dostrzec, jak jego ludzie przeskakują na pokład statku handlowego i rzucają się na członków załogi. Ciemne postacie piratów zalały pokład. Obca załoga była nieliczna, Zovac doliczył się może ośmiu osób.

Odwrócił się do Andrasa.

– Podpłynmy od bakburty – rozkazał. Przy prawej stała „Żmija”, wczepiona w nią drapaczami niby gigantyczna pijawka.

Andras skinął głową i pochylił się nad sterem. „Kruk” zatoczył łuk, obrał odpowiedni kurs i na chwilę zamarł na fali.

– Prędej! – krzyknął Zovac i główny wioślarz zaczął nadawać nowy szybszy rytm. „Kruk” wyskoczył do przodu.

Byli już tak blisko, że słyszeli krzyki rannych, szczęk mieczy i głuche uderzenia toporów o tarcze, czasami, kiedy ostrze utkwilo w drewnie, głośny trzask.

Kiedy znaleźli się naprawdę blisko, Zovac krzyknął:

– Wiosła!

Mężczyźni, siedzący po lewej stronie, momentalnie unieśli wiosła pionowo do góry. „Kruk” podpłynął do obcego statku i otarł się burtą o jego burtę, wywołując przeciągłe drżenie. Pozostali członkowie załogi już czekali w pogotowiu z przygotowanymi drapaczami. Teraz zarzucili je i pociągnęli mocno za liny. Burty obu statków zetknęły się. Zovac dobył miecza i pierwszy ruszył do boju.

– Dalej! – krzyknął i piraci, gotowi do walki, poszli w jego ślady.

Żyli jeszcze tylko czterej członkowie obcej załogi. Na widok powiększających się szeregów wroga zakrzyknęły rozpaczliwie i na rozkaz tego, który zapewne był ich kapitanem,

rzucili broń na pokład.

Dla jednego z nich i tak było za późno – włócznia, wypuszczona ręką pirata, przeszła jego ciało. Krzyknął i padł na deski, próbując wyciągnąć śmiertelne drzewce.

– Starczy! – ryknął Zovac. – Opuśćcie broń!

Niektórym członkom załogi wcale się nie spieszyło.

Zbudził się w nich duch walki i teraz wcale nie chciał ucieknąć. Zovac przewidział to i wcześniej wyznaczył trzech najpotężniejszych ludzi, uzbrojonych w maczugi, by się tym zajęli.

– Powstrzymajcie ich! – rozkazał.

Nie zrobił tego z litości dla pokonanych. Zauważył, że wśród ocalałych jest kapitan – człowiek, który dał rozkaz do poddania się. Zovac zamierzał go przesłuchać. Czasami kapitan statku handlowego potrafi dostarczyć bardzo cennych wiadomości.

Trzej pomocnicy Zavaca ruszyli przed siebie, odsuwając po drodze swych towarzyszy. Ten, który rzucił włócznią, właśnie wyciągał drzewce z ciała ofiary i teraz szukał kolejnej, wodząc dokoła dzikim wzrokiem. Jeden z trzech olbrzymów przywalił mu w głowę, brutalnie i bez ceregieli. Tamten stracił przytomność i osunął się na pokład.

Zovac przecisnął się między członkami swojej załogi, otaczającymi trzech ocalałych kupców. Lewą ręką chwycił kapitana za kołnierz, prawą, w której dzierżył długi wygięty miecz, uniósł nad głowę.

– Ty! – wrzasnął. – Jesteś kapitanem, zgadza się?

Mężczyzna spojrział na niego ze wzdrganiem, po czym splunął na pokład.

– Oui – odpowiedział. – Je suis le capitaine.

– Gallijczyk? – spytał Zovac, a mężczyzna przytaknął. Zovac spojrział prędko na pozostałych dwóch. Byli to zwykli żeglarze. Świadczyły o tym ich proste ubrania, zniszczone twarze i dłonie, smołowane warkoczki. Na pewno nie mieli nic ciekawego do powiedzenia. Zovac wskazał ich mieczem.

– Tych dwóch zabijcie.

Kapitan, domyśliwszy się jego zamiarów, zaczął protestować, lecz dwaj ludzie Zavaca wystąpili naprzód i zadźgali żeglarzy. Jeden zmarł w milczeniu. Drugi wydał krótki okrzyk bólu i rozpacz, a potem osunął się na zakrwawiony pokład.

– Przeszukajcie statek – polecił Zovac. Wsunął miecz do pochwy i kciukiem wskazał kapitana. – Zawleczenie go na tył.

Dwaj jego pomagierzy chwycili kapitana za ramiona i ruszyli w stronę rufy. Na znak Zavaca rzucili go na deski pokładu. Zovac oparł się o nadburcie i z ciekawością spojrział na kapitana.

– No, to teraz zobaczymy, co tam wiesz – powiedział miękko.

Okazało się, że ładownie są prawie puste, co oznaczało, że większość towarów została sprzedana na południu.

– Widzę, że szybko się uwinęliście – stwierdził wesoło, spojrzawszy na niewielki stos rzeczy, które jego ludzie wyciągnęli spod pokładu. Składało się nań kilka beczek wina i piwa, trochę glinianych naczyń z olejem i parę beli wełny. Andras przyjrzał im się i stwierdził:

– Kiepska jakość.

Zovac skinął głową. Najwidoczniej Gallijczycy nie znaleźli kupca na wełnę.

– A więc sprzedaliście cały towar – zwrócił się do kapitana, który spojrział na niego zdezorientowany. Zovac szybko stracił dobry humor.

– Nie próbuj ze mną pogrywać! – wrzasnął, wyciągając długi sztylet z pochwy u pasa. – Mówisz wspólnym językiem! Jesteś kupcem!

Prędko, niczym atakujący wąż, machnął sztyletem i ciałem Gallijczyka w twarz. Mężczyzna



przytknął dłonie do rany i ze zdumieniem spojrzął na znaczące je plamy krwi. Zamac ciął tak szybko, a sztylet był tak ostry, że kapitan prawie niczego nie poczuł. Teraz ból dotarł do jego świadomości, twarz zapłonęła, a krew zaczęła kapać na ubranie.

Skulił się, zasłaniając się ramieniem, na próżno próbując uniknąć kolejnego ataku.

– No, gadaj! – zażądał Zamac, znów spokojnym tonem.

Kapitan, wciąż przyciskając rękę do twarzy, rzekł powoli:

– Co mam ci powiedzieć?

Zamac uśmiechnął się i zbliżył koniuszek sztyletu do twarzy mężczyzny. Trzymał broń w luźnym uchwycie, lekko poruszając ostrzem.

– Sprzedałeś towar. To znaczy, że skrzynka jest pełna złota. Gdzie ją schowałeś?

Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że gdzieś na statku musi być ukryta specjalna skrzynka, w której kupiec trzyma zarobione pieniądze. Oczywiście, jego ludzie znaleźliby ją tak czy inaczej, gdyby przeszukali statek. Ale wołał ułatwić sobie zadanie.

Gallijczyk potrząsnął jednak głową.

– Nie mam złota. Handel się nie udał, w dodatku nasz statek został uszkodzony podczas sztormu i musiałem sporo zapłacić za naprawy. Nic nie zostało, przysięgam.

Zamac spojrzął na sztylet w swojej dłoni, zrobił minę, jakby zmienił zdanie i schował go do pochwy. Westchnął ciężko, spoglądając w niebo.

– Wiesz co – powiedział wesołym tonem – zastanawiam się, ile to już statków zatopiłem przez te wszystkie lata. Sto? Dwieście? Pewnie raczej to drugie. Zastanawiam się też, dlaczego niemal za każdym razem kapitan zapierał się, że nie ma złota. Nie ma skrzynki, nie ma schowka. Za każdym razem to samo. I wiesz co?

Teraz przeniósł spojrzenie na swą ofiarę. Mężczyzna nadal przyciskał rękę do policzka, choć krew zaczęła krzepnąć i już prawie nie płynęła. Spojrzął na pirata. Jego wzrok zdradzał przerażenie.

– Co? – zapytał.

– Wszyscy kłamali. Wszyscy co do jednego. Dlaczego więc miałbym wierzyć tobie?

– Ja... – zaczął kapitan, lecz zamilkł. Czuł, że nie ma sensu dyskutować z tym człowiekiem. Wiedział, że jest skazany. Mógł zemścić się tylko w jeden sposób – nie zdradzając, gdzie schował złoto. Zamac popatrzył na niego z udawaną litością. Potem machnął ręką.

– Widzę, że mi nie powiesz – stwierdził. Odwrócił i odszedł, kierując się w stronę dziobu. Zrobił zaledwie trzy kroki, po czym zawrócił i powiedział do swoich potężnych pomagierów:

– Pomęczcie go trochę. Zawołajcie mnie, kiedy będzie gotów mówić. – Po chwili namysłu zmienił zdanie.

– Chociaż nie, pomęczcie go jeszcze trochę, tak przez pięć minut. Dopiero wtedy mnie zawołajcie.



Gallijczyk poddał się po piętnastu minutach. Zgodnie z rozkazem oprawcy przedłużyli jego mękę o kolejne pięć, aż w końcu Zamac kazał im przerwać.

Kapitan był nie do poznania. Jego twarz zmieniła się w krwawą maskę, również na koszuli widniały plamy krwi. U prawej dłoni brakowało dwóch palców, lewe ucho także znikło. Pod okiem widniało głębokie nacięcie. To właśnie przekonało go, by się poddać. Choć wiedział, że umrze, wizja utraty oka wydawała mu się zbyt okropna.

Zamac przyglądał mu się przez chwilę z profesjonalnym zainteresowaniem, po czym

uśmiechnął się do swych potężnych asystentów.

– Niesamowite, co można osiągnąć w ciągu zaledwie kilku minut za pomocą pary ostrych noży – stwierdził.

Potem ukląkł na jednym kolanie obok kapitana, który leżał twarzą w dół, w kałuży własnej krwi, głośno oddychając przez złamany nos.

– Teraz skrzynka – powiedział Zovac.

Musiał pochylić się niżej, by usłyszeć odpowiedź, gdyż kapitan z bólu mówił bardzo niewyraźnie.

– Klepka... za łańcuchem kotwicy...

Zovac serdecznie poklepał go po ramieniu.

– Znacznie lepiej! – powiedział. – Jestem pewien, że to wyznanie pomogło ci oczyścić duszę. – Podniósł się i ruszył w stronę dziobu. Jeden z pomocników zatrzymał go i spytał:

– Mamy z nim skończyć?

Zovac potrząsnął głową.

– Zaczekaj, najpierw sprawdzimy, czy mówi prawdę. Może będę musiał zadać mu jeszcze kilka pytań.

Ale skrzynka rzeczywiście była w schowku za ruchomą klepką. Nie miała zamka.

Widocznie uznano kryjówkę za wystarczająco bezpieczną. Zovac odchylił wieko. Oczy zrobiły mu się wielkie i załśniły chciwością.

Oczywiście w środku było złoto. Mnóstwo złota. Ale prócz tego, w oddzielnej przegródce – dziewięć wspaniałych szmaragdów, największych i najpiękniejszych, jakie Zovac kiedykolwiek widział.

– Halo – powiedział kpiarsko. – A to skąd się tu wzięło?

Podszedł do kapitana i powtórzył pytanie, lecz ten tylko z trudem pokręcił głową, zbyt osłabiony, by odpowiedzieć. Przez chwilę Zovac miał ochotę mu przyłożyć, potrząsnąć nim i zmusić do mówienia. Czuł jednak, że niewiele by to dało. Zamiast tego znów przykląkł na jednym kolanie, pochylił się i szepnął:

– Powiedz mi, skąd masz te szmaragdy, a wyzwolę cię od bólu.

Kapitan spojrzał na niego przekrwionymi oczami. Zovac skinął głową zachęcająco.

W końcu Gallijczyk zebrał siły i powiedział:

– Limmat. Pochodzą z Limmat.

Limmat był to port handlowy, leżący nieco dalej na południe. Zovac zmarszczył brwi. Nigdy nie słyszał, by w tej części wybrzeża występowały szmaragdy.

– Nie kłam – ostrzegł. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Gallijczyk jednak potrząsnął głową.

– To prawda. W górach za miastem jest kopalnia. Ukryta. Sekretna.

– Ukryta? Jak?

– Szopa. U stóp wzgórza. To wejście.

Zovac z namysłem potarł podbródek.

– Zadali sobie sporo trudu – stwierdził.

– Nie chcą, by ktoś obcy się dowiedział.

Uśmiech powrócił na twarz Zavaca.

– Doskonale ich rozumiem – powiedział. – Takie wieści mogłyby przyciągnąć do miasta różne nieodpowiednie osoby.

Podniósł się z zamyśloną miną. Aby podbić Limmat, potrzebował więcej ludzi. Było to dość duże miasto, a jego mieszkańcy z pewnością byli gotowi bez wahania stanąć do walki w obronie kopalni szmaragdów.

Zavac wiedział jednak, gdzie może zdobyć posiłki. Kilka mil dalej znajdowała się zatoka, służąca za miejsce zbiorek madziarskich okrętów. Piraci zwykle spotykali się tam podczas wypraw. Jeśli któremuś z kapitanów trafiła się taka gratka jak teraz Zavacowi i potrzebował dodatkowych ludzi do pomocy, wiedział, że może ich szukać właśnie tam.

Zavac postanowił, że popłyną do zatoki, a jeśli akurat nie zastaną swych krajan, zaczekają kilka dni. O tej porze roku, gdy właśnie zaczynał się sezon polowań, niemal na pewno powinien wkrótce zjawić się jakiś okręt. Pograżony w rozmyślaniach, ruszył przed siebie. Kapitan zawołał za nim:

– Obiecałeś...

Zavac odwrócił się, marszcząc brwi.

– Obiecałem? Co takiego obiecałem?

– Wyzwolić mnie od bólu... – Mężczyzna uniósł dłoń w błagalnym geście. Pokryta szybko zastygającą krwią, pozbawiona dwóch palców, przypominała raczej ptasi szpon niż ludzką rękę.

– Czyżby? – powiedział, po czym uśmiechnął się, jakby nagle sobie przypomniał. – Ach, rzeczywiście.

Odwrócił się do kapitana, wyciągnął miecz i przebił go na wylot.

– A ja zawsze dotrzymuję słowa.

Potem spojrzął na swych pomocników i kciukiem wskazał martwego mężczyznę.

– Wyrzucicie to za burtę.



## Rozdział 15



Wiosła! – krzyknął Hal. Czaple pospiesznie spełniły polecenie. Potem, uprzedzając kolejne, Jesper i Stefan podeszli do fałów, szykując się do podniesienia rejkę z żaglem. Ulf i Wulf zaś ustawili się przy szotach, służących do trzymowania żagla.

Łódź unosiła się na wodach zatoki niczym mewa. Znajdowali się jakieś piętnaście metrów od brzegu. Za chwilę mieli się przekonać, czy płetwa projektu Hala zadziała, czy nie. Na razie leżała na skrzyni, otaczającej otwór w dnie łodzi. Thorn stał obok, czekając na rozkaz.

– Prawy żagiel – polecił Hal. Jesper i Stefan podnieśli rejkę z żaglem. Wiatr był umiarkowany, lecz nadal wystarczająco silny, by wydać żagiel. Ulf i Wulf, nie czekając na

rozkazy, wybrali szoty, aż płótno napięło się na wietrze. Kiedy łódź się przechyliła i prawa burta zbliżyła się do linii wody, poluzowali nieco i łódź znów stanęła prosto.

Gdy zbudziła się do życia i pomknęła przez zatokę, Hal jak zwykle poczuł dreszczyk emocji. Ster drżał pod jego dłonią. Pod podeszwami stóp czuł uderzenia wody o kadłub. Kiedy „Czapla” nabrała prędkości, Hal skinął głową do Thorny.

– Wysuń ją.

Thorn wsparł się na płetwie całym ciężarem ciała i precyzyjnie ją przez otwór, aż znalazła się w wodzie. Hal wybił otwór skórą, przez co był on bardzo ciasny. Trochę wody przysło na pokład.

Hal od razu poczuł różnicę. Okręty o wąskiej stępce, a do takich należała „Czapla”, mają tendencje do dryfowania z wiatrem, a przy zwrotach często nimi zarzuca. Płetwa postawiła dodatkowy opór i kiedy Hal przesunął ster w prawo, łódź odpowiedziała momentalnie i obróciła się łagodnie, tym razem nie rzucając na boki.

Hal spojrzał na Stiga, który przyglądał mu się, zaniepokojony, z ławki przy lewej burcie.

– No i jak? – zapytał. Szeroki uśmiech na twarzy Hala wystarczył za odpowiedź.

– Sam się przekonaj – przyjaciel wskazał mu miejsce przy sterze.

Następnie krzyknął do Thorny:

– Podnieś płetwę. – Hal chciał, żeby Stig poczuł różnicę.

Thorn wciągnął płetwę z powrotem, stękając z wysiłku. Hal niemal natychmiast poczuł, że łódź zaczyna znosić z wiatrem.

– Ciasno – stwierdził Thorn. – Czym wyłożyłeś otwór?

– Och, skórą i baranim futrem – odparł Hal z roztargnieniem. Nie zarejestrował ostrego spojrzenia, które rzucił mu Thorn. Stig czekał już obok, by przejąć ster. Hal przekazał mu go i ponownie zwrócił się do Thorny:

– Opuść płetwę.

Thorn spojrzał na niego, po czym gniewnym ruchem przepchnął płetwę przez otwór. Woda przysła na pokład.

– Mam ją przepchnąć przez ten otwór, wybity baranim futrem, tak? – mruknął ponuro.

Hal jednak nie zwrócił na niego uwagi, obserwował bowiem twarz Stiga, na której po chwili pojawił się uśmiech równie szeroki jak ten, który wcześniej jaśniał na jego twarzy.

– Niesamowite! – stwierdził Stig. – Teraz naprawdę trzyma kurs! Prawie nie dryfuje!

– Spróbuj skrócić – powiedział Hal. Kiedy Stig przesunął ster, płetwa w pełni pokazała swoje zalety. Łódź skręciła gładko i tym razem nie rzucało nią na boki.

– Już wcześniej była dobra – powiedział Stig. Jego oczy z zachwyty zrobiły się okrągłe. – Ale teraz jest doskonała.

Oddalili się od brzegu i wiatr przybrał na sile. Hal przejął ster i zawołał do bliźniaków:

– Wybierzcie żagiel!

Pociągnęli szoty. Kiedy żagiel został strymowany, „Czapla” przechyliła się, ale nieznacznie, zapobiegł temu opór, który stworzyła płetwa. Ulf i Wulf strymowali żagiel jeszcze mocniej. „Czapla” pruła fale coraz szybciej i szybciej. W końcu przechyliła się tak mocno, że woda, zwieńczona grzywą białej piany, niemal dosięgła prawego nadburcia.

Poluzowali żagiel, by nie dopuścić do zalania pokładu. Białe kilwater wyraźnie świadczyły o prędkości, z jaką pędziła „Czapla”.

Stig i Hal równocześnie wydali okrzyk triumfu.

– Nieprawdopodobne – stwierdził Stig. Był tak zachwycony, że nic innego nie przyszło mu do głowy, ale szeroki uśmiech na jego twarzy mówił wszystko. Ulf i Wulf spojrzeli na przyjaciół, stojących przy sterze.

– Bomba! – stwierdził Ulf, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Wcześniej nie dałoby się wybrać żagla tak mocno!

– Spójrz tylko, jak pędzimy! – dodał Wulf.

Hal skinął głową Thornowi.

– Chodź, spróbuj! – zawołał. – Chłopcy, poluzujcie żagiel, a ty, Stigu, podnieś płetwę!

Thorn i Stig zamienili się miejscami. Stig odczekał, aż bliźniaki poluzują żagiel, i zaczął wciągać płetwę z powrotem.

– Ostrożnie – powiedział Thorn. – Ten otwór jest bardzo ciasny. Podobno ktoś wyłożył go *baranim futrem*.

Nagle do Hala dotarło, czemu Thorn tak bardzo interesuje ten temat. Rzucił przyjacielowi pełen skruchy spojrzenie.

– Och... – zaczął z zakłopotaniem. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że to był twój kubrak... Znalazłem go... tak jakby... i...

– I uznałeś, że to jakaś owca padła i uprzemie zostawiła ci swoje ubranko? – powiedział Thorn w wyraźnym sarkazmem. – Po prostu wysunęła się z niego, z nadzieją, że je znajdziesz?

– Cóż, nie całkiem. Po prostu nie pomyślałem...

– Do tego chyba wszyscy zdążyliśmy przywyknąć, prawda? – przerwał mu Thorn. Przytrzymał wzrok Hala, aż ten spuścił głowę.

„No, to swoje powiedziałem”, pomyślał Thorn, po czym sięgnął po ster.

– Dobra. Zobaczmy, jak się sprawuje ta twoja płetwa.

Kiedy Thorn wypróbował możliwości łodzi wyposażonej w płetwę, oczywiście wpadł w zachwyt, podobnie jak wcześniej Stig i Hal.

– Udało ci się – powiedział do Hala. – Prędkość i zwinność. Masz tego teraz naprawdę pod dostatkiem. – Przyciskając wiosło sterowe drewnianym hakiem, lewą ręką poklepał swego młodego przyjaciela po ramieniu. – Następnym razem chyba przyczepisz jej skrzydła i polecimy?

Hal zaśmiał się.

– Myślałem o tym, ale chyba nie potrafię zrealizować tego projektu... na razie.

Testując płetwę, przemierzali zatokę w tę i z powrotem, teraz skierowali się do wyjścia na morze. Hal spjrzał na fale. Urosły, lecz nie aż tak, by „Czapla” nie potrafiła sobie z nimi poradzić. Spjrzał na Thorną.

– Myślisz, że pogoda się utrzyma? – zapytał. Thorn spjrzał w niebo, mrużąc oczy w skupieniu.

– Chyba się przejaśniło. Nie powinna się zmienić przez kilka kolejnych dni.

– W takim razie popłynemy do tego miasteczka – zaproponował Hal. – Muszę kupić kilka rzeczy.

– W tym bardzo ładny i bardzo drogi kubrak z baraniego futra? – podpowiedział Thorn.

Hal pokiwał głową.

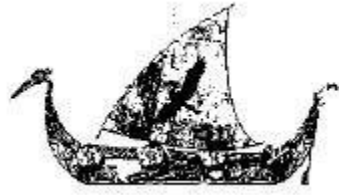
– Ależ oczywiście. Jest pierwszy na liście.

– Naprawdę? Chciałbym ją zobaczyć.

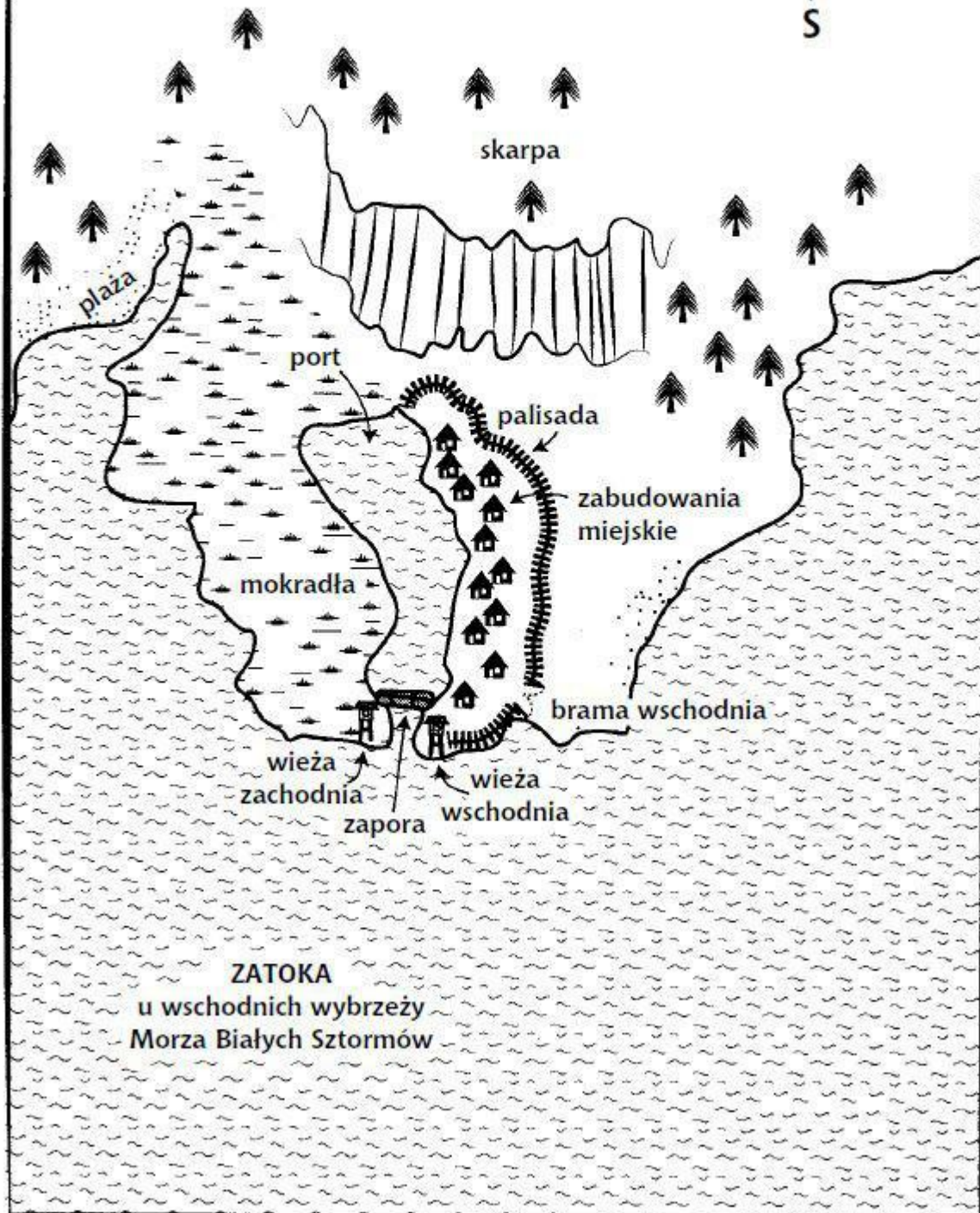
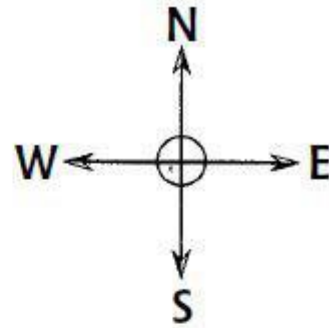
Hal postukał palcem w czoło.

– Jest w mojej głowie – odparł. – Ale „kubrak z baraniego futra” widnieje na samej górze. Możesz mi zaufać.

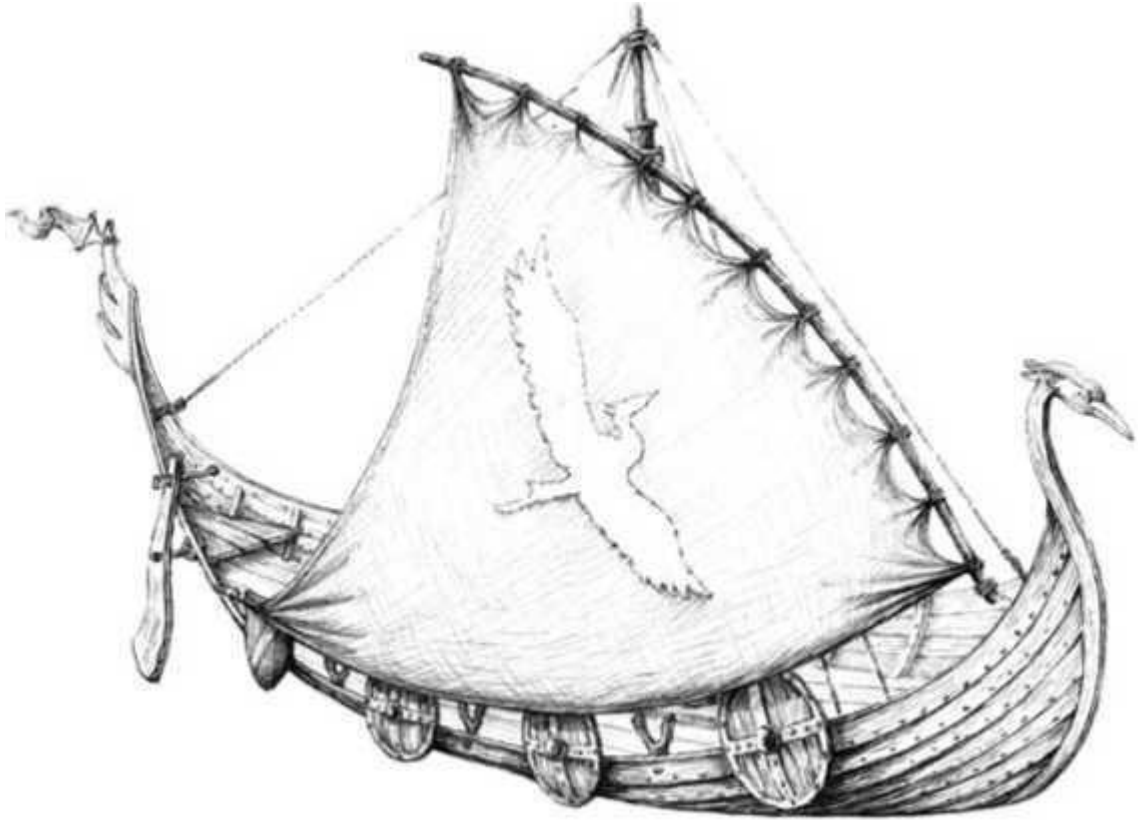
– Kiedyś zaufałem. I spójrz, jak na tym wyszedłem.



# Miasto Limmat



Część 2



NAJEŹDZCY



Rozdział 16





Limmat zbudowano dokoła portu, znajdującego się u zachodniego brzegu szerokiej głębokiej zatoki.

Wejście do portu było wąskie. Pilnowały go dwie drewniane wieże, a pośrodku biegła zapora pływająca z ciężkich belek, broniąc wejścia przed obcymi okrętami. Gdyby jakiś próbował sforsować zaporę, łucznicy i procarze zasypaliby go gradem strzał i ołowianych kul. Za wąskim przejściem znajdowała się bezpieczna, osłonięta przed wiatrami przystań. Zabudowania miasta znajdowały się we wschodniej części portu. Od strony lądu chroniła je drewniana palisada. Do miasta, nie licząc wejścia od portu, można było dostać się wyłącznie od strony zatoki, przez ciężką bramę w palisadzie, oddzieloną od morza wąskim pasem plaży.

Na południowym zachodzie rozciągały się nieprzebyte mokradła. Woda była płytka, mniej więcej do pasa, dno muliste i zdradliwe. Każdy, kto próbowałby zaatakować miasto od tej strony, nieuchronnie ugrzązłby na bagnach. Wprawdzie dało się po nich pływać skifem czy inną małą łódką, ale w ten sposób trudno byłoby przetransportować na raz większą grupę ludzi. A nawet gdyby większej grupie napastników udało się pokonać mokradła w ten sposób, obserwatorzy zdążyliby ich zauważyć i wszcząć alarm, zanim tamci dotarliby do miasta.

Poza tym, nawet gdyby zdołali przepłynąć się przez bagna i zebrać w jednym miejscu, nadal znajdowałby się po złej stronie portu i palisady, broniącej dostępu do miasta.

Zavac, patrząc na miasto ze swojego miejsca przy sterze, pomyślał, że Limmat ma doskonałe położenie i zajmuje świetną pozycję obronną. „Kruk” płynął, pchany siłą wioseł, jakieś czterysta metrów od brzegu. Zavac dostrzegł poruszenie na wieżach strażniczych. Obserwatorzy zauważyli „Kruka”, który ewidentnie wyglądał na okręt wojenny, nie handlowy, i zapewne podnieśli alarm.

Zavac spojrział na wejście do portu. Zobaczył pas białej piany. Wskazał w tamtą stronę i powiedział do Andrasa:

– Zapora jest zamknięta.

Pierwszy oficer skinął głową.

– Pewnie jest zamknięta przez cały czas – odparł. Przysłaniając oczy ręką, spojrział na cypel po obu stronach wejścia. Gdzieś powinny znajdować się kołowroty, poruszające zaporą: otwierające ją, by wpuścić te statki, w których limmatanie nie widzieli zagrożenia i zamykające ją przed tymi, których nie chcieli gościć w swoim porcie.

– Zauważyli nas – powiedział Andras do Zavaca. – Straciliśmy element zaskoczenia.

Andras nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Skoro zamierzali zaatakować Limmat, lepiej, gdyby jego mieszkańcy nie wiedzieli, że znajdują się w pobliżu. Najlepszy byłby atak nocą. Pod osłoną ciemności mogliby po rozkładanych drabinkach wspiąć się na którąś z wież strażniczych i zaatakować wartowników. Ale tamci już zauważyli „Kruka”, co raczej uniemożliwiło zrealizowanie takiego planu. Na pewno zachowają wyjątkową czujność i pewnie wystawią podwójną nocną wartę, obawiając się właśnie tego, że piraci zaatakują w ciemnościach.

A czujni i podenerwowani strażnicy to coś zupełnie innego niż strażnicy zaspani i spokojni, czujący się bezpiecznie w swoich wieżach.

Zavac uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Chciałem, żeby nas zauważyli. Chcę, by wiedzieli, że jesteśmy w okolicy. Szykuję dla nich inną niespodziankę. Teraz będzie pokaz.

Przesunął ster, kierując „Kruka” w stronę brzegu. Wioślarze utrzymali niespieszny rytm, czarny okręt sunął przez fale. Kiedy podpłynęli bliżej, dobiegły ich ostrzegawcze krzyki z wież strażniczych. Mężczyźni zaczęli potrząsać bronią, słońce zabłysło na ostrzach.

Zavac skierował swój statek w stronę przesmyku między cypłami.

– Prędszej – rozkazał i wioślarze zwiększyli tempo. „Kruk” pomknął przed siebie,

z grzebieniem białej fali u dziobu, prosto na zaporę. Była zbudowana z czterech masywnych pni, połączonych krótkimi łańcuchami, i unosiła się tuż pod powierzchnią. Gdyby nie drobne fale, byłaby całkowicie niewidoczna.

Zmierzył wzrokiem odległość. Sto pięćdziesiąt metrów. Za każdy pociągnięciem wiosła coraz wyraźniej słyszeli krzyki strażników i szcęk broni. Nagle Zovac podniósł rękę.

– Wiosła wstecz! – krzyknął. Mężczyźni wsparli się na wiosłach i wykonali polecenie. „Kruk” zahamował gwałtownie, Zovac poleciał do przodu, ale zaraz odzyskał równowagę.

– Lewa wstecz! Prawa naprzód! – rozkazał i mężczyźni zaczęli zaciekle wiosłować w przeciwnych kierunkach. „Kruk” zrobił zwrot w lewo, przechylił się mocno na jedną stronę, woda wlała się na pokład.

Miał nadzieję, że z brzegu będzie to wyglądało tak, jakby w ostatnim momencie zauważyli zaporę i zatrzymali się gwałtownie.

– Teraz powoli do przodu – polecił i wiosłarze znów zaczęli pracować w niespiesznym tempie.

Strażnicy, widząc, że obcy okręt oddala się jak niepyszny, pożegnali ich zwiększoną porcją wyzwisk i pogrózek.

– Po co było to wszystko? – spytał Andras.

Zovac uśmiechnął się.

– Jutro wrócimy.

Oficer potrzasnął głową, zdezorientowany.

– Myślisz, że jutro zareagują inaczej?

– O, tak. Jutro powitają nas z otwartymi ramionami – odparł Zovac, po czym dodał, wzruszając ramionami:

– No, w każdym razie z otwartą zaporą.



– Zbliża się jakiś okręt! Z południa! – krzyknął strażnik ze wschodniej wieży. Nagle wszyscy skoczyli na równe nogi i podbiegli do balustrady. Z niewielkiej budki, w której chronili się ci, którzy akurat nie byli na służbie, wyszedł dowódca straży, prędko zapinając pas z mieczem. Potem strząsnął okruchy z tuniki i podszedł do strażnika, wciąż stojącego przy balustradzie. Wyglądało na to, że musiał przerwać drugie śniadanie.

Wśród strażników wyraźnie wyczuwało się napięcie. Z powodu wizyty pirackiego okrętu poprzedniego dnia ich szeregi zostały podwojone. Byli gotowi do odparcia ataku.

– Czy to ten czarny okręt, który widzieliśmy wczoraj? – zapytał dowódca.

Strażnik potrząsnął głową i wyciągnął rękę przed siebie.

– Nie. Jest znacznie mniejszy. To raczej statek handlowy. I bardzo mu się spieszy.

Dowódca pobiegł wzrokiem za ramieniem strażnika i zmarszczył brwi. Rzeczywiście, był to niewielki statek handlowy i bezsprzecznie mu się spieszyło. Osiem wiosła szybko uderzało w wodę. Miał wrażenie, że nawet z tej odległości wyczuwa przerażenie wiosłarzy. Nie pracowali w równym tempie, raczej każdy po prostu walił wiosłem najszybciej jak potrafił.

– Rzeczywiście im się spieszy – mruknął dowódca, mrużąc oczy w nadziei, że dostrzeże więcej szczegółów, ale odległość wciąż była zbyt duża.

Statek napędzała nie tylko siła ośmiu wiosła. Wiatr wydymał prostokątny żagiel, stary i zniszczony od długoletniego użytkowania, jak zauważył dowódca, gdy statek znalazł się nieco bliżej. Żagle bardzo drogo kosztowały i kapitanowie na jednostkach handlowych zwykle

szczędzili na ich wymianę, czasem co najwyżej przycinali odpowiednio płótno, jeśli żagiel tracił kształt. Aż przychodził taki dzień jak dzisiejszy, kiedy okazywało się, że w razie zagrożenia zbytnie oszczędności można przypłacić własnym życiem.

Bo właśnie teraz statek znajdował się w niebezpieczeństwie. Zza horyzontu wychynał złowieszczy ciemny kształt.

– Oto, dlaczego tak im spieszo! – stwierdził dowódca.

– To piraci! – krzyknął ktoś. – Czarny okręt, który wczoraj próbował nas zaatakować!

– Szkoda, że w ostatniej chwili zauważyli zaporę – mruknął obserwator. Poprzedniego dnia akurat stał na straży i widział, jak czarny okręt w szaleńczym tempie natarł na wejście do portu. Obcy w ostatniej chwili dostrzegli zaporę i zdążyli zahamować. Strażnicy mieli nadzieję, że zobaczą, jak okręt napastników rozbija się o wielkie belki. Przeżyli wielki zawód, kiedy jednak zatrzymał się, dosłownie w ostatniej sekundzie, a potem wycofał, niby pies z podkulonym ogonem.

Najwyraźniej piraci postanowili poszukać łatwiejszej ofiary, jakiegoś statku handlowego, zmierzającego do Limmat.

– Dogania ich! – krzyknął jeden z ludzi. Nie musiał dodawać, który statek ma na myśli. Podczas gdy wioślarze na statku handlowym pracowali chaotycznie i nerwowo, wiosła wzdłuż obu burt czarnego okrętu poruszały się w dół i w tył, i w przód i znowu w dół, idealnie zsynchronizowane. Okręt pruł fale i szybko pokonywał odległość, dzielącą go od statku handlowego.

– Jest jeszcze jeden! – krzyknął ktoś, kiedy trzeci statek ukazał się na horyzoncie. Miał ciemnozielony kadłub, niemal tak długi jak kadłub czarnego pirackiego okrętu.

– Kolejny pirat, założę się – stwierdził dowódca. Ale trzeci statek znajdował się za daleko, by w jakikolwiek sposób wpłynąć na wynik desperackiego wyścigu, który rozgrywał się przed ich oczami. Dowódca spojrzał na statek handlowy. Teraz mógł dostrzec więcej szczegółów. Obie burty jeżyły się wbitymi w nie strzałami, na pokładzie leżało kilka nieruchomych ciał. Wiatr szarpał żaglem – w płótnie widniało z boku cięcie na całej długości.

Dowódca spojrzał na piracki okręt. Doganiał on statek handlowy, lecz ten z kolei szybko zbliżał się do wejścia do portu. Miały mniej więcej równe szanse. Jednakże po kilku minutach dowódca stwierdził, że statek handlowy zdąży umknąć swemu prześladowcy.

Odwrócił się do mężczyzn, stojących przy balustradzie. Niektórzy okrzykami dodawali otuchy niewielkiemu statkowi, zmierzającemu w stronę miasta.

– Biegnijcie na dół! – krzyknął dowódca. – Otwórzcie zaporę i wpuście ich do portu!

Wieża zatrzęsa się, gdy mężczyźni zaczęli pospiesznie schodzić po drabinach. Dowódca jeszcze przez kilka minut przyglądał się statkom, by ocenić ich prędkość i odległość między nimi.

Wyglądało na to, że statek handlowy zdąży uciec. Tylko że po otwarciu zapory trzeba będzie zamknąć ją czym prędzej, nim dotrze do niej czarny okręt. Zbiegłszy na dół, dowódca chwycił róg i dmuchnął przeciągle, by ostrzec strażników z drugiej wieży. Jego ludzie już otwierali potężną szklę. Dowódca pomachał do strażników po drugiej stronie wejścia do portu.

Zapora zaczęła oddalać się od falochronu, unoszona falą przypływu. Strażnicy z drugiej wieży zaś zaczęli obracać ogromnym kołowrotem. Zapora przesuwiała się coraz szybciej. W tym czasie strażnicy ze wschodniej wieży rozwinęli ciężką linę, która służyła do przyciągania zapory z powrotem. Lina opadła pod powierzchnię wody – tam nie mogła przeszkodzić zbliżającemu się statkowi.

Dowódca oderwał wzrok od zapory i zobaczył, że ścigany statek znajduje się zaledwie dwadzieścia-trzydzieści metrów od wejścia. Wioślarze pracowali teraz w równym

skoordynowanym rytmie. Ale zamiast zwrócić się wprost do wejścia, statek kierował się w stronę falochronu, na którym stał dowódca.

Nagle w jego głowie zrodziło się straszliwe podejrzenie. Czarny okręt i ten drugi, widoczny na razie w oddali, zaatakowały statek handlowy. Świadczyły o tym strzały, wbite w jego burty i martwe ciała na pokładzie. Podczas walki okręty musiały znajdować się w bardzo bliskiej odległości od siebie – jakichś stu metrów, może mniej. A więc jak statek handlowy zdołał uciec? I w jaki sposób uzyskał taką przewagę podczas pościgu?

Kiedy dowódca uświadomił sobie, co tak naprawdę się dzieje, czym prędzej krzyknął, wskazując kołowrót, znajdujący się po ich stronie wejścia do portu:

– Zamknąć zaporę! Zamknąć zaporę! To podstęp!

Głos łamał mu się z emocji.

Ale było za późno.

Statek handlowy już wpływał do portu, kierując się w stronę falochronu. Z trzaskiem otarł się o kamienną ścianę. Nagle na pokładzie zaroilo się od ludzi, którzy zaczęli przeskakiwać na falochron. Było ich więcej niż zwykle liczy załoga takiego statku. Martwi żeglarze, jak za sprawą jakiejś ciemnej magii, nagle ożyli i z bronią w ręku również zaczęli wdrapywać się na falochron, wydając bojowe okrzyki.

Dowódca wyciągnął miecz z pochwy i pobiegł, by ich powstrzymać. Jego ludzie, kompletnie zaskoczeni, padali pod ciosami napastników. Kilku połączyło siły i razem próbowało stawiać opór. Było ich jednak zbyt mało.

Wzrok dowódcy padł na wysokiego śniadego mężczyznę, który wydawał piratom rozkazy, i skierował się w jego stronę. Gdyby zabił przywódcę, miasto miałoby szansę się uratować. Kątem oka widział, jak czarny okręt zbliża się do wejścia do portu. Wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia.

Śniady mężczyzna akurat patrzył w inną stronę. Dowódca uniósł miecz do ciosu.



Chwilę wcześniej, kiedy „Żmija” już prawie dobijała do nabrzeża, Zovac otworzył kłapę wjazdu i krzyknął do dwudziestu mężczyzn, skulonych w ładowni pod pokładem:

– Wylądźcie!

Tamci zaryczeli w odpowiedzi. Po kolei wskakiwali ze swojej kryjówki i biegli za Zovakiem na dziób. Dwaj, zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami, zaczęli wiązać cumy na pierścieniu w ścianie falochronu.

Kiedy znaleźli się na falochronie, Zovac stanął z boku i puścił przodem pierwszą grupę mężczyzn. Wrzeszcząc wniebogłose, rzucili się na zaskoczonych strażników. Niektórzy z nich pospiesznie próbowali przyciągnąć zaporę, kręcąc kołowrotem. Zovac wyciągnął swój długi zakrzywiony miecz i machnął nim w stronę obrońców miasta.

– Powstrzymać ich! – krzyknął. Tuzin jego ludzi ruszyło wykonać rozkaz. Strażnicy nawet nie zdążyli dobyć broni. Pozostałym piratom wskazał Zovac niewielką grupkę, desperacko próbującą powstrzymać najeźdźców, którzy rozpierzchli się po falochronie.

– Zabić ich! – krzyknął. – Zabić wszystkich!

Spojrzał przez ramię. „Kruk” znajdował się niemal u wejścia do portu. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Andras miał przycumować okręt i posłać resztę załogi na brzeg. Zovac i jego ludzie mieli do nich dołączyć, kiedy tylko rozprawią się ze strażnikami.

„Raja”, ciemnozielony okręt, który Zovac zwerbował w zatoczce, będącej miejscem

spotkań Madziarów, za kilka minut miał przyjść im z pomocą. Wszelki opór ze strony mieszkańców miasta był z góry skazany na niepowodzenie.

Zavac wziął głęboki wdech, gotując się do wydania kolejnego polecenia. Nagle wyczuł jakiś ruch za swoimi plecami. Przykucnął instynktownie. Tuż nad jego głową świsnęło ostrze. Nie patrząc, obrócił się na prawej stopie i zamierzył się mieczem.

Najpierw ostrze napotkało opór, zatrzymało się, a potem zagłębiło w czyimś ciele.

Dopiero teraz spojrzął na napastnika – i zobaczył, że miecz utkwił w brzuchu jednego ze strażników, oficera, sądząc po ubraniu i rodzaju uzbrojenia. Zavac trafił w miejsce tuż pod lśniącą płytką metalu, chroniącą pierś mężczyzny. Oficer szeroko rozwarł oczy, jego wargi poruszyły się bezgłośnie. Nagle nogi ugięły się pod nim i upadł na bok, przez chwilę jeszcze podtrzymywało go ostrze miecza, zanurzonego w jego ciele, ale gdy Zavac je wyszarpnął, mężczyzna osunął się na ziemię.

– Co za pech – powiedział Zavac z uśmiechem. – A już prawie mnie miałeś.

Potem jego uśmiech zgasł. Zamiast niego pojawił się straszliwy gniew. Jak ten kmiot, prostak z jakiejś dziury zabitej dechami śmiał nastawać na jego życie?

Przystawił stopę do ciała mężczyzny i pchnął je, aż potoczyło się na brzeg falochronu i dalej, do wody.



## Rozdział 17



Sarna wkroczyła z gracją na polanę, podeszła do kępy bujnej soczystej trawy. Zatrzymała się, odwróciła łeb. Jej uszy strzygły czujnie, wychwytyjąc każdy najdrobniejszy dźwięk, nozdrza drżały, gotowe wyłować obcy zapach, przynoszony lekkim powiewem wiatru.

Jednakże Lydia stała pod wiatr i jej zapach nie docierał do zwierzęcia, które, uspokojone, opuściło łeb i zaczęło skubać trawę. Potem znów uniosło łeb i skierowało wzrok w stronę linii drzew, otaczających polanę, na prawo od miejsca, gdzie nieruchomo stała Lydia, skryta w cieniu drzew.

Sarna wyglądała bardzo zdrowo i dorodnie. Najwidoczniej dobrze sobie podjadła przez kilka ostatnich tygodni, kiedy pogoda się zmieniła. Była młoda, Lydia przypuszczała, że to jej pierwsze lato bez matki. W takim razie mięso będzie delikatne i pyszne, a nie twarde i zylaste jak u dorosłego osobnika. Wiedziała, że dziadek bardzo się ucieszy z dwudziestu kilogramów

wybornej sarniny. Nie było mu łatwo, odkąd dwa lata wcześniej piraci zrabowali jego statek. I pozbawili życia syna i synową.

Teraz utrzymywał się ze skromnych oszczędności i dorywczych prac w stoczni. Jego żona zmarła wiele lat temu, jedynym jasnym punktem w jego życiu była Lydia. Lecz paradoksalnie, choć uwielbiał towarzystwo wnuczki, to poczucie odpowiedzialności za jej los odczuwał jako ciężar.

Od pewnego czasu Lydia pomagała w uzupełnianiu zasobów domowej spiżarni, a także domowej skarbonki. Potrafiła doskonale polować, dzięki niej nie brakowało świeżego mięsa na stole. Część upolowanej zwierzyny sprzedawała na targu. Zawsze znaleźli się chętni na ptactwo, króliki i zające, choć największą popularnością wśród mieszkańców Limmat cieszyła się sarnina – wyjątkowo delikatne mięso takich młodych osobników jak ten, który właśnie stał w odległości dwudziestu pięciu metrów od Lydii. Postanowiła, że najlepsze kawałki zostawi w domu, a resztę sprzeda.

Uśmiechnęła się krzywo. „Najpierw go zabij”, pomyślała, „i dopiero będziesz liczyć pieniądze”.

Lydia miała szesnaście lat. Była nieco wyższa od swych rówieśniczek, zapewne dzięki temu, że mnóstwo czasu spędzała bardzo aktywnie. Potrafiła prześcignąć prawie każdego chłopaka w mieście. I przerastała wszystkich pod względem umiejętności myśliwskich. Była smukła, miała długie muskularne nogi, a ramiona nieco szersze niż większość dziewcząt – zapewne również na skutek ćwiczeń fizycznych.

Szesnastoletnie mieszkanki Limmat przeważnie spędzały czas na strojeniu się i siedzeniu przed lustrem, delikatną skórę twarzy i dłoni chroniły przed słońcem i ciężką pracą. Lydia nie miała czasu na takie rzeczy. Woląa rozkoszować się wolnością pośród lesistych wzgórz i szerokich pól. Była opalona i wysportowana, poruszała się z takim samym wdziękiem jak zwierzęta, na które polowała.

Jej włosy i rysy twarzy doprowadzały do rozpaczki inne dziewczęta. Podczas gdy one spędzały całe godziny przed lustrem, czesząc się, tapirując, wklepując w skórę przeróżne smarowidła i pachnące olejki, ona po prostu zbierała lśniące czarne włosy i wiązała je na karku czarną wstążką. One musiały podkreślać oczy specjalnymi barwidłami, Lydia mogła pochwalić się lekko skośnymi oczami koloru orzecha laskowego. Jej dziadek często zastanawiał się, czy przypadkiem nie zawdzięcza ich jakiemuś dalekiemu przodkowi z kraju Temudżeinów. Kości policzkowe miała wysokie, co również mogło wskazywać na takie pochodzenie, i śniadą skórę bez skazy.

Krótko rzecz ujmując, była uderzająco piękną dziewczyną – i w dodatku zupełnie tego faktu nieświadomą. Jej dziadek, Tomas, oczywiście często jej to powtarzał, ale ona tylko wzruszała ramionami. Każdy dziadek uważa, że jego wnuczka jest piękna. Lub przynajmniej tak jej mówi.

Sarna, poczuwszy się bezpiecznie, znów opuściła łeb i zaczęła skubać trawę. Lydia nieskończenie ostrożnym ruchem włożyła strzałę do atlatla – miotacza, który nadawał dodatkową siłę i prędkość wyrzucanym pociskom.

Atlatl i długie, podobne strzałom pociski wybrała na swoją broń po długim namyśle. Prawie wszyscy chłopcy w Limmat używali łuków. Ale chłopcy byli mocniej zbudowani i bardziej muskularni, Lydia nie dorównywała im siłą. Łuk nie był odpowiednią dla niej bronią. Oczywiście, mogła wybrać lżejszy łuk, niewymagający użycia tak dużej siły, ale jakoś nie przemawiał do niej ten pomysł. Nie chciała posługiwać się gorszym rodzajem broni. Dlatego właśnie jej wybór padł na atlatl.

Kiedy już wybrała broń, z właściwym sobie uporem przystąpiła do regularnego treningu.

Ćwiczyła długimi godzinami, aż nauczyła się wyrzucać pociski prawą i lewą ręką, ze zdumiewającą siłą i precyzją. Atlatl mierzył około czterdziestu centymetrów, był zakończony niewielką wypustką o haczykowatym kształcie, którą wpasowywało się w nacięcie na końcu strzałki. Atlatl działał jak lewar – zwiększał kilka razy siłę rzutu.

Strzałki miały około sześćdziesięciu centymetrów, były zakończone pierzastą lotką jak zwykle strzały, ale bardziej odsadzoną, by mogły wirować w locie. Groty, znów podobnie jak przy zwykłych strzałach, były zrobione z wyostrzonego kawałka żelaza. Miała dziesięć takich strzałek w kołczanie na plecach, wyłożonym baranym futrem, by strzałki nie obijały się o siebie, gdyż ich dźwięk mógłby spłoszyć zwierzę. Podczas polowania zawsze trzymała jedenastą strzałkę w ręku. Dzięki temu nie musiała wyciągać strzałki z kołczana i unikała niepotrzebnych ruchów – bo każdy ruch mógł wywołać hałas.

Ostrożnie wyszła zza drzewa. Teraz liczyła się szybkość. Wiedziała, że sarna wyczuje najmniejszy ruch. I rzeczywiście, gdy tylko sięgnęła w tył prawą ręką, zwierzę uniosło łeb.

Widziała, jak napina mięśnie tylnych nóg, gotowe zerwać się do ucieczki. Przesunęła atlatl do przodu, stopniowo zwiększając tempo, i wypuściła strzałkę, jednocześnie robiąc krok w przód, by nadać rzutowi odpowiednią siłę.

Potrafiła trafić królika z odległości sześćdziesięciu metrów. Prawie dorosła sarna z odległości dwudziestu pięciu – to była dziecinna zabawa. Strzałka pomknęła ponad polaną i, mimo że zwierzę odwróciło się i rzuciło do ucieczki, zdążyła trafić w lewą pierś i przebiła serce, zabijając je na miejscu.

Sarna padła na trawę.

W tym momencie Lydia już dobiegała do swej ofiary. Wiedziała, że trafiła, kiedy tylko wyrzuciła strzałkę. Sarna leżała na boku, oczy miała rozwarte, lecz niewidzące. Jedna noga drżała, lecz Lydia widziała, że to tylko reakcja ciała, że zwierzę nie żyje. Uklękła na ziemi.

– Przepraszam – powiedziała. Tak postępował każdy prawdziwy myśliwy. Zabiła zwierzę dla jego mięsa, nie dla tak zwanego sportu, nie dla zaspokojenia sadystycznych skłonności. Żałowała, że musiała odebrać sarnie życie, ale wiedziała, po co to robi.

Ostrożnie wyciągnęła strzałkę z ciała zwierzęcia. Z rany wypłynęła niewielka ilość krwi, co znaczyło, że serce przestało pracować. Pękiem trawy otarła grot, a potem schowała strzałkę do kołczana. Odłożyła atlatl na bok i sięgnęła po nóż, wiszący u pasa, po prawej stronie. Z lewej równoważył jego ciężar długi sztylet. Gdyby zwierzę nie zginęło od strzału, sztyletem litościwie poderżnęłaby mu gardło.

Przewróciła sarnę na grzbiet i już miała zrobić pierwsze nacięcie, lecz nagle zamarła i wciągnęła nosem powietrze.

Wyraźnie czuła zapach dymu. Nie jest to zbyt przyjemna woń, kiedy przebywa się w środku lasu, pośród tysięcy napuszczonych żywicą sosen. Gdyby wybuchł pożar, natychmiast zapłonęłyby jak pochodnie. Rozejrzała się nerwowo dokoła. Nie widziała ognia, lecz zapach był coraz wyraźniejszy. Wiatr wiał od strony miasta. Lydia podniosła się, marszcząc brwi, i wsunęła atlatl do pochwy obok noża. Zostawiła sarnę na ziemi i ruszyła w stronę niewielkiego występu skalnego po lewej stronie. Wiedziała, że rozciąga się stamtąd widok na miasto.

Teraz nad drzewami ukazał się słup dymu. Wszystko wskazywało na to, że pożar wybuchł w mieście. I było jeszcze coś. Głosy. Wiatr niósł w jej stronę słabe, ledwo słyszalne głosy. Pokrzykiwania.

Pomyślała, że nic w tym dziwnego, skoro wybuchł pożar. A wciąż gęstniejący słup dymu wyraźnie o tym świadczył. Nagle głosy przybrały na sile. Krzyki. Krzyki kobiet.

Dotarła do szczytu wzniesienia i spojrzała w dół. U podnóża stromej ściany rozciągało się miasto Limmat, wraz z portem i palisadą. Najpierw jej uwagę przyciągnął pożar. Jego centrum

stanowił garnizon, wznoszący się na końcu nabrzeża. Płonęły również mniejsze budynki dokoła, domy i sklepy. Widać było tylko dym i płomień.

Nikt jednak nie próbował gasić ognia. Zobaczyła mężczyzn, którzy biegli wzdłuż nabrzeża, by po chwili rozproszyć się po uliczkach, wiodących do centrum miasta. Broń błyskała w słońcu. Serce zamarło w jej piersi. Mieszkańcy Limmat żyli w lęku, że pewnego dnia obcy dowiedzą się o sekretnej kopalni, która znajdowała się tuż za palisadą, w skale, wznoszącej się stromo ponad miastem. Od tego dnia miasto nie będzie bezpieczne.

I wyglądało na to, że ów dzień właśnie nadszedł.

Przesunęła spojrzenie dalej i zobaczyła, że w porcie stoi obcy okręt – o długim, smukłym czarnym kadłubie. Kiedy spojrzała na wieże strażnicze i wejście do portu, zobaczyła jeszcze jeden okręt, mniejszy, zacumowany w miejscu, gdzie powinna znajdować się zamknięta zaporą. A na samym końcu, przy brzegu, kolejny, ciemnozielony.

– Piraci – mruknęła. Nagle, zdjeta przerażeniem, odszukała wzrokiem część miasta, w której stał dom dziadka. Przez chwilę nie widziała zupełnie nic. Wąskie zabudowane uliczki nie pozwalały dojrzeć, co tam się dzieje. Potem zobaczyła biegnących ludzi, broń, która wznosiła się i opadała w ich rękach. A więc najeźdźcy już dotarli do tej części miasta. Tu i tam wybuchały pożary, jeden niebezpiecznie blisko ulicy, przy której stał dom Tomasza. Lydia nie miała jednak pewności. Ze swojego miejsca dostrzegała tylko płataninę wąskich uliczek.

Jedno wiedziała na pewno. Jej dziadek jako pierwszy wybiegnie na ulicę, by stawić opór najeźdźcom. Tylko że był już starym człowiekiem, nie mógł cieszyć się tą samą siłą i prędkością, co w czasach młodości. Nie mógł równać się z młodym, sprawnym i żądnym krwi piratem.

Musi zejść do miasta i mu pomóc.

Zawahała się. Ściana u jej stóp była zbyt stroma. Lydia wiedziała, że kilkaset metrów dalej na wschód biegnie ścieżka, łagodnie okrążająca strome wniesienie.

Nie było czasu do stracenia. Lydia zaczęła biec wzdłuż występu, prędko pokonując odległość długim, równym krokiem. Prawie nie zwalniając, wbiegła na ścieżkę, która brała początek w cieniu drzew i prowadziła długą, krętą wstęgą do miasta.

Raz potknęła się, mało nie upadła, a łapiąc równowagę, uderzyła o drzewo. Uświadomiła sobie, że szybkie tempo może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. Jeśli upadnie i zrobi sobie krzywdę, nie będzie mogła przyjść dziadkowi z pomocą. Zwolniła więc do lekkiego truchtu. Bardzo ją to irytowało, ale wiedziała, że tak będzie najrozsądniej.

Biegła więc dalej. Gałęzie smagały ją po twarzy, miejscami ścieżka była szerokości jej ramion, rośliny i pnącza czepiały się stóp, opóźniając bieg. Uparcie parła do przodu, jej wyobraźnia wciąż tworzyła straszliwy obraz: dziadek powoli osuwa się na kolana pod ciosem pirackiego miecza, krew tryska spomiędzy jego palców, gdy przyciska rękę do ogromnej rany.

„Stop”, upomniała się w myślach. „To nie pomoże Tomasowi”. Znowu zwiększyła tempo. Upadała, toczyła się, podnosiła i biegła dalej. Obraz był wciąż przerażająco żywy.

W końcu ścieżka rozszerzyła się, a stok złagodniał. Wybiegła na polanę u podnóża góry i przystanąła, by ustalić położenie.

Lydia stała dokładnie naprzeciwko palisady, w odległości jakichś trzystu metrów od bramy. Główna brama, prowadząca na plażę, znajdowała się jeszcze dalej, lecz od niej z kolei było bliżej do domu Tomasza. Po chwili wahania Lydia pobiegła w lewo.

Teraz wyraźniej słyszała odgłosy walki, dochodzące z miasta, czasami przerywane krzykami kobiet. Przyspieszyła kroku.

Nagle ktoś krzyknął za jej plecami.

Odwróciła się. W jej stronę biegło kilku mężczyzn. Zdążyła odnotować chustki na ich głowach, ciężkie buty, zagięte miecze i małe okrągłe tarcze z metalu.



„Madziarowie”, pomyślała. Piraci. Zobaczyli ją. Znow zaczęła biec, na oślep. Nie miała dokąd uciec. Gonili ją piraci, a w mieście czekało ich jeszcze więcej.

Coś uderzyło w ziemię tuż obok niej, aż podskoczyła. Była to włócznia. Musiał rzucić ją jeden ze ścigających ją mężczyzn. Widocznie zaczynali ją doganiać, zdobyli przewagę, kiedy chwilę wcześniej zwołała, by na nich spojrzeć. Przez chwilę rozważała, czy nie przystanąć i nie wypuścić w nich stronę kilku strzałek. Ale trzy czy cztery pociski nie zdołałyby ich powstrzymać. Zostałaby pojmana.

Krzyki przybrały na sile. Lydia przyspieszyła, z nadzieją, że jednak zdoła umknąć swym prześladowcom. Zerknęła w prawo i przekonała się, że to nie do niej wołali, lecz do swych towarzyszy, stojących za palisadą otaczającą miasto. Widziała ich głowy i ręce, w których dzierżyli broń.

Coś niby wąż ześliznęło się z tamtej strony palisady i spadło na ziemię. Lina.

Jeden z piratów zaczął schodzić po linie. Za nim drugi i trzeci. Byli doświadczonymi żeglarzami, poruszali się sprawnie i szybko. A kiedy tylko dotknęli stopami ziemi, rzucili się do biegu, by odciąć Lydię drogę.

Skręciła w lewo. Serce waliło w jej piersi, w głowie miała mętlik. Nie wiedziała, w którą stronę się skierować, dokąd uciec. Nie myślała już o tym, by dotrzeć do domu dziadka. Droga została odcięta.

Znow wbiegła między drzewa. Zmusiła mózg do wysiłku i uświadomiła sobie, że zaraz na drodze stanie jej wartki strumień. Dzieliło ją od niego jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów. Zagrozi jej drogę ucieczki i uczyni łatwą ofiarą dla ścigających ją mężczyzn.

Chyba że....

Przypomniała sobie, że Benji, pewien znajomy chłopak, czasem zostawia swój skif na niewielkiej plaży, gdzieś tu, niedaleko.

Tylko gdzie dokładnie? Gdzie dokładnie ona znajduje się w tej chwili? Gdzie leży ta plaża? Nie była pewna, lecz wrodzony zmysł orientacji w przestrzeni i intuicja łowczyni kazały jej skierować się w prawo. Tak zrobiła. Desperacko chwyciła się myśli, że skif będzie tam na nią czekał. Nagle strumień zagroził jej drogę. Skręciła więc w prawo i zaczęła biec wzdłuż niego. Za plecami słyszała krzyki i ciężkie kroki. Z trudem łapiąc oddech, zgięta w pół z powodu bolesnej kolki, rzuciła się przed siebie, przeszukując wzrokiem drzewa i krzaki.

Jest!

Niewielki skif, mierzący jakieś trzy i pół metra, zbudowany z mocnych sosnowych desek, leżał wyciągnięty bezpiecznie na brzeg, powyżej linii, do której mogła dotrzeć fala. Uświadomiwszy sobie, jaka to odległość, na chwilę straciła odwagę.

Zbiegła na plażę, bez tchu, i zaatakowała łódkę, pchając i ciągnąc z całych sił. Równie dobrze mogłaby próbować przesunąć drzewo. Skif nie ruszył się nawet o milimetr.

Nagle dotarło do niej, że jeśli uniesie tylną część, skif powinien gładko przesunąć się po piachu. Podbiegła do łódki od drugiej strony, uniosła ją i zaczęła ciągnąć. Skif przesunął się o pół metra. Więcej Lydia nie dała rady, musiała puścić.

Po krótkiej chwili znow zaczęła ciągnąć. Tym razem udało się jej przesunąć skif jeszcze o półtora metra. I znow musiała przerwać.

Głosy i tupot ciężkich butów były coraz bliżej. Przerazenie dodało jej sił. Szlochając z wysiłku i strachu, znow zaczęła ciągnąć. Cztery kroki, pięć, sześć. Kiedy wreszcie dotarła do linii mokrego piachu, skif zaczął ślizgać się znacznie szybciej.

Pot zalewał jej oczy, szczypał i oślepiał. Puściła skif. Potem uniosła i pociągnęła jeszcze raz. Nagle poczuła, że woda obmywa jej kostki i zrozumiała, że dotarła do strumienia. Teraz skif ślizgał się z łatwością, Lydia już nie czuła jego ciężaru. W momencie, gdy spuściła go na wodę,

która sięgała jej teraz kolan, pierwszy z piratów wynurzył się spomiędzy drzew, zaledwie dziesięć metrów dalej. Na jej widok zatrzymał się, odwrócił i krzyknął do swych kompanów:

– Tędy! Tędy! Mam go!

Lydia uświadomiła sobie, że z powodu jej stroju: kaftana z jeleniej skóry, nogawic i ochraniaczy, mocowanych rzemieniami wokół tydek, wzięli ją za chłopaka. Co za różnica, tak czy inaczej musiała uciekać. Ocaliło ją to, że pirat przystanął, by zawołać swych towarzyszy. Gdyby od razu pobiegł za nią, złapałby ją, nim zdążyłaby zepchnąć skif na głębszą wodę. Ale na szczęście łódka już zdążyła oddalić się od brzegu. Lydia pospiesznie wskoczyła do środka.

Na dnie łodzi leżały dwa wiosła. Chwyciła je i zaczęła wkładać w dulki, ale szło jej to bardzo nieskładnie, bo zmęczenie odbierało jej siły, wiosła zaś były ciężkie i nieporęczne. A pirat właśnie zauważył własną pomyłkę. Skoczył na brzeg i ruszył w pogoń. Lydia ujęła wiosła i pchnęła, lecz chybiła z jednej strony i łódka odwróciła się bokiem. Pirat był już po pas w wodzie, już prawie dosięgał skifu, lecz głęboka woda spowalniała jego ruchy. Przez moment Lydia myślała, że jest uratowana, gdy nagle chwycił za rufę.

Wysunęła jedno z wiosła z dulki i zamachnęła się, celując w jego rękę. Mężczyzna krzyknął z bólu i puścił łódkę, ale złapał wiosło i zaczął ciągnąć Lydię w swoją stronę, niby rybę złapaną na wędkę. Pociągnęła wiosło ku sobie, próbując wyrwać je z jego rąk.

Walczyli tak przez sekundę czy dwie. Był silniejszy i nie zdążył zmęczyć się, tak jak Lydia podczas biegu w dół stromej góry.

Stopniowo zaczynał zyskiwać przewagę, powoli przeciągał skif na płytszą wodę. Lydia w desperacji puściła wiosło, pchnęła je jeszcze ten ostatni raz, a mężczyzna, zaskoczony, zatoczył się do tyłu, upadł i poszedł pod wodę.

Pod siłą tego ostatniego pchnięcia skif odplłynął z powrotem na środek strumienia. Pirat wynurzył się na powierzchnię, klnąc i parszając. Łódka była już kilkanaście metrów dalej. Jego towarzysze wychynęli spomiędzy drzew, zaczęli wykrzykiwać pogróżki i potrząsać bronią. Lydia z ulgą stwierdziła, że nie mają broni miotającej, łuków ani włócznie.

Za to ona miała.

Prędko wyjęła strzałkę z kołczana i atlatl z pochwy przy pasie. Włożyła strzałkę na miejsce, wycelowała w pirata, któremu przed chwilą ledwo zdołała umknąć, i posłała strzałkę w jego stronę. Krzyknął, wyrzucił ramiona w górę i padł do wody. Jeszcze raz zanurkował, a kiedy się wynurzył, przerażeni mężczyźni zobaczyli strzałkę zatopioną głęboko w jego piersi i smużkę krwi, barwiącą wodę na czerwono.

W panice odwrócili się i zaczęli uciekać na brzeg, popychając się wzajemnie, bo każdy chciał jak najprędzej umknąć przed strzałami Lydii.

Ale ona nie zamierzała marnować strzałek. Osunęła się na dno łodzi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma tylko jedno wiosło. Zaczęła wiosłować nim niezgrabnie, raz z jednej strony, raz z drugiej, jak pagajem. Było ciężkie i nieporęczne, łódka niechętnie odpowiadała na jej wysiłki. Ale prąd powoli zaczął unosić skif. Woda wezbrała i po minucie czy dwóch nurt uniósł go w stronę morza. Skif płynął z coraz większą prędkością, Lydia nie przerywała wiosłowania. Była wyczerpana, fizycznie i psychicznie, ale zostawiła swych prześladowców daleko w tyle. Kiedy pokonała zakręt, straciła ich z pola widzenia. Uświadomiła sobie nagle, że nurt zabierze ją prosto do zatoki, a stamtąd na pełne morze.

Nie miała pojęcia, co się z nią wtedy stanie. Wciągnęła wiosło i rzuciła je na dno łódki. Później będzie się martwić. Najważniejsze, że udało się jej uciec.



## Rozdział 18



Skegall była to niewielka wioska rybacka, położona o pół dnia żeglugi na południe od Zatoki Schronienia. Mieli wiatr od bakburty i „Czapla” pędziła przed siebie. Tak jak potwierdziły to wcześniejsze próby, dzięki płetwie mogli mocniej wybierać żagiel, nie narażając się przy tym na dryf. Łódź poruszała się dzięki temu znacznie szybciej.

Stig przez kilka minut studiował mapę, po czym wynurzył się ze schowka za płócienną zasłoną i podszedł do Hala. Przez chwilę rozkoszował się ruchem łodzi, która to wślizgiwała się na grzbiet fal, wciąż napływających z zachodu, to ześlizgiwała się z powrotem, przecinając szmaragdową wodę i wznosząc pióropusze piany.

Chłopcy, którzy chwilowo nie mieli nic do roboty, porozkładali się na ławkach i wystawili twarze do słońca. Tylko Ulf i Wulf pozostali w pogotowiu, w razie gdyby niespodziewanie musieli poprawić żagiel. Stig wskazał ich ruchem głowy.

– Ci dwaj są bardzo grzeczni – stwierdził.

Hal skinął głową.

– Na łądzie nadal kłóć się jak pies z kotem – powiedział – ale żaden z nich nie chce stracić pozycji.

Ci, do których należało ustawianie żagli, zajmowali na statku najwyższą pozycję po sterniku i żaden z bliźniaków nie miał ochoty zrzec się tego przywileju. Obaj byli dumni, że wykazują się wrodzonym talentem w tej trudnej dziedzinie, a z doświadczenia wiedzieli, że Hal nie rzuca słów na wiatr i że jeśli będą kłócić się na morzu, co najmniej jeden z nich natychmiast zostanie przesunięty do innej pracy.

– Patrzyłem na mapę – powiedział Stig. – Limmat leży w odległości jednego dnia żeglugi, a jest o wiele większe od Skegall. Według notatek Skegall to właściwie wioska.

– Właśnie dlatego tam płyniemy – odparł Hal. – Nie chcę, żeby zbyt wielu ludzi o nas wiedziało, w razie gdyby „Kruk” krążył gdzieś w okolicy. Im więcej osób nas zobaczy, tym więcej będą o nas gadać.

Przez chwilę Stig rozważał jego słowa z zamyśloną miną.

– To prawda. Ale w Limmat jest większy targ.

– Mały na pewno nam wystarczy. Nie szukamy żadnych egzotycznych towarów. Edwin

potrzebuje podstawowych artykułów, jak mąka, sól, kawa, a ja muszę kupić linę, różne żelazne elementy, gwoździe i deski.

– I piękny nowy kubrak dla Thorny – dobiegł głos zza koferdamu, gdzie stary wilk morski siedział z zamkniętymi oczami, udając, że drzemie. Hal przewrócił oczami.

– I piękny nowy kubrak dla Thorny – powtórzył.

Thorn, nie otwierając oczu, dodał:

– Chciałem się tylko upewnić, że nie zapomnialeś.

– Jakże bym mógł? – bąknął Hal.

– Trzymam cię za słowo.

Gdy ich oczom ukazało się Skegall, Hal kazał opuścić żagiel.

– Będziemy wiosłować – oznajmił. – Nie wiem, czy Zamac widział „Czapkę” i trójkątne żagle. Jest to możliwe. Lepiej nie zdradzajmy swojej obecności.

Potem Hal i Ingvar przykryli gigantyczną kuszę brezentem i obwiązali ją ciasno.

Popłynęli więc dalej, wiosłując. Wiatr od lądu pomógł im zachować anonimowość. Przy takim wietrze „Czapka” mogłaby płynąć halsami, ale zwykły okręt z prostokątnym żaglem – nie. Kiedy wpłynęli do portu, Thorn podniósł płetwę i schował ją za masztem, a rogiem żagla zakrył koferdam.

– Nie muszą wszystkiego o nas wiedzieć – wyjaśnił Halowi, który zgodnie skinął głową.

Kilka osób przyglądało się z umiarkowanym zainteresowaniem, kiedy wyciągali łódź na brzeg. „Czapka”, pozbawiona swego charakterystycznego trójkątnego żagla, niczym się nie wyróżniała. Wszyscy członkowie załogi zbrali się na dziobie, a Hal rozdzielił zadania.

– Ingvarze, ty pójdziesz ze mną. Kiedy wpływaliśmy do portu, zauważyłem skutnię.

Powinni mieć tam wszystko, czego potrzebujemy. Ulf, ty zostaniesz tutaj pilnować łodzi. Wulf, pomożesz Edwinowi przy zakupach. Stig i Thorn, wy pochodzicie po targowisku. Jesper i Stefan, to samo. Nadstawiajcie uszu, może usłyszycie jakieś wieści o „Kruku”. Ale nie dajcie po sobie poznać, że was to interesuje. I Jesper, postaraj się niczego nie ukraść.

– Ja tylko pożyczam. I zawsze potem oddaję – zaprotestował Jesper.

Hal zastanawiał się przez chwilę, czy naprawdę chce być skirlem tej załogi. Czasami przypominało to próbę zapanowania nad stadem dzikich kotów.

– W takim razie postaraj się niczego nie pożyczać. – Nagle coś przyszło mu do głowy.

Spojrzał na Thorny. – Najlepiej udawajmy, że to ty jesteś naszym skirlem. Jeśli Zamac gdzieś tu jest i dowie się o załodze, złożonej z niedorosłych chłopców, zaraz skojarzy fakty.

Thorn przytaknął.

– Słuszna myśl. Obiecuję też, że poszukam na targu jakiegoś pięknego i kosztownego kubraka z baraniego futra.

Hal wznosił oczy ku niebu.

– Świetnie – powiedział. Zauważył, że Ulf patrzy na niego z niezadowoloną miną.

– Dlaczego Wulf idzie z Edwinem na zakupy a ja muszę zostać tutaj?

Hal patrzył na niego przez chwilę. Wiedział, że Ulf zna odpowiedź na to pytanie. Potem odparł:

– Ponieważ nie jesteśmy na morzu i jeśli zostawię was tutaj razem, to zaczniecie się klócić.

– Nie zaczniemy – odparł Ulf.

– Właśnie że zaczniemy – natychmiast zaprotestował Wulf. Jego brat już wziął głęboki wdech, lecz Hal podniósł rękę i powiedział:

– Widzicie? Już zaczęliście.

Ulf nadał się, a potem podjął kolejną próbę.

– Chcę coś kupić na targu. Jestem głodny.

Hal westchnął. Powiódł wzrokiem od jednego bliźniaka do drugiego. „Oni naprawdę są nie do odróżnienia”, pomyślał.

– Słuchajcie, jest mi obojętne, który z was zostanie, a który pójdzie na targ. Rzućcie monetą.

– Nie mam monety – powiedział Ulf.

Hal rozłożył ręce.

– To jak zmierzałeś kupić coś na targu? Problem rozwiązany.

Tak naprawdę Thorn jako jedyny spośród nich miał pieniądze. Wręczył każdemu z chłopców po kilka koron, trochę więcej dał Edwinowi i Halowi, którzy mieli uzupełnić zapasy.

– Jesperze – powiedział Hal – znajdź jakiś przyjemny stragan i kup Ulfowi kiełbaskę czy pasztecik. Kup. Nie kradnij – dodał. Jesper zrobił obrażoną minę, ale nic nie powiedział. Tak naprawdę zamierzał „uwolnić” pasztecik dla Ulfa i w ten sposób zaoszczędzić trochę pieniędzy. Nie uważał, że częstowanie się jedzeniem to kradzież. Przecież wszyscy to robili, tyle że on wykazywał się większym talentem w tej dziedzinie.

– W porządku – powiedział Hal. – Rozdzielmy się teraz i spotkajmy za godzinę w tym samym miejscu.

Okazało się, że Ingvar i Hal potrzebowali nieco więcej czasu niż godzinę. W szkutni zaopatrzyli się w deski,



gwoździe i sznur, nie udało im się jednak zdobyć pasków żelaza, na których tak zależało Halowi. Skierowano go do kuźni na krańcu wioski i rzeczywiście, kupił ich tam spory zapas.

Kiedy wrócili – Ingvarowi przypadło dźwiganie najcięższych zakupów – pozostali już czekali, siedząc w półkolu na plaży i zajadając. Oczy Ingvarowi zabłyśły na widok pakunku, leżącego obok Thorna.

– Kupiłem ci pasztecik – powiedział Thorn do Hala, wskazując paczuszkę. Hal skinął głową w podziękę, usiadł na piasku i sięgnął po jeszcze ciepły pasztecik. Nagle poczuł, że jest głodny jak wilk.

– A mnie nie kupiłeś pasztecika? – zapytał Ingvar. Kiedy Thorn potrząsnął głową, mina mu zrzędła.

– Kupiłem ci trzy – powiedział Thorn i Ingvar momentalnie się rozpromienił.

– Akurat na drobną przekąskę przed obiadem – stwierdził i natychmiast zapytał: –

A kiedy obiad?

Stig spojrzał na niego z ukosa.

– Jeszcze nawet nie zjadłeś drugiego śniadania – powiedział – a już myślisz o obiedzie?

Ingvar wzruszył ramionami.

– Rosnę – odparł.

Stig ze sceptyczną miną zmierzył wzrokiem już i tak potężną postać.

– Odpukać w niemalowane – powiedział.

Hal przeżuł pierwszy kęs pasztecika i wytarł okruchy z ust.

– Dowiedzieliście się czegoś ciekawego? – zapytał, spoglądając po twarzach towarzyszy. Hal wziął od Edvina kubek z kawą i upił łyk.

– Ludzie mówią, że gdzieś niedaleko pływa jakiś duży okręt – odparł Jesper. – Przypuszczają, że to okręt wojenny. Rybacy widzieli go w oddali.

– Słyszeliśmy to samo – dodał Thorn. – Podobno parę dni temu pokazał się na horyzoncie, a potem zawrócił na pełne morze.

– To „Kruk”? – zapytał Hal z ożywieniem. Na myśl, że ścigany okręt być może znajduje się tak niedaleko, jego puls przyspieszył z podekscytowania i niepokoju. Thorn i Jesper spojrzeli na siebie, ale żadnemu nie udało się zdobyć dodatkowych informacji. Obaj wzruszyli ramionami.

– Tego nikt nie wiedział – odparł Thorn. – Okręt był za daleko, żeby dostrzec szczegóły. Mówili, że miał ciemny kadłub, ale z dużej odległości każdy okręt tak wygląda.

– Rybacy nie czekali, aż się zbliży – dodał Jesper. – Kiedy tylko go zobaczyli, zawrócili do portu.

– Nic dziwnego – stwierdził Hal z namysłem. Jego początkowy entuzjazm nieco przygasł. – Ale to mógł być „Kruk”. Jaki inny duży okręt mógłby to być?

– Właśnie na tym polega problem – odparł Thorn. – Po prostu tego nie wiemy. Opis pasuje do „Kruka”, lecz równie dobrze mógł to być jakikolwiek inny duży okręt. Na przykład wilczy okręt.

– Co wilczy okręt miałby do roboty tak daleko na południu? – zapytał Hal, marszcząc brwi.

Thorn wzruszył ramionami.

– Pewnie nic. Mówię tylko, że to mógł być „Kruk”. Albo nie. To mogło być cokolwiek.

– Chyba tak – zgodził się Hal, niechętnie akceptując fakty. Czuł się bardzo sfrustrowany z powodu braku informacji. Chyba wolałby nawet, żeby w ogóle nie dowiedzieli się o tym obcym okręcie. Spojrzał na Edvina.

– Kupiłeś wszystko, co potrzeba? – spytał.

Edvin przytaknął.

– Nawet udało mi się kupić kawę. Nasze zapasy wyczerpują się w zastraszającym tempie.

– Rzucił Thornowi oskarżycielskie spojrzenie. Stary wilk morski przybrał minę niewiniątka.

– Czyli w jakim? – zapytał, na co Edvin tylko prychnął.

– No, dobrze – powiedział Hal. – Nie ma powodu, byśmy dalej tu siedzieli. Wracamy do obozu.

– Jest jeden powód. – Thorn uniósł palec. Hal spojrział z ciekawością na przyjaciela. – Kiedy na targu próbowałem dowiedzieć się czegoś na temat tego obcego okrętu, zobaczyłem przypadkiem bardzo ładny i bardzo kosztowny kubrak z baraniego futra. – Tu zaprezentował swój zakup. Hal musiał przyznać, że jest pierwszorzędnej jakości i doskonale uszyty.

– Uznałem, że pozwolę ci kupić go dla mnie. Kosztował dziesięć koron.

Wysunął lewą dłoń. Hal potrzaskał głową, zakłopotany.

– Nie mam dziesięciu koron – zaprotestował. – Mam tylko dwie plus jakieś drobniaki. Zostały z pieniędzy, które dałeś mi wcześniej. – Sięgnął do bocznej kieszeni kurtki i wyjął pieniądze.

Thorn z namysłem zacisnął wargi.

– Aha. Cóż, w takim razie daj mi tyle, ile ci zostało.

Kiedy Hal oddał mu pieniądze, dodał:

– Teraz jesteś mi winien osiem koron. – Thorn przez chwilę grzebał w sakiewce u pasa, podzwaniając monetami. – A więc teraz pożyczę ci osiem. Proszę.

Hal wziął pieniądze, oszołomiony tą skomplikowaną ekonomią. Nagle zauważył, że Thorn niecierpliwie pstryka placami.

– Chcesz dostać je teraz z powrotem? – zapytał.

Thorn skinął głową.

– Jesteś mi winien osiem koron za kubrak. Oddaj mi je.

Hal, zdumiony, posłusznie wypuścił monety na otwartą dłoń Thorn. Thorn z zadowoleniem pokiwał głową i wsadził monety do sakiewki.

– Teraz jesteśmy kwita – oznajmił. – Tyle że dalej jesteś mi winien dziesięć koron.

– Co takiego?

Thorn uniósł rękę, zakończoną hakiem, na znak, że nie życzy sobie dalszych dyskusji.

– Pamiętasz? Pożyczyłem ci osiem koron. Pożyczyłem ci też dwie korony. Na cuchnący oddech Gorloga, chłopcze, to było zaledwie parę minut temu! Tak więc jesteś mi winien dziesięć koron, które pożyczyłem ci, żebyś kupił mi kubrak.

– Ale... – Hal spojrzął na pozostałych. Stig wyglądał na równie zdezorientowanego jak on. Ulf i Wulf mieli miny, jakby uważali, że wywód Thorn jest absolutnie logiczny, co dowodziło, że jest dokładnie odwrotnie. – Nie byłoby prościej powiedzieć po prostu, że jestem ci winien dziesięć koron za kubrak?

Thorn potrząsnął głową.

– Nie. Zapłaciłeś mi za kubrak. Pamiętasz? Przed chwilą pożyczyłem ci w tym celu pieniądze. Teraz jesteś mi winien pieniądze, które właśnie ci pożyczyłem, żebyś mógł mi je zwrócić.

– Przecież wychodzi na to samo! – zaprotestował Hal.

Thorn uśmiechnął się rozkosznie.

– Może i tak. Ale chciałem, żebyś dał mi trochę pieniędzy.

Hal podrapał się po głowie, usiłując zgłębić tor myślenia swego przyjaciela. W końcu zdecydował, że jest to niewykonalne zadanie.

– Czy teraz możemy już ruszać w drogę powrotną? – zapytał, poddając się. Thorn wielkodusznym gestem machnął lewą ręką w kierunku morza.

– Ależ oczywiście. Tylko nie zapomnij, że jesteś mi winien dziesięć koron.

Zepchnęli „Czapłę” na wodę i wypłynęli z portu, wiosłując. Kilku mieszkańców miasta pomachało im na pożegnanie. Kiedy znaleźli się wystarczająco daleko od brzegu, Hal kazał zaprzestać wiosłowania. Jesper i Stefan podnieśli żagiel. Wiatr wiał nieprzerwanie i po chwili łódź pomknęła chyżo przed siebie. Hal rozkoszował się tym cudownym uczuciem, które wypełniało go, kiedy „Czapła” wspinała się na grzbiet fali, a po chwili opadała w dół, i kiedy dziób przecinał wodę i łódź spowalniała na chwilkę, ale zaraz, popchnięta wiatrem, wślizgiwała się na kolejną falę.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Wiedzieli, że nie zdążą do obozu przed zmrokiem. Hal zapisał sobie w pamięci, by ostatni odcinek pokonać za pomocą wiosł. Wejście do zatoki było wąskie. Pod żaglami łódź rozwijała dużą szybkość, to by było zbyt ryzykowne. Na razie jednak mogli sobie pozwolić na chwilę odprężenia.

Przywołał Stiga skinieniem ręki i powiedział:

– Możesz przejąć ster.

Stig bardzo się ucieszył. Prawdę mówiąc, Hal nie lubił oddawać nikomu władzy nad łodzią. Należała do niego, uwielbiał nią kierować, kochał to uczucie kontroli i odpowiedzialności, które mu dawała. Stig miał jednak stać u steru podczas bitwy, więc powinien dokładnie zaznajomić się z „Czapłą”.

Poza tym był dobrym sternikiem, Hal musiał to przyznać.

Przyjaciel chyba wyczuł jego nastrój, bo uśmiechnął się i powiedział:

– Nie martw się. Zadbam o nią. Ona wie, kto jest jej prawdziwym panem.

Hal skinął głową i usiadł na zydłu opodal steru. Przez kilka minut trwała niekrępująca cisza. Pozostali członkowie załogi odpoczywali, wyciągnięci na ławkach. Thorn jak zwykle siedział oparty o koferdam.

– Żagiel! Żagiel na północnym zachodzie! – Jesper, który stał na straży na dziobie, prędko wdrapał się na maszt. – To duży okręt. Prostokątny żagiel. Płynie w tę stronę.

Thorn już przy jego poprzednich słowach podbiegł do Hala i Stiga, który w milczeniu przekazał ster przyjacielowi.

– Widzieli nas? – zawołał Hal. Choć Jesper siedział wysoko na maszcie, wyraźnie wyczuli jego niepewność, kiedy przysłonił oczy i wyteżył wzrok.

– Trudno powiedzieć – odparł po krótkiej chwili. – Ale nie płyną prosto na nas i nie zmienili kursu. Chyba nas nie widzą.

– Mają słońce z tyłu – stwierdził Thorn – a my jesteśmy ciemną plamą na ciemnym tle łądu. Raczej nas nie widzą.

Hal skinął głową i rozkazał:

– Opuśćcie żagiel! Prędko! Stig, pomóż im!

Stig pobiegł na pomoc bliźniakom, a Jesper ześliznął się na pokład. Ulf i Wulf poluzowali żagiel, a Stig, Jesper i Stefan wspólnymi siłami opuścili rejkę. Teraz, kiedy wielka jasna płachta nie świeciła w słońcu, byli prawie niewidoczni dla obcego okrętu.

– Do wiosła! – rzucił Hal. – Zostawcie żagiel, później go zwiniecie.

Wszyscy ruszyli na swoje miejsca i wyciągnęli wiosła. Stig objął dowodzenie.

– Z całych sił – polecił, a oni opuścili wiosła, zaparli się stopami i pchnęli mocno. „Czapla”, która po opuszczeniu żagla znacznie zwolniła, teraz znów zaczęła pruć fale.

– Tam jest! – powiedział Thorn, zapatrzonego w dal, przysłaniając oczy dłonią. Hal pobiegł spojrzeniem w tym samym kierunku i zobaczył mały jasny prostokąt, wznoszący się tuż nad horyzontem – żagiel obcego statku, lśniący w ostatnich promieniach słońca.

– To „Kruk”? – zapytał, lecz Thorn potrząsnął głową.

– Ten okręt wszędzie bym rozpoznał – odparł. – To „Wilczy Wichery”.

– „Wilczy Wichery”? Okręt Eraka? – spytał Hal, z sercem ściśniętym przerażeniem. – Jesteś pewien?

– Pływałem na nim przez dwadzieścia lat. To on, na pewno. Ciekawe, co tu robi.

Hal odparł z ponurą miną:

– To chyba oczywiste. Szukają nas.

– To co teraz? – zapytał Stig.

Hal zamyślił się. Utrzymując kurs na północ, ryzykowali, że tamci ich zobaczą. Tak naprawdę mieli tylko jedno wyjście: jak najszybciej odpłynąć jak najdalej w przeciwnym kierunku. Hal przesunął ster, aż dziób „Czapli” zatoczył długi łuk i skierował się w przeciwną stronę.

– Płyniemy na południe – oznajmił Hal.







Słońce zaszło. Znów postawili żagle i „Czapla” pomknęła na południe, byle dalej od „Wilczego Wichru”. Thorn, Stig i Hal stali przy sterze, rzucając za siebie niespokojne spojrzenia. Po godzinie wzeszedł księżyc i rzucił na wodę pasmo srebrnego blasku. Nie ścigał ich żaden okręt.

– Może wcale nas nie widzieli – powiedział Stig z nadzieją. Pozostali byli bardziej sceptyczni, nie odezwali się jednak. Hal już dawno zauważył, że kiedy wyrazi się głośno jakieś życzenie, to nigdy się ono nie spełnia. Po kilku minutach Thorn stwierdził:

– Może masz rację. Kiedy ich zobaczyliśmy, było dość ciemno. A nawet jeśli oni nas widzieli i popłynęli za nami, to nie udało im się utrzymać kursu. Mieliby za bardzo pod wiatr. Płyniemy na południe, zepchnęłoby ich na południowy zachód.

To była bardzo pocieszająca myśl. Jeśli będą dalej tak płynąć pod osłoną ciemności, każdy swoim kursem, przez kolejne osiem godzin, to świt powinien zastać „Czapłę” samotną na morzu.

– Oczywiście, o ile nie siedli do wiosł – dodał Thorn i bańka mydlana pękła.

Hal wiercił się przez chwilę w miejscu, zaciskając i otwierając palce na sterze. W końcu podjął decyzję – jedyną logiczną w tych okolicznościach.

– Płyniemy dalej. O świcie wszystko się okaże. Płynęli więc tak w ciemnościach, utrzymując kurs na południe. Po kilku godzinach Hal poczuł, że ucisk w żołądku zwalnia. Przekazał ster Stigowi, a sam się położył. Stefan zastąpił Jespera w roli czujki. Reszta drzemała na stanowiskach. Ale nikt nie spał głębokim snem. Każdemu towarzyszyła świadomość, że gdzieś tam w ciemnościach kryje się „Wilczy Wicher”.

Ingvar w ogóle nie spał. Siedział, wsparty plecami o maszt, z wyciągniętymi nogami. Chwilę po północy zobaczył, jak Edvin odrzuca koc, podchodzi do relingu i wpatruje się w ciemność.

– Widzisz coś? – zapytał cicho Ingvar.

Edvin odwrócił się do niego.

– Nic. Jest za ciemno. Widzę tylko rufę i nic więcej.

– Witaj w klubie – odparł Ingvar z uśmiechem. Również do Hala sen nie przychodził.

Leżał na twardym pokładzie, całym ciałem odbierając każdy ruch „Czapli”. Było to bardzo kojące. Tak dobrze znane poskrzypywanie masztu i olinowania również napępiało go przyjemnym uczuciem. Wciąż jednak towarzyszyła mu świadomość, że być może tuż za nimi płynie „Wilczy Wicher”. Ogarniała go rozpacz na myśl, że być może tamci odnajdą ich i zmuszą do powrotu do Hallasholm.

Ta desperacka wyprawa była ich jedyną szansą. Zdecydowali się na nią natychmiast, bez zastanowienia, ponieważ to była ich jedyna nadzieja na godną przyszłość. Gdyby udało im się dogonić „Kruka” i odzyskać Andomal, mogliby powrócić do Hallasholm z podniesionymi głowami. W ten sposób odkupiliby okropną zbrodnię – to przez ich niedbalstwo Zovac skradł

najcenniejszy skarb Skandian.

Ale gdyby „Wilczy Wicher” dogonił ich teraz i zmusił do haniebnego powrotu, ich porażka byłaby jeszcze większa. Tak wielka, że już nigdy nie zdołaliby naprawić swego błędu.

Zavac był gdzieś niedaleko. Hal to czuł. To była ich jedyna szansa, znaleźć go i odebrać Andomal.

Zastanawiał się, co zrobi, jeśli „Wilczy Wicher” jednak ich dogoni. Przecież nie mogli walczyć przeciw Erakowi i jego ludziom. Byli Skandianami. Ich rodakami.

Chociaż nie jego, jak z goryczą dodał w myślach. Przez cały czas to podkreślali. W ich oczach był Araluńczykiem. Przez jedną cudowną chwilę, kiedy go zaakceptowali i uznali za jednego z nich, miał poczucie przynależności, którego zawsze tak mocno pragnął. I które zaraz potem zostało zniszczone, przez Zavaca i przez własną głupotę. Gdyby tylko tamtej nocy nie opuścił stanowiska, to wszystko by się nie wydarzyło. Andomal nadal stałby bezpieczny na swoim miejscu.

Mogli tylko dalej uciekać przed „Wilczym Wichrem”, wykorzystać przewagę, jaką dawały im trójkątne żagle. Tylko że w tym samym czasie Zavac mógł odpłynąć w siną dal. Aż do teraz dzięki kiepskiej pogodzie położenie „Kruka” było dość łatwo określić, zapewne znajdował się on gdzieś u południowo-wschodnich brzegów Morza Białych Sztormów. Ale pogoda zaczęła się zmieniać, nie potrafili przewidzieć, w którą stronę może popłynąć „Kruk”. Praktycznie w każdą, mógł po prostu zniknąć, nie zostawiając za sobą żadnych śladów.

Hal przekreślił się na plecy. Próbował rozluźnić mięśnie, w nadziei, że ciągłe wznoszenie się i opadanie łodzi ukołysz go do snu. Jednakże gorzka myśl o porażce nie dawała mu spokoju i nie pozwalała popaść w słodkie zapomnienie. Tak mijały godziny.

– Wstaje świt. – W jego świadomość wdarł się łagodny głos Stiga. Najwidoczniej jednak zasnął w którymś momencie, ale kiedy usiadł na posłaniu, półprzytomny i ledwo widząc na oczy, miał wrażenie, że musiało to nastąpić najwyżej kilka minut wcześniej.

Podniósł się, rozciągnął obolałe członki i podszedł do Stiga. Oczy przyjaciela były czerwone ze zmęczenia.

– Stałeś na straży przez całą noc?

Stig wzruszył ramionami.

– Potrzebowałeś snu.

Hal z wdzięcznością dotknął jego ramienia.

– Niewiele go zaznałem – powiedział.

Skierował wzrok na morze, Stig zrobił to samo.

– Ciągłe za ciemno, żeby coś zobaczyć – stwierdził z westchnieniem. – Kark mi zeszywniał od tego gapienia się przez całą noc.

Thorn siedział na swoim miejscu, owinięty nowiuteńkim kubrakiem. Pozostali członkowie załogi spali na ławkach. Tylko Wulf czuwał. Kilka godzin wcześniej zastąpił Stefana na stanowisku obserwacyjnym.

Hal zawołał go teraz.

– Obudź ich.

Wulf zaczął chodzić między ławkami i potrząsać każdym z chłopców po kolei. Przeciągali się i ziewali, drżąc w chłodzie poranka, i rozglądali się dokoła, szukając wzrokiem prześladowców.

Na końcu Wulf podszedł do postaci skulonej przy koferdanie, ale kiedy wyciągnął rękę, przywitał go groźny pomruk.

– Spróbuj mnie dotknąć, chłopcze, a wylądujesz za burtą.

Wulf w ostatnim momencie zabrał rękę i cofnął się. Jak widać, Thorn nie spał.

Na wschodzie wąski pas szarawego blasku pokazał się nad horyzontem. Łądu nie było widać. Wstające światło barwiło niskie chmury czerwienią. Morze syczało, przecinane dziobem łodzi, kilwater rysował się bielą na ciemnym tle. Powoli robiło się coraz jaśniej i świat zaczął przybierać coraz wyraźniejsze kształty. Zamazane sylwetki poruszające się po pokładzie zmieniły się w poszczególnych członków drużyny.

Hal przekazał ster Stigowi i wspiął się na nadburcie, jedną ręką przytrzymując się baksztagu. Powiódł wzrokiem po morzu, rozświetlonym porannym blaskiem. Lęk, który przez całą noc ścisnął mu żołądek, teraz ustąpił. Horyzont był pusty. Stig patrzył na niego, czekając na wieści. Hal uśmiechnął się na widok jego zaniepokojonej miny.

– Nic nie widać – powiedział. Stigowi wyraźnie ulżyło. Hal zeskoczył lekko na pokład. Czuł się teraz znacznie lepiej. Spojrzeli na siebie. Na obu twarzach malował się uśmiech ulgi.

Edvin, który przygotowywał śniadanie, podszedł do nich i postawił na pokładzie trzy talerze i kubki. Zerknął na skuloną postać Thorn'a i zapytał:

– Thorn jeszcze śpi?

– Spróbuj mnie obudzić, to się przekonasz – rozległo się groźne warknięcie.

Edvin unióśł brwi.

– Brzmi jak niedźwiedź pod koniec zimy.

Stig uśmiechnął się szeroko.

– W porównaniu z nim niedźwiedź to przymilny koteczek.

Edvin jeszcze raz spojrział na potężną postać.

– Zostawię tutaj jego talerz – powiedział i ruszył z powrotem na dziób. Przecież nie był głupi.

Śniadanie składało się z chleba, zimnego boczku i kawałka ostro przyprawionej kiełbaski. Może niezbyt apetycznie to wyglądało, lecz Hal był wygłodniały po nocy i pożarł wszystko łapczywie. Stig również szybko uporał się ze swoją porcją, a na koniec obliznął palce, by nie zmarnowała się ani odrobina smacznego tłuszczu.

Do popicia mieli zimną wodę. Hal marzył o jakimś gorącym napoju. Kawa smakowałaby teraz wprost niebiańsko. Lub nawet ziołowa herbatka. Albo i gorąca woda. Lecz niestety, nie mieli jak ugotować wody na pokładzie, więc musiała im wystarczyć zimna.

– Thorn, przerwa śniadaniowa się kończy – zawołał Stig. – Jak się nie pośpieszysz, to zjem twoją porcję.

W końcu Thorn podniósł głowę. Wstał i wyciągnął ramiona nad głowę. Hal zauważył, że na noc odwiązał protezę.

– Oto śniadanie wilka morskiego – powiedział Thorn do swych młodych przyjaciół. – Przeciągnąć się, podrapać i rozejrzeć uważnie dokoła.

Pierwszą część miał już za sobą. Teraz przeszedł do drugiej i zaczął drapać się z zapalem i wyraźną rozkoszą.

– Uważaj, żebyś nie podarł tego pięknego nowego kubraka – rzucił sucho Hal. – Drugiego ci nie kupię.

– Tego też jeszcze nie kupiłeś – warknął Thorn. Kiedy już się podrapał, powiódł wzrokiem po horyzoncie, przysłaniając oczy lewą dłonią. Słyszał, co powiedział wcześniej Hal do Stiga, jednakże przez lata spędzone na morzu nabrał przyzwyczajenia, by zawsze sprawdzać dokładnie, czy z jakiejś strony nie czai się zagrożenie. Kiedy tak wodził wzrokiem, nagle zamarł, zawahał się i zawrócił.

– Co to? – zapytał, zaniepokojony.

Halowi serce podskoczyło do gardła. Czyżby „Wilczy Wicher” zdołał ich wyminąć pod osłoną nocy? Thorn wskazywał na jakiś obiekt na lewo od dziobu. Hal powiódł spojrzeniem

w tym kierunku.

Najpierw poczuł ulgę. Nie wiedział, co to było, ale z pewnością nie „Wilczy Wicher”. Jakiś mały ciemny kształt unosił się na powierzchni kilka kilometrów dalej. Przyjrzawszy się uważniej, dostrzegł jakiś ruch. Bezwiednie zaczął kierować dziób „Czapli” w stronę tajemniczego obiektu, ale nagle zdał sobie sprawę, że w ten sposób maszt i żagiel zasłonią mu widok. Poza tym doszedł do wniosku, że to chyba niezbyt mądre, płynąc prosto na nieznaną obiekt. Utrzymał więc kurs, kierując się pod kątem jakichś dwudziestu stopni w prawo. Ciemny kształt to pojawiał się, to zniknął, kiedy „Czapla” unosiła się i opadała na falach.

Pozostali członkowie załogi usłyszeli okrzyk Thorny i również zapatrzili się na morze.

– Stefan! – zawołał Hal. – Na maszt!

Stefan machnął ręką na znak, że usłyszał, i pobiegł do wantów. Wspiął się po nich prędko i wyteżył wzrok. Kiedy odległość między nimi i tajemniczym obiektem nieco się zmniejszyła, krzyknął:

– To łódka! Mała łódka. Ktoś w niej siedzi! Macha do nas.

Taka informacja wystarczyła Halowi. Jeden mężczyzna w łódce nie mógł zagrozić „Czapli” i uzbrojonej załodze. Zwrócił dziób w lewo, prosto na łódkę. Ulf i Wulf ustawili żagiel odpowiednio do nowego kursu.

Przez głowę Hala przelatywały przeróżne myśli. Mężczyzna w łódce. Może rozbitek? Potem jego wyobraźnia wskoczyła na nowy tor. Może to nie jest jakiś tam rozbitek. Może jego okręt zaatakowali i zatopili piraci? Ci piraci? To mógłby być dowód na to, że „Kruk” krąży gdzieś w pobliżu!

Czuł, że Stig i Thorn myślą o tym samym. Spojrzeli na siebie. Żaden z nich nie śmiał wypowiedzieć tej myśli na głos. Hal uderzył lewą dłonią w ster, jakby w ten sposób mógł zmusić „Czaple” do pośpiechu.

– No, dalej – mruknął.

Skręcił nieco w prawo, by znów mieć dobry widok. Wszyscy, z wyjątkiem Ulfa i Wulfa, którzy pozostali przy szotach, zgromadzili się na dziobie. Edvin informował na bieżąco Ingvara, który oczywiście nic nie widział.

Kiedy podpłynęli bliżej, Hal zobaczył niewielki jednoosobowy skif. Pasażer stał, machając kawałkiem tkaniny, przywiązanej do długiego kija, zapewne wiosła.

– Stefan! Zejdź stamtąd! Przygotuj się do opuszczenia rejki! – zawołał Hal. Stefan pomachał z masztu, po czym ześliznął się po wancie na pokład.

– Edvin! Przygotuj chwytak!

Łódka znajdowała się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Rozbitek wiedział już, że go zauważyli, usiadł i odłożył wiosło na bok.

Hal, mrużąc oczy, zmierzył prędkość, kąty i odległość.

– Poluzujcie szoty! Żagiel w dół!

Ulf i Wulf poluzowali żagiel, a Jesper i Stefan ściągnęli go na dół. Łódź zaczęła wytracać prędkość. Hal stwierdził, że wymierzył czas niemal idealnie. „Czapla” stała prawie nieruchomo na falach, kiedy skif podpłynął do burty i zniknął z ich pola widzenia. Edvin wychylił się i zaczepił o niego chwytakiem, po czym kadłuby skifu i „Czapli” zetknęły się ze sobą.

– Ostrożnie – mruknął z irytacją. Stig, stojący obok, spojrzał na niego i wyszczerzył się szeroko. Wiedział, że Hal nienawidzi, kiedy coś obija się o kadłub jego łodzi, nawet taki nieszkodliwy mały skif.

– Jesteś równie okropny jak Erak – powiedział cicho. Hal zignorował go.

– Przyczep linę. Weźmiemy go na hol.

Edvin rzucił linę rozbitkowi i przymocował ją, a potem pomógł mu wdrapać się na

pokład. Pozostali ruszyli na pomoc. Nagle rozległ się pomruk zaskoczenia. Edvin odwrócił się i krzyknął na cały głos:

– To dziewczyna!



## Rozdział 20



Rzeczywiście, mężczyzna okazał się dziewczyną. A kiedy ruszyła ona w stronę Hala – a za nią zaciekawieni członkowie załogi – zauważył, że w dodatku bardzo piękną dziewczyną. Miała smukłe ciało, smagłą skórę i długie czarne włosy, związane z tyłu zwykłą wstążką.

Była ubrana jak myśliwy, w kaftan z jeleniej skóry, wełnianą tunikę i nogawice, obwiązane rzemieniami wokół tydek. Na plecach niosła kołczan, lecz nie miała łuku. U szerokiego skórzanego pasa zwisał długi sztylet i jakiś dziwny drewniany przedmiot. Była wysoka, jej oczy znajdowały się na poziomie oczu Hala. Z tyłu Ingvar szeptał – na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli:

– Kto to? Jak wygląda?

– Nie wiem, kto to – odparł Edvin, również nie zniżając zbytnio głosu. – Ale wygląda niesamowicie.

Uśmiech pokazał się w kąciку ust dziewczyny, ale znikł niemal natychmiast. Popatrzyła po twarzach chłopców, wyraźnie zdumiona ich młodym wiekiem. Potem jej wzrok padł na Thorna, jego drewnianą protezę i posiwiałe włosy.

– To ty jesteś kapitanem? – zapytała.

Thorn odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Skąd, moja droga. Ja jestem raczej pokładowym kotem. – Kiedy zmarszczyła brwi, wyjaśnił: – Czymś w rodzaju maskotki. Kapitan trzyma mnie tu dla rozrywki. A oto on. Ma na imię Hal.

Kiedy spojrzała na Hala, jej brwi uniosły się wysoko. Był niewiele starszy od niej.

– Naprawdę? – zapytała, nieco sceptycznie. Hal już miał się obrazić, lecz uświadomił sobie, że to naturalna reakcja.

– Naprawdę – powiedział. – To jest „Czapla”. Należy do mnie.

– A ja jestem Stig, pierwszy oficer – wtrącił pospiesznie Stig i odepchnął Hala, by podać dziewczynie rękę. – Jestem zachwycony, że mogę cię poznać. Witamy na pokładzie.

Kiedy to mówił, jego twarz oblał purpurowy rumieniec. Hal uśmiechnął się do siebie. Stig, choć wysoki i przystojny, często zachowywał się trochę niezręcznie w towarzystwie ładnych dziewczyn. Albo milczał jak zaklęty, albo bredził coś półprzytomnie. Tak jak tym razem.

Dziewczyna uściśnęła jego dłoń, a na jej twarzy znów pojawił się uśmiech, ale na bardzo krótko.

– Dziękuję. Mnie również jest bardzo miło.

Stig, nadal purpurowy, kilka razy przełknął ślinę, po czym, uświadomiwszy sobie, że nadal trzyma rękę dziewczyny, wypuścił ją czym prędzej, przy czym niemal odepchnął dziewczynę od siebie.

– Ymmm... eee... Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować, to daj znać. Gdybym tylko mógł coś dla ciebie zrobić... No wiesz, cokolwiek. Będę zachwycony... Po prostu... daj znać. – Nagle uświadomił sobie, że po raz drugi użył słowa „zachwycony” i zamilkł. Dziewczyna udawała, że nie zauważyła jego zakłopotania.

– Na pewno tak zrobię – odparła z powagą.

Stig kilka razy kiwnął głową, odchrząknął, po czym zrobił krok w tył, potknął się o zwój liny i o mało nie zwałił na pokład.

Hal wystąpił naprzód.

– Chyba nie usłyszałem twojego imienia – powiedział, a dziewczyna znów zwróciła na niego spojrzenie. Miała orzechowe, lekko skośne oczy i nieskazitelną cerę. Nagle Hal uzmysłowił sobie, że przed chwilą odpowiedziała na jego pytanie.

– Przepraszam? Jak? – spytał, nieco zdenerwowany.

Za plecami dziewczyny Thorn wzniósł oczy do nieba.

– Na brodę Bungalla – mruknął. Bungall był jednym z mniej znaczących bogów, znanym głównie z niezręcznego zachowania. Jego imię przyzywano nieczęsto i Hal nie był zachwycony, że Thorn zrobił to akurat teraz. Pospiesznie spojrzął na dziewczynę, przestraszony, że będzie musiał jeszcze raz zapytać ją o imię.

– Jestem Lydia – powiedziała. – Lydia Demarek. – Nazwisko wypowiedziała z akcentem na środkowej sylabie.

Hal pokiwał głową, jakby już wcześniej je słyszał. Nagle zauważył, że pozostali wpatrują się w niego z wyraźnym zaciekawieniem. Chyba czekali, aż wreszcie powie coś sensownego – lub przynajmniej nie całkiem idiotycznego – zamiast gapić się jak ostatni przymuł na piękną dziewczynę.

– A więc, Lydio Demarek, co sprawiło, że znalazłaś się na środku morza? Twój okręt się rozbił?

Potrząsnęła głową.

– Nie, przyplłynęłam z Limmat. Miasto zaatakowali piraci. Zdołałam uciec, ale straciłam jedno wiosło i musiałam dryfować.

Jej słowa wywołały pomruk ożywienia wśród załogi. Hal zrobił krok w stronę dziewczyny.

– Piraci? – zapytał. – Może dowodzi nimi mężczyzna imieniem Zavac?

Ale ona jeszcze raz potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia. Byłam na polowaniu, na wzgórzach, otaczających miasto, kiedy zaatakowali. Zobaczyłam ich i uciekłam. Kilku mnie goniło, na szczęście zdążyłam dobiec do skifu. Nurt strumienia zabrał mnie do zatoki, a potem podryfowałam wraz z prądem na otwarte morze.

– Kiedy to się stało? – zapytał Thorn.

Spojrzała na niego.

– Wczoraj koło południa. – Głos jej się załamał. Zmarszczyła brwi i skierowała spojrzenie na Hala. – Mogłabym dostać trochę wody? – spytała z lekkim wyrzutem. – Jestem bardzo spragniona.

– Oczywiście! – odparł Hal przepaszającym tonem. Nie zachowali się wobec niej zbyt uprzejmie. Najpierw rozproszył ich widok jej urody, a potem wiadomość o piratach. Wskazał na zydeł, stojący obok steru. – Usiądź, proszę. Edvinie, przynieś coś do picia. – Znow spojrzał na dziewczynę. – Jesteś głodna?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i zrobiła odmowny gest.

– Nie teraz. Ale naprawdę chce mi się pić. Nie miałam wody w łódce.

Edvin wrócił z dużym naczyniem, pełnym zimnej wody. Dziewczyna wzięła je, uśmiechnęła się, napiła i opuściła naczynie z westchnieniem.

– Och, znacznie lepiej! – stwierdziła z wdzięcznością i opadła na zydeł, wciąż trzymając w rękach naczynie, nadal do połowy pełne. Znow zaczęła pić, tym razem już nie tak łapczywie, bo najgorsze pragnienie zaspokoiła. – O czym to ja mówiłam? – zapytała.

– Limmat – przypomniał Hal. – Powiedziałaś, że piraci zaatakowali miasto.

Skinęła głową, a jej oczy pociemniały, gdy przypomniała sobie tamtą scenę, dym i płonące budynki, krzyki mieszkańców. Po raz setny zastanawiała się, czy jej dziadek żyje.

– Dostali się do miasta mimo strzegącej go zapory – powiedziała. – Jakiś statek zacumował przy wejściu do portu i strażnicy nie mogli jej zamknąć. Dwa inne okręty wpłynęły do portu, ciemnozielony i czarny, największy z nich.

Chłopcy zamruczeli z zainteresowaniem.

– Czarny, powiadasz? Jesteś pewna? – spytał Hal.

Przytaknęła z przekonaniem.

– Jestem pewna. Widzieliśmy poprzedniego dnia, jak przepływał w pobliżu. Przez chwilę myśleliśmy, że będzie próbował sforsować zaporę. Potem jednak zawrócił i odplynął.

Popatrzyli na siebie.

– Ścigamy jeden czarny okręt – powiedział Stig. – Ma po dziesięć wiosł z każdej strony. Nie zauważyłaś, ile ten miał?

Lydia potrząsnęła głową.

– Ja go wtedy nie widziałam. Słyszałam tylko, jak ludzie o tym mówili. Zobaczyłam go, kiedy już stał zacumowany przy nabrzeżu, więc nie mogłam dostrzec, ile ma wiosł. Ale był duży. Możliwe, że miał aż tyle. – Popatrzyła po twarzach chłopców. Widziała malujące się na nich zainteresowanie i pomyślała, że to może być jej szansa na powrót do Limmat.

– Mój dziadek jest w mieście – powiedziała. – Muszę wrócić i sprawdzić, czy nic mu nie grozi. Możecie mnie tam zabrać?

– Oczywiście! – wykrzyknął spontanicznie Stig. Ale Lydia patrzyła na Hala. To on był kapitanem, choć wyglądał tak młodo. Decyzja należała do niego. Stig również spojrzał na przyjaciela. Hal z namysłem potarł podbródek.

– Chyba powinniśmy sprawdzić, czy to jest okręt, którego szukamy. Popłyniemy tam. Ale to, co tam zobaczysz, może ci się nie spodobać. I może być niebezpiecznie.

Wzruszyła ramionami.

– Poradzę sobie. A jeśli chodzi o to, co tam zastanę, to muszę wiedzieć, tak czy inaczej.

– Jeśli piraci nadal tam są – wtrącił Thorn – raczej nie możemy tak po prostu wpłynąć do portu i pomachać im na powitanie.

Po chwili namysłu Lydia odparła:

– Na południowy zachód od miasta rozciągają się mokradła. Możemy tam wylądować i przepłynąć przez nie skifem.

Thorn, Hal i Stig wymienili spojrzenia i podjęli decyzję.  
– Potrafiłabyś narysować mapę tych mokradeł? – spytał Hal, a Lydia przytaknęła z zapalem.  
– Oczywiście.  
– W takim razie tak zrobimy.



Skierowali się w stronę lądu i skręcili na południe, w kierunku Limmat. Na długo przedtem, nim samo miasto pokazało się na horyzoncie, ujrzeli wiszący nad nim słup dymu. Na ten widok oczy Lydii zaszyły łzami. Nadzieja na to, że jej dziadek żyje, zdawała się coraz bardziej płonna. Na pewno próbował walczyć z piratami, nawet jeśli nie miał najmniejszych szans na wygraną. Przeszła na dziób i zapatrzyła się na dym, wznoszący się na horyzoncie. Nikt z załogi nie przeszkadzał jej w samotnych rozmyślaniach.

W końcu wróciła na rufę. Była całkowicie opanowana, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Wskazała na płaski brzeg.

– Powinniśmy zatrzymać się w tym miejscu i przesiąść się na skif – powiedziała. – Kiedy okrążymy następny cypel, mogą nas zobaczyć.

Hal skierował łódź do brzegu. Lydia przyglądała się z zainteresowaniem, jak Thorn chowa płetwę, kiedy łódź wpłynęła na płytsze wody. Stefan i Jesper wyskoczyli na brzeg i wsadzili kotwicę w piasek. Hal odwiązał linę, na której holowali skif Lydii i przyciągnął go do brzegu.

Lydia wskazała na niski cypel po wschodniej stronie.

– Kiedy okrążymy ten cypel, znajdziemy się na mokradłach. Pośród trzciny i traw skif będzie niewidoczny.

Hal przytaknął.

– Ty, Stig i ja – powiedział. – Więcej osób się nie zmieści. – Spojrzał na Thornę. – Przejmij dowodzenie. – Thorn kiwnął głową.

– Nie ruszamy się stąd – odparł. – W razie czego przyjdziemy wam z pomocą.

Hal uśmiechnął się, wdzięczny, że Thorn nie protestuje.

– Odwróćcie „Czapkę” dziobem do morza – polecił. – W razie gdybyśmy musieli szybko się stąd wynosić.

Wsiedli do skifu. Wcześniej Hal przerobił włócznie na prowizoryczne wiosło, może dość prymitywne, ale lepsze niż nic. Stig włożył wiosła w dulki, sprawdził, czy są w równowadze i skinął głową z zadowoleniem. Potem zaczął wiosłować miękkimi ruchami i skif pomknął w stronę cypla.

Tymczasem reszta załogi zepchnęła „Czapkę” na wodę i odwróciła ją, kierując rufą do lądu. Hal obejrzał się i zobaczył potężną sylwetkę Thornę, który podniósł lewą rękę i pomachał. Hal odpowiedział tym samym gestem.

Okrążony cypel, zobaczyli ciągnącą się kilometrami równinę, porośniętą trawą i niskimi krzakami, a w głębi dwie wieże i najwyższe z miejskich zabudowań. Stig skierował skif do ujścia wąskiego strumienia. Po chwili znaleźli się w gęstwinie wysokich traw i trzciny. Teraz z pewnością byli niewidoczni. Sami tylko chwilami mogli dostrzec przebłęskujące w oddali miasto.

Płynęli krętymi labiryntami, czasem zbaczali z drogi, lecz zawsze odnajdywali właściwy kierunek. Po godzinie Lydia pokazała Stigowi piaszczystą mierzeję, porośniętą trawą



i karłowatymi drzewkami.

– Lepiej zostawmy skif tutaj – powiedziała. – Jesteśmy już blisko i mogą nas zobaczyć.

Wyciągnęli więc skif na brzeg i, zgodnie z sugestią Lydii, wsadzili jedno z wiosł na sztorc w piach.

– Z miasta go nie zauważą – wyjaśniła – a my dzięki temu będziemy wiedzieli, gdzie zostawiliśmy łódkę.

Przecięli mierzeję i weszli do wody. Sięgała do pasa. Lydia ostrzegła, że miejscami może być głębiej. Szła na przedzie, badając grunt długą gałęzią, który wyciął dla niej Hal.

Brnęli dalej, a miasto stopniowo ukazywało się coraz wyraźniej ich oczom. Właściwie nie rozmawiali, tylko czasem Lydia rzucała jakieś pomocne uwagi. Nie mieli ochoty na ciche pogawędki, całą ich energię pochłaniała uciążliwa wędrówka po miękkim błotnistym dnie. W końcu Lydia przystanęła i wskazała na niewielką wysepkę, porośniętą niską roślinnością.

– Stamtąd widać port – powiedziała.

Hal z podziwem pokręcił głową. Mimo że miał dobre rozeznanie w przestrzeni, to wiedział, że dawno pogubiłby się pośród tego labiryntu splątanych wodnych strug.

– Widzę, że nieźle znasz tę okolicę – stwierdził, a Lydia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Poluję i łowię ryby na tych mokradłach, odkąd skończyłam dziewięć lat.

Wyszli na brzeg. Mokre ubrania kleiły im się do ciała. Wdrapali się na niską wypukłość wysepki, ostatni odcinek pokonali na czworakach. Przed nimi rozciągał się port. W kilku miejscach nad miastem nadal unosił się dym, choć wyglądało na to, najgorsze pożary zostały opanowane. Powietrze wypełniała gęsta woń spalonego drewna.

Hal rozejrzał się wokół. Zauważył, że tuż za zaporą stoi przycumowany niewielki okręt. Zmarszczył brwi. Wydał mu się on dziwnie znajomy. Po chwili już wiedział. To był „Lew Morski”, jeden ze statków, należących do niewielkiej floty handlowej Arndaka, która zgodnie z planem miała wrócić do Hallasholm kilka miesięcy wcześniej. Poprzedniego roku pracował przy niej w szkutni – po niefortunnym spotkaniu z wielorybem kilku klepek wymagało wymiany. Pokazał statek Stigowi. Jego mina świadczyła o tym, że również go rozpoznał.

– A więc już wiemy, co się stało z flotą Arndaka – stwierdził Hal, po czym wskazał na długi czarny okręt, zacumowany w głębi portu.

– „Kruk” – powiedział Stig.

Hal w milczeniu patrzył na czarny kształt. Poczł nagłą nienawiść w sercu. A więc tu był ten, którego ścigali, zaledwie kilometr dalej. Niechętnie oderwał oczy od okrętu.

Najpierw spojrział na wieże strażnicze po obu stronach wejścia do portu. Były to proste drewniane platformy, z czterech stron otoczone balustradą, sięgającą zapewne do wysokości piersi, chyba z drewna sosnowego, i zwieńczone płaskim dachem. Pośrodku znajdowało się zamknięte pomieszczenie – stróżówka, jak przypuszczał. Wieże najwyraźniej służyły jako punkty obserwacyjne oraz punkty obronne – stąd łatwo było posłać deszcz strzał na wroga. Platformy stały na drewnianym rusztowaniu, złożonym z czterech słupów, połączonych kratownicą z cieńszych belek. Pośrodku konstrukcji biegła drabina.

Hal zobaczył wszystko, co było mu potrzebne. Teraz musiał tylko wymyślić, w jaki sposób jego niewielka drużyna ma pokonać załogę piratów, która składała się pewnie z co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn. Do tej pory wołał o tym nie myśleć i nie robić żadnych konkretnych planów. Nie miało to sensu. Ale teraz, kiedy odnaleźli „Kruka”, musiał zmierzyć się z tym problemem. I to szybko. Nie wiedział przecież, jak długo piraci zostaną w mieście. Cofnął się i wstał.

– Wracajmy. Musimy pomyśleć, co dalej.

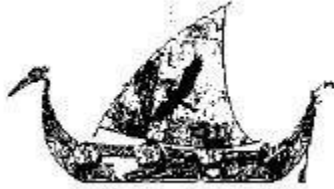
I ruszyli z powrotem przez błotniste wody, Lydia znowu na przedzie. Po pół godzinie Hal

zobaczył pióro wiosła, sterczące ponad trzciniami i skierował się w jego stronę. Zerknął z uznaniem na Lydię. Pomyślał, że dobrze mieć kogoś takiego do pomocy. On nigdy nie zdołałby rozpoznać akurat tej wysepki spośród pozostałych. Wyszli na brzeg. Stig pchnął skif do wody, a Hal wyciągnął wiosło z pasku.

– Chcesz, żebym powiosłował? – zapytał, lecz Stig potrząsnął głową.

– Nie trzeba, nie jestem zmęczony. Poza tym wiosłuję szybciej od ciebie, więc szybciej będziemy na miejscu.

– Całkiem możliwe – powiedział głos za ich plecami, a kiedy odwrócili się, zdjęci przerażeniem, ujrzeli grupkę mężczyzn, którzy wychynęli spomiędzy zarośli i prędko ich otoczyli. – Ale teraz nikt nigdzie się stąd nie ruszy.



## Rozdział 21



Hal i Stig nie zabrali broni, bo nie chcieli dźwigać ciężarów, brodząc przez mokradła. Obaj jednak mieli przy sobie saksy i kiedy się odwrócili, ich dłonie odruchowo sięgnęły do pasa.

– Nie radzę – ostrzegł mężczyzna. Jego towarzysze potrząsnęli bronią. Niektórzy dzierżyli miecze, inni maczugi, buzdygany i krótkie włócznie.

– Zapomnij – powiedział cicho Hal do przyjaciela. Podejmowanie walki było bezcelowe. Ich przeciwnicy mieli znaczną przewagę liczebną. Hal wyprostował się i zabrał dłoń z rękojeści noża. Stig, wpatrując się z wściekłością w otaczających ich mężczyzn, doszedł do tego samego wniosku co jego przyjaciel.

Hal przyjrzał się mężczyźnie. Był od nich trochę starszy, mógł mieć dwadzieścia lat, może niewiele więcej. Był przeciętnego wzrostu, lecz mocno zbudowany. Ciemne włosy sięgały do ramion. Szeroka twarz była gładko ogolona. Kiedyś jego nos musiał zostać złamany i źle złożony, bo był lekko krzywy, a pośrodku widniał niewielki garbek. Mężczyzna dzierżył swobodnie krótki miecz i niewielką okrągłą tarczę z metalu, najwyraźniej przyzwyczajony do posługiwania się tym rodzajem broni.

„Jak większość piratów”, pomyślał Hal z goryczą.

I dlatego następne słowa mężczyzny mocno go zaskoczyły.

– Panowie – powiedział, uśmiechając się do swych towarzyszy – chyba schwytaliśmy kilku piratów.

Hal, zdumiony, już otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz Lydia go ubiegła. Kiedy mężczyźni ich otoczyli, stała nieco z tyłu, a teraz wystąpiła naprzód, rozdzielając Hala i Stiga i podeszła odważnie do mężczyzny.

– Piraci! Litości, Barat. Ty to zawsze dziwnie interpretujesz rzeczywistość. Odłóżcie broń. Wszyscy! – dodała i powiodła wzrokiem po stojących w półkolu mężczyznach.

Mężczyźni zamruczeli ze zdumieniem. Przywódca, którego nazwała Baratem, wpatrzył się bacznie w Lydię. Podobnie jak Hal i Stig, była usmarowana błockiem i brudną wodą. W dodatku robiło się późno i światło nie było zbyt dobre. Nagle twarz Barata pojaśniała.

– Lydia? To ty? To naprawdę ty! Nieźle upačkana, ale to ty, bez wątpienia!

Wsunął miecz do pochwy i podbiegł do niej, śmiejąc się radośnie, i chwycił ją w objęcia. Stig zacisnął wargi.

Pomyślał z ukłuciem żalu, że tych dwoje musi łączyć bliska przyjaźń. A może nawet coś więcej. Lydia wykręciła się jednak z wyraźną niechęcią i uwolniła z objęć Barata. Pozostali podeszli bliżej, pozdrawiając ją serdecznie, a niektórzy nawet pokleпали po plecach.

Po chwili Barat spojrział z zaciekawieniem na Hala i Stiga.

– A ci dwaj to kto? – zapytał. – Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

– To Skandianie. Moi przyjaciele – odparła Lydia.

– Skandianie? – Barat zrobił podejrziwą minę. W jego oczach Skandianie niewiele różnili się od piratów.

Stig wyczuł jego niechęć. Oblał się rumieńcem gniewu. Zrobił krok w przód, a ręka sama powędrowała do saksy u pasa.

Hal położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Spokojnie, Stigu – powiedział cicho. Po sekundzie czy dwóch z ulgą zauważył, że Stig rozluźnił ramiona i cofnął dłoń z rękoności saksy.

Barat zdążył jednak zauważyć wcześniejszy ruch i wbił wzrok w Stiga. Ich wzajemna niechęć była niemal fizycznie wyczuwalna.

– Właśnie, Stigu. Spokojnie – powtórzył za Halem.

Hal mocniej zacisnął rękę na ramieniu przyjaciela.

Tym razem Stig nie dał się sprowokować. „Zmienił się”, pomyślał Hal. Dawny Stig uległby gniewowi i nieopatrznie zrobił coś głupiego.

– Przestań, Barat – odezwała się Lydia gniewnie. – To moi przyjaciele. Pomogli mi. Prawdopodobnie uratowali mi życie, ściśle rzecz ujmując. I zeszedli z obranego kursu, by zawieźć mnie do Limmat.

– I przy okazji pewnie rozejrzeć się, co by tu można złupić – stwierdził Barat wzgardliwie.

– Jest tylko jedna rzecz, na której nam zależy – odparł Hal nieporuszenie. – Czarny piracki okręt, stojący w waszym porcie. Szukamy go od kilku tygodni. Kiedy Lydia nam o nim powiedziała, postanowiliśmy to sprawdzić.

– Przypuszczam więc, że nie chodzi wam o szma...

– Zamknij się, Barat! – wrzasnął jeden z mężczyzn. Barat zaczerwienił się i spojrział na tego, który mu przerwał.

– Pomyślałem, że...

– Nie pomyślałeś! – uciął tamten. Był nieco starszy od Barata, wysoki i potężnie zbudowany. – Świetnie sprawdzasz się jako dowódca podczas bitwy, ale masz stanowczo za długi jęzor. Powinieneś w końcu nauczyć się trzymać go za zębami. Jeżeli Lydia twierdzi, że ci młodzieńcy są jej przyjaciółmi, mnie to wystarczy!

Kilku innych zamruczało zgodnie i Barat poddał się, aczkolwiek z wielką niechęcią.

– No, dobrze. Chciałem tylko powiedzieć...

Lydia powiodła wzrokiem dokoła i zapytała, by nieco rozluźnić atmosferę:

– Jonasiu, powiedz mi, co wy właściwie robicie na mokradłach?

Pytanie skierowała do mężczyzny, który chwilę wcześniej uciszył Barata. Ten wzruszył ramionami.

– Uciekliśmy, kiedy zaatakowali piraci. Kompletnie nas zaskoczyli. Widzieliście ten mniejszy statek u wejścia do portu? – Kiedy przytaknęli, opisał, jakiego fortelu użyli piraci, by strażnicy otworzyli zaporę. – Potem dołączyły do nich dwa inne okręty. Razem przypuścili atak na miasto. Zabili prawie wszystkich strażników. Zebraliśmy się w niewielką grupę i stanęliśmy do walki, lecz nie byliśmy zorganizowani, walczyliśmy pojedynczo, czasem we dwóch. Nie mieliśmy szans przeciwko nim.

– Mieliśmy szczęście, że udało nam się uciec – dodał inny mężczyzna.

Hal spojrzął na niego.

– Ilu uciekło?

– Trzydziestu ośmiu – odparł Jonas. – Urządziliśmy obóz na mokradłach. Tu nas nie znajdują. Zbyt dobrze znamy teren. Barat zorganizował naszą grupę, ale jest nas za mało, by zaatakować piratów, szczególnie że przebywają wewnątrz palisady, więc utknęliśmy w martwym punkcie.

Hal, uznawszy, że nadszedł odpowiedni moment, by naprawić kontakty z Baratem, zwrócił się do niego:

– A więc sądzisz, że zamierzają tu zostać? Ilu ich tam jest?

Barat przytaknął, wyczuwszy przyjazne nastawienie Hala, i odpowiedział równie uprzejmym tonem:

– Myślę, że jeszcze trochę zostaną. Jeśli chodzi o to, ilu ich jest, to nie wiem. Na pewno więcej niż nas.

– Załoga „Kruka” liczy co najmniej pięćdziesięciu ludzi – powiedział Stig z namysłem. – Pewnie tyle samo jest na tym drugim dużym okręcie, może niewiele mniej. A „Lew Morski” może zmieścić piętnastu do dwudziestu ludzi.

– „Lew Morski”? – powtórzył Barat.

Hal machnął ręką w stronę zatoki.

– Ten mniejszy statek. Jakiś czas temu ci piraci napadli na niego i przywłaszczyli go sobie. To skandyjski statek handlowy.

– Już nie – zauważył Barat. – Teraz należy do piratów.

– To prawda – powiedział Hal. – Tak więc pytanie brzmi: co dalej? Was jest trzydziestu ośmiu, nas dziewięciu. Mają nad nami przewagę liczebną, więc musimy ich wziąć z zaskoczenia.

– Jak? – zapytał Stig, a Hal odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

– Oto jest pytanie. Kiedy znajdę na nie odpowiedź, obiecuję, że pierwszy ją poznasz.

Barat spojrzął na nich, nieco zawstydzony.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzacie się do nas przyłączyć?

– Mamy wspólnego wroga – odparł Hal. – Zamac coś nam ukradł i chcę to odzyskać. Ty chcesz wypędzić go z miasta. Jeśli połączymy siły, być może obaj na tym skorzystamy.

Barat przez kilka sekund rozważał jego słowa, po czym skinął głową i wyciągnął rękę do Hala.

– Brzmi nieźle – stwierdził. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Barat podał rękę Stigowi, który również ją przyjął, aczkolwiek nadal odnosili się do siebie z wyraźną rezerwą. Hal pomyślał, że może to mieć jakiś związek z dziewczyną.

– Powinniśmy wrócić do naszej łodzi, póki jest jasno – powiedział, spoglądając na

zachód, gdzie słońce zniżało się ku horyzontowi. – Jak stoicie z zapasami?

Barat zacisnął wargi.

– Marnie. Na mokradłach można łowić ryby i polować na dzikie ptactwo, lecz nie starcza tego, by wyżywić dużą grupę ludzi. Nie zabraliśmy niczego ze sobą. Obawiam się, że nie mogę wam niczego zaofiarować.

Hal potrząsnął głową.

– Nie o to mi chodziło. Mamy zapasy na łodzi. I więcej w obozie, leżącym dalej na północ. Jeśli któryś z was z nami pójdzie, możemy wam część odstąpić. Potem popłyniemy do obozu, zabierzemy broń, więcej jedzenia, i wrócimy. Może do tego czasu obmyślę jakiś plan działania.

Barat skinął głową z wdzięcznością.

– Z pewnością nie odmówię.

Prędko wydał rozkazy. On i dwóch innych mieli udać się ze Skandianami po zapasy, a pozostali wrócić do obozu na mokradłach. Stig zepchnął skif na wodę i wsadził wiosła w dulki, a Barat i jego ludzie wyciągnęli podobną łódkę z kryjówki w trzcinach.

Hal spojrział na nią z uniesionymi brwiami.

– A to skąd się tu wzięło?

Nie wyobrażał sobie, by podczas pospiesznej ewakuacji z miasta ktoś pamiętał o zabraniu łodzi.

– Wielu mieszkańców trzyma łódki na mokradłach – wyjaśniła Lydia. – Używają ich podczas wędkowania i polowania na ptactwo. – Kiedy Barat podpłynął bliżej, ruszyła w jego stronę. Otworzyła usta, zawahała się, po czym zebrała się w sobie i powiedziała drżącym głosem: – Jeszcze o to nie zapytałam. Czy wiesz, co się stało z moim dziadkiem? Zdołał uciec?

Twarz Barata wystarczyła za odpowiedź, zanim przemówił.

– Zginął. Przykro mi, Lydio. Próbował z nimi walczyć. Sama wiesz, jaki był.

Kiwnęła głową ze smutkiem.

– Wiedziała, że będzie usiłował ich powstrzymać.

– Było ich zbyt wielu – podjął Barat – a on miał już swoje lata. – Jego twarz pociemniała od gniewu na wspomnienie tamtej sceny. – Był starym człowiekiem. Nie musieli go zabijać. Mogli po prostu zabrać mu broń. Ale tak nie zrobili. Zabili go. – Urwał i spojrział na Lydię. Jej twarz była nieporuszona, nie wyrażała żadnych emocji.

– Nie mogłem mu pomóc, Lyd. Próbowalem, ale nie zdążyłem na czas. Potem zjawilo się jeszcze więcej piratów i musiałem uciekać. Nic nie mogłem zrobić, naprawdę.

Dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się blado.

– Wiem – powiedziała. – On nigdy nie oddałby broni. Nie przyjmował do świadomości, że jest stary.

Nagle odwróciła się, by ukryć łzy, napływające jej do oczu na wspomnienie człowieka, który przez tyle lat nią się opiekował. Potem znów się odwróciła, całkowicie opanowana. Podeszła do skifu Hala, zajęła miejsce na dziobie i powiedziała:

– Wracajmy do łodzi.



Minąwszy cypel, zobaczyli jedynie ciemny kształt „Czapli” wyciągniętej na ląd. Hal z aprobatą skinął głową. Thorn nie pozwolił rozpalić ogniska. Stig wiosłował mocnymi rytmicznymi ruchami i po kilku minutach pokonali zatokę. Gdy znajdowali się jakieś pięćdziesiąt

metrów od celu, Hal usłyszał ciche zawołanie i odparł:

– Tu Stig i Hal. Jest z nami kilku ludzi. To przyjaciele. Wpłynęli na płyciznę. Hal wyszedł ze skifu, by przyciągnąć go na brzeg. Barat i jego towarzysze płynęli tuż za nimi. Hal rozejrzał się dokoła. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że członkowie jego drużyny są w pełnym rynsztunku. Zdjęli tarcze z nadburcia i teraz dzierżyli je w dłoniach. Blask gwiazd odbijał się w ostrzach mieczy i toporów.

Thorn miał na głowie swój stary rogaty hełm, a zwykłą protezę, zakończoną szczypcami, zamienił na maczugę. Teraz ruszył w ich stronę.

– Wszystko w porządku? – spytał podejrzliwie.

Hal uśmiechnął się.

– Tak. Ci ludzie to nasi przyjaciele. Lydia ich zna. Chcemy razem walczyć z piratami.

Przez chwilę Thorn bacznie przyglądał się obcym. Ponieważ nie dojrzał żadnych oznak wrogości, odchrząknął, uspokojony, że Hal nie mówił pod przymusem.

– W porządku. Czaple, opuścić broń.

Rozległo się szczykanie oręża, gdy chłopcy wykonali polecenie. Hal przedstawił limmatan i wyjaśnił, że obiecał im część zapasów. Edvin skinął głową i ruszył w stronę łodzi, a za nim dwaj towarzysze Barata. Kilka minut później wrócili z ciężkimi workami.

– Wielkie dzięki – powiedział Barat, a Hal tylko nieznacznie kiwnął głową.

– Przywieziemy więcej z obozu. Wypatrujcie nas za dwa dni.

Barat ucisnął rękę Hala, po czym odwrócił się i krzyknął przez ramię:

– Ruszamy, chłopaki. Lydio. Wracajmy do obozu.

Ale Lydia stała w miejscu, najwyraźniej niepewna, co ma robić. Barat spojrzał na nią, zdumiony i nieco urażony.

– Lydio? No, chodź.

Lydia spuściła wzrok i zaczęła rysować stopą kółka na piasku.

– Chyba. Chyba zostaną tutaj – powiedziała, po czym zerknęła prędko na Hala. – Jeśli nie macie nic przeciwko?

Hal rozłożył ręce, zaskoczony.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie.

Stig wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Jeśli o mnie chodzi, to też nie.

Barat rzucił mu wściekle spojrzenie, po czym nagłym gestem wskazał na skif.

– Nie bądź niemądra, Lydio. To nie są nasi ludzie. Chodź z nami. No, już.

Lydia podniosła wzrok. Jej oczy lśniły, pełne determinacji. Potrząsnęła głową.

– Nie – oznajmiła. – Zostaję ze Skandianami.

Barat wydał z siebie prychnięcie, w którym gniew mieszał się z frustracją.

– Świetnie – odparł. – A więc postanowiłaś zapomnieć o przyjacielach. Wolisz zostać z obcymi.

– Tak, tak właśnie wybrałam – odparła Lydia, teraz już bardziej pewnie. Barat odwrócił się, najwyraźniej nie miał ochoty na dalsze dyskusje, i ruszył do łódki, sztywno wyprostowany. Zepchnął skif na wodę i zaczął wiosłować. Nie obejrzał się ani razu za siebie. Jego towarzysze prędko wskoczyli do drugiej łódki i ruszyli za nim.

Stig uśmiechnął się szeroko do Lydie.

– Dobry wybór – stwierdził.

Ale ona odwróciła się i nic nie powiedziała.



## Rozdział 22



Przez całą drogę do Zatoki Schronienia Lydia prawie się nie odzywała.

Stała samotnie u dziobu, wpatrzona w fale, nie zwracając uwagi na bryzgającą wodę.

– Przemoknie – powiedział Stig do Hala. – Przyniosę jej koc.

Hal jednak powstrzymał przyjaciela.

– Zostaw ją – powiedział cicho.

Stig zawahał się. Chciał porozmawiać z Lydią, ale Hal potrząsnął głową i w końcu Stig musiał przyznać mu rację.

Podróż powrotna nie przebiegała tak gładko jak w tamtą stronę. Wiatr wiał teraz z północnego zachodu, ze zmienną siłą, więc nie mieli chwili spoczynku, halsowali i ciągle na nowo musieli ustawiać żagle. Lydia, widząc, że zawadza, przeszła na tył i stanęła przy lewej burcie. Przyglądała się, jak „Czapla” robi kolejne zwroty i zauważyła, że potrafi ostrzyć lepiej niż okręty o prostokątnych żaglach, które zawsze spotykało się w tej części świata. Ale po pewnym czasie znudziło ją to i znów zapatrzyła się na morze.

Po kilku godzinach wiatr wreszcie ustalił kierunek i siłę. Chłopcy skorzystali z okazji, by odpocząć na ławkach. Niektórzy momentalnie zasnęli. Hal uśmiechnął się do siebie. Pomyślał, że jego towarzysze są już wytrawnymi żeglarzami, potrafią łapać choćby te kilka minut snu, kiedy tylko nadarza się okazja. Przekazał ster Stigowi i zaczął rozglądać się za jakimś miejscem na odpoczynek. Na jego miejscu siedziała Lydia. Wzruszył ramionami i usiadł obok niej.

Spojrzała na niego i skinęła głową.

– Przykro mi z powodu twojego dziadka – powiedział niepewnie. Wcześniej ostrzegwał Stiga, żeby nie przeszkadzał Lydii, gdyż czuł, że nie jest ona w odpowiednim nastroju, by znosić niezbyt subtelne zaloty. Ale było mu jej żal, samej wśród obcych, pogrążonej w smutku po stracie bliskiej osoby.

Uśmiechnęła się blado.

– Dzięki – powiedziała. – Był dobrym człowiekiem. Ale nigdy nie zdołałby ich pokonać. Był za stary.

Po chwili namysłu Hal odparł:

– Może nie chciał tak po prostu się poddać. Może wiedział, że jest za stary, by z nimi

wygrać, ale nie chciał stać z boku i patrzeć, jak szturmują miasto.

– Pewnie tak. To by było do niego podobne – stwierdziła. W jej głosie pobrzmiewała duma i lekkie rozbawienie. Potem spojrzała na trójkątny żagiel, wydymający się na wietrze. – To niezwykła łódź.

Uśmiechnął się. Nie mógł oprzeć się pokusie i powiedział:

– Sam ją zaprojektowałem i zbudowałem. To moja duma i radość.

Lydia spojrzała na niego z szacunkiem. Początkowo zaskoczyło ją, że ktoś tak młody może być kapitanem. Teraz zaczynała rozumieć, jak udało mu się zdobyć taką pozycję w tak młodym wieku.

– Co to za konstrukcja stoi na dziobie? – zapytała. – Ta przykryta płótnem. To jakiś podnośnik?

Pokręcił głową.

– To broń. Nazywa się Zadymiarz. Możliwe, że odegra kluczową rolę w naszej walce z piratami.

Spojrzała na tajemniczą maszynę z nadzieją, że Hal powie coś więcej, on jednak tylko potrząsnął głową. Przed chwilą, kiedy stał u steru, pewien plan powoli zaczął przybierać kształty w jego głowie. Na razie dopiero w formie załączka, serii niepowiązanych ze sobą pomysłów. Hal potrzebował czasu, by usiąść i uporządkować je, zamienić w spójną całość.

– Później ci powiem. – Potem, zmieniając temat, dodał: – Opowiedz mi o Baracie.

Wydaje się nieco przewrażliwiony na swoim punkcie.

Prychnęła wzgardliwie.

– Łagodnie rzecz ujmując. Barat jest okropnie zapatrzony w siebie. To dobry wojownik, bardzo dobry, jak powiedział Jonas. I sprawdza się jako dowódca w czasie bitwy. Ale na tym koniec. Na co dzień jest zbyt porywczy i za szybko się zniechęca. – Tu Lydia zrobiła przerwę i dodała: – No i zbyt często zakłada, że pewne rzeczy po prostu mu się należą.

Hal wyczuł po tonie jej głosu, że to ostatnie dotyka ją w bardziej bezpośredni sposób niż inne cechy Barata.

– Przez co rozumiem, że jego zdaniem ty mu się należysz?

– Uważa, że jestem jego własnością – odparła. – I opowiada na prawo i lewo, że niedługo weźmie mnie za żonę.

– Gniewnie machnęła ręką. – Nawet przez myśl mu nie przejdzie, że może ja też mam w tej kwestii coś do powiedzenia! Właśnie dlatego nie chciałam wrócić z nim do obozu. Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam.

Hal potrząsnął głową.

– Możesz zostać z nami tak długo, jak tylko zechcesz. Chłopcy cię lubią.

– To miło – powiedziała, nieco zakłopotana. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Kiedy tak szukała w myślach, co by tu powiedzieć, jej wzrok padł na wysoką postać, stojącą przy sterze.

– Od jak dawna znasz Stiga? – spytała, by zmienić temat.

„Oho! A więc tak się sprawy mają”, pomyślał Hal. Teraz on spojrzał na przyjaciela. Na tle nocnego nieba wyglądał jak prawdziwy heros.

– Och, przyjaźnimy się od lat. – Tu urwał, po czym dodał: – A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę się położyć.

Odszedł kilka metrów dalej, zawiął się w koc i ułożył do snu. Zastanawiał się, czemu niewinne pytanie Lydie wywołało w nim to dziwne niesprecyzowane uczucie żalu.





Dotarli na miejsce o świcie. Słońce wisiało nisko nad wzgórzami i świeciło im prosto w oczy. Z tego powodu, a także dlatego, że morze było wzburzone i wiał silny wiatr, Hal postanowił, że ostatni odcinek powinni przebyć, wiosłując. Jakies sto metrów od brzegu opuścili więc żagiel i siedli do wiosel, a Hal wprowadził łódź przez wąskie wejście na spokojniejsze wody zatoki. Wysokie wzniesienia zasłaniały słońce i zatoka wciąż leżała pogrążona w cieniu.

U kresu drogi zawsze następuje taka chwila odprężenia, kiedy oczom podróżników wreszcie ukazuje się dom – nieważne, nawet tak prowizoryczny jak ten. Wreszcie znaleźli się na znajomych bezpiecznych wodach. Już myśleli o ciepłych wygodnych posłaniach, czekających na nich w chacie. Dlatego ich czujność została uszpięta i nie zauważyli ciemnego kształtu przy jednym z cyplów u wejścia do zatoki. Dopiero kiedy kształt się poruszył, Hal zarejestrował jego obecność.

Zrobił prędkie zwrot. Z prawej strony płynął ku nim duży okręt. Opuścił swą kryjówkę i teraz najwyraźniej zamierzał zablokować wejście do zatoki. Pozostali chłopcy podnieśli alarm. Zaskoczeni, przestali wiosłować. Hal słyszał już cichy plusk wiosel przy drugim okręcie, który zaczynał ich doganiać.

– To „Wilczy Wicher” – powiedział cicho Thorn.

Hal opuścił ramiona. A więc koniec – po tym wszystkim, co przeszli, kiedy wreszcie odnaleźli „Kruka” i byli tak blisko odzyskania Andomala. Teraz powrócą w hańbie do Hallasholm. I będą traktowani jeszcze gorzej niż przed ucieczką, gdyż przeciwstawili się rozkazom oberjarla.

A on straci „Czapłę”. Erak zapowiedział, że skonfiskuje łódź. Teraz na pewno spełni groźbę. A bez „Czapli” drużyna przestanie istnieć. Dopóki mieli łódź, mieli nadzieję. Teraz ją utracili.

„Wilczy Wicher” zbliżył się do „Czapli” od strony rufy na odległość dziesięciu metrów. Wioślarze zaczęli wiosłować w tył. Hal rozpoznał Svengala, który stał na nadburciu tuż przy dziobie, trzymając się forsztagu, żeby nie spaść.

– Hal! – krzyknął. – Wiosłujcie dalej. Zacumujcie ją na plaży koło obozu.

Hal wyczuł jakiś ruch za swoimi plecami. To Stig zerwał się ze swojej ławki.

– Możemy ich prześcignąć! – zawołał. Hal jednak potrząsnął głową z rezygnacją.

– Niemożliwe. Są szybsi od nas. A kiedy zaczniemy podnosić żagiel, zdążą nas dogonić.

– To będziemy walczyć! – odparł gniewnie Stig.

Thorn mruknął ostrzegawczo. Załoga „Wilczego Wichru” miała nad nimi przewagę liczebną i składała się z doświadczonych wojowników. Ale Hal i tak nie zamierzał przystać na taką propozycję.

– Nie będziemy walczyć z naszymi – odparł po prostu. – Pogódźmy się z tym. To koniec.

Spojrzał na swych towarzyszy, czekających na rozkazy. Lydia, siedząca na ławce najbliżej rufy, przyglądała mu się ze zdezorientowaną miną. Wiedziała przecież, że członkowie załogi „Czapli” są Skandianami. Tamten okręt również należał do Skandian. Zastanawiała się, na czym polega problem.

Ale zanim zdążyła spytać, Hal wyciągnął rękę w stronę chłopców.

– Do wiosel – rzucił cicho. – Wprowadźmy ją do portu. Musimy pogodzić się z losem.

Stig spojrzał na niego, zawahał się, potrząsnął głową, sfrustrowany, a potem pobiegł zająć swoje miejsce.

– Do wioseł! – powtórzył rozkaz.

Wiosła zanurzyły się w spokojnych wodach zatoki i przecięły powierzchnię. Wzdłuż kadłuba utworzyły się dwie linie pomarszczonych kręgów.

– Naprzód! – rzucił Stig i „Czapla” pomknęła przed siebie. Fala radośnie pluskała o burzę. „I co ci tak wesoło?”, pomyślał Hal. Kilka metrów od plaży kazał chłopcom unieść wiosła i skierował łódź do brzegu. Roztargniony i zrozpaczony, zupełnie zapomniał o pletwie. Na szczęście Thorn pamiętał i podniósł ją, nim „Czapla” zaryła o piach.

Stefan wyrzucił kotwicę i zeskoczył na plażę. W tym samym momencie rozległ się głośny zgrzyt – „Wilczy Wicher” zatrzymał się tuż obok nich. Jeden z członków załogi zrobił to samo co Stefan.

Hal ze smutkiem powiódł wzrokiem dokoła. Wiedział, że za chwilę „Czapla” przestanie należeć do niego i wcale nie miał ochoty jej opuszczać. Wiedział, że pozostali czekają na jego rozkazy. Wyciągnął rękę przed siebie.

– Wszyscy na brzeg – powiedział. Odwrócili się i ruszyli posłusznie, zasmuceni. Lydia, wciąż zdziwiona całą sytuacją, dogoniła Stiga.

– Co się dzieje? – spytała.

– Jesteśmy uciekinierami – odparł. – Tamci przy płynęli zabrać nas z powrotem.

Spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy. Cóż miała powiedzieć? Zdawała sobie sprawę, że teraz mieszkańcy Limmat znów zostaną zdani na własne siły. Wprawdzie drużyna Czaplci liczyła jedynie dziewięciu członków, a ośmiu z nich było jeszcze chłopcami, lecz dzięki nim na chwilę odzyskała nadzieję. Ich optymizm, zaufanie do Hala, pewność, że wymyśli, jak pokonać piratów, sprawiły, że naprawdę w nich wierzyła. Teraz nadzieja znikła. Przybita, ruszyła wraz z pozostałymi na dziób łodzi.

Hal został z tyłu i przywiązał rumpel sznurkiem, by go unieruchomić. Stał tak przez chwilę z ręką na gładkim drewnie, teraz już pozbawionym życia.

Thorn dotknął jego ramienia.

– Chodź – powiedział łagodnie. – Lepiej miejmy to już za sobą.

Przeszli na dziób i zeskoczyli na plażę. Pozostali chłopcy czekali w rozproszonej grupce, członkowie załogi „Wilczego Wichru” otoczyli ich półkolem. Kiedy Hal zeskoczył na mokry piach, Svengal ruszył w jego stronę z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Nareszcie! – powiedział. – Na cuchnący oddech Gorloga, nieźle się za wami nalataliśmy. Parę dni temu znaleźliśmy wasz obóz, ale „Czapli” nigdzie nie było widać, więc zaczęliśmy was szukać. Wydaje mi się, że widzieliśmy was drugiego wieczoru kawałek stąd na południe, ale nam uciekliście. Wróciliśmy więc tutaj, by na was poczekać. No i jesteście!

Podszedł do zaskoczonego Hala i objął go, zamykając w niedźwiedzim uścisku. Po chwili odsunął go na długość ramienia i przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

– Dzięki bogom, że jesteście cali i zdrowi. Strasznie się o was martwiliśmy. Erak obdarłby mnie żywcem ze skóry, gdyby coś wam się stało.

– Pewnie masz nas dostarczyć w jednym kawałku, co? – zapytał Stefan z rozgoryczeniem.

– Dostarczyć? Nigdzie nie zamierzamy was dostarczać. Erak przysłał nas tutaj, żebyśmy wam pomogli!

W Hala zaczęła budzić się nadzieja.

– Pomóc nam?

Svengal zwrócił się do swoich ludzi:

– Myśleli, że płynęliśmy taki szmat drogi, żeby zabrać ich z powrotem do Hallasholm! – Zaśmiał się donośnie, a tamci mu zawtórowali. Znów spojrzał na Hala. – Kto by tam tęsknił za taką hałastrą jak wy. Erak stwierdził, że ponieważ wystartowaliście przed nami, to macie większe

szanse odnaleźć tego śmierdzącego mordercę, Zavaca. Posłał nas więc, byśmy przyszli wam z pomocą. W końcu ci Madziarowie mają nad wami sporą przewagę liczebną.

Następnie Svengal wyszczerzył się do Thorn, jakby dopiero teraz go zauważył.

– Cześć, Thorn. Niezły kubrak. Co się stało z tym starym? Czyżby wreszcie rozpadł się na kawałki? Już i tak składał się raczej z dziur niż futra.

– Widzę, że nic się nie zmieniło. Jak zwykle gęba ci się nie zamyka – powiedział Thorn. Kilku członków załogi „Wilczego Wichru” zamruczało zgodnie. Svengal jednak nie dał się zbić z tropu.

– Nigdy nie należałem do milczków.

Hal potrząsnął głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła pojąć zawily tok myślenia oberjarla. Kiedy poprzedniej nocy dostrzegł na morzu „Wilczy Wicher”, był pewien, że Erak wysłał swoich ludzi, by ich odnaleźli i zabrali z powrotem do Hallasholm. A teraz Svengal twierdził, że przybyli im na pomoc. Pomyślał, że chyba nie ogarnia tego wszystkiego.

– I rzeczywiście – odezwał się Thorn – odnaleźliśmy Zavaca. Jest o dzień żeglugi stąd na południe. W mieście, na które napadł.

Członkowie załogi „Wilczego Wichru” zamruczeli z zaciekawieniem. Na twarzy Svengala pokazał się uśmiech.

– Cudownie – powiedział cicho. – Po prostu cudownie. To jaki macie plan akcji?

– Nadal nad nim pracujemy – odparł Thorn. – Ale Hal na pewno wymyśli coś błyskotliwego. Jak zwykle. Wtedy popłyniemy tam i wykurzymy Zavaca ze szcurzej nory.

– Ale ubaw – stwierdził Svengal. Jego ludzie zamruczeli z uznaniem. Nie mogli się doczekać, kiedy będą mogli pomścić swych dwóch towarzyszy, których Zavac zabił tej nocy, gdy ukraść Andomal.

Svengal poklepał Thorn, po plecach i powiedział:

– Miło znowu z tobą pracować. Jak za dawnych dobrych czasów.

Patrząc na żądnych zemsty Skandian, Lydia poczuła, że wraca jej nadzieja. Skandianie byli cenionymi wojownikami. Owszem, Madziarowie mieli nad nimi przewagę liczebną, ale szanse na zwycięstwo wydawały się rosnać. A skoro wszyscy twierdzili, że Hal wymyśli jakiś genialny plan, to ona nie zamierzała się z nimi kłócić.





Następnego ranka wyruszyli do Limmat.

Dotarli do celu po południu. Nad miastem już nie unosił się dym. Widocznie piraci opanowali pożary. A może pozostawili to mieszkańcom.

Podpłynęli do brzegu i zobaczyli dwóch mężczyzn, którzy machali im na powitanie. Czekali tam na nich z rozkazu Barata, mieli zaprowadzić ich do obozowiska na mokradłach. Dziesięciu ludzi Svengala zostało na plaży, by pilnować „Czapli” i „Wilczego Wichru”, pozostali członkowie obu załóg, obładowani workami zapasów, ruszyli za przewodnikami przez sięgającą ud wodę i błocko, marudząc i skarżąc się na komary i moskity, których całe chmary fruwały nad mokradłami.

Szli wąską ścieżką, która zdawała się prowadzić donikąd, aż wreszcie znaleźli się na sporej piaszczystej wyspie. Słońce prawie zachodziło, z daleka widać było blask ognisk.

Barat przyglądał się, jak pokonują ostatni odcinek, brodząc przez mokradło, i zszedł na brzeg, by ich przywitać. Zdziwił się na widok tak licznej grupy. Poprzedniego dnia składała się ona z ośmiu chłopców i jednego dorosłego, teraz powrócili oni w towarzystwie dwudziestu Skandian.

– Kim oni są? – zapytał Hala.

– To posiłki. Pomogą nam w ataku na piratów. A te worki są pełne jedzenia.

Podejrzliwa mina Barata od razu złagodniała.

– Miło mi poznać – powiedział. Jego spojrzenie wyraźnie jednak świadczyło o tym, że tak naprawdę najbardziej ucieszył się z zapasów. Potem zwrócił wzrok na Lydię, stojącą obok Hala i Stiga. Jego twarz znów przybrała chłodny wyraz.

– Witaj, Lydio.

Skinęła głową.

– Witaj, Baracie. Ładne miejsce wybraliście na obozowisko.

Powiodła wzrokiem dokoła. Mężczyźni, którzy uciekli z miasta, nie zdążyli zabrać namiotów czy brezentowych płacht, zbudowali więc proste szałas z gałęzi i listowia.

W ich stronę ruszyła jakaś krzepka postać. Po chwili Hal rozpoznał w niej Jonasa, który, jak pamiętał z poprzedniego spotkania, pełnił funkcję zastępcy Barata. Starszy mężczyzna uśmiechnął się na powitanie.

– Wróciliście! – Spojrzawszy na worki, dodał: – I nie z pustymi rękami. Witaj w naszym pięknym nadmorskim letniku, Lydio. Jak ci się podoba? – Tu zatoczył ramieniem dokoła, obejmując tym gestem płaską, porośniętą krzakami wysepkę.

Lydia uśmiechnęła się szeroko.

– Po prostu cudownie. Wszystko, o czym może marzyć dziewczyna.

– Chodźmy, poznacie pozostałych – powiedział do Hala, po czym zmarszczył brwi, podszedł bliżej i dodał szeptem: – Wybacz, że zapytam, ale zdaje się, że od poprzedniego razu zrobiło się was trochę więcej.

Hal kiwnął głową. Od razu polubił Jonasa. Podobał mu się jego swobodny przyjazny sposób bycia, kontrastujący z podejrzliwą i ostrożną postawą Barata. Hal domyślał się zresztą, że to serdeczne powitanie miało zrekompensować im nieuprzejme zachowanie Barata.

– Dobrze, chodźmy do obozu – oparł Hal. – Tam wszystkich ci przedstawię.

I tak zrobili. Jonas zaprowadził ich od ogniska, gdzie zostawili worki z zapasami. Kucharze mieli przejrzeć je i przygotować coś do jedzenia. Hal nie martwił się utratą zapasów. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zostaną tu zaledwie kilka dni. Kiedy tylko pokonają piratów, będą mogli dokupić potrzebne rzeczy w Limmat.

A jeśli nie pokonają, jak dodał ponuro w myślach, nie będą potrzebowali jedzenia.

Zebrał się dokoła ognisk, czekając na posiłek. W obozie panował wyśmienity nastrój. Mieszkańcy Limmat, którym udało się uciec z miasta, bardzo się ucieszyli, że wytrawni skandyjscy wojownicy zasilą ich szeregi. W przeciwieństwie do swego podejrzliwego przywódcy, serdecznie powitali nowych przybyszy. Prawdę mówiąc, zaczęli już tracić nadzieję. Doskonale wiedzieli, że czterdziestu ludzi raczej nie zdoła pokonać setki piratów, którzy w dodatku mieli tę przewagę, że kryli się za murami miasta. Przybycie tych młodych Skandian, a teraz jeszcze kolejnych dwudziestu ludzi, od razu poprawiło im humor. Tak więc posiłek przebiegał w wyśmienitej przyjaznej atmosferze.

Kiedy skończyli, starsi mieszkańcy Limmat oraz Hal, Stig, Lydia, Thorn i Svengal zebrał się przy niewielkim ognisku. Ingvar usiadł opodal, w razie gdyby Hal go potrzebował. Zastępca Svengala, Lars Łamignat, również do nich dołączył. Wszyscy czekali, aż Hal przedstawi im swój plan.

Svengal i Lars, jak większość Skandian, nie potrafili planować i nie interesowali się taktyką wojenną. Byli wojownikami, woleli zostawić takie szczegóły bardziej odpowiednim osobom. Chcieli, by kto inny wyznaczył im konkretne zadanie, a wtedy chętnie stawali do walki.

Barat natomiast pragnął uchodzić za dobrego przywódcę i taktyka. Niestety, już od kilku dni zastanawiał się, jak by tu zaatakować i pokonać piratów, nic jednak nie wymyślił. Próbował podtrzymywać iluzję, że to on decyduje i może zaakceptować lub odrzucić pomysł Hala, tak naprawdę jednak miał nadzieję, że młody Skandianin przedstawi plan, który zapewni im zwycięstwo – choć nie miał bladego pojęcia, na czym ów plan miałby polegać. Jednocześnie młody skirl budził w nim zazdrość, zapewne z powodu Lydii, która wybrała towarzystwo Skandian. Tak więc Barat z jednej strony liczył na skuteczny plan, ale z drugiej był gotów skrytykować każdy pomysł Hala.

– Niespodzianka – zaczął Hal, kiedy już wszyscy zgromadzili się wokół ognia. – Oto klucz do sukcesu. Jeśli uda nam się ich zaskoczyć, możemy zyskać przewagę, mimo że jest nas mniej.

Mówił z przekonaniem, ale pomysł wydał mu się nagle tak oczywisty, że po cichu zaczął w niego wątpić. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś pominął w swoich obliczeniach. Ale zaraz pomyślał, że Thorn i Svengal to doświadczeni wojownicy. Być może sami nie umieliby stworzyć planu bitwy, lecz na pewno potrafili dostrzec słabe punkty w cudzym rozumowaniu.

Przynajmniej na to liczył Hal.

– Wiedzą, że tu jesteśmy – wtrącił Barat. – W tej sytuacji raczej trudno będzie ich zaskoczyć.

– Nie wiedzą, że ja tu jestem – zauważył Svengal. Zaczynał mieć dosyć tego zarozumiałego młokosa, który potrafił tylko krytykować innych, ale sam nigdy niczego mądrego nie proponował. – A nieraz potrafiłem zaskoczyć przeciwnika.

– To prawda – potwierdził Thorn. – Svengal potrafi robić bardzo niemiłe niespodzianki.

Lars i kilku innych mieszkańców miasta zaśmiali się na te słowa. Barat uniósł brwi.

Bardzo mu się nie podobała ta odpowiedź i bardzo mu się nie podobało, że wywołała rozbawienie wśród jego ludzi. Nie zamierzał jednak zdradzić się z tym przed jakimś skandyjskim zbirem.

Hal postanowił zignorować tę wymianę słów i załagodzić sprawę.

– Masz rację, Baracie – powiedział. – Piraci wiedzą, że tu jesteście. I spodziewają się ewentualnego ataku właśnie z tej strony.

– Naturalnie – odparł Barat. – Gdybyśmy próbowali pokonać palisadę, zobaczyliby nas i wybili w pień.

– Ale nie wiedzą, że teraz mamy okręt i łódź. Pod osłoną ciemności możemy przewieźć waszych ludzi do wschodniej części miasta. Popłyniemy szerokim łukiem, by nas nie zobaczyli, potem wpłyniemy do zatoki, trzymając się północnego brzegu. Myślę, że wystarczy nam na to dwie noce. Jakies czterysta metrów od miasta jest taki cypel, możecie poczekać tam w ukryciu, póki nie przewieziemy wszystkich waszych ludzi.

Kiedy płynęli do Limmat, poprosił Lydię o narysowanie mapy miasta i okolicy. Przystudiował ją uważnie i teraz naszkicował uproszczoną jej wersję na piasku i wskazał na punkt, o którym przed chwilą mówił.

– Trzeciej nocy, pod osłoną ciemności, przeniesiecie się bliżej miasta, tak byście o świcie byli gotowi do ataku. Zamac i jego ludzie będą wypatrywać ataku od zachodu, czyli od strony mokradła, bo wiedzą, że tu jesteście. Tymczasem wy zaatakujecie z zupełnie innej strony. Dzięki temu prawdopodobnie uda się wam sforsować palisadę, szczególnie jeśli dla odwrócenia ich uwagi jednocześnie zaatakujemy strażników na wieżach.

– Prawie wszyscy piraci są na wieżach – zauważył Jonas. – To logiczne. Mogą obserwować stamtąd mokradła i wejście do portu.

– Co mnie zastanawia – powiedział Svengal – to, że jeszcze nie opuścili miasta. Przez ten czas powinni już załadować okręty i wyruszyć w drogę.

Kiedy Svengal to mówił, Hal akurat patrzył na Barata i Jonasa. Zauważył, że ukradkiem wymienili spojrzenie.

„Coś przed nami ukrywają”, pomyślał. Ani on, ani Svengal nie mieli pojęcia, że piraci zostali w Limmat z powodu kopalni szmaragdów. Zamac kazał górnikom harować dzień i noc, by wydobyć jak najwięcej szlachetnych kamieni z bogatej żyły w kopalni za miastem. A ponieważ nie czuł zagrożenia ze strony niewielkiej grupy, która uciekła na mokradła, nie spieszył się zbytnio z odjazdem.

Po chwili wahania Jonas powiedział:

– W mieście jest wielu bogatych kupców. Trzymają pieniądze w dobrych skrytkach. Pewnie piraci muszą poświęcić więcej czasu, niż początkowo planowali, aby je odnaleźć.

– Niezależnie od przyczyny ich przedłużającego się pobytu w naszym mieście – wtrącił Barat – twój plan nie ma szans powodzenia. Dziwne, że ty, żeglarz, nie zauważyłeś tak oczywistego haczyka.

W jego głosie pobrzmiwało coś na kształt triumfu. Hal przekrzywił głowę na bok.

– Tak? A jakież to szczegól umknął mej uwadze?

Gdyby to Svengal, Lars czy nawet Jonas zgłosili zastrzeżenia, byłby skłonny dać im wiarę, lecz Baratowi wyraźnie bardzo zależało na tym, by po prostu wytknąć mu jakiś błąd.

– Wiatr – odparł Barat protekcyjnym tonem. – Sądziłem, że każdy żeglarz o tym wie. O tej porze roku wiatr wieje w nocy od strony lądu. Będziecie więc płynąć pod wiatr, na czym zejdzie wam pewnie do świtu, szczególnie jeśli chcecie wykonać szeroki łuk. Po prostu zabraknie wam czasu, by zrealizować plan. Prawdopodobnie piraci was zauważą i odgadną nasze zamiary.

Hal uśmiechnął się z ulgą. Barat nie dostrzegł prawdziwego problemu. Oczywiście, jego

uwaga nie była całkiem pozbawiona wartości. Gdyby zamierzali przetransportować ludzi na pokładzie na przykład „Wilczego Wichru”, to rzeczywiście żegluga pod wiatr zajęłaby zbyt dużo czasu i nie zdążyliby zrealizować zadania pod osłoną nocy. Ale on zamierzał użyć do tego celu „Czapli”, a to zmieniało postać rzeczy.

– To żaden problem – odparł z przekonaniem. – Moja łódź potrafi płynąć pod wiatr znacznie szybciej niż zwykły okręt. W ciągu ośmiu godzin na pewno zdążymy przewieźć ludzi i zawrócić.

Barat otworzył usta, lecz Svengal go uprzedził.

– Hal mówi prawdę. Ta jego łódeczka pruje pod wiatr jak marzenie. Obróć w tę i z powrotem i jeszcze zostanie im zapas czasu.

Barat poddał się z niechętnym grymasem. Jonas pochylił się do przodu i zapytał:

– Wspomniałeś o tym, że mamy odwrócić uwagę strażników. Co konkretnie masz na myśli?

– Zauważyłem, że platformy otacza drewniana balustrada – powiedział Hal.

Jonas przytaknął.

– To drewno sosnowe.

Tak właśnie przypuszczał Hal. Drewno sosnowe było powszechnie dostępne w tej części świata.

– Wystarczająco grube, by nie przebiła go strzała czy bełt – dodał Jonas.

– Nie taki, o jakim myślę – odparł Hal z uśmiechem. Zwrócił się do Ingvara, który siedział cicho opodal, przysłuchując się uważnie ich rozmowie. – Mógłbyś podać mi pocisk?

Ingvar sięgnął za pazuchę i wyciągnął jeden z pocisków, którymi strzelali z Zadymiarza, i podał go Halowi. Hal rzucił go na piach pośrodku kręgu zgromadzonych.

– Zbudowałem ogromną kuszę i ustawiłem ją na dziobie łodzi – wyjaśnił. – Potrafi wystrzelić taki pocisk na odległość trzystu metrów.

Jonas ukląkł i podniósł wielki bełt. Zważył go w dłoni, przyjrzał się wzmocnionemu żelazem czubkowi i gwizdnął cicho.

– To z pewnością potrafi narobić niezłego bałaganu – stwierdził i podał pocisk Baratowi, który, obejrawszy go z bliska, uniosł brwi. Pomimo antypatii do Skandian, a ich skirla w szczególności, musiał przyznać, że groźnie wyglądający pocisk zrobił na nim spore wrażenie. Już sobie wyobrażał, co się stanie, kiedy trafi w drewnianą wieżę.

– Zamierzam ostrzelać wieże strażnicze z Zadymiarza. – Na widok zdumionych min uśmiechnął się i wyjaśnił: – Tak nazywamy naszą kuszę. Kiedy te pociski trafią w balustradę, rozwalą ją na drzazgi. Sosnowe drewno łatwo się łamie, więc drzazgi polecą we wszystkie strony.

Słuchacze pokiwali głowami, wyobraziwszy sobie tę scenę. Setki odłamków drewna, niczym małe śmiercionośne strzały.

– Kiedy cała ich uwaga będzie skupiona na wieżach i wejściu do portu, wasi ludzie mogą wyjść z ukrycia i sforsować palisadę. Zanim piraci się zorientują, wy będziecie już w mieście.

– A co z nami? – przerwał mu Svengal. – Mamy siedzieć i nic nie robić, kiedy wy będziecie się tak świetnie bawić?

Hal uśmiechnął się i odparł:

– Jeśli takie jest wasze życzenie. W końcu porządnie się zmęczyliście, szukając nas, na pewno macie ochotę trochę odpocząć... – Zawiesił głos, a Svengal prychnął. Hal podjął więc: – Ale pomyślałem sobie, że moglibyście przypuścić atak od strony mokradeł. Jeśli po naszym ataku opanujecie zachodnią wieżę, zdobędziecie kontrolę nad zaporą. Możecie przejść po niej do wschodniej wieży.

Tu urwał i spojrział pytająco na Svengala. Masywna zaporą będzie zanurzona w wodzie tuż pod powierzchnią, ale członkowie załogi „Wilczego Wichru”, wytrenowani w utrzymywaniu równowagi na pokładzie podczas sztormu, na pewno zdołają przebiec po niej na drugą stronę. Svengal przez chwilę rozważał ten pomysł w myślach. W końcu skinął głową.

– Powinno się udać – stwierdził. – Kilka lat temu zrobiliśmy coś podobnego w jednym porcie w Teutonii. A kiedy przedostaniemy się na drugą stronę, przypuścimy atak z dwóch stron.

– Z trzech – poprawił Hal. – Kiedy już opanujemy wieże, zamierzam popłynąć do bramy w palisadzie. – Na mapie, narysowanej przez Lydię, we wschodniej części miasta widniała solidna drewniana brama, wychodząca na plażę. – Sforsujemy bramę i zaatakujemy z trzeciej strony. – Hal zwrócił się do Barata. – A co z mieszkańcami miasta? Czy dołączą do nas?

Barat przytaknął bez wahania.

– To mogę zagwarantować. Kiedy tylko zobaczą, że nie są sami, od razu chwycą za broń czy cokolwiek innego, czym można przyłożyć tym przeklętym piratom.

– Jak zamierzasz przedostać się przez bramę? – zapytał Thorn. Do tej pory milczał, lecz ta część planu dotyczyła bezpośrednio jego i chciał poznać szczegóły. Hal wyszczerzył się szeroko.

– Jeszcze dokładnie nie wiem. Powiem ci, kiedy coś wymyślę. – Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, szukając oznak krytyki czy niezgody. Ale zobaczył jedynie entuzjazm. Nawet Barat zdawał się całkowicie przekonany.

– Wchodźcie w to? – zapytał Hal, zwracając się do Barata. Chciał, by to on jako pierwszy przystał na jego plan.

Przywódca limmatan powoli pokiwał głową.

– Kiedy chcesz to zrobić?

Zawtórował mu cichy pomruk aprobaty. Hal uśmiechnął się.

– Za dwa dni będzie nów – powiedział. – Wtedy przewieziemy twoich ludzi na drugą stronę. To zajmie dwie noce. Poza tym potrzebuję jednego dnia, by uporać się ze wschodnią bramą.

Barat uniósł wzrok i policzył w myślach.

– W takim razie zaatakujemy za pięć dni?

– Tak to widzę – odparł Hal. – A jak tobie to pasuje, Svengalu?

Svengal wykrzywił wargi w wilczym grymasie.

– Mnie to pasuje jak ulał. Tylko jak mamy przedostać się przez mokradła, by przypuścić atak na zachodnią wieżę? Jakoś nie wyobrażam sobie, że mielibyśmy przedzierać się na piechotę z całym ryszunkiem, a widzę, że nie ma tylu skifów, by starczyło w nich miejsca dla wszystkich.

Hal przewidział to pytanie.

– Popłyniecie na „Wilczym Wichrze”. Złożycie maszt i wyjmiecie cały balast. Bez niego okręt będzie miał zanurzenie na jakieś dwadzieścia centymetrów. Bez problemu zdołacie przepłynąć przez mokradła. Nawet gatków nie zamoczycie – dodał z krzywym uśmiechem.

Svengal przyglądał mu się przez chwilę. Sam często rzucał podobne żarciki w rozmowach z Erakiem. Dziwnie było nagle znaleźć się po drugiej stronie.

– Pomyślałeś o wszystkim, co?

Uśmiech powoli zniknął z twarzy Hala.

– Mam nadzieję – odparł. – Chociaż na pewno o czymś zapomniałem.





## Rozdział 24



Po spotkaniu członkowie załóg „Czapli” i „Wilczego Wichru” wrócili na plażę. Obozowisko limmatan znajdowało się w sercu mokradeł, komary i moskity straszliwie tam dokuczały, za to nad morzem, gdzie wiała świeża bryza, prawie ich nie było.

Wystawili warty i udali się na spoczynek, owinięci w koce na posłaniach z miękkiego piasku. Hal leżał, słuchając równego oddechu śpiących towarzyszy. W głowie miał mętlik, wciąż myślał o nadchodzących dniach, o wszystkim, co należy zrobić.

I nadal rozpamiętywał słowa Svengala. Były pomyślane jako komplement, lecz Hal doskonale zdawał sobie sprawę, że żaden plan nie potrafi przewidzieć, co może się stać, kiedy zacznie się bitwa. Czy pomyślał o wszystkim? A jeśli Zavac nagle postanowi odpłynąć z miasta? Jeśli „Kruk” po cichu opuści port pod osłoną nocy i zniknie za horyzontem? Myśl, że Zavac może uciec im po tym wszystkim, przez co przeszli, by go odnaleźć, płonęła w głowie Hala niczym rozżarzone żelazo.

A jeśli okaże się, że źle wyliczył możliwości Zadymiarza? Jeśli w krytycznym momencie coś się zepsuje? Zapisał sobie w pamięci, by przygotować zapasową cięciwę i sprawdzić skórzane paski, które amortyzowały siłę odrzutu kuszy w chwili wypuszczenia pocisku. A jeśli strzała jakiegoś pirata trafi Ingvara? Tylko on potrafił odpowiednio naciągnąć cięciwę, bez jego pomocy nie uda im się wystrzelić pocisku na tak dużą odległość.

A jeśli, a jeśli, a jeśli. Pytania i wątpliwości kotłowały się w jego głowie, aż w końcu stało się to zupełnie nie do zniesienia. Odrzucił koc, wstał i powoli zszedł nad wodę. Zbliżał się nów, nisko nad horyzontem wisiał tylko cienki okrawek bladego światła. Hal spojrzął na ciemne kształty „Czapli” i „Wilczego Wichru”. Następnego dnia Svengal i jego ludzie mieli wyjąć kamienie, służące za balast. Przyszło mu do głowy, że powinien zrobić to samo. „Czapla” miała przecież prócz stałej drużyny zabrać dodatkowo dwudziestu ludzi. A do tego zapas ciężkich pocisków – potrzebował ich naprawdę sporo.

No i jeszcze ta wschodnia brama. Przecież nie miał pewności, że uda się im ją spalić. Na naradzie powiedział niefrasobliwie, że ma plan, jak to zrobić, ale nadal nie dopracował szczegółów. Nie wystarczy wystrzelić w nią kilku płonących bełtów z jego cięciwy czy z Zadymiarza. Drewno, z którego ją zbudowano, było na pewno bardzo suche, od lat wystawione

na działanie wiatru i słonego powietrza. Było to jednak twarde drewno, nie zajmie się od pojedynczego płomienia. Potrzebowali czegoś więcej. Może stos gałęzi? Ale nie dałoby się zrobić tego po kryjomu. Piraci zaraz odkryliby ich obecność i zaczęli strzelać z palisady.

„Olej”, pomyślał nagle. Gdyby nasączyli drewno olejem i wystrzelili płonąca strzałę, brama szybko zajęłaby się ogniem. Tylko jak to zrobić? Jeśli wyskoczą na brzeg i zaczną biec do bramy z naczyniami, piraci od razu się z nimi rozprawią.

Trzeba zrobić tak, żeby nie było ich widać...

Pewien pomysł zaczął kiełkować w jego głowie. Nagle usłyszał poskrzypywanie lekkich kroków na piasku. Odwrócił się prędko i zobaczył smukłą sylwetkę Lydii.

– Nie możesz spać? – zapytała współczującym tonem.

Przytaknął.

– Próbuje odnaleźć wszystkie słabe punkty w moim planie. Na razie znalazłem jakiś tuzin.

– Tylko tuzin? – powiedziała żartobliwie. Spojrzał na nią, lecz jej twarz znajdowała się w cieniu.

– Cóż – odparł, próbując dopasować się do jej lekkiego tonu – to tak na początek. Jeszcze się nie rozkręciłem.

– Zaczniemy od największego problemu – powiedziała – i zastanówmy się, jak można go rozwiązać.

Zamyślił się. Co jest największym problemem? Co jest tym ogniwem, które, jeśli pęknie, najtrudniej będzie zastąpić? Znalezienie odpowiedzi nie zajęło wiele czasu.

– Ingvar – odparł cicho. – Martwię się o niego.

– Ingvar? – powtórzyła, zaskoczona. – Jak możesz w niego wątpić? Obserwuję go od pierwszej chwili. On cię uwielbia. Na pewno nigdy by cię nie zawiódł, to niemożliwe.

Hal potrząsnął głową, jeszcze nim dokończyła zdanie.

– Nie o to się martwię. Wiem, że nigdy by mnie nie zawiódł. Wręcz przeciwnie. Boję się, że narażam go na niebezpieczeństwo. Czuję się tak, jakbym to ja go zawiódł.

– Nagle zorientował się, że Lydia nie rozumie, o co mu chodzi, i uświadomił sobie, że nigdy nie widziała, jak strzela się z Zadymiarza. – Tylko on ma tyle siły, by odpowiednio naciągnąć cięciwę – wyjaśnił. – To znaczy, że przez cały czas będzie stał na dziobie, wystawiony na strzały.

– Jak blisko celu musicie podpłynąć?

Hal wziął głęboki oddech i zapatrzył się na morze. Wolałby mierzyć z większej odległości, ale wiedział, że to zmniejszyłoby siłę i precyzję strzałów.

– Około stu metrów. Może mniej – odparł w końcu. Nawet w ciemności widział, że oczy Lydii rozszerzyły się ze zdumienia.

– To blisko – stwierdziła. – A mówisz, zdaje się, że kusza ma zasięg rażenia trzysta metrów?

– Kusza tak. Ja nie. Jeśli mam trafić w obrany cel, odległość nie może przekroczyć stu metrów. A to znaczy, że Ingvar będzie wystawiony na strzały przeciwnika. Będzie najlepszym celem z nas wszystkich. W dodatku trudno w niego nie trafić. Zastanawiam się, czy mam prawo narażać go na takie niebezpieczeństwo. Wiem, że na pewno mi nie odmówi.

– Oczywiście – zauważyła – zapomniawszy, że ty również będziesz wystawiony na strzały. Piraci mogą uznać cię za ważniejszy cel. W końcu to ty będziesz wypuszczać pociski.

– Ja będę stał z tyłu, za kuszą. To musiałby być naprawdę świetny strzał. Ale Ingvar. – urwał. – Cóż, pomijając wszystko inne, jeśli go trafią, znajdziemy się w nie lada tarapatkach. Tylko on ma dosyć siły, by naciągnąć cięciwę.

– A Thorn? – zapytała. – Też raczej nie należy do słabeuszy.  
– Ta praca wymaga użycia obu rąk. Nawet w przypadku kogoś tak silnego jak Ingvar.  
Owszem, Thorn na pewno jest silny, ale wątpię, by jego proteza wytrzymała taki nacisk. Pewnie odpadłaby od ramienia i tyle.

Lydia odwróciła się i przeszła kilka kroków, pogrążona w rozmyślaniach. Po chwili wróciła.

– Może potrafiłabym ci pomóc – powiedziała. – Gdybym stanęła na dziobie razem z tobą.  
– Zobaczyła, że Hal otwiera usta, by zaprotestować, i prędko go uprzedziła:

– Nie martw się, nie zamierzam wystawiać się na strzały. Będę zasłonięta. – Zrobiła pauzę, a Hal niepewnie skinął głową. – W każdym razie chodzi o to, że będę pilnować, żeby nic wam się nie stało. I zlikwiduję każdego łucznika, który spróbuje do was mierzyć.

– Tymi strzałkami?

Przytaknęła.

– Jesteś taka dobra? – W jego głosie nie słychać było sceptycyzmu, jedynie szczere zainteresowanie. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z atlatlem. Nigdy nie widział, jak się go używa, i nie miał pojęcia, jaka jest jego siła i precyzja.

– Potrafię trafić cel rozmiarów człowieka z odległości stu metrów – odparła z przekonaniem. Po chwili namysłu dodała: – Przypuszczalnie trzy na cztery strzały.

Hal gwizdnął cicho.

– Nieźle. Nie wiem, czy osiągnąłbym taki wynik, strzelając z kuszy. – Zamyślił się, potem podjął: – No i oczywiście, jak trafisz jednego czy dwóch, to pozostali raczej nie zechcą udawać bohaterów.

Uśmiechnęła się. Jej zęby błysnęły w ciemności.

– Miło wiedzieć, że na coś się przydam – stwierdziła. Nagle jej uśmiech zniknął. – To kolejna przyczyna, dla której wolałam zostać z wami. Barat nigdy by mi nie pozwolił wziąć udziału w walce.

– To lepiej nic mu nie mówmy.

Westchnęła.

– Przykro mi z powodu jego zachowania. On po prostu nie panuje nad sobą. Jest okropnie zaborczy.

– Nawet go rozumiem. – Słowa same wymknęły się z ust Hala. Głupio mu się zrobiło, bo zabrzmiały jak niezręczny i beznadziejny komplement. Ale Lydia dotknęła z wdzięcznością jego ramienia.

– Dziękuję – powiedziała po prostu.

Cieszył się, że w ciemności nie mogła zobaczyć rumieńca na jego twarzy. Odchrząknął z zakłopotaniem i powiedział:

– Cóż, skoro rozwiązaliśmy problem Ingvara, to chyba pójdę się położyć. Może teraz zasnę.

– Ja też już pójdę. Dobranoc. I jeszcze raz dzięki.

– Dobranoc – odparł i każde ruszyło w swoją stronę.

Stig leżał, nie śpiąc. Obudziły go głosy Lydii i Hala.

Najpierw przez chwilę nasłuchiwał ze zmarszczonymi brwiami. Potem uniósł się na łokciu i spojrzął. Rozpoznał sylwetki, rysujące się niewyraźnie w słabym świetle księżyca. Hal i Lydia. Widział, jak pochyliła się i dotknęła ramienia Hala. Poczul dotkliwe ukłucie zazdrości.

Potem zarumienił się, zły na samego siebie. Hal był przecież jego najlepszym przyjacielem, a Lydię dopiero co poznał. To głupie dopuścić do tego, by poróżniła ich zazdrość o dziewczynę. Ale choć powtarzał to sobie w myślach wciąż od nowa, jakoś nie mógł pozbyć się

tego uczucia.

– Jestem równie beznadziejny jak Barat – powiedział do siebie, a potem przewrócił się na drugi bok i podciągnął koc pod brodę. Sen jednak długo nie chciał nadejść.



Hal również nie mógł zasnąć. Wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w ciemne niebo i lśniące na nim gwiazdy, ponownie przerabiając w myślach problem bramy.

Olej. To była odpowiedź. Gdyby nasączył nim bramę i ją podpalił, suche drewno szybko zajęłoby się ogniem. Wtedy bez trudu sforsowaliby bramę.

Podpalić ją nie będzie trudno, wystarczy wystrzelić płonący bełt z kuszy lub z Zadymiarza. Tylko co z tym olejem? I tak wrócił do punktu wyjścia. Każdego, kto spróbuje podejść do bramy, by oblać ją olejem, natychmiast zastrzelą piraci.

Zmienił pozycję. Pod łopatką uwierał go garb ubitego piasku. Próbował ignorować to przez kilka minut, ale teraz zaczęło mu to naprawdę przeszkadzać – zapewne dlatego, że za nic nie mógł wymyślić rozwiązania problemu.

Gniewnie odrzucił koc i usiadł. Odsunął impregnowane płótno, którego używał jako materaca, i wygładził dokuczliwy garb. Potem ułożył płótno z powrotem i poprawił zwinięte baranie futro, które służyło mu za poduszkę.

Westchnął z zadowoleniem, odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na morze. „Czapla” i „Wilczy Wicher” przechyliły się nieco w bok. Kiedy zaczął się odpływ, znalazły się na mokrym piachu i powoli opadły do takiej pozycji.

Morze cofnęło się o całkiem spory kawałek. Na plaży został połyskliwy wilgotny pas szerokości jakichś dwudziestu metrów. Pomyślał, że na szczęście nie muszą odpływać w pośpiechu. Oczywiście, rano zacznie się przypływ, „Czapla” i „Wilczy Wicher” znów uniosą się na wodzie.

Pływy morza fascynowały go, podobnie jak chyba wszystkich żeglarzy. W dużym stopniu decydowały o ich życiu, pływy i silne prądy morskie. Było coś fascynującego w ich nieuchronności, w tym, jak morze wznosiło się i opadało dwa razy w ciągu doby.

Niektórzy starsi Skandianie wierzyli, że dzieje się to za sprawą Wielkiego Wieloryba, który, oddychając, połyka i wypuszcza wodę. Popatrzył na ciemne sylwetki, skulone na piasku. Ciekawe, ilu mężczyzn z załogi „Wilczego Wichru” w tajemnicy wierzyło w tę legendę.

Na pewno nie Svengal. Svengal był zbyt praktyczny. Thorn? Od razu odrzucił tę myśl. Thorn miał w sobie za wiele sceptycyzmu, by wierzyć w takie bajeczki. Ale skoro to nie Wielki Wieloryb powoduje pływy morskie, to co w takim razie jest ich przyczyną?

Westchnął. Jego umysł wynalazcy domagał się odpowiedzi. Ale do tej pory nikt nie znalazł logicznego wyjaśnienia. Być może należało po prostu przyjąć fakt, że morze regularnie wzbiera i cofa się, i już.

I kiedy tak rozmyślał, nagle wpadł na pomysł, jak nasączyć olejem bramę w palisadzie.



## Rozdział 25



Hal, Stig i Jesper siedzieli w skifie, pożyczonym od ludzi Barata, w odległości dwustu metrów od wschodniej wieży.

– Nie martwi cię, że nas widzieli? – zapytał Stig. Kiedy przepływali obok wieży, piraci obrzucili ich gradem wyzwisk i pogróżek, a także posłali kilka strzał, żadna jednak nie trafiła w skif.

Hal potrząsnął głową.

– Wiedzą, że Barat i jego ludzie posługują się takimi łódkami, więc z niczym się nie zdradziliśmy. Z takiej odległości nie mogli zobaczyć, że jesteśmy Skandianami.

Stig przytaknął niepewnie, lecz, jak zwykle, zdał się na Hala.

– Skoro tak twierdzisz.

– Nie zauważyli nawet, że jesteś Aralueńczykiem – wtrącił Jesper z szerokim uśmiechem. Hal wywrócił oczami. Wiedział, że to miał być żarcik.

– Prawda – odparł. – Zabawne. Ci piraci naprawdę jako pierwsi na świecie mogą wziąć mnie za Skandianina. O, jest brama.

Sto metrów za wieżą palisada skręcała pod niemal kątem prostym w głąb lądu, na północ. Obok ciągnął się wąski pas plaży, którą można było dojść do ciężkiej drewnianej bramy.

– Zamknięta – stwierdził Jesper. Nie miał pojęcia, jaki jest cel tej wyprawy. Hal niczego nie wyjaśnił, powiedział tylko tyle, że chce, by Jesper sam to zobaczył. Wtedy zrozumie, na czym polega plan i może wytknie wszystkie ewentualne słabe punkty.

– Lydia mówiła, że brama zawsze jest zamknięta, chyba że akurat przybywa statek kupiecki – wyjaśnił Hal. – Mieszkańcy miasta są bardzo nieufni, nie wpuszczają obcych do portu.

– I mają ku temu powody – zauważył Stig, wsparłszy się na wiosłach. – Widzisz, co się stało, kiedy ostatnio to zrobili.

– Właśnie. Tak więc, jeśli do Limmat przyplywa obcy statek, każą mu przybić do brzegu właśnie w tym miejscu. Kupcy mogą wyładować towary na plaży, a mieszkańcy miasta zabierają je przez tę bramę.

– Świetnie – wtrącił Jesper. – A więc odbyliśmy miłą wycieczkę łodzią, a teraz patrzymy sobie na bramę, która jest zamknięta. Zakładam, że raczej jej dla nas nie otworzą?

– Nie. Podpalimy ją – oznajmił Hal. – A potem Ingvar zaatakuje ją taranem.

– No tak, któżby inny, jak nie Ingvar. Tylko jak zamierzasz podpalić bramę?

– Nasączymy ją olejem, a potem wypuścimy z Zadymiarza płonący bełt.

– Jak na razie – powiedział Jesper – nie widzę błędów w twoim rozumowaniu.

Z wyjątkiem jednego drobnego, lecz zasadniczego szczegółu...

– Jak nasaczyć bramę olejem? – wtrącił Hal.

Jesper przytaknął.

– Zrobimy to w nocy. Zawiesimy na bramie pęcherz wypełniony olejem, na odpowiedniej wysokości, by nie zauważył go żaden z piratów. Potem, w dzień ataku, przebijemy pęcherz strzałą lub bełtem. Olej spłynie w dół. Kolejną strzałą podpalimy bramę. Proste.

Jesper oderwał wzrok od bramy i spojrzał na Hala.

– Masz bardzo interesującą koncepcję co do znaczenia słowa „proste”. Poza tym powiedziałeś „powiesimy”. Jak dokładnie mamy to zrobić?

– Cóż, niedokładnie to miałem na myśli – przyznał Hal. – Liczę na to, że ty tego dokonasz. Potrafiłbyś przedostać się z brzegu do bramy tak, by cię nie zobaczyli?

Jesper przez chwilę przyglądał się pasmu plaży między linią wody a bramą. Wysunął dolną wargę i powiedział:

– W nocy? Powinno się udać. Teren jest nierówny, więc łatwo się ukryć. To może zająć dziesięć do piętnastu minut.

– A jak Jesper ma się tu dostać? – zapytał Stig. – Nawet w nocy zauważą łódź. A kiedy zorientują się, że ktoś przybił w tym miejscu do brzegu, na pewno sprawdzą bramę i znajdą pęcherz z olejem.

– Nie podpłyniemy łodzią tak blisko – powiedział Hal. – Najwyżej na odległość trzystu metrów. Raczej niemożliwe, by dostrzegli małą łódź z tak daleka. Potem Jesper i ja podpłyniemy do brzegu na fali przypląwu.

– Eee... W takim razie mamy kolejny problem – odezwał się Jesper, podnosząc do góry rękę. – Ja nie pływam. Ja tonę.

Hal był wyśmienitym pływakiem, ale Jesper, jak większość Skandian, w ogóle nie potrafił pływać. Hal jednak przewidział także i ten problem.

– Ale ja pływam. I będę ci towarzyszył.

– Wspaniale – odparł Jesper sarkastycznie. – Będziesz mógł popatrzeć, jak idę na dno.

– Wykluczone. Jesteś mi potrzebny. Zbudujemy tratwę. Albo jeszcze lepiej, znajdziemy pień, wyrzucony na brzeg. Przyholujemy go za skifem, a kiedy będziemy kilkaset metrów od brzegu, wskoczmy do wody. Przywiążę cię porządnie. Obiecuję. Nie pójdziesz na dno.

– Powiadasz – odparł Jesper sceptycznie.

– Zza pnia nie będzie nas widać. Piraci niczego nie zauważą, zobaczą tylko dryfujące drzewo. Po dziesięciu-piętnastu minutach, kiedy przyzwyczają się do tego widoku, ruszysz do bramy.

– A jak się stamtąd wydostaniecie? – zapytał Stig. Fascynowała go pomysłowość Hala. Plan naprawdę wydawał się możliwy do zrealizowania.

– Tak jak się dostaliśmy. Poczekamy, aż zabierze nas fala odpływu, a potem ty nas zgarniesz.

– Ja? – zdziwił się Stig.

– Podczas gdy będziemy zajęci przy bramie, przewieziesz drugą grupę ludzi Barata.

W powrotnej drodze zatrzymasz się w bezpiecznej odległości od brzegu, tak by cię nie widziano, i poczekaasz, aż do ciebie przydry-fujemy.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– A jeśli was zgubimy? – zapytał Stig ze szczerą troską.

– To by było dość kłopotliwe – przyznał Hal.

Jesper popatrzył na niego z przerażeniem.

– Będę znacznie bardziej niż zakłopotany – powiedział.

– Będę bardzo, bardzo rozczarowany. Jeśli Stig nas nie znajdzie, możemy podryfować aż do Teutonii.

– Może to jeden z tych drobnych szczegółów, o których czasem zapominasz? – zapytał Stig niewinnie.

Hal zamyślił się, marszcząc brwi.

– Powinno się udać. Można przewidzieć, w którą stronę podryfujemy. A kiedy już znajdziemy się dostatecznie daleko od brzegu, możemy przyczepić flagę do drzewa, tak byś nas zobaczył.

– Jakoś mi się nie podoba to „powinno się udać” – stwierdził Jesper. – Chyba wolałbym „uda się”. Wybacz, jeśli nie pałam zbytnim entuzjazmem dla twojego planu.

Hal zacisnął wargi i zamyślił się na chwilę. Potem machnął ręką w tył, skąd przyплыли.

– Nie ma co dłużej marudzić – stwierdził, zmieniając temat. – Pomyślę nad tym w drodze powrotnej.

– Byłbym wdzięczny – odparł Jesper.

Stig uśmiechnął się krzywo pod nosem. A więc Jesper, który nie potrafił pływać, miał przydryfować do brzegu, trzymając się pniaka, potem przemknąć niezauważenie do bramy, zawiesić na niej pęcherz z olejem i znów zdać się na łaskę fal, nie mając pewności, czy Stig w ogóle po niego przyplynie. „Witamy w świecie Hala”, pomyślał.

Stig zanurzył wiosła w wodzie. Wcześniej zamierzał zasugerować, że może Jesper mógłby go zmienić w drodze powrotnej, ale uznał, że chłopak i tak przechodzi ciężkie chwile. Nie mógł sobie jednak darować cierpkiej uwagi:

– Wiesz, słyszałem, że Teutonia o tej porze roku jest cudowna. I podobno mają tam doskonale kielbaski.

Hal i Jesper tylko popatrzeli na niego, więc zaśmiał się sam do siebie. „Hal na pewno coś wymyślił”, powiedział sobie w duchu.

Ale kiedy dotarli do obozu, Hal nadal nie znalazł rozwiązania problemu.

– Powinno się udać – powiedział do siebie, idąc przez plażę, głęboko zamyślony. – Chyba potrafię wyliczyć, dokąd zabierze nas odpływ. Stig będzie tam na nas czekał.

Wiedział jednak, że istnieje pewien haczyk: Stig był wprawdzie świetnym sternikiem, lecz z nawigacją radził sobie nie najlepiej. Oczywiście, był wystarczająco kompetentny, w końcu odbył szkolenie podczas treningów drużyn, a lekcje nawigacji stanowiły bardzo ważną ich część. Hal jednak odbył kurs zaawansowany, a Stig, ponieważ wiedział, że jego przyjaciel ma wielki talent w tej dziedzinie, za bardzo nie przykładał się do nauki i liczył, że w razie kłopotów Hal zawsze będzie obok.

„Wyznaczę punkty orientacyjne”, pomyślał Hal. Dwa punkty na lądzie, według których Stig mógłby się orientować. Ale to nie w pełni rozwiązywało problem. Dobry nawigator w dużej części musiał polegać na intuicji i wyczuciu. Na przykład, jeśli wiatr przybierze na sile lub zmieni kierunek, to zepchnie pień z przewidzianego kursu. Hal wiedział, że takie rzeczy należy brać pod uwagę.

A Stig? Jeśli Hal miał być całkowicie szczerzy, musiał przyznać, że w to wątpi.

Rozmyślając tak, przechadzał się wzdłuż brzegu i szukał wzrokiem odpowiedniego drzewa, które mogłoby posłużyć im jako tratwa. I znalazł – spory pień, szary, wysuszony od soli, z płataniną martwych nagich gałęzi na jednym końcu. Rosły blisko siebie i zebrało się między nimi mnóstwo drobniejszych gałązek i wyschniętych wodorostów. Wyglądało to niczym gniazdo jakiegoś cudacznego ptaka.

„Lub podpałka”, dodał w myślach i zawrócił po Ingvara i kilku innych, by pomogli mu zaciągnąć pień do wody. Był do połowy zakopany w piachu, nawet Ingvar nie zdołałby sam go wyciągnąć.

Nagle Hal przystanął. Tak, pień rzeczywiście wyglądał jak podpałka. Ruszył przed siebie

sprężystym krokiem.

Jesper i Stig siedzieli wraz z Thornem przy ognisku, sącząc kawę. Stary wilk morski spojrzał na Hala.

– Jak się udał rekonesans?

Hal popatrzył na niego podejrzliwie, zastanawiając się, czy Stig i Jesper opowiedzieli mu o jego planie i związanych z nim trudnościach. Uznał, że nie. Thorn miał autentycznie zaciekawioną minę.

– Świetnie – odparł. – Jesper twierdzi, że da się to zrobić. Był tylko jeden drobny problem, ale już go rozwiązałem.

Stig i Jesper nadstawili uszu i spojrzeli na Hala z zaciekawieniem.

– Znalazłem na plaży odpowiednie drzewo – powiedział. – Między gałęziami zaplątało się mnóstwo drobnych gałązek, wodorostów i tak dalej. Wymyśliłem, że gdybym zabrał dodatkowe naczynie z olejem i krzesiwo, zawinięte w wodoodporny materiał, mógłbym od razu podpalić pień. Kiedy zobaczysz dym, Stigu, przyplyniesz i nas stamtąd zabierzesz.

Stig kiwnął głową. Hal znów mu zaimponował.

– Brzmi sensownie – stwierdził. – Wiedziałem, że coś wymyślisz.

– Dobry pomysł – zawtórował mu Thorn. – Jak dołożysz trochę mokrych wodorostów, zrobi się mnóstwo dymu. Będzie was widać z daleka.

Potem wszyscy spojrzeli na Jespera, który potrząsnął głową i powiedział:

– Kiedy zaproponowałeś wycieczkę do Teutonii, myślałem, że gorzej być nie może.

A teraz okazuje się, że chcesz jeszcze podpalić pień, który ma nam służyć za tratwę.

Hal otworzył usta, by zaprotestować, lecz nagle zdał sobie sprawę, że to bardzo trafne podsumowanie.

– Stig zdąży przyplłynąć po nas, zanim pień się spali – powiedział, a Stig zamruczał do wtóru, co miało wyrażać poparcie dla jego słów. Jesper spojrzał na Hala, potem na Stiga.

– Oby – powiedział. – Bo inaczej wrócę jako duch z mego mokrego grobu i będę cię straszył.



## Rozdział 26



Cudownie będzie pozbyć się was dwóch – powiedział Thorn. – I tego cholernego pniaka.



On i Hal siedzieli na środkowej ławce i wiosłowali. Hal postanowił pomóc przyjacielowi, ponieważ pień stwarzał dodatkowe obciążenie.

Poprzedniej nocy Hal przewiózł pierwszą grupę ludzi Barata do miejsca na wschód od Limmat. Tej nocy, w czasie gdy on i Jesper będą przeprowadzać akcję przy bramie, Stig miał przewieźć w to samo miejsce drugą grupę i zabrać ich w powrotnej drodze.

Na to w każdym razie liczyli.

Thorn wiosłował bez większego wysiłku. Hal z miną właściciela spojrzał na jego protezę.

– Hak dobrze się sprawuje? – zapytał. – Wytrzymuje obciążenie?

Thorn uniósł protezę i przyglądał się jej przez chwilę.

– W porządku – odparł. – Musiałem maksymalnie naciągnąć rzemyki, żeby mi nie wyrwało ramienia. Jak sobie pójdziecie, to je poluzuję.

Hal skinął głową. W powrotnej drodze Thornowi z pewnością łatwiej pójdzie – nie będą mu ciążyć ani oni dwaj, ani przyczepiony z tyłu pień. Hal spojrzał w stronę brzegu, od którego dzieliło ich jakieś trzysta metrów. Światła na wieżach strażniczych zostały z tyłu.

– Jesteś pewien, że nie chcesz, bym na was zaczekał? – spytał Thorn. Cały czas martwił się o Hala i Jespera. Tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Hal jednak potrząsnął głową i uśmiechnął się. Dyskutowali na ten temat już tyle razy.

– Kiedy skończymy, zacznie robić się jasno – powiedział. – Mogliby cię zauważyć. Strażnicy przeważnie są bardzo czujni o tej porze.

Thorn wzruszył ramionami.

– Mogę zaryzykować.

– Wiem. I dziękuję. Ale jeśli cię zobaczą, to zapewne sprawdzą cały teren i dostrzegą również nas. Zaczną się zastanawiać, co tu robimy. Jeśli wpadną na pomysł, żeby sprawdzić również bramę, zobaczą pęcherz z olejem i zabawa skończona.

– Po prostu nie podoba mi się ten pomysł dryfowania po morzu – powiedział Thorn.

Jesper pochylił się do przodu i wtrącił:

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Tylko że nikt mnie nie słucha.

– Wszystko będzie dobrze – odparł Hal, z większym przekonaniem, niż naprawdę żywił.

– Skoro tak mówisz – powiedział Thorn.

Hal skinął głową.

– Tak właśnie mówię.

Jesper wywrócił oczami.

– A ja nie.

Hal uznał, że najlepiej będzie nie zwracać na niego uwagi. Spojrzał na wodę i zobaczył unoszące się na jej powierzchni gałązki, płynące w stronę lądu na fali przyływu. Znów skierował wzrok na brzeg. Minęli już wejście do portu.

– Powinno być dobrze – powiedział. – Ustawmy pień wzdłuż burty.

Pień płynął jakieś pięć metrów za łódką, przywiązany do niej grubą konopną liną. Hal i Jesper zwinęli ją teraz i przyciągnęli pień do burty. Unosił się na wodzie tuż obok, od czasu do czasu objając się o burtę.

– Spokojnie – ostrzegł Thorn. – Jeśli uszkodzimy skif, będę musiał do was dołączyć.

Hal uśmiechnął się szeroko.

– Byłoby świetnie.

– Do roboty, Jesper. Wywróciłeś już swój kubrak kubrak na drugą stronę?

Obaj chłopcy nosili kubraki z baraniego futra, podobnie jak prawie wszyscy członkowie załogi. Jesper zwykle wkładał swój futerem na wierzch, tłusta wełna stanowiła dobrą ochronę przed deszczem i bryzgami fal. Hal z kolei wolał nosić swój futerem do wewnątrz, bo tak było

cieplej.

Jesper zdjął kubrak, wyrzucił go i włożył z powrotem.

– Jaki jest tego sens?

– Futro złapie wodę, która stopniowo ogrzeje się od ciepła twojego ciała – wyjaśnił

Thorn. – Dzięki temu nie zmarzniesz tak na morzu. Bo będzie zimno.

– Jak miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś – mruknął Jesper.

Thorn wzruszył ramionami.

– Zawsze do usług.

Hal odwrócił się i przerzucił nogi przez burtę, a kiedy Thorn przechylił się odpowiednio, by zrównoważyć jego ciężar, zanurzył się w ciemnej wodzie. Uderzenie zimna odebrało mu na chwilę oddech. Powstrzymał się jednak od krzyku, bo wiedział, że wówczas Jesper pewnie za nic nie wskoczyłby do wody. Chwycił się pnia i podciągnął się, przywiązał linę do wystającej gałęzi, a wolny koniec podał Jesperowi.

– Przywiąż się, a potem wskakuj do wody.

Jesper bez przekonania obwiązał się liną pod pachami, potem pochylił się i zanurzył rękę w wodzie.

– Zimna – poskarżył się.

Thorn uśmiechnął się krzywo.

– Cóż za niespodzianka. Wskakuj.

Jesper jeszcze raz spojrzął z tęsknotą na ławeczkę na rufie, po czym zsunął się do wody. Zanurzył się razem z głową, ale zaraz za pomocą rozpaczliwych ruchów wydostał się na powierzchnię. Porażony zimnem głośno łapał powietrze i dziko młócił wodę rękami.

– Ciszej! – szepnął Hal, po czym chwycił go za kołnierz i przyciągnął do pniaka. – Jeszcze cię usłyszą!

Jesper uczepił się kurczowo pnia, ogarnięty paniką. Już sam pomysł wskoczenia do wody był wystarczająco okropny, teraz do tej przerażającej wizji doszło jeszcze przejmujące zimno. Obejrzał się przez ramię.

– Po jakim czasie woda robi się ciepła? – zapytał Thorną żałośnie.

– „Ciepła” to pojęcie względne – odparł Thorn, wzruszając ramionami. – Rzekłbym, że będzie raczej mniej zimna. To powinno potrwać najwyżej kilka minut.

– Wcześniej umrę! – poskarżył się Jesper.

– Zamknij się – warknął Hal bez cienia współczucia. Podpłynął do łódki, a Thorn podał mu zawiniątko z impregnowanej tkaniny, w którym mieściły się naczynie z olejem i krzesiwo. Świński pęcherz, wypełniony olejem, został już wcześniej przywiązany do pniaka. Hal przyczepił paczuszkę do gałęzi, sprawdził węzeł, odwrócił się i skinął głową.

– Popchnij – powiedział do Thorną. – Najwyższy czas.

Thorn odwiązał linę, przyłożył wiosło do pnia i pchnął.

Pień powoli odpłynął, a po chwili, uniesiony falą przyływu zaczął dryfować w stronę brzegu.

– Powodzenia – zawołał cicho Thorn. – Do zobaczenia jutro.

– Zamknij się – zawołał Hal w odpowiedzi, z wyraźnym napięciem w głosie, jakby mówienie sprawiało mu trudność. Thorn pomyślał, że to pewnie przez szcękające z zimna zęby. Potem Hal znów zawołał: – Dzięki.

Thorn skinął głową w stronę ciemnego kształtu, który znajdował się już pięć metrów dalej, zanurzył wiosła w wodzie i zawrócił. Teraz, kiedy nie ciążyli mu dwaj pasażerowie i holowany pień, wiosłował bez większego wysiłku. Dziwne, ale wołał jednak, kiedy Hal i Jesper siedzieli bezpiecznie obok niego.



Hal uniósł się nieco, by zorientować się w położeniu. Chyba zносиło ich lekko w lewo. Jesper instynktownie próbował podciągnąć się jak najwyżej, by uniknąć kontaktu z wodą. Hal położył mu rękę na ramieniu i poradził.

– Schowaj się przed wiatrem, będzie ci cieplej.

– Na Gertza i Perlinsa! – Jesper przywołał imiona skandyjskich bóstw lodu i śniegu. – Jest lodowato! – Ale zanurzył się, tak że tylko głowa wystawała mu nad powierzchnię. Okazało się, że Hal miał rację. A po kilku minutach okazało się, że Thorn również miał rację. Woda, która zgromadziła się pod kubrakiem, zaczęła się nagrzewać i tworzyć barierę między nim a lodowatą morską głębią.

W każdym razie tak było w przypadku górnej połowy ciała. Nogi w szarych wełnianych kalesonach marzły straszliwie.

– Sparaliżowało mi nogi – stwierdził.

Hal znów sprawdził położenie.

– W takim razie rozgrzejmy je. Musimy skierować się nieco w prawo. Znosi nas w stronę portu, nie plaży. Trzymaj się mocno pnia i ruszaj nogami.

– Trzymam się mocno pnia – odparł Jesper. – Skąd przypuszczenie, że go puszczę?

Hal uśmiechnął się krzywo. Sam szczekał z zimna zębami. Wiedział, że trochę ruchu i jemu dobrze zrobi.

– Dobra. Widziałeś kiedyś, jak pływa żaba? Odpychaj się nogami tak jak ona. Tylko pod powierzchnią, bo narobisz hałasu. Zaraz się rozgrzejemy.

I zaczęli płynąć. Początkowo Jesper poruszał się niezgrabnymi, nieskoordynowanymi ruchami, lecz po chwili znalazł rytm. Wytrwale odpychali się nogami, by zmusić pień do zmiany kierunku. Wydawało się, że idzie im to bardzo powoli, ale po dziesięciu minutach Hal znów sprawdził położenie i stwierdził, że pokonali całkiem spory dystans. Zmierzył kąty i odległość.

– Jeszcze kilka minut – uznał – i będziemy na miejscu.

Marzył i był wyczerpany, lecz czuł, jak krew krąży w jego żyłach, walcząc z lodowatym uściskiem fal. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w swoim planie nie wziął pod uwagę działania zimna, które wyczerpywało ich siły i opóźniało całą akcję. „Kolejny drobny szczegół”, pomyślał cierpko.

– Cokolwiek rozkażesz – odparł Jesper zduszonym głosem. Jego wargi zsiniały.

– No, dalej! – zachęcał Hal. – Tempo!

Zaczęli płynąć szybciej i z większą siłą, przez cały czas uważając, by przypadkiem nie przeciąć nogą powierzchni wody. Hałas czy rozbryzg białej piany mogłyby zdradzić ich obecność. Po kilku minutach usłyszeli pluskanie fal, łagodnie marszczących się na brzegu, i zaraz potem pień otarł się o piaszczyste dno, zakołysał się i osiadł na płyciźnie.

Przez chwilę leżeli, odpoczywając. Serca waliły im w piersiach jak szalone. W każdej chwili spodziewali się usłyszeć ostrzegawczy krzyk z palisady, świadczący o tym, że piraci ich dostrzegli. „A wtedy koniec”, pomyślał Hal. Nie mieli dokąd uciec, mogli tylko czekać na odpływ.

„Może o tym też powinienem był pomyśleć”. Ale minęło kilka minut i nic się nie wydarzyło. Odetchnął z ulgą. Zauważył, że Jesper nie podciągnął się, by spojrzeć ponad pniem, lecz ułożył się tak, by widzieć brzeg przez płataninę gałęzi. Widocznie bał się, że któryś ze strażników na palisadzie może dostrzec jego twarz.

Patrzył tak przez chwilę, a potem odwrócił się i zbliżył usta do ucha Hala.

– Na warcie stoi jeden strażnik. Przechodzi co jakieś trzy minuty. Wygląda na straszliwie znudzonego, ledwo mu się chce spojrzeć na morze.

– Myślisz, że zauważył pień? – spytał Hal.

Jesper wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Jeśli nawet, najwidoczniej się tym nie przejął. Zaczekam, aż znowu przejdzie i ruszam.

Hal skinął głową. Odwiązał sznurek i wyjął pęcherz z olejem spomiędzy ostrych gałęzi, ostrożnie, by o żadną nie zaczepić. Jesper zaś sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana. Wyjął stamtąd niewielkie naczynko i zaczął smarować twarz jakąś ciemną substancją, malując nieregularne pasy i wzory.

– Co to? – zapytał Hal z zaciekawieniem.

– Popiół i tłuszcz. Malunek sprawi, że moja twarz nie będzie wyglądać jak jasny regularny owal. Bardzo przydatne, kiedy skradasz się w ciemnościach – wyjaśnił Jesper.

Hal skinął głową. Tajemnica złodziejskiego fachu zrobiła na nim duże wrażenie. Postanowił zanotować sobie tę informację w pamięci. „W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy będę musiał skradać się w ciemnościach”, pomyślał.

– Na pewno wiesz, co masz robić?

Jesper skończył malować twarz i wyszczerzył się szeroko. Jego zęby błysnęły w ciemnej masce.

– Mam nadzieję – odparł, chwytając pęcherz z olejem.

– Inaczej może zrobić się gorąco. – Urwał, a potem dodał: – Chociaż to może nie byłoby takie złe.

Przesunął się na koniec pnia i odczekał, aż strażnik przejdzie. Potem uniósł rękę na pożegnanie i ześliznął się z pnia. Zaczął czołgać się na łokciach i kolanach, trzymając się blisko ziemi i ciągnąc za sobą pęcherz z olejem.

Hal, biorąc przykład z Jespera, zwalczył pokusę; nie wyjrzał zza pniaka, lecz przeczołgał się do miejsca, gdzie zasłaniały go gałęzie i spojrzał przez nie, szukając wzrokiem przyjaciela.

Nigdzie go nie dostrzegł.

„Jednak wie, co robi”, pomyślał Hal.





Stig liczył w myślach, kiedy wojownicy z Limmat wchodzili na pokład „Czapli”. Gdy ostatni wojownik przełożył nogę przez nadburcie, Stig odwrócił się w stronę Jonasa.

– Naliczyłem dwudziestu czterech – powiedział z oskarżycielską nutą w głosie.

Wcześniej ustalili, że za każdym razem zabiorą po dwudziestu ludzi. Większa liczba oznaczała, że „Czapla” będzie bardzo przeciążona. Jonas jednak przytaknął.

– W ciągu ostatnich dni przybyło jeszcze czterech uciekinierów z miasta. Barat chciał, by do nas dołączyli. Powiedział, że im więcej nas będzie, tym większe szanse na zwycięstwo.

Stig mruknął przepaszająco. Oczywiście, to miało sens. Ale gdyby go uprzedzono, wyjąłby część kamieni, służących za balast. Teraz nie było na to czasu.

– I oczywiście nikt nie pomyślał, by nas o tym powiadomić?

Jonas rozłożył ręce w przepaszającym geście.

– Przykro mi. Nie przypuszczałem, że to ma jakieś znaczenie.

Stig zacisnął wargi. Nie miało sensu kłócić się z Jonaszem. Był rolnikiem, nie wiedział nic na temat morza i żeglugi. Oczywiście, Barat to co innego. Trudnił się kupiectwem i przez całe życie miał do czynienia z okrętami, kilka statków należało do jego rodzinnego majątku.

– Cóż, muszę w miarę możliwości odciążyć łódź – powiedział Stig. – Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób. – Krzyknął w stronę „Czapli”, unoszącej się na wodzie kilka metrów od brzegu. – Stefan! Edvin! Chodźcie tu!

Nad burtą ukazały się twarze chłopców. Spojrzeli z zaciekawieniem na Stiga.

– O co chodzi? – zapytał Stefan. Stig machnął kciukiem, dając do zrozumienia, że mają zejść na brzeg.

– Łódź jest przeciążona. Musicie zostać.

– A kto będzie opuszczał i podnosił żagiel? – zapytał Edvin. W tym momencie Ulf i Wulf podeszli do relingu.

– Bliźniacy się tym zajmą – odparł Stig. Zdecydował tak, ponieważ bracia byli najsilniejsi z tych, co pozostali na pokładzie „Czapli”. Każdy z nich o własnych siłach potrafiłby podnieść czy opuścić rejkę z żaglem. A w razie konieczności mógł pomóc mu któryś z pasażerów. W końcu polegało to tylko na tym, by pociągnąć za odpowiednią linę.

– Ulf, ty odpowiadasz za podnoszenie żagla.

– Jestem Wulf – odparł bliźniak. Stig gniewnie zacisnął szczęki, po czym oznajmił, bardzo powoli i dobitnie:

– A więc, Wulfie, ty odpowiadasz za podnoszenie żagla. Ulf zaś za trzymowanie.

– Jeśli chcesz, chętnie będę podnosił żagiel – powiedział ten, który, jak Stig już wiedział, miał na imię Ulf. Stig wziął głęboki oddech. Zastanawiał się, jak Halowi udaje się utrzymać tych dwóch w ryzach. Ale zaraz potem przypomniał sobie, że jednak często się nie udaje.

– Wszystko mi jedno, kto to robi, byle było zrobione. Zrozumiano?

Bliźniacy wzruszyli ramionami.

– Zrozumiano – odparli chórem. A potem Ulf dodał:  
– A więc to ja mam podnosić żagiel?  
– TAK! – wrzasnął Stig. – Ty podnosisz żagiel. Ty tam, drugi, kimkolwiek jesteś, trzymujesz żagiel.  
– Jestem Wulf – powiedział Wulf.  
– Nic mnie to nie obchodzi! Po prostu zróbcie, o co proszę!  
– W porządku – odparł Wulf i wywrócił oczami, jakby chciał podkreślić, że Stig sam sobie przeczy. Bliźniacy ruszyli na stanowiska. Stefan i Edvin, którzy z lekkim rozbawieniem przyglądali się tej wymianie zdań, przełożyli nogi przez nadburcie i zeskoczyli do płytkiej wody.  
– Niewielu ludzi zostało ci do pomocy – powiedział Edvin do Stiga.  
Tamten ponuro przytaknął.  
– Wiem. Ale nie mam wyboru, nie sądzisz?  
Edvin po chwili namysłu wzruszył ramionami.  
– Chyba nie. Ale jeśli wiatr przestanie wiać, będziesz mieć tylko dwóch wioślarzy do dyspozycji.  
– Wiatr wieje nieustannie od kilku tygodni – odparł Stig. – Czemu akurat dzisiejszej nocy miałby ucichnąć?  
– Nie wiem – przyznał Edvin. – Może dlatego, że akurat dzisiejszej nocy nie powinien?  
Stig spoglądał na niego przez kilka sekund. Edvin nie odwrócił wzroku, ale przynajmniej zrobił skruszoną minę.  
W końcu Stig powiedział z przekonaniem:  
– Wiatr dziś nie ucichnie. Zadowolony?  
– Bardzo – odparł Edvin. – Skoro tak twierdzisz.  
– Doskonale. – Stig skierował wzrok na zbliżającą się w ich stronę smukłą postać. – Cześć, Lydio. – Przyszłaś się z nami pożegnać?  
Tak naprawdę Lydia liczyła na to, że zabiorą ją ze sobą. Męczyła ją bezczynność i czekanie na rozpoczęcie bitwy. Chciała mieć coś do roboty i czuła, że może uda się jej przekonać Stiga, lecz rozmowa, którą usłyszała przed chwilą, rozwiała jej nadzieje.  
– Tak, przyszłam życzyć wam szczęścia.  
Stig uśmiechnął się.  
– Wszystko będzie dobrze – wskazał na łódź. – To nic takiego. Trzeba tylko dopłynąć do brzegu, wysadzić ich i zawrócić.  
– Chodziło mi o Hala – odparła. Uśmiech zrzędł na twarzy Stiga, kiedy pomyślał o nachodzącej nocy.  
– No tak. Oczywiście. Nie martw się. Na pewno go znajdziemy. – Poczł przyływ troski o przyjaciela. I, dziwne, ale również ukłucie zazdrości. Lydia nie martwiła się o niego, tylko o Hala.  
Zaraz jednak odsunął od siebie niegodne uczucie. Hal znajdował się w znacznie bardziej niebezpiecznej sytuacji niż on. Dlaczego miałby czuć zazdrość, że Lydia martwi się bardziej o jego przyjaciela? A jednak czuł i był za to sam na siebie zły.  
– Chyba już pójdę – rzucił nagle, by ukryć zmieszanie. Lydia czuła, że czymś go uraziła i wyciągnęła rękę, ale on już się odwrócił, lekko przeskoczył przez burtę i ruszył w stronę rufy, torując sobie drogę między limmatanami.  
Lydia postanowiła więc pomóc Edwinowi i Stefanowi zepchnąć łódź na wodę. Ingvar, krążący w pobliżu, również do nich dołączył i po chwili „Czapla” ześliznęła się na fale. Stig przesunął ster, aż łódź skierowała się dziobem w stronę morza.  
– Prawy żagiel – zawołał i jeden z bliźniaków podniósł rejkę, a drugi wybrał żagiel

odpowiednio do kierunku wiatru. Kiedy łódź nabrała prędkości, Stig miękkim łukiem skierował ją na morze. „Czapla” pomknęła w noc, ciemny cień na równie ciemnym morzu. Jedynym znakiem jej obecności był ukazujący się czasem biały pióropusz piany u dziobu.



Jesper przycisnął się całym ciałem do szorstkich desek bramy. Ledwo śmiało oddychać. Nad jego głową dudniły rytmicznie kroki strażnika.

Stał schowany pod okapem. Strażnik nie mógł go zobaczyć, musiałyby wychylić się mocno i zajrzeć specjalnie pod okap. A po co miałyby to robić? No, chyba że usłyszałyby jakiś hałas.

Jesper nie czuł już zimna. Adrenalina krążyła w jego żyłach, zapomniał o wszelkich niedogodnościach. Odczekał, aż kroki umilkły. Dzięki wcześniej przeprowadzonym obserwacjom wiedział, że ma trzy minuty do powrotu strażnika. Ostrożnie położył pęcherz z olejem na piasku tuż obok bramy, sięgnął do kieszeni po świder, który dał mu Hal, i wyciągnął się na palcach najmocniej, jak potrafił.

„Hal myśli o wszystkim”, stwierdził w duchu. Jesper sam nie wpadłby na to, żeby zabrać ze sobą narzędzia – świder i gwóźdź. Poświęciłby mnóstwo czasu i wysiłku, by dotrzeć do bramy i dopiero wtedy zorientowałby się, że nie ma jak zawiesić pęcherza z olejem.

Zaczął wiercić dziurę. Nie było to łatwe. Stał w niewygodnej pozycji, z ręką wyciągniętą wysoko w górę. Drewno stwardniało, wystawione przez lata na działanie wiatru i słonego powietrza, a jego włókna skurczyły się i ścięniły. Jesper nie dawał jednak za wygraną.

Znów rozległy się kroki; zamarł, poczekał, aż się oddały, i dopiero wtedy wrócił do pracy. W końcu uznał, że otwór jest już wystarczająco głęboki, wyjął gwóźdź i włożył go w dziurę. Miał nieco mniejszą średnicę niż świder, więc Jesper nie musiał dodatkowo go wbijać. Uśmiechnął się ponuro. I tak nie mógłby go wbić, bo narobiłby za dużo hałasu. Z tego powodu, wierząc dziurę, ustawił świder pod kątem w dół i kiedy wsadził gwóźdź, skierował się on z kolei pod kątem do góry, by zawieszony na nim worek na pewno nie spadł. Wsunął gwóźdź głęboko, aż poczuł, że wszedł on do samego końca.

Zawiesił pęcherz z olejem, w ten sposób, by przylegał płasko do desek. Potem zaczął cofać rękę, powoli i ostrożnie, w razie gdyby okazało się, że gwóźdź nie utrzyma ciężaru. Na odgłos zbliżających się kroków ponownie zamarł w bezruchu, w końcu zabrał rękę.

Nagle przyszło mu do głowy, że może udoskonalic plan Hala. Bramy najwyraźniej nie używano od wielu tygodni, dokoła zgromadziły się śmieci, suche gałęzie i wodorosty. Jesper wychylił się spod okapu i zebrał garść gałązek, a potem ułożył dokładnie pod pęcherzem, napelnionym olejem. Zgodnie z planem Hal miał przebić go strzałą. Wyciekający z pęcherza olej ściekłby po bramie, lecz dużo po prostu wsiąkłoby w piasek. Teraz, dzięki pomysłowi Jespera, reszta spłynie na ułożony przez niego stos, który również zajmie się ogniem. Płomienie szybciej obejmą twarde bale, z których zbudowano bramę.

– Mała rzecz, a cieszy – mruknął Jesper, przyglądając się swemu dziełu. Potem znów usłyszał kroki i przywarł plecami do desek. Strażnik jak zwykle poszedł dalej, nie zatrzymując się. Kiedy Jesper upewnił się, że jest bezpieczny, ostrożnie zaczął pełzać na łokciach i kolanach. Pięć metrów dalej znajdowało się spore zagłębienie w piachu – to był jego pierwszy cel. Dotarli do niego, chwilę leżał nieruchomo, twarzą w dół, skryty w cieniu, póki nie ucichły kroki strażnika. Potem ruszył dalej, do następnego punktu – dużej kępy trawy po prawej stronie.

Kiedy tak czołgał się po chłodnym piasku, nagle wyczuł, że coś się zmieniło. Dotarł do

kępy i przez chwilę leżał, myśląc intensywnie. Marszcząc brwi, szukał odpowiedzi na zagadkę.  
Po chwili już wiedział. Wiatr ucichł.



## Rozdział 28



Przeprawa poszła bez najmniejszych zakłóceń. Stig zatoczył „Czapłą” szeroki łuk, po czym skierował ją ku brzegowi, gdzie czekała pierwsza grupa limmatan.

Barat wyglądał ich z daleka i kiedy dziób łodzi zaszurał delikatnie o piach, wszedł do wody, by powitać przybyłych.

– Spóźniliście się – powiedział. – Mielicie dotrzeć godzinę temu.

„Jak zwykle pełen zrozumienia”, pomyślał Stig. Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

– Wiatr nie wieje już z taką siłą jak wczorajszej nocy – wyjaśnił. – Nie mogliśmy płynąć z tą samą szybkością.

– Nie mógł się powstrzymać i dodał cierpko: – Poza tym musieliśmy wziąć więcej ludzi, o czym nikt nie raczył nas poinformować.

– Hmm. Cóż, pewnie lepiej późno niż wcale – stwierdził Barat.

Jego ludzie zaczęli wychodzić na brzeg i ustawiać się w luźnym kręgu, czekając na dalsze rozkazy.

Ulf i Wulf stali na dziobie, gotowi nieść pomoc co bardziej niepewnym limmatanom. Nie wszyscy bowiem potrafili swobodnie poruszać się po pokładzie.

Stig przyniósł bukłaki z wodą i kilka worków prowiantu – głównie chleba i suszonego mięsa – podał wszystko Jonasowi, a potem zeskoczył na plażę.

– Tyle powinno wystarczyć – powiedział, po czym zwrócił się do Barata: – Pamiętaj, jutro jeszcze pozostaniecie w ukryciu. Przypuście atak za dwa dni, o drugiej po południu.

Przesunęli plany o jeden dzień, bo stwierdzili, że Hal prawdopodobnie będzie potrzebował odpoczynku po nocnej wyprawie. Ustalili, że atak rozpocznie się wczesnym popołudniem, tak by piraci mieli słońce prosto w oczy, kiedy „Czapla” zaatakuje wieże strażnicze.

Barat prychnął.

– Nadal nie rozumiem, czemu nie o świcie, tak jak wszyscy zawsze robią.

Stig wziął głęboki oddech. Z trudem panował nad sobą. Dokładnie przedyskutowali plan



bitwy, ale Barat oczywiście wołał o tym nie pamiętać. Stig zaczynał podejrzewać, że przywódca limmatan po prostu uwielbia się kłócić. „Pasowałby do Ulfa i Wulfa”, pomyślał.

– Właśnie dlatego my zaatakujemy po południu – odpowiedział cierpliwie. – Owszem, wszyscy tradycyjnie przypuszczają atak o świcie, a to znaczy, że wszyscy również spodziewają się ataku o tej właśnie porze. Dlatego żołnierze zawsze są wówczas w gotowości. Po południu z reguły ucinają sobie poobiednią drzemkę. Zresztą, już na ten temat rozmawialiśmy – zauważył znaczącym tonem.

Barat potrząsnął głową.

– Co nie znaczy, że się z tym zgadzam. – A potem zdradził przyczynę swego rozdrażnienia. – Lydia z wami przyplęnęła?

Stig zaprzeczył. Widział ją na brzegu, kiedy szykowali się do wypłynięcia i domyślał się, co jej chodzi po głowie.

– Zabrakło dla niej miejsca. Chciała się zabrać, ale i tak byliśmy przeciążeni.

Barat popatrzył na niego, niepewny, czy Lydia chciała towarzyszyć Stigowi w przeprawie, czy też zobaczyć się z nim. Zawahał się, nie wiedział, co powiedzieć.

– Stigu... – powiedział cicho Wulf.

Stig odwrócił się, wdzięczny, że ktoś przerwał tę rozmowę.

– O co chodzi, Ulfie?

– Jestem Wulf – poprawił bliźniak gniewnym tonem. Zastanawiał się, dlaczego nikt nie potrafi odróżnić go od brata. On w każdym razie nie miał z tym najmniejszego problemu. Stig uniósł rękę w przeproszającym geście.

– Wybacz – powiedział i zanotował sobie w pamięci, by nigdy nie zwracać się do bliźniaków po imieniu. – O co chodzi, Wulfie? – zapytał i w tym momencie uświadomił sobie, że złamał to postanowienie.

– Wiatr ucichł – odparł Wulf.

Stig odwrócił się i spojrzał na drzewa, porastające wzgórze. Wiatr nie szarpał ich koronami. Potem znów się odwrócił i skierował wzrok na morze. Powierzchni nie marszczyła najmniejsza fala. Wulf miał rację. Wiatr ucichł.

Spojrzał w gwiazdy, by ocenić czas. Za kilka minut zacznie się odpływ, Hal i Jesper zepchną swą prowizoryczną tratwę na wodę i podryfują wraz z cofającą się falą, wypatrując „Czapli” na morzu.

Tylko że jej nie zobaczą. Było bezwietrznie, a Stig miał tylko dwóch wioślarzy. W żaden sposób nie zdąży na czas. Poczul narastającą panikę. Z trudem opanował ją i zaczął gorączkowo myśleć, co robić. Jak postąpiłby Hal na jego miejscu?

Po chwili znalazł odpowiedź. Zrobił krok w stronę Barata.

– Potrzebuję sześciu twoich ludzi – powiedział stanowczo. – Takich, którzy pracowali na statkach.

„Czapla” miała osiem wioseł, lecz zwykle używali tylko czterech lub sześciu. Gdyby mieli ośmiu wioślarzy – sześciu od Barata plus Ulfa i Wulfa – zdążyliby.

Barat zaśmiał się krótko.

– Może i potrzebujesz. Ale ich nie dostaniesz – odparł nieubłaganie.

Stig spojrzał na Jonasa, który wystąpił do przodu i wyciągnął ręce w stronę swego przywódcy.

– Baracie, bądź rozsądny. Przecież możemy...

Ale Barat nie dał mu dokończyć. Stanowczo machnął ręką.

– Potrzebuję wszystkich ludzi! Nie mogę uszczuplić naszych sił o sześciu wojowników! Obaj tłumili głosy i nikt nie słyszał, co jest tematem ich rozmowy. Stig odparł, jeszcze

bardziej zniżając głos:

– Przybyło ci teraz jeszcze czterech, więc tak naprawdę proszę o dwóch.

Barat tylko potrząsnął głową. Stig wziął głęboki oddech, z trudem opanowując wybuch gniewu. Dotknął ramienia Barata i wskazał na niewielkie skałki dwadzieścia metrów dalej.

– Możemy porozmawiać na osobności? Ludzie nie powinni widzieć, że się kłócimy.

– Możemy rozmawiać, ile tylko zapragniesz, ale nie dam ci nikogo. – Barat nie protestował jednak, kiedy Stig ujął go za ramię i ruszył w stronę grupy skałek opodal. Stig kiwnięciem głowy dał Jonasowi znak, by do nich dołączył.

Piach skrzypiał pod ich butami, kiedy tak szli po plaży. Po chwili dotarli do skałek i schowali się za nimi.

– Zdajesz sobie sprawę – zaczął Stig spokojnie, wielkim wysiłkiem woli powstrzymując emocje – że jeśli nie zdążę na czas, Hal podryfuje na pełne morze?

Barat wzruszył ramionami.

– Znał ryzyko, kiedy podjął się tego zadania. Od początku uważałem, że to idiotyczny pomysł.

– I zdajesz sobie również sprawę, że bez Hala nie przeprowadzimy ataku na wieże strażnicze? Tylko on potrafi strzelać z... tej wielkiej kuszy... – W ostatnim momencie uznał, że nie wymieni nazwy maszyny, gdyż zapewne sprowokowałoby to jakąś szyderczą uwagę. Barat tylko ponownie machnął ręką.

– Naprawdę wierzysz, że ten plan ma szansę powodzenia? – zapytał wzgardliwie. – Możecie sobie pływać w tę i z powrotem i strzelać ze swojej wielgachnej kuszy, jeśli was to bawi. Tylko że na pewno nie uda wam się zniszczyć wież. Wyjdzie na to, że to my będziemy musieli wykonać całą brudną robotę i narażać się na niebezpieczeństwo. I właśnie dlatego potrzebuję wszystkich swoich ludzi.

Stig spojrział na Jonasa. Po jego zbolalej minie widział, że nie zgadza się z Baratem.

– A jakie jest twoje zdanie? – zapytał.

Jonas zawahał się, ale po chwili odparł:

– Sądzę, że poradzimy sobie bez...

– Jego opinia nie ma najmniejszego znaczenia! – uciął Barat. – To ja decyduję, nie on!

– I to jest twoje ostatnie słowo?

Barat tylko prychnął. Nie raczył odpowiedzieć.

– Cóż, przynajmniej spróbowałem – rzekł Stig do Jonasa łagodnym tonem. I nagle walnął Barata z całej siły.

Cios był tak niespodziewany, tak nieprzystający do spokojnego, lekko rozczarowanego głosu Stiga, że Barat nawet nie zdążył go zauważyć.

Był to mocny prawy prosty, który trafił go w szczękę, zwałił z nóg i rzucił o ziemię jak workiem kartofli. Stig już gotował do ciosu lewą pięść, lecz nie było to konieczne. Barat zgasł jak zdmuchnięta świeczka.

– Na chuch Gorloga, od dawna o tym marzyłem! -mruknął Stig.

Jonas wybałuszył oczy.

– Co ty wyprawiasz? – spytał, wyraźnie zszokowany.

– Zabieram sześciu waszych ludzi i płynę odszukać przyjaciela – odparł Stig, bardzo spokojnie, lecz stanowczo. – Musisz odkomenderować ich do tego zadania.

– Ale... co z nim?

Stig zamyślił się na chwilę.

– Jak się nazywa wasz bóg wojny?

– Co takiego? – zapytał Jonas, zdumiony tym pytaniem, po czym, marszcząc brwi,

odpowiedział: – Torika, jak sądzę.

– Świetnie. W takim razie powiemy, że Barat został pomodlić się do Toriki o zwycięstwo. Potem wyznaczysz sześciu ludzi i ruszamy. Chyba że masz jakiś inny pomysł? – Przy ostatnich słowach wojowniczo wysunął szczękę.

Jonas uniósł ręce obronnym gestem.

– Nie. Nie, skądże. Prawdę mówiąc, żałuję, że to nie ja przyłożyłem temu nadętemu bucowi. Chodźmy.

Wrócili na plażę i Jonas wyznaczył sześciu ludzi, którzy mieli wypłynąć na poszukiwanie Hala. Stig skinął głową w podzięcie. Zepchnęli łódź na wodę. Ulf, Wulf i sześciu limmatan wetknęło wiosła w dulki.

Stig uniósł rękę na pożegnanie.

– Do zobaczenia pojutrze w Limmat – zawołał. Jonas pomachał w odpowiedzi, a potem, na wezwanie Wulfa, wiosła zanurzyły się w wodzie i „Czapla” zaczęła oddalać się od brzegu.

Stig spojrział przez ramię. Zdawało mu się, że zza grupy ciemnych skałek wynurzyła się jakaś postać. Zataczała się jakoś dziwnie i machała rękami. Z oddali dobiegły słabe krzyki. Uśmiechnął się.

– Nadawaj rytm, Wulfie – polecił. – Głośno i wyraźnie.



## Rozdział 29



Hal wystawił głowę i szukał wzrokiem Jespera, gdy nagle poczuł dotyk na swojej nodze. Drgnął z przerażenia i zamierzył się do ciosu. Na szczęście jakimś cudem przypomniał sobie, że nie ma prawa skoczyć na równe nogi. Niecały metr dalej widniała w ciemności szeroko uśmiechnięta twarz Jespera. Jego zęby świeciły nienaturalną bielą na umazanej popiołem twarzy.

– Wszystko w porządku – powiedział Jesper. – Odplywamy?

– A niech to! – szepnął ochryple Hal. – Mało nie umarłem z przerażenia! Nigdy więcej tak nie rób!

Jesper wyszczerzył się jeszcze mocniej. Przez ostatnie czterdzieści minut jego nerwy były napięte jak struny.

Teraz napięcie odpuściło i stąd brało się beztróskie zachowanie.

– Przepraszam – powiedział, lecz nie wyglądało na to, że jest mu przykro. – Skoro

strażnicy mnie nie usłyszeli, to nic dziwnego, że ty też nie.

– Jak ty to robisz? – zapytał Hal. Jesper przez cały czas nie zdradził się ani jednym dźwiękiem, ani jednym ruchem.

Jesper wzruszył ramionami.

– Lata praktyki. Złodziej, który nie potrafi poruszać się tak, by nikt go nie słyszał i nie widział, szybko musi zmienić zawód. A teraz naprawdę chciałbym się stąd wydostać, jeśli nie masz nic przeciwko.

Hal gestem nakazał mu cierpliwość. Ułamał kawałek gałązki, rzucił go do wody i przez chwilę obserwował uważnie. Drewno zaczęło powoli płynąć w stronę brzegu. Hal potrząsnął głową.

– Nadal jest przyływ – odparł. – Ale możemy się przygotować. Już niedługo. Pomóż mi przeciwnąć pień.

Wsparli się rękami o pień i zaczęli pchać. Dzięki połączonym siłom poszło im całkiem gładko i po chwili pień unosił się na wodzie. Przytrzymali go w miejscu, kucając w płytkiej wodzie. Hal wpatrzył się w jej powierzchnię, czekając na znaki, świadczące o tym, że zaczął się odpływ.

– Zauważyłeś, że wiatr ucichł? – szepnął Jesper.

Hal unosił głowę, zaalarmowany. Do tej pory niczego nie zauważył, zaabsorbowany najpierw niespodziewanym powrotem Jespera, a potem przetaczaniem pniaka do wody. Teraz rozejrzał się prędko dokoła i stwierdził, że Jesper ma rację.

– To może stanowić pewien problem – powiedział cicho.

Za chwilę mieli zdać się na łaskę fali odpływu. Ale skoro wiatr ucichł, nie mogli liczyć na to, że Stig przybędzie na czas. A jeśli się spóźni, groziło im, że podryfują wraz z pniakiem daleko na pełne morze.

Hal zazgrzytał zębami. Jesper najwidoczniej myślał o tym samym, bo powiedział:

– Mogą wiosłować – odezwał się.

Hal spojrzał na niego.

– We czterech? Możliwe. Tylko że zabierze im to mnóstwo czasu i wysiłku. – Urwał i po chwili dodał z nadzieją: – Może wiatr zaraz znów się zerwie.

– Może – odparł Jesper. Jego głos brzmiał znacznie bardziej sceptycznie. – Odkryłem swego czasu, że kiedy jest się w prawdziwych tarapatach i bardzo się czegoś pragnie, to coś zwykle się nie zdarza.

– Chyba wspaniale mieć takie pozytywne nastawienie do życia – stwierdził sarkastycznie Hal.

Jesper wzruszył ramionami.

– To co robimy?

Po chwili namysłu Hal odparł:

– Najpierw ustalmy, czego nie możemy zrobić. Nie możemy tu zostać. Wraz z pierwszymi promieniami słońca przestaniemy być niewidzialni.

– Czyli płyniemy?

Hal znów się zawahał. Przez chwilę rozważał różne możliwości i w końcu uznał, że nie ma żadnej. Skinął głową.

– Stig jakoś nas znajdzie – powiedział. – Może pożyczycy jednego czy dwóch ludzi od Barata.

Podczas rozmowy przez cały czas obserwował powierzchnię wody. Teraz kawałek drewna powoli oddalał się w stronę morza.

– Zaczął się odpływ – oznajmił. Jesper wziął głęboki oddech. Popatrzyli na siebie. Obaj

wiedzieli, na jakie ryzyko się narażają.

– W takim razie ruszamy – powiedział niechętnie Jesper i zaczął przywiązywać się do pniaka. Hal jednak znów uniósł dłoń.

– Najpierw to – powiedział.

„To” było wiązką dziesięciu cienkich patyków, długości około trzydziestu centymetrów. Hal zaczął rozwijać sznurek – okazało się, że oplata on każdy patyk z osobna. Patyki były umieszczone w odległości około pięciu metrów od siebie. Na każdym z nich, w jednej trzeciej długości, tkwił kawałek korka. Krótszy koniec został zanurzony w smole, a na końcu dłuższego przywiązano kawałek czerwonego materiału. Hal umieścił pierwszy patyk w wodzie. Ciężka smoła utrzymywała patyk w pionie, tak że materiał wystawał nad powierzchnią wody.

Hal powoli rozwinął sznurek i po kilku minutach na wodzie unosiło się dziesięć małych chorągiewek. W ciemności nie było ich prawie widać, lecz wraz z nastaniem świtu z pewnością miało się to zmienić.

– To był pomysł Edvina – wyjaśnił Hal. – Zrobił je wczoraj. Dzięki temu tamci łatwiej nas dostrzegą.

– Nagle wszyscy zaczęli robić wynalazki – stwierdził Jesper z podziwem.

Hal odczekał, aż ostatnia chorągiewka odplynęła na odległość pięciu metrów i przywiązał koniec sznurka do gałęzi. Kiwnął głową.

– Teraz możemy ruszać – powiedział cicho. Wziął głęboki wdech. Wiedział, że Jesper robi to samo. – Jesteś przywiązany? – Kiedy Jesper przytaknął, dodał: – W takim razie w drogę.

Odepchnęli się od dna i pień powoli odplynął od brzegu. Z przodu flotylla chorągiewek, niewidzialna w mroku, kołysała się i podskakiwała na drobnych falach.

„Nie zawieź mnie, Stigu”, pomyślał Hal, jednakże nie powiedział tego głośno.

Początkowo płynęli bardzo powoli, ale kiedy odpływ przybrał na sile, nabrali prędkości. Wkrótce plaża została daleko za nimi. Widzieli światła wież strażniczych i nigdy niegasnącą łunę nad miastem. Morze, rozciągające się dokoła, przeciwnie, było bardzo ciemne i puste.

Ponieważ leżeli płasko na wodzie, wkrótce stracili miasto z oczu. Wieże także znikły za horyzontem, żeby je zobaczyć, musieliby podciągnąć się do góry. Ponieważ nie widzieli już światła, nagle wydało im się, że płyną bardzo powoli, chociaż Hal wiedział, że wcale tak nie jest. Próbował odnaleźć punkt orientacyjny, o którym rozmawiał ze Stigiem, lecz ze swojego miejsca nie widział już brzegu.

– Miejmy nadzieję, że Stig niedługo nas znajdzie – powiedział Jesper. Jego głos znowu był zduszony, zapewne z powodu zimna i zdenerwowania.

– Powinien pojawić się o świcie.

Hal odwrócił się i spojrzał na wschód, lecz na razie nic nie zapowiadało nadejścia nowego dnia.

Płynęli dalej. Hal szczękał z zimna zębami i próbował z tym walczyć, aż szczęki go rozboleły. Marzył. Z górną połową ciała było nie najgorzej, futrzany kubrak dobrze spełniał swą funkcję. Ale nogi aż boleły od przejmująco zimnej wody. Jak wszyscy członkowie drużyny Czapli, on również od małego miał do czynienia z morzem i kiepską pogodą, był przyzwyczajony do tego, że często marznie i przemaka. Lecz tym razem tkwił w tej lodowatej wodzie stanowczo za długo. Nie spodziewał się, że zimno może w takim stopniu wyczerpać jego siły.

Domyślał się, że Jesper czuje to samo. Zerknął na niego z boku i nagle uświadomił sobie, że wyraźnie widzi zarys pnia, pojedyncze gałęzie i przywiązane do nich zawiniątko w impregnowanej tkaninie. Odwrócił się, spojrzał przez ramię i zobaczył chorągiewkę, unoszącą się na wodzie pięć metrów dalej. A kiedy unieśli się na fali, dostrzegł kolejną.

„Czapli” za to nigdzie nie było widać.

Czas mijał. Powoli robiło się coraz jaśniej, niebo na wschodzie zabarwiło się czerwonym blaskiem, który następnie zbladł i ustąpił światłu dnia. Nie było widać miasta. Nie było widać ładu. Nie było widać „Czapli”.

Tylko morze.

W końcu Jesper dał wyraz lękowi, który w nich narastał.

– Zgubili nas. – Jego głos był płaski, zrezygnowany.

Hal potrząsnął głową.

– Na pewno nas znajdą – odparł, starając się, by zabrzmiało to z przekonaniem. – Daję im jakieś dziesięć minut, a potem wystrzelę racę.

– Skąd będziemy wiedzieć, że minęło dziesięć minut? – zapytał Jesper zgnębnym głosem.

Hal zaczął odpychać się nogami, by pobudzić krążenie. Uświadomił sobie, że ledwo czuje własne ciało.

– Stąd, że wtedy zapalę racę – odparł.

Jesper przyglądał mu się przez kilka sekund.

– To bez sensu.

Hal wzruszył ramionami, nie przerywając ćwiczenia. Nagle chwycił go skurcz. Skrzywił się i jęknął, a kiedy skurcz minął, odpowiedział:

– Dryfujemy na jakimś pniaku, całe mile od brzegu, z nadzieją, że nas tu znajdą, a ty chcesz, żebym nagle zaczął mówić z sensem?

Jesper odchrząknął i stwierdził:

– Pić mi się chce. Mamy wodę?

Hal potrząsnął głową.

– To jeden z tych drobnych szczegółów, z których słyne – powiedział. – Stig stwierdził, że zawsze łączą się one z wodą. Ciekawe czemu?

– Powinniśmy byli zabrać wodę.

Hal przytaknął, zbyt zmęczony, by odpowiedzieć. Czuł, że zaraz zaśnie. I cały czas pamiętał, że dryfuje po morzu. Uśmiechnął się do siebie. „Właśnie tak. Jednym słowem, odpływasz”, pomyślał. Stwierdził, że powinien przywiązać się do pniaka tak jak Jesper, ale nie miał na to siły.

– Może zapalę teraz racę – powiedział. – Na pewno minęło już dziesięć minut.

Jesper nie odpowiedział. Leżał twarzą w dół, przywiązany liną, która przebiegała pod jego pachami. Hal spróbował się podciągnąć, ale mokre ubranie za bardzo mu ciążyło. Ześliznął się z powrotem do wody, o mało nie wypuszczając pnia spomiędzy rąk. Były przemarznięte równie mocno jak nogi.

Tak naprawdę całe ciało było przemarznięte. Szczekał zębami i nic nie mógł na to poradzić.

– Stigu, gdzie jesteś? – powiedział. Albo raczej próbował powiedzieć. Z jego gardła dobyło się bowiem tylko dziwne chrypienie. Pomyślał, że rzeczywiście powinni byli zabrać wodę. Westchnął. A wydawało się, że to taki dobry pomysł. Przydryfować na fali przyływu, umieścić pęcherz z olejem na bramie i odpłynąć z powrotem.

Czy ktoś mógł przypuszczać, że taki drobny szczegół jak brak wiatru wszystko zepsuje? Owszem, powinien był o tym pomyśleć. Przez chwilę czuł gniew na samego siebie. Potem wzruszył ramionami. Jakie to w końcu miało znaczenie? Zasypiał i, dziwne, ale nagle zrobiło mu się ciepło. Ciepło i przyjemnie.

I bardzo śpiąco. Postanowił, że zdrzemnie się na chwilę, a potem wystrzelili racę. Sen doda

mu sił. Przyłożył głowę do szorstkiego pnia. Poczuł, że wypuszcza go z objęć i zsuwa się do wody.

„Powinienem być się przywiązać tak jak Jesper”, pomyślał znowu. Zaczepił kaftan o ostrą wystającą gałąź, z nadzieją, że to utrzyma go w miejscu.

Spojrzał na Jespera. Jego głowa kołysała się tuż nad powierzchnią wody. Od czasu do czasu na wodzie tworzyły się bańki od jego oddechu.

„Śpi”, pomyślał Hal. „Nie jest głupi”.

Pomysł wydawał mu się coraz bardziej kuszący. Ułożył głowę na pniu i zamknął oczy. Nagle zrobiło mu się miło i ciepło.

„Ciekawe, czy umieram”, pomyślał, po czym uznał, że nawet jeśli, to nie ma to większego znaczenia.

Nagle lekki podmuch zmarszczył powierzchnię wody. A potem wiatr zaczął przybierać na sile.

On jednak o tym nie wiedział.



### Rozdział 30



Obudził go jakiś dźwięk.

Dziwny dźwięk. Jakby coś bardzo dużego płynęło gdzieś w pobliżu. W pierwszej chwili spanikowany, pomyślał, że to pewnie rekin, ale kiedy zmusił się, by otworzyć oczy i spojrzał przez ramię, zobaczył, że to czapla. Widział jej łeb. Tylko że, jak stwierdził z zaskoczeniem, łeb był zrobiony z drewna. I chyba coś mówił. Jeszcze dziwniejsze było to, że mówił głosem Stiga.

– Hal! Jesper! Dzięki bogom, znaleźliśmy was!

Uśmiechnął się na widok twarzy przyjaciela, która pokazała się obok łba czapli. Dopiero teraz uświadomił sobie, że patrzy na figurę dziobową. Stig stał obok i właśnie wychylił się i wyciągnął do niego rękę.

– Zasnąłem – powiedział Hal. Zastanawiał się, czemu jego głos brzmi tak niewyraźnie i bełkotliwie.

Stig chwycił Hala i wciągnął go na pokład, jakby był dzieckiem. Ulf i Wulf, którzy czekali obok w gotowości, zabrali Hala na rufę, posadzili na pokładzie i zdjęli z niego przemoczone ubranie. Potem zawinęli w grubą koc, a Ulf zaczął rozcierać ciało Hala przez

szorstką wełnianą tkaninę, by go rozgrzać i przywrócić mu prawidłowe krążenie. Hal leżał na pokładzie, wodząc wokół półprzytomnym wzrokiem i jęcząc, przemarznięty i dręczony bolesnymi skurczami.

Wulf wrócił na dziób. Stig właśnie próbował wciągnąć na pokład nieprzytomnego Jespera. Wulf chwycił lewe ramię Stiga, który wychylił się mocniej, złapał Jespera za kołnierz i zaczął ciągnąć. Coś jednak stawiało opór. Po chwili Wulf dostrzegł linę, przebiegającą pod pachami Jespera. Wyciągnął sakwę, zamierzył się i przeciął linę. Teraz Stig bez trudu wciągnął Jespera i złożył na pokładzie niczym rybę, wyrzuconą na brzeg.

Stig przywołał gestem dwóch mieszkańców Limmat, którzy przyglądali się całej scenie.

– Chodźcie pomóc – polecił. – Wyszuszczone go i rozgrzejdzie. – Wskazał na Ulfa, który nadal z energicznymi ruchami rozcierał Hala, by złagodzić skurcze i przywrócić krążenie. Mężczyźni skinęli głową. Jeden z nich chwycił koc i razem zabrali się za Jespera.

Kiedy tak tarli i okładali go piętami, Jesper powoli otworzył oczy i zmarszczył brwi, ale na widok Stiga zaraz się uśmiechnął.

– Stig – powiedział. – Myślałem, że nas zgubiłeś.

Stig ponuro skinął głową.

– Mało brakowało. Ten pieniek ledwo widać na tle wody. Na szczęście zauważyliśmy jedną z chorągiewek pomysłu Edvina. Dopiero wtedy was dojrzelismy.

Nagle dotarło do niego, że Jesper nie usłyszał ani słowa z jego przemowy. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, pojękując cicho z bólu, gdyż zaczęło mu wracać normalne krążenie. Stig patrzył na niego przez chwilę. Upewniwszy się, że Jesperowi nic już nie grozi, zwrócił się do Wulfa:

– Postawmy żagiel i wracajmy.

Kiedy Wulf zaczął podnosić rejkę, przeszedł do steru. Ulf, widząc, co się dzieje, przekazał Hala dwóm ludziom Barata i ruszył do szotów. Po chwili „Czapla” zrobiła zwrot w prawo i tnąc dziobem fale, skierowała się w drogę powrotną do obozu.



Thorn i Svengal chodzili niespokojnie wzdłuż plaży, tuż przy linii wody, wypatrując „Czapli”.

– Spóźniają się – stwierdził Thorn. – Powinni już być.

Svengal spojrział na przyjaciela.

– A widziałeś kiedyś, żeby udało się zrealizować jakiś plan zgodnie z założeniami, co do minuty? Nie martw się. Nic im nie będzie.

Thorn potrząsnął głową.

– Nigdy nie powinienem był mu na to pozwolić. Zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak.

Svengal uniósł brew.

– Nie jestem pewien, czy miałeś w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Hal jest bardzo niezależny.

– To prawda. – Po krótkiej chwili Thorn dodał: – Ale jeśli Stig ich nie znajdzie, możemy ich stracić. Nie wiem, co wtedy zrobię.

Minęli Lydię, siedzącą na piasku z kolanami podciągniętymi pod brodę i zapatrzoną w milczeniu na morze.

– Chyba nie tylko my się o nich martwimy – zauważył Svengal.

Thorn pobiegł za jego spojrzeniem i skinął głową.



– Chciałbym, żeby zdecydowała, którego z nich woli – powiedział. Od początku widział, co się dzieje między Lydią, Halem i Stigiem. – Inaczej może być kłopot.

– Wygląda na dobrą dziewczynę – odparł Svengal. – Prawdopodobnie sama nie wie, którego z nich bardziej lubi. Poza tym są przyjaciółmi. Przyjaciele z reguły potrafią rozwiązywać tego typu problemy. Nie oni pierwsi interesują się tą samą dziewczyną.

Ton jego głosu był bardzo znaczący. Thorn rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Masz coś szczególnego na myśli? – zapytał, marszcząc brwi.

Svengal uśmiechnął się szeroko.

– Chyba nie zaprzeczysz, że robiłeś słodkie oczy do Kariny?

Thorn już otworzył usta, by zaprzeczyć, ale jedno spojrzenie na twarz Svengala wystarczyło, by uświadomił sobie, że nie ma to sensu.

– Skąd wiesz?

Svengal wzruszył ramionami.

– To było raczej oczywiste. Wszyscy wiedzieli. Snułeś się jak nieprzytomny, szczególnie odkąd zorientowałeś się, że Mikkel czuje to samo, co ty. I że Karina woli jego.

Thorn machnął ręką.

– To było dawno temu – odparł. – A Mikkel był dobrym człowiekiem.

– Ty również. I nadal jesteś. Chciałem tylko powiedzieć, że bliscy przyjaciele mają podobne upodobania pod tym względem. A ci chłopcy są bliskimi przyjaciółmi.

Przeszli w ciszy jeszcze kilka metrów, potem, nawet się nie umawiając, jednocześnie zawrócili.

– Nigdy nie myślałeś o tym, żeby znowu spróbować?

Thorn potrząsnął głową.

– Ten statek odpłynął dawno temu.

Svengal z namysłem zacisnął wargi. Jakaś nuta w głosie Thorna wyraźnie wskazywała na to, że ten temat uznaje za zamknięty. Svengal postanowił to uszanować.

– To świetny chłopak, co? – powiedział i znów zapatrzył się na morze, przysłaniając oczy dłonią. „Czapli” nadal nie było widać. – Erak mówi, że potrzebuje takich ludzi jak Hal. Którzy potrafią myśleć i planować. Którzy mają dobre pomysły.

– Owszem, tego mu nie brakuje – odparł Thorn i potrasnął głową. Bystry umysł Hala, jego pomysłowość budziły w nim szczery podziw. – Znasz mnie, w niejednej bitwie brałem w życiu udział. Ale na pewno nie potrafiłbym zaplanować takiego ataku. My, Skandianie, po prostu rzucamy się na przeciwnika i walimy, ile wlezie. A zobacz tylko, co on wymyślił: atak z trzech stron, doskonale skoordynowany, tak by skutecznie rozbić siły przeciwnika. A ta wielka kusza... Znasz kogoś jeszcze, kto potrafiłby wpaść na coś takiego?

– Tak, to imponujące – zgodził się Svengal. – To chyba ta aralueńska krew.

Thorn przystanął i zmierzył przyjaciela chłodnym wzrokiem.

– Hal jest Skandianinem – powiedział.

Po chwili na brodatej twarzy Svengala pojawił się lekki uśmiech.

– To właśnie miałem na myśli.

Nagle Lydia zerwała się na równe nogi, przysłoniła dłonią oczy i wpatrzyła się w horyzont.

– Jest! – krzyknęła.



Wieść szybko się rozniosła i kiedy „Czapla” miękko zaryła dziobem w piasek, powitały ją obie drużyny w pełnym składzie. Stefan chwycił kotwicę, przebiegł kilka metrów i wetknął ją w piach. Stig przeszedł na dziób. Szeroki uśmiech na jego twarzy wyraźnie mówił, że Hal i Jesper są cali i zdrowi.

– Jesteśmy – oznajmił wesoło. – Przywieźliśmy dwie mrożone makrele. Wyciągnęliśmy je z morza w drodze powrotnej.

Członkowie załogi przenieśli na dziób zawinięte w koce tobołki, stojący na brzegu wyciągnęli ręce, gotowi do pomocy. Ingvar przepchał się do przodu. Bliźniacy podali mu Hala. Jego oczy były otwarte, lecz wargi nadal sine z zimna. Ingvar, ze łzami w oczach, ruszył przed siebie, niosąc Hala w ramionach niczym małe dziecko, w kierunku dwóch ogromnych ognisk, płonących obok siebie na brzegu.

Ułożył Hala na ziemi między nimi, by jak najszybciej się rozgrzał. Thorn ułożył obok półprzutomnego Jespera.

Lydia również włączyła się do akcji ratowniczej. Kiedy czekali na „Czapkę”, umieściła w ognisku cztery spore kamienie. Teraz wyjęła je, owinęła w koce i umieściła pod okryciami obu chłopców. Hal westchnął, czując cudowne ciepło tuż przy swoim ciele.

– O, jak dobrze – powiedział, a Jesper zgodnie wydał pełen szczęścia pomruk.

Lydia uśmiechnęła się. Ingvar krążył w pobliżu, gotów spełnić każde życzenie ocalonych przyjaciół. Po chwili obaj zapadli w sen, a ona wróciła na plażę. Stig właśnie zdawał raport z wydarzeń ostatniej nocy.

– Kiedy wiatr ustał, myślałem, że to koniec. Na szczęście Barat pożyczył nam sześciu swoich ludzi i dzięki temu mogliśmy powiosłować na umówione miejsce. Trochę się spóźniliśmy, ale znaleźliśmy ich w ostatniej chwili. – Spojrzał na Edvina. – Te twoje chorągiewki to był genialny pomysł. Hal był zbyt zmęczony, by wystrzelić racę.

Edvin uśmiechnął się i zarumienił pod pełnymi uznania spojrzeniami. Lydia skinęła głową na powitanie sześciu mieszkańcom miasta. Czterech z nich znała po imieniu, dwóch pozostałych z widzenia.

Teraz wystąpiła do przodu i powiedziała do Stiga:

– Dziwne, że Barat się na to zgodził. To nie w jego stylu. Ma dość specyficzne poglądy, jeśli chodzi o zasady współpracy ze sprzymierzeńcami.

Stig rozłożył ręce z niewinną miną.

– Co ty opowiadasz. Nie miał nic przeciwko. W ogóle nie protestował. Ani słowem. – Stig urwał, nie mógł jednak zapanować nad szerokim uśmiechem, który pojawił się na jego twarzy. – Chociaż nie, po chwili zastanowienia przypomniałem sobie, że jednak coś powiedział. Powiedział: „Unngh!”

– Unngh? – powtórzył Thorn ze zdumioną miną. – Kiedy to powiedział?

– Na sekundę przedtem, zanim padł na ziemię – odparł Stig.

Lydia za zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

– A kiedy padł na ziemię?

Stig usiłował zrobić skruszoną minę, ale zupełnie mu to nie wyszło.

– Zdaje się, że zaraz po tym, jak go walnąłem. Nastąpiła chwila ciszy. Po chwili, kiedy zebrani pojęli znaczenie tych słów, przerwał ją głośny śmiech. Ciekawe, że dołączyło do nich również sześciu ludzi Barata. Thorn wystąpił naprzód i położył lewą dłoń na ramieniu Stiga.

– Wiesz co, chłopcze – powiedział – ty naprawdę coś w sobie masz. Bezdyskusyjnie masz coś w sobie.



## Rozdział 31



Hal i Jesper spali przez szesnaście godzin bez przerwy. Od czasu do czasu Lydia i Ingvar budzili ich, by nakarmić gorącą zupą. Chłopcy posłusznie ulegali, pogrążeni w półśnie, nigdy do końca nie odzyskując świadomości.

Hal obudził się dopiero wczesnym rankiem następnego dnia. Niebo nadal było ciemne, na podstawie pozycji gwiazd stwierdził, że zbliża się czwarta. Czuł cudowne ciepło. Oba ogniska wypaliły się w ciągu nocy, mimo że Ingvar porządnie dołożył do ognia. Teraz zmieniły się w dwa kręgi pulsującego czerwienią żaru, bijące od nich ciepło zacierało wspomnienia straszliwie lodowatej wody, która, mało brakowało, a stałaby się jego grobem.

Przeciągnął się, pojękując cicho z rozkoszy. Ingvar, który drzemał obok, wsparty o drzewo i owinięty kocem, natychmiast otworzył oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał, po czym odrzucił koc i na kolanach podpełzł do Hala.

– W porządku – odparł Hal z uśmiechem. – Jest mi ciepło i tak przyjemnie, że lepiej być nie może.

A potem ziewnął, obrócił się na drugi bok i zasnął – na kolejne cztery godziny.

Hal i Jesper byli sprawni i zdrowi, posiadali też przynależną młodości siłę i odporność. Dzięki tym cechom zupełnie nie odczuli skutków fatalnej przygody. Thorn, przypatrując się, jak Ingvar i Hal wspólnie ustawiają Zadymiarza na dziobie „Czapli”, potrząsnął głową i powiedział do Svengala:

– Oto, co znaczy młodość. Mnie po czymś takim pewnie nieźle by połamało. –

Bezwiednie potarł ręką po krzyżu, jakby sam odczuwał ból na myśl, jakich cierpień doznał Hal w zimnej wodzie.

Svengal spojrział na niego, unosząc brwi.

– Owszem, to przywilej młodości. No, a poza tym Hal prowadzi zdrowy i czysty tryb życia, czego o tobie raczej nie da się powiedzieć.

Thorn odchrząknął i stwierdził:

– Nigdy w życiu nie spotkałeś człowieka, który prowadziłby tak czysty i zdrowy tryb życia jak ja od pewnego czasu. – Po chwili dodał, nieco rzewnym tonem: – Choć nie do końca z własnego wyboru.

Podczas gdy Hal i Ingvar pracowali przy Zadymiarzu, pozostali członkowie drużyny ustawili się w szereg i podawali sobie z rąk do rąk ciężkie kamienie, służące za balast, które wcześniej wyjęli, gdy przewozili limmatan. Stig i Ulf układali je na dnie łodzi. Deski pokładu wcześniej zdjęto i wsparto o ławki. Nagle Svengalowi, który przyglądał się ich pracy, coś przyszło do głowy.

– A ja chyba każę ludziom wyładować balast – stwierdził.

„Wilczy Wicher” miał przepłynąć przez płytkie mokradła, chodziło o to, by miał jak najmniejsze zanurzenie. Na razie członkowie drużyny przewrócili okręt na bok, by wyjąć z gniazda ciężki maszt. Złożyli go starannie, wraz z reją i ogromnym żaglem na plaży, powyżej linii przypływu. Svengal przewidywał, że po przeprowadzeniu wszystkich tych operacji okręt będzie miał zanurzenie niewiele przekraczające dwadzieścia centymetrów.

Starszy człowiek, któremu udało się uciec z miasta, został wyznaczony na przewodnika Skandian. Uznano, że jest zbyt stary, by brać udział w bitwie. Bardzo się ucieszył, że może się na coś przydać.

– Od czterdziestu lat poluję i łowię ryby na tych mokradłach – powiedział Svengalowi. – Znam je jak własną kieszeń. – Potem wsunął rękę do kieszeni i zrobił przerażoną minę. – A niech mnie! Co to jest? – zakrzyknął, po czym wybuchł śmiechem na widok miny Svengala. – Nieważne, synu, że mną na pewno traficie na zapowiadaną imprezę. – Klepnął Svengala w ramię. Svengal jakoś przełknął zarówno kulawy żarcik językowy, jak i protekcyjne traktowanie.

Tuż przed południem obie drużyny zebrały się na brzegu. Svengal, Thorn, Hal i Stig zbili się w gromadkę. Skandianom dotarcie na miejsce miało zająć najwięcej czasu ze wszystkich trzech grup – musieli przecież przepłynąć przez mokradła.

Czterej przyjaciele uścisnęli sobie dłonie, a potem Hal i Stig weszli na pokład „Czapli”. Lydia i pozostali członkowie drużyny już na nich czekali. Edvin i Stefan stali na dziobie, każdy z wiosłem w dłoniach, gotowi odepchnąć „Czaple” od brzegu.

Svengal i Thorn zostali w tyle, chcieli zamienić kilka słów na osobności. Przez wiele lat przyjaźnili się i należeli do tej samej załogi. Skirl „Wilczego Wichru” potrząsnął lewą dłonią Thorna. Nie mógł powstrzymać się przy tym od uśmiechu. Zauważył, że jego przyjaciel zawiesił sobie na ramieniu tę straszliwą maczugę, którą zrobił dla niego Hal. Na razie nosił protezę zakończoną hakiem. Miał je zamienić, kiedy Czaple zaatakują bramę.

– Do zobaczenia w Limmat – powiedział Svengal. – Uważaj, żeby nie zrobić sobie tym krzywdy – dodał, wskazując maczugę.

Thorn prychnął szyderczo.

– A ty uważaj, żebyś nie spuścił sobie topora na stopę. Taka z ciebie niezguła, że wcale bym się nie dziwił.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Szkoda, że nie dołączysz do nas. Byłoby jak za dawnych czasów – powiedział Svengal.

Thorn znów się uśmiechnął i odparł:

– Teraz należę do innej drużyny. Muszę mieć na nich oko. Poza tym chyba rozumiesz, że nigdy nie przyjąłbym rozkazu od ciebie.

– Za to od szesnastolatka przyjmiesz? – zapytał Svengal.

Thorn przytaknął.

– Jest inteligentny.

Svengal wzruszył ramionami.

– Chyba nieźle się wrobiłeś. Trzymaj się – dodał, nagle poważny, i klepnął przyjaciela w ramię.

– Ty też. Nie narażaj się niepotrzebnie.

Svengal zrobił wielkie oczy.

– Ja? Ja nigdy się nie narażam. Narażają się ci, co próbują ze mną walczyć – stwierdził z drapieżnym uśmiechem. Jak przystało na prawdziwego Skandianina, już cieszył się perspektywą nadchodzącej walki.

– Thorn! Ruszamy! – zakrzyknął Hal.

Thorn odwrócił się i pomachał do niego.

– Lepiej słuchać rozkazów.

Svengal prychnął ze wzgardą.

– Zawsze jakaś odmiana. Do zobaczenia w Limmat.

Thorn pobiegł przez plażę. Podskoczył, by dosięgnąć relingu, a Ulf i Wulf chwycili go za ramiona i pomogli wdrapać się na pokład. Edvin i Stefan wzięli się za wiosła, a Hal przesunął ster, aż „Czapla” zatoczyła łuk, i krzyknął do Svengala:

– Przeplynie kilka razy u wejścia do portu, żeby zwrócić ich uwagę. Kiedy będziecie gotowi, dajcie sygnał, że mam zacząć strzelać.

– Kiedy cię zobaczą, większość zostanie na stanowisku – zawołał Svengal w odpowiedzi. Hal skinął głową.

– Na to liczę. To oznacza tylko większą liczbę strzałów.

„A także większą liczbę ludzi, którzy na nie odpowiedzą”, dodał Svengal w myślach, lecz zachował to dla siebie. Hal zdawał sobie sprawę z ryzyka.

– Prawy żagiel – rozkazał Hal. Stefan i Edvin wybrali liny i posłali rejkę z żaglem do góry. Kiedy wiatr wypełnił płótno, a bliźniacy strymowali żagiel, „Czapla” łagodnym łukiem odeszła od brzegu. Svengal przyglądał się pełnej wdzięku łodzi, podziwiając jej szybkość i zwrotność.

– Miło popatrzeć – stwierdził, po czym, krzywiąc się, objął wzrokiem własny okręt, pozbawiony masztu i żagla. Pomyślał, że teraz, kiedy spoczywa na powierzchni wody tak płytko zanurzony, wygląda raczej jak bardzo duży skif, a nie wilczy okręt. Musiał jednak przyznać, że takie rozwiązanie było bardzo praktyczne. Gdyby Skandianie musieli przepłynąć przez mokradła na piechotę, po pas brodzie w wodzie i błocku, dotarliby na miejsce w przemoczonych i ciężkich ubraniach – w dodatku półżywi ze zmęczenia.

– No to w drogę! – ryknął. Rozkazy na skandyjskich okrętach zwykle wydawano pełnym głosem. Potem ruszył w stronę okrętu. Dwaj członkowie załogi wciągnęli go na pokład.

Svengal przeszedł na rufę.

– Gdzie jest ten pyskaty limmatanin, który ma być naszym przewodnikiem?

Siwy mężczyzna podniósł się z ławki, na której odpoczywał.

– Tutaj, synku. Wreszcie gotowi do drogi?

– Do wiosła! – rozkazał Svengal. Na razie mieli korzystać tylko z połowy wiosła. Na mokradłach zamierzali użyć czterech z nich do odpychania się od dna. Svengal spojrzął na jednego z mężczyzn, który akurat nie wiosłował.

– Lars! Chodź tu. Pilnuj mnie, żebym nie wywalił tego beczelnego staruszka za burtę.

Lars skinął głową z uśmiechem. Przewodnik tylko zachichotał.



Barat i jego ludzie czekali, skryci pośród drzew, zaledwie pięćdziesiąt metrów od palisady.

Poprzedniej nocy w ciszy opuścili swą kryjówkę u podnóża skarpy, gdzie nie mogli

dostrzec ich wartownicy, trzymający straż na palisadzie.

Najpierw Barat pomyślał, że spokojnie mogli spędzić w tym miejscu dwa dni, ale po chwili refleksji uznał, że jednak nie. W pobliżu palisady byli bezpieczni tylko w ciągu tych kilku późnych godzin nocnych, inaczej istniało duże ryzyko, że mógłby zdradzić ich jakiś nieostrożny ruch lub dźwięk, błysk światła odbitego od broni czy hełmu.

Hal miał rację, że upierał się, by opuścili kryjówkę dopiero w ostatnim momencie. Barat zmarszczył czoło. Tak, musiał przyznać, że Hal miał rację, a to bynajmniej nie czyniło go bardziej sympatycznym w oczach Barata. Szczęka nadal go bolała po ciosie, który wymierzył mu Stig. Brzydki siniec nie pozwalał zapomnieć o przykrym incydencie.

„Zapłaci za to”, pomyślał.

Przysiadł za omszałym zwalonym pniem i skierował wzrok w stronę zatoki, wypatrując „Czapli”. Zmarszczył brwi. Ciekawe, co będzie, jeśli Stig nie zdołał odnaleźć Hala. Potem fatalistycznie wzruszył ramionami.

Cała ta śmieszna łódeczka i wielka kusza – to tylko egzotyczny dodatek. Nawet jeśli Skandianie się nie zjawią, on i jego ludzie poradzą sobie bez ich pomocy.

Z drugiej strony, jeśli „Czapla” jednak przyplynie i Skandianie zrealizują swój plan, to z pewnością dostarczą im przynajmniej pewnej rozrywki. Nie miał jednak wątpliwości co do tego, że najcięższa i najbardziej niebezpieczna praca spadnie na nich, mieszkańców Limmat. Chyba po raz dwudziesty zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie, że Stig zabrał mu aż sześciu ludzi.

„Za to też zapłaci, kiedy już będzie po wszystkim”, pomyślał. A potem wziął głęboki oddech. „W takim razie, do dzieła”.



Hal stał u steru, na szeroko rozstawionych nogach, by nie stracić równowagi. „Czapla” to wносиła się, to opadała, pokonując kolejne fale, napływające z prawej strony. Łódź kręciła się jak korkociąg. W górę, w prawo, w dół, w lewo i od nowa.

– „Wilczy Wicher” zmierza na mokradła – doniósł Thorn ze swego miejsca na śródpokładzie, obok koferdamu. Hal spojrział przez ramię. Długi smukły okręt, pchany ruchami wiosel, zmierzał przed siebie z dużą prędkością, zapewne dzięki temu, że pozbawiono go balastu. „Wilczy Wicher” miał zaledwie kilkucentymetrowe zanurzenie. „Mniejsze zanurzenie, większa prędkość”, dodał Hal w myślach.

„Wilczy Wicher” okrążył cypel u krańca plaży, na której wcześniej obozowali i, podczas gdy „Czapla” skierowała się na pełne morze, skręcił w lewo, a następnie wpłynął w koryto wąskiego strumienia, prowadzącego na mokradła.

– Całe szczęście, że nie my – stwierdził Hal. Na morzu wiała świeża bryza, powietrze było czyste i orzeźwiające. Nie tęsknił do wilgotnego, stojącego powietrza na mokradłach i chmar dokuczliwych owadów.

Skręcił nieco bardziej w prawo, by nie dostrzeżono ich z miasta. Skinął głową, kiedy Ulf i Wulf, nie czekając na polecenia, ustawili żagiel w odpowiedniej pozycji.

– Dziwny widok, „Wilczy Wicher” bez masztu, co? – zauważył.

Stig, stojący u jego boku, spojrział na okręt, który właśnie wpływał na wody strumienia. Szary kadłub zlewał się z przyciaszonymi zieleniami traw i trzcin. Stig mruknął potakująco.

– Jak myślisz, ile im to zajmie? – zapytał Hal.

– Wallis twierdził, że nieco ponad godzinę. – Wallis był to ów starszy limmatanin, który

służył Svengalowi i jego ludziom jako przewodnik.

Hal skinął głową i dodał z namysłem:

– A my powinniśmy znaleźć się u wejścia do portu w ciągu dwudziestu minut.

Odczekamy w ukryciu kolejnych dziesięć i wtedy się pokażemy.

– To się nazywa wsadzić kij w mrowisko – stwierdził Stig z szerokim uśmiechem.

– Albo Zadymiarza w stado piratów.



## Rozdział 32



Hal odwrócił klepsydrę, której używał przy nawigacji, i patrzył, jak drobinki piasku zaczynają sypać się przez przewężenie z górnej części naczynia do dolnej. Sam potrafiłby obliczyć, czy minęło dwadzieścia minut, lecz dzięki temu urządzeniu czuł się znacznie spokojniejszy. Uśmiechnął się na wspomnienie swojej rozmowy z Jesperem:

– Skąd będziemy wiedzieć, że minęło dziesięć minut?

– Stąd, że wtedy zapalę racę.

Ich umysły musiały poważnie szwankować z zimna i wyczerpania. Może właśnie dlatego teraz wolał polegać na precyzyjnym narzędziu, a nie na własnych obliczeniach – by udowodnić, że sprawuje pełną kontrolę nad sytuacją.

Nagle uświadomił sobie, że Stig potrząsa jego ramieniem i wskazuje na kreski, narysowane na szkle klepsydry. Pogrążony w rozmyślaniach, nawet nie zauważył, że minęło dwadzieścia minut. „To tyle w kwestii umiłowania precyzji”, pomyślał.

– Ruszamy! – krzyknął. – Czas zacząć zabawę!

Zatoczyli łagodny łuk w stronę brzegu. Dał znak Stigo – wi, by ten przejął ster. Skinął głową, kiedy przyjaciel zawiesił na lewym ramieniu wielką okrągłą tarczę. Potem, kiedy zawrócą, Stig miał przekrócić ją w ten sposób, by chroniła jego plecy. Hal przesunął wzrokiem po pozostałych tarczach, zawieszonych wzdłuż nadburcia, nieco wyżej niż zwykle, by zapewnić załodze lepszą ochronę. Uchwycił spojrzenie Thorny, który stał na śródokręciu. Kołysał się lekko, poddając się ruchom łodzi. Lydia siedziała obok, układając pociski w kołczanie.

– Przygotujmy się – powiedział Hal.

Thorn schylił się i podniósł dwie małe metalowe tarcze, przypominające kształtem miski. Zaczepił hak o imasz jednej, drugą chwycił lewą ręką. Lydia wstała i we trójkę ruszyli w stronę

dziobu. Oni dwaj poruszali się pewnie i lekko, dopasowując krok do kołysania łodzi. Lydia nie mogła pochwalić się taką zręcznością. Od czasu do czasu musiała chwytać się liny bądź masztu, by złapać równowagę.

Ingvar już czekał obok Zadymiarza. Pociski, które pilnie robił przez ostatnie dwa dni, teraz leżały w dwóch stosach po obu stronach kuszy. Hal spojrział na nie. Każdy stos liczył po dwanaście sztuk.

– Gdzie są te, które podpalimy? – zapytał Hal.

Ingvar wskazał na beczułkę, stojącą obok masztu. Kryło się w niej kolejnych dwanaście pocisków. Ich końce zostały owinięte kawałkami tkaniny nasączonej olejem i oblepione smołą. Pociski spoczywały końcami w dół w beczce, w kilkucentymetrowej warstwie oleju, co miało zapobiec wyschnięciu tkaniny.

Kiedy „Czapla” uniosła się na fali, nad horyzontem mignęła wschodnia wieża.

Hal spojrział na Edvina, który czekał obok w gotowości, by przekazać rozkazy Stigowi.

– Trochę w lewo – polecił Hal. Kiedy dziób łodzi znalazł się pośrodku, w równej odległości między obiema wieżami, Hal uniósł ręce, dając Stigowi znak, by utrzymał kurs. Ulf i Wulf natychmiast ustawili żagiel w odpowiedniej pozycji.

– Mam ładować? – spytał Ingvar żarliwie. Hal jednak potrząsnął głową. Mieli zacząć strzelać dopiero za kilka minut. Gdyby naciągnęli cięciwę zbyt wcześnie, rosnąca siła nacisku mogłaby spowodować uszkodzenie mechanizmu.

– Spokojnie – powiedział. Zmrużonymi oczami przyglądał się dwóm wieżom, które było już widać w całej okazałości. Wyobraził sobie, jak wartownik ze wschodniej wieży, senny i ospały po obfitym obiedzie, opiera się o balustradę i nagle stwierdza, że zbliża się ku nim jakiś obcy okręt. I to w szybkim tempie.

Po chwili niepewności i niezdecydowania wartownik ogłosi alarm, zacznie bić w dzwon albo zadmie w róg. Hal przekrzywił głowę, próbując coś usłyszeć, ale byli jeszcze za daleko. Doszedł go tylko szum wody, przecinanej ostrym dziobem „Czapli” i pieniającej się u jej burt – regularne miękkie uderzenia, kiedy łódź spływała w dolinę fali.

– Zobaczyli nas – oznajmił Thorn. Hala zawsze zdumiewał niezwykle wzrok jego przyjaciela. Po kilku metrach i on dojrzał maleńkie ciemne sylwetki, biegnące wzdłuż falochronu i wspinające się po drabinach na wieże. Wydawało się, że jest ich bardzo dużo, lecz z tej odległości nie dało się ocenić ich liczby. Dobiegł go też dźwięk alarmu – przeciągłe falujące zawodzenie rogu.

Od wejścia do portu dzieliło ich dwieście metrów. Hal otworzył usta, by wydać rozkaz Stigowi. Na razie nie chciał zanadto zbliżać się do wież, by nie narazić się na strzały. Nie zdążył jednak, bo Stig nie czekał na polecenia i dziób łodzi zatoczył łagodny łuk w prawo. „Czapla” płynęła teraz równoległe do brzegu. Przechylała się trochę za mocno i Hal odwrócił się, ale Ulf i Wulf również ubiegli jego rozkazy i poluzowali szoty. Hal uniósł głowę i napotkał spojrzenie Lydii. Zauważyła, co się dzieje, i uśmiechnęła się do Hala, nieco sztywno. „Denerwuje się”, pomyślał.

– Chyba nikt mnie tu nie potrzebuje – rzucił żartobliwie dla rozluźnienia atmosfery. Ze zdumieniem stwierdził, że jego głos brzmi jakby trochę cieniejsz niż zwykle. „Ja też się denerwuję”, dodał w myślach.

Nagle zdał sobie sprawę, że siedzi pochylony, a całe jego ciało jest straszliwie spięte. Odchylił się do tyłu i rozluźnił mięśnie. Spojrział na pozostałych członków załogi, skulonych na swoich stanowiskach. Po żadnym z nich nie było widać takiego przejścia, jakie sam odczuwał. Miał nadzieję, że wygląda na równie pewnego siebie jak oni.

Stig zawrócił łódź, by ruszyła w przeciwnym kierunku. Stefan i Edvin pomogli przy



zmianie żagli. Hal poczuł ruch gigantycznej kuszy, kiedy Ingvar przesunął ją na próbę. Długim kijem, zatkniętym z tyłu wózka, mógł obracać kuszą po łuku, liczącym dziewięćdziesiąt stopni – po czterdzieści pięć z każdej strony. Hal spojrzał na przyjaciela, który wyszczerzył się radośnie.

– Tylko sprawdzam – powiedział.

Hal skinął głową. Nie chciał się odzywać, w obawie, że jego głos znów zabrzmiał tak dziwnie cienko.

– Widzicie Barata i jego ludzi? – zapytała nagle Lydia. Właśnie mijali zadrzewione miejsce, gdzie mieli kryć się limmatanie.

– Cóż, ja na pewno nie – odparł Ingvar z szerokim uśmiechem. Hal znów na niego spojrzał. Potężny chłopak zdawał się spokojny i nieporuszony jak skała. Właśnie po raz pierwszy w życiu miał wziąć udział w bitwie, a oto żartował sobie jak gdyby nigdy nic z własnej krótkowzroczności.

– Wydaje mi się, że kilka sekund temu zauważyłem jakiś ruch między drzewami – powiedział Thorn. – Ale możliwe, że mi się wydawało, bo wiem, że mają tam być.

– Cóż, skoro my ich nie widzimy, to piraci też nie – stwierdził Hal.

– O ile rzeczywiście tam są – wtrącił Ingvar z przekąsem. Zauważył, w jaki sposób Barat odnosi się do Hala i miał bardzo niskie mniemanie o przywódcy limmatan.

– Na pewno są – powiedziała cicho Lydia.

Ingvar skierował wzrok w jej stronę.

– Wybacz, Lydio – rzucił. Cóż, w końcu obraził jej ziomków. Ona jednak tylko machnęła ręką.

– Barat często zachowuje się jak nadęty buc i naprawdę potrafi wkurzyć – powiedziała. – Jest jednak dobrym przywódcą i dobrym wojownikiem. Na pewno nas nie zawiedzie.

Nagle, dwadzieścia metrów od łodzi, która w szybkim tempie zbliżała się do brzegu, w kilku miejscach woda trysnęła do góry na kształt nieregularnego pióropusza. To były strzały. Nadal znajdowali się poza ich zasięgiem. Tylko jedna, widocznie wystrzelona z mocniejszego łuku, zagrzechotała o burtę, po czym spadła do morza. Wytraciwszy całą energię, nie zdołała przebić drewnianego poszycia.

Było to jednak wyraźne ostrzeżenie przed tym, co ich czeka, kiedy podpłyną bliżej.

– Jesteś gotów, Thornie? – spytał Hal. Niewielkie tarcze, które dzierzył jego przyjaciel, wydały mu się niezbyt skuteczną obroną.

– Jestem gotów. Nie martw się o mnie. Skup się na strzelaniu – odpowiedział Thorn spokojnie. Nagle Hal również poczuł się spokojniejszy. Thorn wiedział, co robi. Hal zapewne nie wybrałby takich tarcz, ale Thorn znał się na takich sprawach znacznie lepiej od niego.

Kiedy minęli pierwszą wieżę i zaczęli zbliżać się do drugiej, Thorn przysłonił oczy jedną z tarcz i skierował wzrok na płataninę zarośli i niewielkich wysepek, tworzących teren mokradeł.

– Widzę „Wilczy Wichr”! – oznajmił. – Jest prawie na miejscu. Tam, trochę na lewo od tych dwóch pochyłych drzew.

Hal pobiegł oczami za jego spojrzeniem. Na piaszczystej wysepce, blisko skraju mokradeł, rosły dwa karłowate drzewka. Nie mogły głęboko zapuścić korzeni i, smagane wiatrami, rosły przechylone w jedną stronę. Przesunawszy wzrok nieco w lewo, Hal dostrzegł nieznaczny ruch, a potem w prześwicie ukazał się niski kadłub „Wilczego Wichru”.

Znów skierował spojrzenie na wieżę. Teraz znajdowali się już tak blisko, że mógł odróżnić szczegóły. Wyglądało na to, że wszyscy strażnicy wpatrują się w „Czapkę”. A więc na razie plan działał. Żaden z piratów nie podejrzewał, że wróg zbliża się także od strony mokradeł.

– Stig! – krzyknął, z przejęcia zapominając, że Edvin miał przekazywać jego polecenia. – Zawróć na pełne morze, za chwilę znów płyn do brzegu, do wschodniej bramy.

Ponieważ kuszą można było poruszać tylko po niewielkim łuku, Hal planował ustawić łódź naprzeciw celu, przypuścić atak, a potem zrobić zwrot i odpłynąć na pełne morze. Następnie zaś zaatakować zachodnią wieżę. Dzięki takiemu ustawieniu w stosunku do celu nie będzie musiał dokonywać dodatkowych obliczeń, koniecznych przy strzale pod kątem. Poza tym, stojąc dziobem, a nie burtą do brzegu, oni sami w mniejszym stopniu byli narażeni na strzały.

Minusem było to, że on i pozostałe osoby, stojące na dziobie, znajdują się w większym niebezpieczeństwie. Hal wierzył jednak, że Thorn zajmie się tym problemem. „I Lydia”, dodał w myślach. Kilka dni wcześniej omówili jej rolę w bitwie. Miała za zadanie likwidować wszystkich co bardziej skutecznych strzelców.

Znajdowali się teraz w odległości trzystu metrów od brzegu. Stig przesunął ster, a „Czapla” zatoczyła łuk. Mieli atakować wieże jedną po drugiej, kilka razy, na zmianę, aż do chwili, gdy albo skończy im się amunicja, albo pokonają strażników na wieżach.

Istniała, oczywiście, jeszcze trzecia możliwość: że to strażnicy pokonają ich – ale o tym Hal nie miał ochoty myśleć.

Skupił wzrok na celowniku. Jakąś częścią umysłu zarejestrował, że członkowie załogi podnieśli i ustawili żagle i że „Czapla” obrała kurs prosto na wieżę.

– Załaduj – zwrócił się do Ingvara.

Jego potężny przyjaciel pochylił się, chwycił lewary i odciągnął je, aż cięciwa wskoczyła na miejsce. Potem wyjął jeden z metrowej długości pocisków, umieścił go w szczelinie i upewnił się, że cięciwa weszła w karb na końcu.

Hal zauważył, że Thorn przykucnęła na dziobie. W chwili, gdy Ingvar wystrzelił, miał wstać i osłonić go tarczami.

Ingvar przeszedł teraz na tył i chwycił kij, służący do przesuwania kuszy. Hal spojrzał przez celownik.

– Trochę w lewo... jeszcze... jeszcze... teraz w prawo...

W tym przypadku nie używał terminów „sterburta” i „bakburta”, gdyż mogłoby to wywołać zamieszanie. Zdecydował się na zwykłą „prawą” i „lewą”.

Znowu spojrzał przez celownik. Patrzył, jak wieża wznosi się i opada wraz z ruchami łodzi na falach. Strzała śmignęła tuż przy lewej burcie i spadła do wody. A więc byli już blisko. Rozległ się grzechot – trzy kolejne strzały musnęły burtę. Coś spadło na pokład. Nie strzała, raczej kamień wystrzelony z procy.

– Wszyscy leżeć! – zawołał, nie odrywając wzroku od wieży, która była coraz bliżej i bliżej. Lewą ręką przekręcił korbę. Przód kuszy uniósł się odrobinę, celownik znalazł się na linii drewnianej balustrady. Wymierzył w największy cel, gdyż zależało mu na tym, by pierwszy strzał odniósł konkretny skutek.

Kolejna strzała przedarła żagiel „Czapli”.

Widział już tylko wieżę. Jeden z obrońców, stojący z lewej strony, ubrany w rzucającą się w oczy jasnozieloną kurtkę, zaczął naciągać cięciwę. Potem wypuścił strzałę i Hal na chwilę stracił ją z oczu.

Kilka sekund później uderzyła z drzeniem w pokład tuż obok niego. Od wieży dzieliło ich teraz jakieś siedemdziesiąt pięć metrów.

Wreszcie udało mu się idealnie wymierzyć cel. Płynnym ruchem odwiódł spust.

BAM!

Zadymiarz podskoczył. Pocisk wystrzelił do przodu. Kilka sekund później część balustrady wybuchła gradem drewnianych odłamków. Ciężki pocisk poleciał dalej, między ludzi stojących na wieży i ściął ich z nóg.

Innych trafiły latające w powietrzu odłamki drewna. Cofali się, zdjęci bólem

i przerażeniem, zastanawiając się, co to było.

Kompletnie zaskoczeni, schowali się pod balustradą, by jak najszybciej zniknąć napastnikom z oczu. Deszcz strzał i pocisków nagle ustał. Najwidoczniej tamci próbowali ustalić, co się dzieje.

– Gotów! – krzyknął Ingvar. Nie czekał, by usłyszeć, co się stało z pierwszym pociskiem, od razu pobiegł naprzód, by załadować kolejny. Lydia, widząc, że może się przydać, przesunęła się na kolanach i podała mu bełt.

Hal przesunął korbę podnośnika, jednocześnie wydając polecenia Ingvarowi. Musiał znów ustawić odpowiednio kuszę, która zmieniła położenie pod wpływem siły odrzutu.

– W lewo... jeszcze... jeszcze... Starczy!

BAM!

Teraz znajdowali się jeszcze bliżej celu i pocisk trafił z jeszcze większą siłą. Uderzył w sam szczyt balustrady, posłał w powietrze deszcz śmiercionośnych odłamków i wleciał przez okno do wnętrza wieży.

– Zrobić zwrot! – krzyknął Hal. „Czapla” zaczęła oddalać się od wieży. Piraci dopiero teraz się opamiętali i posłali za nią deszcz strzał i kamieni. Jeden z mężczyzn rzucił nawet włócznią, co wydało się Halowi raczej zabawnym dowodem nadmiernego optymizmu.

Jednakże tylko nieliczne pociski trafiły w cel. Łódź oddalała się z dużą prędkością, odległość od wieży szybko rosła, tak więc większość strzał i kamieni spadła do wody. Hal spojrzął do tyłu, przechylając się na bok, bo żagiel zasłaniał mu widok. W balustradzie ziały dwie wielkie wyrwy.

Ingvar niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– I jak? – zapytał. – Udało się?

Hal stwierdził, że kiepski wzrok Ingvara w tej sytuacji jest prawdziwą zaletą. Ponieważ nie mógł zobaczyć skutków zniszczenia, nie przerywał pracy, by podziwiać swe dzieło. Kiedy pierwszy pocisk leciał do celu, on już ładował kolejny.

– Udało się – odparł Hal. – Dwie wielkie dziury w balustradzie, pewnie z połowa piratów trafiona odłamkami drewna i niezdolna do walki. – Spojrzął na Lydię. – To był dobry pomysł, żeby mu pomóc.

Uśmiechnęła się.

– Dzięki. Zauważyłeś tego łucznika w zielonej kurtce? Mogę się nim zająć przy następnym ataku.

Hal skinął głową.

– Byłbym bardzo wdzięczny. – Posłał Thornowi szeroki uśmiech i powiedział: – Tym razem niewiele musiałem robić.

Thorn przytaknął, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

– Teraz będą już przygotowani – stwierdził. – Wiedzą, czego mogą się spodziewać.





Zavac zorganizował sobie siedzibę w budynku administracji miasta Limmat. Tam ustalano i zbierano podatki, organizowano prace publiczne, tam zbierała się rada miasta, by obradować nad bieżącymi sprawami.

W jednym z największych pomieszczeń Zavac gromadził i selekcjonował bezcenne kamienie, które dostarczano z kopalni. Tuż przed atakiem piratów pracownicy kopalni natrafili na spore złoża. Zavac nie pozwalał im nawet na chwilę oddechu, każdego dnia musieli dostarczać kolejne porcje kamieni. Teraz zauważył, że dzienny urobek jest coraz mniejszy. Złóża widocznie zaczynały się wyczerpywać. Nadchodził czas odjazdu.

Uniósł do światła jeden z większych okazów. Z zachwytem przyglądał się, jak promienie słońca załamują się i odbijają w jego wnętrzu, gdy nagle drzwi się otworzyły. Stał w nich jeden z jego ludzi. Dyszał ciężko, na jego czole perlił się pot.

Najwyraźniej po wyczerpującym biegu.

Na razie nic nie mówił. Zavac odłożył kamień i spojrzał na mężczyznę.

– Czego? – rzucił ostrym tonem.

Mężczyzna kilka razy odetchnął głęboko.

– Okręt – powiedział w końcu.

Zavac uniósł brew.

– Okręt? – powtórzył. – Okręt? Wpadasz bez pukania tylko po to, żeby powiedzieć „okręt”?

Mężczyzna spojrzał przez ramię. Stwierdził w myślach, że z Zavakiem się nie wygra. Gdyby nie doniósł mu o zbliżającym się okręcie, Zavac wpadłby we wściekłość, nie tylko na niego, ale na wszystkich swoich ludzi.

– Zmierz do wejścia do portu – dodał.

Zavac rozłożył ręce.

– I?

– No... Pomyśleliśmy... że powinieneś wiedzieć.

– Duży? – zapytał Zavac. – Wilczy okręt czy okręt wojenny?

– Nie. Jest... mały. Ale może powinieneś rzucić okiem.

Zavac ciężko westchnął. Położył szmaragd z powrotem na tacy stojącej na stole, a potem podniósł ją i podszedł do solidnej szafki w rogu pomieszczenia. Umieścił tackę z kamieniem w środku, przekręcił klucz i wsadził go do kieszeni. Potem jeszcze raz spojrzał na podwładnego.

– Świetnie – powiedział. – Chodźmy zatem rzucić na niego okiem.

Wyszedł z pomieszczenia i zamknął drzwi. Mężczyzna szedł za nim, czasami podbiegając, by dorównać mu kroku.

Ruszyli szeroką ulicą, prowadzącą do portu. Mieszkańcy miasta ustępowali im z drogi, zalęknieni. Zavacowi bardzo się to podobało. Na nabrzeżu skręcił w lewo i skierował się w stronę zapory, z obu stron pilnowanej przez wieże strażnicze.

Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od wschodniej wieży. Z tego miejsca nie mógł widzieć szkód, które poczynił Zadymiarz. Słyszał tylko krzyki strażników, ale to zupełnie go nie zaniepokoiło. Żołnierze zapewne próbowali przestraszyć intruza. Zobaczył też niewielki okręt z trójkątnym żaglem, który najwyraźniej właśnie odpływał na pełne morze.

Pomyślał, że gdzieś już go widział. Po chwili przypomniał sobie gdzie. To była łódź, należąca do młodych Skandian, którym wykradł sprzed nosa bezcenny Andomal. Wykrzywił gniewnie wargi.

Potem potrząsnął niecierpliwie głową. To był niewielki okręt, mieścił załogę złożoną zapewne z zaledwie kilku ludzi. Poza tym port chroniły wieże strażnicze i zapora.

Odwrócił się do swego towarzysza i demonstracyjnie pacnął go w głowę.

– Ty debilu! – warknął. – To tylko dzieciaki, w dodatku pewnie jest ich góra dziesięciu! Co oni mogą nam zrobić?

Nieszczęsny mężczyzna, który nie był świadkiem ataku na wieżę, gdyż w tym czasie pobiegł ostrzec Zavaca, nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Odsunął się od wściekłego kapitana.

– Myślałem...

– W takim razie na przyszłość nie myśl! – przerwał mu gniewnie Zovac. – Brakuje ci koniecznego wyposażenia!

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w stronę swej tymczasowej siedziby.

– I dopilnuj, żeby mi więcej nie przeszkadzano! – rzucił jeszcze przez ramię.



Dowódca z zachodniej wieży patrzył z pełną przerażenia fascynacją, jak obcy okręt, który wyglądał jak miniatura skandyjskich wilczych okrętów, przypuszcza atak na jego towarzyszy po drugiej stronie wejścia do portu.

Nie był pewien, co tak naprawdę się dzieje. Na dziobie okręciku stała chyba jakaś broń, z której wystrzelivano ciężkie pociski. Nie mógł wprawdzie dostrzec szczegółów ani samej maszyny – było to chyba coś w rodzaju ogromnej kuszy – ani pocisków, ale wyraźnie widział, jakie poczyniła spustoszenia.

Słyszał, jak pociski z trzaskiem trafiają w balustradę i widział śmiertelne odłamki drewna, sypiące się na strażników. Widział też, jak jeden z pocisków wleciał między strażników na platformie i jak kilku z nich padło na ziemię. Słyszał ich krzyki. Potem okręt zawrócił na pełne morze.

Ale teraz wracał. Dowódca, mrużąc oczy, patrzył, jak obiera kurs prosto na zachodnią wieżę. Najwyraźniej stanowiła ona kolejny cel.

Myślał gorączkowo. Największym zagrożeniem wydawały się odłamki drewna, sypiące się dokoła po każdym strzale w balustradę. Pocisk mógł trafić zaledwie jednego czy dwóch ludzi, ale odłamki mogły wykluczyć z gry pewnie z pół tuzina żołnierzy za jednym zamachem, a to oznaczało ogromne straty.

Powiódł wzrokiem dokoła, zastanawiając się, jak do tego nie dopuścić. Zatrzymał spojrzenie na stróżówce, wznoszącej się pośrodku platformy. W środku znajdował się tuzin pryczy, służących do odpoczynku żołnierzom, którzy akurat nie byli na służbie. A na pryczach leżały, rzecz jasna, koce.

– Wynieście koce i materace! – krzyknął, wskazując na stróżówkę.

Jego ludzie, nadal zdezorientowani z powodu nieoczekiwanej zmiany biegu wydarzeń,

wpatrywali się w niego, jakby postradał zmysły. Popchnął jednego z nich w stronę drzwi. Kiedy mężczyzna ruszył z wahaniem przed siebie, pomógł mu kopniakiem w tylną część ciała. Drugiego, który gapił się z rozdziawionymi ustami, walnął w ucho i obsypał gradem przekleństw i wyzwisk.

– Ruchy, zezowaty gamoniu! Koce i materace! Musimy zabezpieczyć się przed odłamkami!

W końcu jego gniew pobudził ich do działania. Niektórzy nawet zrozumieli, o co chodzi. Ruszyli biegiem do stróżówki, dwóch wpadło do środka i zaczęło podawać koce i materace przez otwarte okno. Pozostali pospiesznie wieszali na balustradzie grube koce i wypchane słomą materace. Dowódca uznał, że pewnie nie powstrzymają pocisków, ale przynajmniej zabezpieczą żołnierzy przed groźnymi odłamkami.

Kiedy zadanie zostało wykonane, wydał kolejne rozkazy.

– Łucznicy! Do mnie. Przygotujcie się! Oni mają jakąś piekielną broń na pokładzie. Mierzcie w tego, który z niej strzela.

Kilku mężczyzn, uzbrojonych w łuki, zajęło miejsca wzdłuż balustrady. Kilku innych, którzy widzieli, jaki los spotkał ich towarzyszy ze wschodniej wieży, czekało z wahaniem. Dowódca popchnął któregoś w stronę balustrady. Pozostali niechętnie poszli jego śladem.

– Reszta na ziemię! – rozkazał. – Schowajcie się!

Mężczyźni nie spieszyli się. Wpatrywali się z zafascynowaniem w lekką łódź. Oczy wszystkich spoczywały na niej. Nikt nie zauważył, że od strony mokradeł zbliża się grupa wojowników.



Hal patrzył z zaskoczeniem, jak strażnicy ozdabiają balustradę. Thorn, kucający obok niego, od razu odgadł, o co chodzi.

– Chcą w ten sposób ochronić się przed odłamkami! Widzieli, co się działo przy pierwszej wieży!

Hala ogarnęła niepewność. Odłamki drewna siały prawdziwe spustoszenie. Nie spodziewał się takiego efektu. A teraz piraci wymyślili, jak się przed nimi uchronić. Możliwe, że pociski nawet nie przedrą się przez ciężkie grube koce. A z pewnością wytracą się. Potarł podbródek z namysłem, desperacko szukając pomysłu, jak poradzić sobie w tej nowej sytuacji.

Po chwili na jego twarzy pokazał się szeroki uśmiech.

– Edwinie, podpał pocisk. Ingvarze, wyjmij ten, który już załadowałeś.

Początkowo Hal zamierzał użyć płonących pocisków wyłącznie w celu podpalenia bramy. Teraz jednak dostrzegł doskonałą okazję, by wykorzystać je również w inny sposób.

Ingvar usunął pocisk, który wcześniej umieścił w kuszy i odłożył go na stos. Edvin zaś wyjął jeden z pocisków z beczułki, stojącej koło masztu, ukucnął i przygotował krzesiwo i podpałkę. Po kilkunastu próbach podpałka zajęła się ogniem. Ostrożnie wsadził czubek pocisku w płomień. Nasączona olejem tkanina zapłonęła niemal natychmiast, ogień szybko objął zanurzony w smole czubek. Edvin zamknął pudełko, uprzednio zdmuchnąwszy płomień, i podał Lydii płonący pocisk.

– Potrzymaj – powiedział, po czym, schylając głowę, przeszedł na dziób, wziął przygotowane wcześniej wiadro z wodą i połał Zadymiarza, szczególnie hojnie w miejscu, gdzie miała znaleźć się płonąca końcówka pocisku. Wszystko zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

Deszcz strzał znów zagrzecotał o poszycie łodzi.

– Ingvarze, załaduj pocisk – polecił Hal. Nie chciał, by jego przyjaciel dłużej wystawiał się na ryzyko. Lydia podała Ingvarowi płonący pocisk, on zaś włożył go na miejsce. Płonący czubek zasyczał w kontakcie z mokrym drewnem. Ingvar, kuląc się, przebiegł za plecy Hala.

– Niech nikt nie wstaje! – ostrzegł Hal. – Thornie, jesteś gotów?

Stary wilk morski skinął głową.

Hal pochylił się nad kuszą, powoli zaczął przekręcać korbę, aż celownik ustawił się na linii balustrady. Tym razem cel był większy, nie musieli podpływać tak blisko jak poprzednio.

– Tylko jeden strzał – powiedział do Ingvara. Nie chciał, by jego przyjaciel stał zbyt długo wystawiony na strzały przeciwnika. Jeśli pocisk trafi do celu, nie będzie potrzeby wystrzeliwania kolejnego.

Ingvar mruknął w odpowiedzi, przykucnięty z tyłu, z rękami na lewarze.

– W lewo... jeszcze... trochę w prawo. Stop! – zawołał Hal.

W tym momencie strzała musnęła wózek i spadła na pokład. Hal wzdrygnął się, ale zaraz skupił uwagę na celowniku, starając się ignorować świst strzał, uderzających w kadłub i tnących płótno żagla. „Będę musiał go zacerować, kiedy to się skończy”, pomyślał z roztargnieniem.

Kiedy łódź wzniosła się na fali, muszka ustawiła się na linii celu, ale gdy spłynęła w dolinę, znalazła się poniżej. A potem znów zaczęła się podnosić. Hal poruszył korbą podnośnika, po czym, na sekundę, nim „Czapla” ponownie wzniosła się na fali i kiedy celownik znalazł się w idealnym położeniu, odciągnął spust. Jak zwykle minęła krótka chwila, nim mechanizm zareagował, a potem.

**BAM!**

Siła odrzutu gwałtownie szarpnęła kuszą. Płonący pocisk poleciał do przodu, ciągnąc za sobą cienką wstążkę szarego dymu. Hal od razu wiedział, że strzał był udany. Patrzył, jak pocisk pędzi wprost na balustradę.

Stig nie marnował czasu przy sterze, „Czapla” zrobiła zwrot, by uciec na morze, jak najdalej od strzał przeciwnika. Usłyszeli jeszcze, jak pocisk z głuchym hukiem trafia w wieżę, dokładnie w miejscu, które Hal obrał za cel.

Nie podnosząc się, wyciągnął szyję, by spojrzeć na wynik. Jeszcze trzy strzały zagrzechotały o poszycie łodzi i tarcze, ustawione wzdłuż nadburcia.

W tym momencie pośrodku balustrady wybuchł jasny płomień. Pocisk trafił precyzyjnie w słomiany materac. Na kilka sekund podmuch, wywołany lotem bełtu, przygasił płomień, ale zaraz rozbłysły na nowo i zaczęły pożerać łapczywie suchą słomę i płótno.



– Zdejmijcie to! Wyrzucie! – darł się dowódca. Jednakże płomień, podsycane morską bryzą, strzelały wysoko w górę i żaden z jego ludzi nie miał ochoty ryzykować. Wszyscy cofnęli się, osłaniając twarze przed gorącem.

– A niech was! Pomóżcie mi, przekłęci tchórze! – wściekał się dowódca. Wyciągnął miecz i dzierżąc go w obu rękach, próbował wsunąć pod materac. Ale płomień już objęły koce i sienniki. Ogień osmalił mu ramiona i brwi, kiedy próbował walczyć z ciężką płonącą masą płótna i słomy.

W końcu zdołał odwrócić na bok płonący materac, który wreszcie zaczął zsuwać się z balustrady. Radość okazała się jednak przedwczesna. Pocisk bowiem przyspilił materac do balustrady. Materac zsunął się i zatrzymał jakiś metr niżej. Teraz dowódca nie mógł go już dosięgnąć. Płomień rozbłysły, pożerając żarłocznie drewnianą wieżę.

Kiedy Hal postanowił użyć płonącego pocisku do sforsowania bramy, od razu wiedział, że będzie potrzebował oleju, by podsyć ogień. Brama była stara, stwardniałe drewno nie zajęłoby się tak szybko od pojedynczego pocisku. Z wieżą sprawa miała się całkowicie inaczej. Zbudowano ją z drewna sosnowego, miękkiego i nasączonego żywicą, czyli łatwopalnego. Ale nawet w tym przypadku pojedynczy pocisk mógł okazać się niewystarczający. Ogień prawdopodobnie szybko by wygasł. Dowódca popełnił fatalny błąd, kiedy kazał rozwiesić na balustradzie koce i słomiane materace, które stanowiły doskonałą pożywkę dla płomieni. Ogień ogarnął całą przednią część balustrady, drewno już zaczęło płonąć.

W dodatku strażnicy nie mieli wystarczającej ilości wody pod ręką, jedynie kilka beczek wody pitnej. Nie mogli ugasić płomieni. Los wieży był przesądzony.



Sto metrów dalej Svengal właśnie wyprowadzał swych ludzi z mokradeł. Skandianie przystanęli, nieco zdumieni widokiem ognia, pożerającego balustradę i stróżówkę na szczycie wieży.

„Czapla”, która najwyraźniej nie odniosła najmniejszej szkody w tej potyczce, oddaliła się od nabrzeża i skierowała w stronę wieży po drugiej stronie wejścia do portu.

– Na zeza Orloga, udało mu się – powiedział Svengal, potrząsając głową z podziwem. Nikt nie spodziewał się tak dramatycznego przebiegu wydarzeń. Powiódł wzrokiem dokoła. Wszyscy stali nieruchomo i patrzyli, jak płonie potężna wieża. Płomienie szybko docierały do zasadniczej zasadniczej konstrukcji.

– Zdaje się, że zadanie wykonane – zauważył jeden z członków drużyny. Nagle Svengal zobaczył strażników, pospiesznie zbiegających po drabinie. Wskazał ich toporem.

– Nie do końca – stwierdził radośnie. – Dla nas też coś zostało.

Potem wziął głęboki wdech i wydał tradycyjny okrzyk bojowy:

– Bierzmy ich!

Członkowie załogi „Wilczego Wichru” ruszyli naprzód z dzikim wrzaskiem. Oszolomionych piratów, uciekających przed pożarem, czekał znacznie bardziej przerażający widok niż płomienie, które o mało ich nie pochłonęły.

Skandianie. Gotowi do walki.



Barat i jego ludzie obserwowali atak na pierwszą z wież, skryci między drzewami. Niestety, widok w dużej części zasłaniały im zabudowania miasta i palisada.

Przeglądali się, jak „Czapla” podpływa do wieży, potem usłyszeli stłumiony huk i jeszcze raz, kiedy Zadymiarz wypuścił pociski, i wreszcie zobaczyli, jak łódź robi zgrabny zwrot i oddala się na pełne morze.

Barat spojrzął na Jonasa.

– Chyba niewiele zdziałali.

Jonas wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Ale zapewne udało im się odwrócić uwagę strażników.

– Możliwe – odparł Barat.

Bawiąc się rękojeścią miecza, patrzył, jak „Czapla” robi kolejny zwrot i znów kieruje się w stronę nabrzeża, tym razem do zachodniej wieży. Ze swojego miejsca nie potrafił dojrzeć



szczegółów akcji. W każdym razie kilka minut później łódź znikła z jego pola widzenia, a nad miastem wzniosła się spirala dymu, która szybko zmieniła się w gęstą szaroczną zasłonę. Najwyraźniej coś się paliło. Sądząc po kierunku, z którego napływał dym, mogła być to tylko zachodnia wieża.

– Udało im się – stwierdził Jonas.

Barat zmarszczył brwi. Najwyraźniej drugi atak zakończył się sukcesem, i to bardziej spektakularnym, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Rozejrzył się dokoła. Jego ludzie czekali w gotowości, na ich twarzach malowało się napięcie. Skryci między drzewami, nie mieli pojęcia, co się stało.

– Wieża płonie – oznajmił. – To na pewno odwróciło uwagę piratów, więc ruszamy.

Jak jeden mąż, podnieśli się z niskim pomrukiem. Barat ostrzegawczo uniósł dłoń.

– Cisza! Żadnych wojennych okrzyków. Żadnych wrzasków. I nie wychodźcie spomiędzy drzew. Im później nas zauważą, tym większe mamy szanse.

Odczekał chwilę i powiódł bacznym wzrokiem po twarzach swoich ludzi, aż upewnił się, że jego słowa do nich dotarły.

– Gdzie są drabinki?

Czterech mężczyzn zdecydowanie wystąpiło przed szereg. Każdy z nich trzymał w rękach wiązkę krótkich desek, obwiązanych liną – drabinki sznurowe.

– Drapacze?

Dwaj inni podnieśli dłonie. Prócz broni dzierżyli po kilka lin, zakończonych trójzębnym drapaczem. Mieli za zadanie przerzucić je przez palisadę i trzymać liny napięte, tak by tamci czterej mogli wspiąć się po nich i zrzucić drabinki linowe.

– Pozostali, bądźcie w gotowości, podacie im broń. – Wszyscy zamruczeli zgodnie. – W porządku – powiedział w końcu Barat. Skierował wzrok na morze i zobaczył, jak „Czapla” podchodzi do kolejnego ataku na wschodnią wieżę. Sądząc po ilości kłębiącego się dymu, zachodnia wieża już cała płonąła.

„Nie sądzę, by ktokolwiek patrzył teraz w naszą stronę”, pomyślał, a potem ruchem ręki popędził swoich ludzi.

– Dobrze. Za mną. I zachować ciszę! – rozkazał i ruszył truchtem między drzewami.

Miękki piasek tłumił odgłos trzydziestu siedmiu par butów.

Na palisadzie nie widać było ani jednego wartownika.





Oddalwszy się od portu, „Czapla” ponownie zrobiła zwrot i skierowała się w stronę wschodniej wieży. Hal wstał ze swego miejsca za kuszą i uniósł rękę.

– Stig, stań w dryfie! – zawołał. Stig nieco zdziwiony ustawił łódź dziobem pod wiatr. – Poluzujcie szoty – polecił bliźniakom. „Czapla” wytraciła prędkość i stanęła, kołysana łagodną falą. Hal dał znak Thornowi i ruszył na tył łodzi. Dołączyła do nich Lydia.

– Mam pewien pomysł – oznajmił, kiedy znaleźli się przy sterze. Stig delikatnie poruszał rumplem, by utrzymać łódź w tej samej pozycji.

– O, to coś nowego – odparł Stig i wyszczerzył się szeroko. Od razu domyślił się, że Hal coś kombinuje.

– Zamierzasz znów użyć płonącego pocisku? – zapytał Thorn.

Hal skinął głową.

– Właśnie tak. Kiedy sosna zajmie się ogniem, już nic nie powstrzyma płomieni.

– Tylko że tym razem strażnicy nie będą tak uprzejmi i nie wywieszą materacy na podpałkę – zauważył Thorn.

– To prawda. Ale spójrzcie na konstrukcję wieży, tę część tuż pod platformą. – Wszyscy pobiegli wzrokiem za wyciągniętą ręką Hala. – Wszystkie trzy belki, pionowa, pozioma i ukośna, łączą się w jednym miejscu. To główny punkt nośny z tej strony wieży.

Pozostali powoli pokiwali głowami.

– To miejsce złączenia stanowi całkiem spory cel. A nawet, jeśli nie trafię dokładnie, zapewne uda mi się trafić w którąś z belek i konstrukcja tak czy inaczej zajmie się ogniem. Może nie tak szybko jak balustrada obwieszona materacami, ale w końcu się zajmie. A wtedy platforma spadnie na ziemię. To będzie znacznie bardziej skuteczne niż wystrzelenie kilku zwykłych pocisków.

Stig i Thorn wymienili spojrzenia.

– Brzmi rozsądnie – stwierdził Stig, a Thorn zawtórował:

– Na pewno warto spróbować. Myślisz, że uda ci się trafić z odległości stu metrów? Tym razem będą przygotowani na atak i na pewno zaczną strzelać. Mieliśmy szczęście, że do tej pory nikogo z nas nie trafili.

Thorn, w przeciwieństwie do pozostałych, wiedział, że to szczęście raczej nie potrwa zbyt długo. Podczas bitwy los bywa kapryśny. Kiedy znajdują się w zasięgu strzał, muszą liczyć się z ofiarami.

– Wydaje mi się, że nawet z większej niż sto metrów – odparł Hal.

Stig sceptycznie wysunął dolną wargę.

– Cel jest niewiele większy od tych, do których strzelaliśmy próbnie w zatoce – zauważył.

– Trafiałeś dopiero z odległości pięćdziesięciu metrów.

– To prawda. Tylko że wtedy łódź była w ruchu, płynęła z dość dużą prędkością. Teraz zamierzam zatrzymać „Czapkę” w odległości stu dwudziestu metrów od wieży. To ułatwi mi

zadanie.

– Ale my też staniemy się łatwiejszym celem – zauważył Stig.

Hal wzruszył ramionami.

– Musimy pamiętać o tarczach i nie wystawiać się na strzały. Thorn, możesz osłaniać Ingvara? Planuję wystrzelić dwa pociski.

Thorn spojrzał na wieżę i zobaczył w wyobraźni deszcz strzał, które posypią się na ich głowy.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł szorstko. – Kiedy się zatrzymamy, pierwsze strzały na pewno nie trafią do celu, bo łucznicy wezmą poprawkę na ruch łodzi. Ale potem będziemy bardzo łatwym celem. – Spojrzał na Lydię. – Nie spuszczaaj z oczu tego w zielonej kurtce. Jest najlepszy.

Skinęła głową.

– Zajmę się nim. – W jej głosie nie było słycać wahania. Stary wilk morski uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz, nawet ci wierzę. – Spojrzawszy na Stiga i Hala, dodał: – Mówilem wam, że z nią nie zginiemy.

Chłopcy uśmiechnęli się, a Lydia spłoneęła rumieńcem.

– Zamknij się. Lepiej pilnuj roboty i uważaj na te swoje manierki, które śmiesz nazywać tarczami.

Thorn skłonił głowę.

– Co tylko rozkażesz, moja pani. Co tylko rozkażesz.

– Jeśli skończyliście – wtrącił Hal – to zaraz ruszamy. Dajcie mi tylko minutę-dwie, żebym wtajemniczył pozostałych w nasze plany.

Skierował się w stronę dziobu i przystanął obok bliźniaków.

– Zamierzamy zatrzymać... – zaczął, ale oni tylko pokiwali głowami.

– Słyszeliśmy – powiedział Ulf. – Będziemy w gotowości. Tylko daj znak.

Popatrzył na nich bacznie. Pomyślał, że z pewnością dotrzymają słowa. Na morzu nigdy się nie kłócili. Współpracowali zgodnie, w rzadko spotykanym milczącym porozumieniu. Zapewne za sprawą tej tajemniczej więzi, często istniejącej między bliźniętami.

Hal uświadomił sobie, że gapi się na nich już od dłuższej chwili, a oni czekają cierpliwie, sądząc, że ma coś jeszcze do powiedzenia. Skinął krótko głową i odwrócił się na pięcie.

– Świetnie – rzucił tylko.

Bliźniacy spojrzeli na siebie z lekkim zdumieniem.

Ingvar i Edvin czekali w napięciu, domyślając się, że nastąpiła zmiana planów.

Przedstawił im swój pomysł. Obaj skinęli głowami na znak, że zrozumieli. Edvin podniósł puste wiadro, spuścił je na linie za burzę, napełnił wodą i polał kuszę. Powtórzył całą operację jeszcze dwa razy.

– Tak dla pewności – powiedział.

Hal wskazał na beczułkę, w której leżało jeszcze pięć pocisków.

– Przygotuj dwa i podpal je, kiedy nadejdzie odpowiedni moment – polecił. – Ingvar będzie musiał się spieszyć. Kiedy się zatrzymamy, staniemy na kilka minut pod wiatr.

– Urwał i przez chwilę zastanawiał się, czy o czymś nie zapomniał. – Jeszcze jedna rzecz. Jesteś skazany na samego siebie. Lydia będzie zajęta strzelaniem do łuczników.

Edvin ściągnął brwi na myśl o czekającym go zadaniu.

– Żaden problem. Wolę, żeby miała ich pod kontrolą.

– W porządku. Wszyscy na miejsca. – Hal odwrócił się i zawołał do Stiga i bliźniaków: – Ruszamy!

Kiedy Ulf i Wulf wybrali żagiel, Stig przesunął ster. „Czapla” zrobiła zwrot i po kilku sekundach znów pruć fale, zostawiając za sobą biały grzebień kilwatu.



Barat zatrzymał się u podnóża palisady. Oddychał nierówno, ale nie z powodu wyczerpania, lecz nerwowego napięcia. Nie do wiary, ale udało im się przejść czterdzieści metrów na otwartej przestrzeni, nie wywołując alarmu w szeregach wroga.

Odwrócił się i zawołał cicho:

– Drapacze! Drabinki! Ruszajcie!

Cztery drapacze przeleciały ponad palisadą, ciągnąc za sobą węzowate liny. Z głuchym hukem uderzyły o palisadę, jeden po drugim. Dwaj ludzie, wyznaczeni do tego zadania, pociągnęli liny do momentu, aż drapacze wczepiły się w belki trzymetrowej palisady. Któryś z drapaczy odczepił się i spadł na ziemię. Jeden z mężczyzn zaklął cicho, podniósł go i zamierzył się do ponownego rzutu. Barat zwrócił się do pozostałych trzech:

– Nie czekajcie. Do dzieła!

Dwaj mężczyźni, którzy przed chwilą przerzucili drapacze przez palisadę, uwiesili się teraz całym ciężarem na linach, by utrzymać je sztywno napięte. Dwaj inni zrobili to samo. Trzymali między sobą włócznię. Pierwszy z grupy czterech mężczyzn postawił na niej stopę, a oni podsadzili go wysoko, aż chwycił się rękami brzegu palisady. Uważając, by nie nadziać się na ostre zakończenia pionowych belek, przeskoczył lekko i stanął na kładce, ciągnącej się po wewnętrznej stronie palisady. Dwaj kolejni dołączyli do niego po krótkiej chwili. Wyciągnęli miecze, przesunęli tarcze z pleców na bok i ustawili się obok siebie, tworząc linię obrony. Tymczasem pozostali wojownicy zaczęli wspinać się po palisadzie.

Barat zjawił się w drugiej grupie. Prędko rozejrzał się na boki. Pusto. Piratów nigdzie nie było widać.

„Kompletnie ich zaskoczyliśmy”, pomyślał, po czym cofnął się przed nadlatującym drapaczem, który uderzył w kładkę zaledwie kilka centymetrów od niego. Kopniakiem strącił drapacz z kładki, by zaczepił o belki palisady. Lina napięła się, kiedy niewidoczny mężczyzna pociągnął za nią, a potem zaczęła wibrować pod ciężarem wspinających się po niej wojowników.

– Alarm! Alarm! Wróg na palisadzie! – usłyszeli nagle.

Barat skierował wzrok na jedną z wąskich krętych uliczek, biegnących od palisady w stronę otwartego placu w centrum miasta. Trzej Madziarowie właśnie wychynęli zza rogu i zobaczyli limmatan na szczycie palisady.

Ruszyli w ich stronę, ale zaraz przystanęli z wahaniem. Uświadomili sobie, że nie mają szans w starciu z tak liczny przeciwnikiem, odwrócili się i rzucili do ucieczki, krzycząc na alarm. Barat przez krótką chwilę nie wiedział, co robić. Nikt nie bronił palisady. Hal miał rację. Większość piratów była na wieżach lub w centrum miasta. Wyciągniętym mieczem wskazał schody.

– Na ziemię! – zakrzyknął. – Kierujcie się na plac.

Deski kładki zatrzęsyły się pod stopami wojowników, którzy ruszyli w stronę schodów.



A niedaleko zachodniej wieży Skandianie właśnie nacierali na Madziarów. Maszerowali przed siebie w bojowym szyku, formując klin, ze Svengalem na czele, rytmicznie wznosząc

i opuszczając topory. Piraci, kompletnie zaskoczeni, niezorganizowani, z oczami łzawiącymi od dymu, nie mieli szans w starciu ze Skandianami.

Szczęście mieli ci, których nacierający wrogowie tylko zepchnęli na bok za pomocą ciężkich drewnianych tarcz.

Niektórzy, krwawiąc z ran, próbowali uciec z miejsca bitwy, czołgając się po ziemi i krzycząc żałośnie. Inni leżeli tam, gdzie padli, nieruchomo, co mogło oznaczać tylko jedno. W pewnej chwili Svengal znalazł się naprzeciwko jednego z nielicznych Madziarów, zdolnych do walki. Przez chwilę krążyli wokół siebie ostrzegawczo. Madziar był uzbrojony w ciężką włócznię, którą trzymał pod pachą, mniej więcej w połowie długości, oraz okrągłą tarczę z drewna i metalu.

Zamierzył się włócznią, ale coś w jego wzroku podpowiedziało Svengalowi, że blefuje. Nie ruszając się więc z miejsca, uśmiechnął się i powiedział:

– Musisz się bardziej postarać. – W tym momencie Hendrik, bosman z „Wilczego Wichru”, wznosił topór za plecami Madziara. – Zostaw go! – rzucił Svengal i Hendrik odszedł niechętnie, by poszukać innego przeciwnika.

Panowało całkowite zamieszanie, Madziarowie zostali rozbici, każdy z nich był zdany wyłącznie na siebie samego. Skandianie mogli wykończyć ich bez trudu. Ale tu chodziło o walkę jeden na jednego. Przeciwnik Svengala był dzielny i dobrym wojownikiem, Svengal nie chciał, by skończył, trafiony podstępny ciosem w plecy.

Skandianie żyli dla wojny – choć trzeba zaznaczyć, że niektórzy również z jej powodu umierali. A potyczka jeden na jednego była dla nich najwspanialszą formą walki.

Madziar znów zamierzył się włócznią. Tym razem cios był prawdziwy. Svengal odparł go głowicą topora. Zobaczył cień strachu w oczach przeciwnika, gdy ten zauważył, z jaką wprawą i lekkością Svengal posługuje się ciężkim orężem. Mało kto potrafiłby dorównać szybkości i precyzji jego ruchów.

Madziar, nagle czujny, cofnął się o krok. Svengal postąpił do przodu, wciąż wpatrując się intensywnie w swego przeciwnika. Zobaczył w jego oczach ostrzeżenie przed kolejnym ciosem, na ułamek sekundy, nim on nastąpił, i sam zaatakował pierwszy, uprzedzając uderzenie włóczni mocnym ciosem topora znad głowy.

Madziar zdążył zasłonić się tarczą, ostrze uderzyło w metal, rozłupało drewnianą część tarczy. Pirat osunął się na kolana, lecz niemal natychmiast zerwał się i znów zaatakował. Desperacja dodała mu sił. Svengal pomyślał, że czas zapomnieć o finezji. Przyjął cios włóczni na tarczę, lekko uginając kolana. Ostrze zagłębiło się w drewno. I tak zostało.

Madziar, ogarnięty paniką, na próżno próbował wyrwać włócznię. Nawet nie zdążył zauważyć ciosu topora, który definitywnie zakończył tę walkę.

Svengal cofnął się i rozejrzał dokoła. Niektórzy Madziarowie uciekli w stronę miasta. Większość leżała na ziemi, nieruchomo i w milczeniu, u stóp płonącej wieży. Popiół i żar spadały na nich niczym gorący deszcz. Hendrik pochwycił spojrzenie Svengala.

– Lepiej się stąd wynośmy. Wieża w każdej chwili może się zawalić.

Svengal pochylił się, zerwał płaszcz z któregoś ciała, wytarł nim ostrze topora i rzucił na ziemię.

– Czas ruszać do drugiej wieży – oznajmił.



## Rozdział 35



„Czapla” ponownie skierowała się do brzegu. Hal, siedzący na swoim stanowisku, odchylił się do tyłu i siłą woli zmusił do rozluźnienia mięśni, patrząc na wznoszący się i opadający dziób łodzi i zestrajając własne ciało z rytmicznym ruchem. Oceniał, że znajdują się w odległości około dwustu pięćdziesięciu metrów od wieży. Widział niewielkie postaci, przyklejone do balustrady, czekające, aż „Czapla” znajdzie się w zasięgu strzał.

Nagle wpadła mu do głowy pewna myśl.

Zadymiarz miał zasięg rażenia trzysta metrów. Oczywiście, to był tylko jeden z istotnych czynników. Drugim była precyzja. Hal obliczył wcześniej, że aby trafić z rozkołysanego pokładu łodzi, musi znaleźć się w odległości najwyżej stu metrów od celu. Tylko że doszedł do tego wniosku, trenując na małych obiektach, kwadratach o długości boku jednego metra. Hal spojrzał na platformę, przypominającą pudełko strukturę o długości sześciu metrów i wysokości trzech, wznoszącą się na szczycie drewnianego szkieletu. Pomyślał, że do celu tej wielkości zdołałby z łatwością trafić z odległości dwustu metrów. Oczywiście, strzał nie będzie bardzo precyzyjny. Wcześniej przekonał się jednak, że same drewniane odłamki potrafią uczynić sporo szkody. Poza tym już nagle i niespodziewane uderzenie metrowego pocisku z pewnością wywoła niezłe zamieszanie. Prędko odwrócił się do Ingvara.

– Załaduj zwykły pocisk. Dajmy im nieco rozrywki, zanim podpłyniemy bliżej.

Ingvar zrobił zdziwioną minę, ale po chwili skinął głową. Ujął lewary i odciągnął je, aż cięciwa wskoczyła na miejsce, a potem umieścił bełt w szczelinie.

– Zaraz jak wystrzelę, ładuj następny – polecił Hal.

Ingvar kiwnął głową, po czym przeszedł na tył i stanął obok dźwigni.

Hal pochylił się nad celownikiem.

– W prawo... jeszcze trochę. Teraz trochę w lewo. Zatrzymaj. – Zadymiarz celował teraz prosto w balustradę.

Ustawił wskaźnik na odległość nieco powyżej dwustu metrów. Nagły rozbryzg wody potwierdził jego obliczenia. Piraci zaczęli strzelać, lecz łódź znajdowała się poza ich zasięgiem. Gdy wzniosła się na grzbiecie fali i na chwilę zamarła w bezruchu, odciągnął spust.

**BAM!**

Pocisk poleciał, a kusza podskoczyła gwałtownie. Ingvar natychmiast pobiegł na przód, ponownie naciągnął cięciwę i umieścił kolejny pocisk w szczelinie, a potem prędko wrócił, znów stanął przy dźwigni i ustawił kuszę zgodnie ze wskazówkami Hala.

Jednocześnie Hal obracał korbą podnośnika. Cel znajdował się nieco poniżej kreski na celowniku, oznaczającej odległość dwustu metrów. Tak jak poprzednio, odczekał, aż łódź wzniosła się na fali i na chwilę zamarła w bezruchu, i wystrzelił.

BAM!

W chwili, gdy drugi pocisk wypadł z kuszy, Hal ujrzał, jak pierwszy uderza w balustradę, niemal u jej szczytu i trochę na prawo od punktu środkowego. Piraci rozbiegli się w panice, uciekając przed odłamkami drewna.

Ingvar załadował kolejny pocisk i znów ustawił kuszę w odpowiedniej pozycji, a Hal zakręcił korbą podnośnika.

W tym samym momencie drugi z pocisków uderzył w balustradę. Spora jej część odpadła i poszybowała w dół.

– W prawo... trochę w lewo. Dobrze...

BAM!

Kolejny strzał. Hal ocenił odległość i stwierdził, że nie mają czasu, by wystrzelić czwarty pocisk. Ale te trzy odniosły odpowiedni skutek – wywołały panikę i zamieszanie. Niektórzy żołnierze rzucili się w dół po drabinie.

– Podpał te trzy pociski, Edvinie! – zawołał Hal. Nie widział, gdzie trafił trzeci pocisk, ale nie miał wątpliwości, że strzał był skuteczny. Teraz piraci wrócili na stanowiska. Jakaś strzała musnęła dziób łodzi. Kolejne dwie zagrzechotały o poszycie kadłuba. Jedna o mało nie trafiła w Ingvara, który właśnie ładował kolejny pocisk.

– Thorn! – krzyknął Hal. Stary wilk morski, siedzący na dziobie, natychmiast zerwał się na równe nogi. Następnie dał jeden z najwspanialszych pokazów zręczności i koordynacji ruchów, jakie Hal kiedykolwiek miał okazję oglądać. Wiele lat później, otoczony wnukami, opowiadał o tym zduszonym głosem, wciąż pełen podziwu.

Oto Thorn za pomocą swych dwóch metalowych tarcz blokował i odbijał strzały, spadające na „Czaple”. Nie zwracał uwagi na te padające gdzieś dalej, skupił się na tych, które mogły im bezpośrednio zagrażać.

Lewa ręka. Prawa ręka. Lewa. Lewa. Prawa.

Jego ruchy były tak szybkie, że tarcze zmieniły się w dwie niewyraźne migające plamy. Teraz Hal zrozumiał, czemu Thorn wybrał właśnie te małe tarcze. Dużymi i ciężkimi nie mógłby posługiwać się z taką precyzją i zręcznością. Koordynację ręka-oko miał naprawdę godną podziwu. Nic nie mogło umknąć jego wzrokowi, a reagował błyskawicznie. Powietrze wypełniał szcęk i furkot strzał odbitych od tarcz. Hal zaczynał rozumieć to, co wydawało się nieprawdopodobne – ten człowiek trzy razy z rzędu zdobył tytuł Potężnego i nikt ani wcześniej, ani później tego nie dokonał.

– Jest niewiarygodny – powiedziała cicho Lydia, stając obok Hala. Thorn, choć zajęty, usłyszał ją i zawołał:

– Zielony wrócił. Zamiast się gapić, dziewczyno, zrób z nim porządek.

Brzdęk, fru, stuk, brzdęk. Thorn odparł cztery kolejne strzały. Lydia wyciągnęła pocisk z kołczanu i umieściła go w atlatlu. Zza osłony masztu obserwowała przez chwilę łucznika w zielonej kurtce, który wrócił na swą poprzednią pozycję po lewej stronie. Naciągnął cięciwę, wymierzył, wypuścił strzałę i cofnął się do wnętrza stróżówki.

Lydia zaczęła głośno odliczać.

– Raz, dwa trzy, cztery.

Po „cztery” łucznik znów się pokazał, unióś łuk, wystrzelił i wrócił do swojej kryjówki.

– Raz, dwa – odliczyła Lydia i wychyliła się zza masztu, prawe ramię odciągnęła do tyłu, lewą stopę wysunęła do przodu. W chwili, gdy Thorn za pomocą tarczy, trzymanej w lewej dłoni, odrzucił kolejną strzałę do morza, Lydia jednym płynnym mocnym ruchem posłała pocisk w stronę łuczniaka, nie przerywając przy tym liczenia.

– ...trzy, cztery...

Kiedy powiedziała „cztery”, mężczyzna znów pokazał się na platformie z łukiem gotowym do strzału.

Zrobił krok do przodu i znalazł się dokładnie na linii strzałki.

Wyrzucił ramiona w powietrze, wypuścił łuk, zachwiał się, przeleciał przez barierkę i zaczął spadać, objając się o drewnianą konstrukcję.

– Niesamowite! – wykrzyknął Hal, głosem łamiącym się z podniecenia. Pozostali członkowie drużyny zawtórowali mu radośnie. Thorn, nie odrywając oczu od nadlatujących strzał, krzyknął:

– Nieźle. Mówiłem, że z nią nie ma żartów.

– Lepiej skup się na swojej robocie, staruszk – zawołała Lydia.

Thorn zaczął się śmiać.

Hal słyszał, jak Edvin pospiesznie opowiada Ingvarowi, co się stało. Z podekscytowania język mu się plątał. W końcu Ingvar położył mu rękę na ramieniu.

– Później mi opowiesz. Na pewno świetnie się spisała.

Hal uznał, że nadszedł odpowiedni moment. Odwrócił się i dał ręką znak bliźniakom.

– Poluzujcie szoty!

Wykonali polecenie i żagiel załopotał luźno na wietrze. „Czapla” zaczęła zwalniać. Ingvar i Edvin nie musieli czekać na rozkazy. Edvin już zdążył przygotować pierwszy pocisk. Umieścił go w szczelinie, a cięciwę w karbie. Ingvar jeszcze raz ustawił kuszę.

– Schowaj się, Thorn – zawołał Hal. Ustawił celownik na odległość pomiędzy sto i sto pięćdziesiąt metrów.

– W lewo. W lewo. Jeszcze trochę. Starczy...

Widział już miejsce, w którym łączyły się trzy belki, stanowiące konstrukcję wieży. „Czapla” uniosła się na fali, a on przekręcił w dół korbę podnośnika, naprowadzając celownik na ten punkt. Strzała uderzyła o pokład tuż obok jego stóp. Zauważył, że od chwili, gdy Lydia zlikwidowała łuczniaka w zielonej kurtce, strzały nie są już ani tak liczne, ani precyzyjne. Domyślał się, że żaden z piratów nie ma ochoty zbyt często pokazywać się na platformie i narażać na śmierć.

– Trochę w prawo – polecił. Ingvar wykonał rozkaz. Celownik znalazł się w odpowiedniej pozycji. Hal odciągnął spust.

BAM!

W chwili, gdy wypuścił pocisk, już wiedział, że chybił. Nie wziął poprawki na drobne opóźnienie, ten moment między odciągnięciem spustu i wypuszczeniem pocisku.

W powietrze wzniosła się cienka smużka dymu – tuż poniżej punktu złączenia trzech belek.

Wśród załogi przeszedł pomruk rozczarowania. Ingvar już był na przedzie i odciągał lewary, by przygotować kuszę do kolejnego strzału. Edvin, klęczący obok, umieścił w szczelinie kolejny płonący pocisk. W powietrze wzniosła się smużka dymu, a mokre drewno zasyczało. – Pudło – stwierdził Hal.

– Postaraj się tym razem – mruknął Ingvar.

Hal pochylił się nad celownikiem. Zmarszczył brwi. Kusza przesunęła się na prawo, idąc



za ruchem łodzi, która zaczęła ustawiać się pod wiatr.

– Stig! – krzyknął Hal. – Mamy stać w miejscu, do licha ciężkiego!

Stefan przekazał jego słowa Stigowi, który z kolei wydał rozkaz Wulfowi. Drewno zagrzechotało, kiedy Wulf umieścił wiosło w dulce i wykonał nim kilka ruchów w tył i w przód. Łódź odwróciła się.

Hal znów zakręcił korbą podnośnika. Celownik przesunął się poza wyznaczony punkt.

– W prawo... jeszcze. Stop!

Wziął głęboki wdech. Domyślał się, że trzy strzały, oddane szybko jeden po drugim, wymierzone w większy cel, wpłynęły na jego obliczenia. W ich przypadku nie musiał zachować aż takiej precyzji. Skupił się. Dziób łodzi opadł, potem znów się wzniosł.

Nagle rozległ się ostry krzyk bólu. „Ingvar”, pomyślał Hal z przerażeniem.

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył Ingvara, zwiniętego z bólu, z ręką zaciśniętą na strzale, sterczącej z jego lewego boku, nad biodrem.

– Trafili Ingvara! – usłyszał Hal przestraszony krzyk Edvina i zaczął się podnosić, ale zrezygnował, bo Stig polecił Stefanowi zająć się rannym olbrzymem. Był rozdarty między troską o przyjaciela i pragnieniem oddania ostatniego strzału, póki Zadymiarz znajdował się w odpowiedniej pozycji. Bez pomocy Ingvara nie mógł ponownie załadować kuszy. Zmusił się, by na chwilę zapomnieć o rannym towarzyszu, choć nienawidził za to samego siebie, i zawołał do Thorny:

– Obróć kuszę!

Stary wilk morski skinął głową i pospiesznie ruszył w stronę maszyny. Obraz zwiniętego z bólu Ingvara znów pojawił się w głowie Hala, on zaś znów odepchnął go siłą woli. Słyszał, jak Stefan mówi coś do rannego. A więc zapewne był przytomny. Czyli żył. Przynajmniej w tej chwili.

Thorn chyba wyczuł, jakie udręki przeżywa Hal.

– Stefan się nim zajął. Skup się na swoim zadaniu – rzucił ostro.

Hal skinął głową. Wiedział, że Thorn ma rację. Znów pochylił się nad celownikiem.

– W prawo... w prawo... jeszcze trochę... Stop.

Zadymiarz znów ustawił się w odpowiedniej pozycji.

Celownik znajdował się poniżej wyznaczonego punktu. Hal poczuł miękkie uderzenie wody o kadłub, kiedy „Czapla” spłynęła w dolinę między falami.

„Powoli”, pomyślał. „Zrób to jak należy, dla Ingvara”.

Potem łódź wzniosła się na fali i celownik znalazł się na linii celu. Hal przekręcił korbę podnośnika w dół, aż muszka znalazła się tuż poniżej punktu złączenia trzech belek, a potem odciągnął spust.

Nastąpiła krótka chwila ciszy i... BAM!

Cięciwa zwolniła, płonący pocisk wyleciał z kuszy. Celownik znajdował się idealnie na linii celu.

Hal patrzył, jak pocisk leci przed siebie, ciągnąc ciekłą smużkę dymu, a potem trafia w ukośną belkę, nieco na prawo od punktu złączenia. Sekundę później rozbrzysnął jasny płomień.

– Wybrać szoty! – krzyknął. – Zawracamy!

Ulf i Wulf wypełnili polecenie. Wiatr wypełnił żagiel i pchnął „Czaple” do przodu. Stig przesunął ster, dziób łodzi zatoczył łuk w stronę otwartego morza.

Ostatnia seria strzał odbiła się od tarcz, ustawionych wzdłuż nadburcia. Po chwili znaleźli się poza ich zasięgiem.



Dowódca, stojący na platformie, obserwował lot dwóch ostatnich pocisków. Przez chwilę myślał, że spadają, ale potem uderzenie tego drugiego zatrzęsło wieżę.

Pomyślał, że i tak nie może zrobić im większej szkody. Za to trzy poprzednie wywołały prawdziwe zamieszanie wśród strażników. Zniszczyły balustradę i trafiły pięciu z jego ludzi.

– Oszczędzajcie strzały! – zawołał. Zgrabna łódź wroga zrobiła zwrot i skierowała się na otwarte morze.

Przez chwilę przyglądał się balustradzie. Pociski wydarły w niej dziury o poszarpanych brzegach, wyłobiły długie szczeliny w miękkim drewnie. Konstrukcja wieży nie była obliczona na takie uderzenie. Postanowił, że kiedy napastnicy powrócą – a wiedział, że tak będzie – każe swoim ludziom schronić się w stróżówce i położyć na podłodze. Zostawi tylko kilku łuczników na.

Nagle poczuł jakiś dziwny zapach. Zapach dymu.

Zaniepokojony, przechylił się przez barierkę i spojrział w dół. Dziesięć metrów niżej płomienie już lizały drewnianą konstrukcję. Podsycane żywicą, którą wysoka temperatura wydobyła z wnętrza belek, buchały z coraz większą siłą.

Dowódca widział, co się stało z zachodnią wieżą. Wszyscy widzieli. Płomienie żarłocznie pochłaniały suche drewno, nie było jak ich ugasić. Teraz paliły się belki, podtrzymujące konstrukcję. Wiedział, że za chwilę stróżówka i platforma runą na ziemię. Odwrócił się do swoich ludzi i krzyknął ostrzegawczo:

– Wieża płonie!

Rozejrzał się dokoła w desperacji. Zobaczył jakiś ruch na falochronie po przeciwnej stronie wejścia do portu. Zebrała się tam spora grupa Skandian. Jeden z nich wszedł na zapórę i zaczął iść po niej, początkowo niepewnie, potem coraz szybciej.

Kolejny Skandianin ruszył za nim. Potem jeszcze jeden.

– Uciekajcie! – krzyknął dowódca. – Uciekajcie, nim wieża się zawali!

A potem pobiegł w stronę drabiny.



## Rozdział 36



Kiedy znaleźli się poza zasięgiem strzał, Hal rozkazał... wybrać żagiel. Ulf i Wulf spełnili polecenie, a Stig skierował łódź pod wiatr.

Hal zeskoczył ze swego siedziska z tyłu kuszy. Zatroškani chłopcy okrążyli leżącego nieruchomo Ingvara.

– Edwinie! – zawołał Hal. – Przynieś zestaw do pierwszej pomocy!

– Już mam – odparł Edvin cicho, tuż za jego plecami. Podczas treningu jeden członek z każdej drużyny przeszedł specjalny kurs znachorski, podczas którego uczył się o leczniczych właściwościach różnych ziół i mikstur. W drużynie Czapli do tego zadania został wyznaczony właśnie Edvin.

– Zróbcie mi miejsce – powiedział, klękając obok Ingvara. Chłopcy odsunęli się nieco.

Strzała trafiła Ingvara tuż powyżej biodra i przeszła na wylot, tak że grot wystawał z tyłu. Rana wylotowa krwawiła obficie. Pokład znaczyły ciemne plamy. Stefan, który pierwszy rzucił się na pomoc Ingvarowi, niewiele potrafił zdziałać. Ułożył go tylko na lewym boku. Ranny leżał tak więc, z zaciśniętymi powiekami, tłumiąc jęki bólu.

Edvin, oceniwszy sytuację, stwierdził:

– Nie mogę wyciągnąć strzały. Muszę ją złamać i przepchnąć.

Hal kiwnął głową. Gdyby Edvin próbował wyciągnąć strzałę, grot rozerwałby ranę. To był jedyny sposób, krótki ból i po wszystkim.

– Zrób tak – powiedział.

Edvin prawą ręką uchwycił drzewce poniżej lotki, w odległości kilku centymetrów od ciała Ingvara, by je unieruchomić, i prędko ułamał je lewą. Trzymał strzałę tak mocno, jak tylko potrafił, lecz nie do końca to pomogło. Ingvar krzyknął z bólu i wygiął górną połowę ciała w łuk, jakby próbował usiąść.

– Trzymaj go – polecił Edvin Wulfowi, on jednak złapał go za ramię i krzyknął:

– Sprawiasz mu ból! Przestań! Miałeś mu pomóc!

Edvin spojrzał na Wulfa, potem na Hala. Hal zobaczył w jego wzroku narastające przerażenie. Ćwiczenia na nieprawdziwych ranach podczas kursu to jedno, praktyka na przyjacielu, naprawdę zwijającym się z bólu – coś zupełnie innego. A reakcja Wulfa z pewnością mu nie pomagała.

– Zamknij się, Wulf – warknął Thorn za plecami Hala.

– Edvin robi, co w jego mocy. I robi to dobrze. Twoje wrzaski tylko przeszkadzają.

A teraz przytrzymaj Ingvara.

Te słowa chyba dodały Edwinowi pewności siebie, wyraz przerażenia w jego oczach znikł. Hal skinął głową, by wyrazić swe wsparcie.

Wulf spuścił wzrok.

– Przepraszam – mruknął. – Rób swoje. – Pochylił się i położył ręce na ramionach Ingvara.

Edvin zbliżył twarz do twarzy rannego.

– Będzie bolało – powiedział cicho. – Bardzo mi przykro. Ale postaram się, żeby trwało to jak najkrócej.

Ingvar skinął głową. Powieki nadal miał zamknięte, wargi zaciśnięte.

– Po prostu to zrób – odparł. – Jestem gotowy.

Edvin wziął głęboki oddech, chwycił zakrwawione drzewce tuż poniżej grotu i wyciągnął je jednym długim pewnym ruchem. Zaskoczył go opór, jaki musiał pokonać, ale w końcu strzała wysliznęła się z rany. Ingvar wydał przeciągły okrzyk bólu. A potem, kiedy drzewce znalazło się na zewnątrz, zamilkł.

– Dzięki – pisnął po kilku sekundach.

Krew zaczęła płynąć z obu ran, wlotowej i wylotowej, jeszcze bardziej obficie niż przedtem. Była jasnoczerwona, nie ciemna. Edvin uznał to za dobry znak, prawdopodobnie organy wewnętrzne nie zostały uszkodzone. Ale wyglądało to przerażająco, bo strzała nie tamowała już krwi. Edvin przycisnął do rany lniany bandaż, próbując zatrzymać krwotok, lecz bandaż szybko przesiąkł czerwienią. Wulf, blady jak ściana, puścił ramiona Ingvara i odszedł na bok.

Edvin znów pochylił się nad rannym.

– Muszę oczyścić ranę, żeby nie wdała się infekcja. Przykro mi, ale znów będzie bolało.

Na czole Ingvara perlil się pot.

– Nie mów o tym – odparł. – Po prostu zrób, co należy, byle szybko.

Edvin wyjął cienką metalową pipetkę i owinął ją kawałkiem czystej tkaniny, którą nasmarował obficie jakąś maścią.

– To oczyści ranę – wyjaśnił. – Ale muszę włożyć to w sam środek, nie wystarczy posmarować po brzegach. – Następnie nasmarował czubek pipety jeszcze inną maścią. – To środek uśmierzający ból. Znieczuli cię miejscowo. – Spojrzał przeproszająco na Ingvara. – Ale nie całkiem, obawiam się. I tak będzie bolało.

– Nie gadaj, tylko rób swoje! – odparł gniewnie Ingvar.

Hal ukląkł obok przyjaciela i wziął go za rękę.

– Spokojnie, Ingvarze. Edvin robi, co w jego mocy.

Ingvar spojrzał na niego i Hal uświadomił sobie, że męka czekania na nadchodzący ból jest zapewne gorsza od samego bólu.

– Powiedz mu, żeby przestał o tym gadać – powiedział Ingvar.

Hal spojrzał na Edvina.

– Zaczynaj.

Edvin kiwnął głową. Kilka razy odetchnął głęboko, po czym przyłożył palce lewej dłoni do rany wlotowej i rozszerzył ją, jednocześnie wsuwając pipetę do środka.

Hal poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła i prędko odwrócił wzrok. Przesunął spojrzeniem po zatroskanych twarzach towarzyszy.

– Wracajcie na stanowiska! Niczego nie zmienicie, stojąc tu i drapiąc się po głowach.

Chłopcy, nieco zawstydzeni, odeszli, powłócząc nogami, ze spuszczonym wzrokiem. Hal znów spojrzał na Ingvara i zobaczył ból w jego oczach. Ingvar poruszył wargami. Hal pochylił się, by usłyszeć, co próbuje powiedzieć jego przyjaciel.

– Przepraszam – wyszeptał Ingvar, walcząc z bólem, szarpiącym jego ciało. Oczy Hala zaszyły mgłą. Chwycił dłoń przyjaciela.

– To ja powinienem cię przeprosić – powiedział. – Za długo zwlekałem z oddaniem strzału.

Ingvar potrząsnął głową. Ruch, choć tak nieznaczny, sprawił, że jego brwi ściągnęły się w ból.

– Chciałeś się upewnić, że trafisz – powiedział. A potem zamknął oczy, jakby wypowiedzenie tych kilku słów okazało się zbyt wielkim wysiłkiem, i zasnął lub może stracił przytomność. Jego oddech był krótki i nierówny. Rzucił głową na boki, mrużąc coś nieskładnie. Hal delikatnie wypuścił jego dłoń i spojrzał na Edvina.

– Wyjdzie z tego? – zapytał.

Edvin zerknął na Ingvara, by sprawdzić, czy nadal jest nieprzytomny. Przez kolejnych kilka minut nic nie mówił. Podczas gdy Hal i Ingvar rozmawiali, opatrzył obie rany za pomocą czystego płótna, teraz zaś owijał ciało Ingvara bandażem, by opatrunki się nie przesunęły.

Skończywszy, podniósł się i pociągnął Hala na stronę, nie chcąc, by Ingvar go słyszał.

– Nie wiem, Halu. Oczyszcziłem ranę najlepiej, jak potrafiłem, i założyłem opatrunek. To powstrzymało krwotok. Ale Ingvar stracił bardzo dużo krwi...

– Czy możemy coś jeszcze dla niego zrobić?

Edvin odparł, niepewnie rozkładając ręce:

– Robię, co mogę, ale nie wiem, czy to wystarczy. Przeszedłem tylko kilkutygodniowy kurs. – Te ostatnie słowa zabrzmiały niemal jak próba obrony. Hal wyciągnął rękę i dotknął ramienia Edvina. Zdawał sobie sprawę, że Edvin musi czuć na sobie ogromny ciężar odpowiedzialności.

– Wiem – powiedział. – Świetnie sobie radzisz.

Żałował, że jego głos nie zabrzmiał bardziej przekonująco. Nagle zauważył kogoś jeszcze. Ponieważ łódź stała w miejscu, Stig zostawił ster i podszedł do nich. Spojrzał na Ingvara, a jego twarz zbladła nienaturalnie.

– Wyzdrowieje?

Hal niepewnie potrząsnął głową.

– Teraz śpi. Strzała przeszła na wylot, Edvin wyciągnął ją, oczyścił i opatrzył ranę. Nic więcej nie możemy zrobić. Niech Ingvar odpoczywa. – Wzruszył ramionami. – Spytaj nas znowu tak za dwanaście godzin.

Stig kiwnął głową.

– Za dwanaście godzin może żadnego z nas już nie będzie.

– To prawda.

– To co teraz zrobimy? – spytał Stig.

Hal skierował wzrok w dal. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział. Mieli zaatakować bramę i podpalić pęcherz, napełniony olejem. Tylko że teraz, kiedy zabrakło Ingvara, nie miał pojęcia, jak tego dokonają. Żaden z członków drużyny nie był tak silny, by odciągnąć ciężką ogromnej kuszy. Być może Thorn, tylko że czynność ta wymagała użycia obu rąk, a proteza się do tego nie nadawała. Przytrzymujące ją paski nie wytrzymałyby takiego napięcia.

– Halu? – odezwał się Stig.

Hal spojrzał gniewnie na niego.

– Nie wiem! – odparł. – Pozwól mi pomyśleć.

Podszedł do relingu. Stig ruszył za nim, ale zrezygnował. Hal chwycił się nadburcia. Jego dłonie zaciskały się na nim raz po raz. Patrzył na otaczające ich wody, ale widział tylko Ingvara, leżącego nieprzytomnie na deskach pokładu.

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś stoi obok niego.

– Drużyna czeka na rozkazy – powiedział Thorn spokojnie. Hal nie odwrócił wzroku.

– Moje rozkazy? – spytał gorzkim tonem. – Ingvar być może zapłaci za nie najwyższą cenę.

– Ale niewiele mu pomożesz, użalając się nad sobą. – Głos Thorny był cichy i pozbawiony emocji. Hal spojrzał na niego.

– Jak możesz być tak obojętny? Mówimy o Ingvarze, Ingvarze, który tak mi ufał i zrobiłby wszystko, o co go poproszę.

Thorn nie odwrócił wzroku pod spojrzeniem Hala.

– To jest wojna. Czy naprawdę sądziłeś, przystępując do niej, że da się uniknąć ofiar, w tym nawet ofiar śmiertelnych?

Hal otworzył usta, znów spojrzał przed siebie i w końcu odparł cicho:

– Nie myślałem o tym.

– To nie jest trening drużyn, z którego wychodzi się z kilkoma siniakami czy

zadrapaniami. To się dzieje naprawdę. Ludzie odnoszą rany. Umierają. Czasami dzieje się tak dlatego, że słuchają twoich rozkazów. Musisz się z tym pogodzić.

Hal gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie chcę.

– A jednak musisz. – Głos Thorny był cichy, lecz stanowczy. – Jeśli teraz zrezygnujesz, cierpienie Ingvara, może nawet jego śmierć, pójdzie na marne. – Zamilkł na chwilę, by Hal przyswoił sobie jego słowa, potem dodał: – Potrafisz myśleć. Planować. A czasami podczas bitwy okazuje się, że plan nie wypalił. Wtedy trzeba pomyśleć jeszcze raz i stworzyć nowy plan. Musimy zaatakować bramę, a ty musisz wymyślić, jak to zrobić. Do roboty.

Hal znów odwrócił się i spojrzał na Thorny. Zobaczył w jego twarzy determinację. I zachętę. Ani śladu potępienia. Wziął głęboki oddech.

– Dobrze. Daj mi minutę-dwie.

Thorn skinął głową, zadowolony. Hal znów chwycił się nadburcia i zaczął intensywnie zastanawiać się, jakie możliwości im pozostały. Nikt nie mógł zastąpić Ingvara. Stig i Thorny byli najsilniejsi, ale Stig musiał stać przy sterze, a Thorny nie nadawał się do tego zadania z powodu protezy.

„Ulf i Wulf”, pomyślał i poczuł przypływ energii do działania. Odwrócił się. Wszyscy członkowie załogi wpatrywali się w niego, czekając na dalsze rozkazy.

– Podejdźcie bliżej – polecił, a oni ustawili się w półkolu. – Zmiana planów. Ulf i Wulf, będziecie naciągać cięciwę. W porządku?

Bliźniacy skinęli głowami. Hal wskazał potężną broń i dodał:

– Zobaczmy, jak sobie poradzicie.

Wszyscy podeszli do Zadymiarza. Bliźniacy ustawili się po przeciwnych stronach. Hal spodziewał się, że zaczną się kłócić, gdzie który ma stanąć, lecz ku jego zaskoczeniu nic takiego się nie zdarzyło. Ulf i Wulf chwycili lewary obiema rękami. Spojrzeli na siebie i w milczącym porozumieniu odciągnęli je jednocześnie, postępując z wysiłku. Cięciwa zaskoczyła na miejsce.

Ulf spojrzał na brata, potem na Ingvara.

– Jak on zdołał sam tego dokonać?

– Też o tym pomyślałem – powiedział Wulf, wruszając ramionami.

– Dobra robota – pochwalił ich Hal. – Chcę, żebyście mieli na plecach tarcze, kiedy będziecie to robić. To zapewni wam ochronę przed łucznikami. Thorny, ty będziesz ustawiał kuszę.

Thorny kiwnął głową. Hal szybko rozdzielił pozostałe zadania.

– Jesper. Ty podnosisz i opuszczasz żagle. Weź jednego z limmatan do pomocy.

– Tak jest – odparł Jesper.

– Ja mogę tym się zająć. – Muskularny mężczyzna wystąpił do przodu z uniesioną ręką.

Hal krótko skinął głową, po czym spojrzał na Stefana.

– Możesz ustawiać żagle?

– Tak – odparł Stefan bez wahania.

– Też weź kogoś do pomocy. Stigu, ty, oczywiście, zostajesz przy sterze.

– Dobrze.

– Edwinie, zajmij się Ingvarem. Potem będziesz ładować pociski.

– Obłożę go kocami i tarczami, żeby był bezpieczny – odparł Edwin. Hal kiwnął głową z wdzięcznością.

– Świetny pomysł – powiedział. Przez chwilę zastanawiał się, czy o niczym nie zapomniał. Spojrzał na Lydię.

– Lydio, ponieważ Thorny będzie ustawiał kuszę, musisz zająć się łucznikami.

– Żaden problem – odpowiedziała.

Thorn zaśmiał się i powiedział:

– Też mi niespodzianka! Ta dziewczyna i jej cudaczne strzały do kompletu to prawdziwy horror.

Lydia rzuciła mu chłodne spojrzenie.

– Już ci mówiłam, staruszkule. Ty zajmij się swoją działką, a ja zajmę się swoją.

Thorn znów zachichotał. Lydia odwróciła głowę, by sprawdzić, ile strzałek jej zostało.

Hal przesunął wzrokiem dokoła. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Jeszcze raz spojrzął na Ingvara, z nadzieją, że ten otworzy oczy. On jednak nadal leżał nieprzytomny, oddychając nierówno i od czasu do czasu drżąc na całym ciele, kiedy ból okazywał się silniejszy od środków uśmierzających.

Niechętnie oderwał wzrok od przyjaciela. „Musisz na razie o nim zapomnieć”, powiedział sobie w myślach. Potem klasnął w ręce.

– W porządku! Ruszamy sforsować bramę!

Wszyscy pospieszyli do wyznaczonych zadań. Stefan wraz z limmataninem wybrali żagiel, który zaraz napiął się na wietrze. Stig przesunął ster i „Czapla” ruszyła przed siebie, tnąc dziobem wodę i podskakując na falach.

Hal po raz ostatni spojrzął na dwie wieże. Stróżówka i platforma na zachodniej runęły pośród iskier i płomieni. Konstrukcja z belek nadal była niemal nietknięta, ale cała górna część przestała istnieć.

W przypadku wschodniej wieży sytuacja wyglądała inaczej. Ogień wżarł się w belki i przepalił konstrukcję w miejscu, gdzie trafił pocisk. Platforma wisiała teraz dziwacznie przechylona. Wyglądało na to, że wystarczy mocniejszy podmuch wiatru i wszystko zwali się na ziemię. Na dole toczyła się walka. Grupa mężczyzn biegła wzdłuż nabrzeża w kierunku miasta.

„A więc Svengal i jego ludzie pokonali zaporę”, pomyślał Hal. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Nadszedł czas, by przyjść im z pomocą.



Hal, który podczas tej krótkiej podróży stał obok Stiga, przeszedł na dziób i wrócił na swoje miejsce przy kuszy. Widział ludzi na palisadzie. Od czasu do czasu słońce odbijało się od ich zbroi i oręża. Była to jednak zaledwie garstka. Prawie wszyscy piraci zostali obsadzeni na wieżach i teraz uciekali wzdłuż nabrzeża przed goniącymi ich Skandianami. Inną grupę piratów pokonali z kolei ludzie Barata, którym udało się sforsować palisadę i przedrzeć do miasta. Atak z kilku stron naraz znacznie przerzedził szeregi piratów, niewielu zostało, by bronić bramy, o której po prostu zapomniano w całym tym zamieszaniu.

Dwaj wartownicy, uzbrojeni w łuki, zaczęli strzelać. Strzały z sykiem wpadały do wody i terkotały o kadłub i tarcze. Nie trafiały do celu, lecz Hal nie zamierzał dopuścić do kolejnych ofiar.

– Lydio? Mogłabyś się nimi zająć?

Przytaknęła i mrużąc oczy, oceniła sytuację. Łucznicy nie próbowali się kryć. Na razie nie spotkali się z odpowiedzią z ich strony i zachowywali się, jej zdaniem, dość nieostrożnie. Zapewne nie widzieli ataku „Czapli” na wieże i nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia.

Wyjęła strzałkę i sprawdziła, ile jeszcze zostało w kołczanie. Przygotowała ich więcej, specjalnie na dzisiejszy atak. Miała szesnaście w zapasie. Umieściła strzałkę w atlatlu, zrobiła

krok do przodu, wymierzyła i wypuściła pocisk. Kiedy pierwsza strzałka pomknęła do celu, od razu wyjęła następną i posłała jej śladem.

Wielką zaletą atlatlu było to, że przeciwnik nie mógł tak łatwo go zauważyć. Łuk bardziej rzucał się w oczy, za to cienkie strzałki i nieduży atlatl były niewidoczne z większej odległości. Nim Madziarowie zorientowali się w sytuacji, jeden z łuczników zleciał z kładki, przebity ostrą strzałką, która nagle zjawiała się jakby znikąd. Kilka sekund później ten sam los spotkał jego towarzysza. Pozostali mężczyźni pospiesznie skryli się za palisadą.

Hal, przyjrząwszy się bramie, z ulgą stwierdził, że pęcherz napełniony olejem wisi na swoim miejscu. Przez cały dzień martwił się, że przeciwnicy mogli go zauważyć i usunąć.

– Przygotuj pocisk – polecił Edwinowi, który zadbawszy o bezpieczeństwo Ingvara, wrócił na swoje stanowisko. Pospiesznie skrzesał ogień i po chwili Hal poczuł kwaśny zapach dymu.

Zadymiarz był gotowy do strzału, cięciwa naciągnięta. Edvin jeszcze raz wsadził koniec pocisku w ogień i umieścił go w szczelinie. Płomienie zasyczały w zetknięciu z mokrym drewnem, smużka pary uniosła się w powietrze.

Hal pochylił się nad celownikiem. Wprawdzie „Czapla” stała w miejscu, lecz opadała i wznosiła się na fali. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak mały jest jego cel. Był to zwykły świński pęcherz, wypełniony olejem, znacznie mniejszy od tarcz, na których trenował strzelanie z Zadymiarza. Znów zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy uda mu się trafić.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać – powiedział do siebie i ponownie spojrzął przez celownik. Thorn czekał z tyłu przy dźwigni obrotowej.

– W lewo... w lewo... jeszcze trochę. Starczy.

Począł, aż dziób łodzi uniósł się na fali. Dosłownie na sekundę przedtem, nim osiągnął najwyższy punkt, Hal pociągnął za spust.

BAM!

Usiadł, obserwując, jak pocisk mknie do celu, ciągnąc za sobą smużkę dymu. Wydawało mu się, że powinien trafić. Okazało się jednak, że chybił, o jakieś pół metra w lewo.

Zmarszczył brwi. Zostały mu tylko dwa pociski. Nerwowo zabębnił palcami o wózek, myśląc intensywnie. Muszą podpłynąć bliżej. Na palisadzie w każdej chwili mogli zjawić się kolejni łucznicy. Lydia dotknęła lekko jego ramienia. Spojrzął na nią.

– Wiemy już – zaczęła – że potrafisz trafić z tej gigantycznej kuszy do celu rozmiarów wrót od stodoły. Czy mogę coś zaproponować?

– Bardzo proszę.

Lydia wyciągnęła kolejną strzałkę z kołczana i umieściła ją w atlatlu.

– Może ja przestrzelę worek? Olej wycieknie, a ty będziesz musiał tylko trafić w bramę gdzieś poniżej. Nawet tobie powinno się udać – zakończyła bez cienia uśmiechu.

Przez chwilę rozważał ten pomysł. Przez cały czas uważał, że musi trafić w pęcherz z olejem płonącym pociskiem. Ale Lydia miała rację. Jeśli jej strzałka przebije pęcherz i olej wycieknie, brama i tak zapłonie. Wyciągnął rękę w stronę bramy.

– W takim razie do dzieła. Poczekał tylko na mój sygnał.

Lydia odpowiedziała uśmiechem. Hal zwrócił się do Edvina i bliźniaków:

– Załadujcie następny pocisk.

Ulf i Wulf znów naciągnęli cięciwę, wyężając wszystkie siły, a Edvin umieścił w szczelinie nowy bełt. Potem Thorn ustawił kuszę zgodnie z poleceniami Hala, który z kolei wycelował w bramę, poniżej miejsca, w którym wisiał pęcherz. Odchylił się i spojrzął na dziewczynę, czekającą w gotowości, ze strzałką w dłoni.

– Teraz – polecił. Lydia skinęła głową, jej ramię wykonało ruch w tył, potem w przód.



Strzałka wyleciała z atlatla i znikła na tle nieba, więc Hal skupił wzrok na worku z olejem.

I zobaczył, jak strzałka zatacza łuk i przebija go. Strumień oleju zalał drewniane belki. Na szarym tle wyraźnie odznaczała się ciemna plama.

– Niech to. Myślałam, że uda mi się go rozerwać – mruknęła Lydia, sięgając po kolejną strzałkę. Kiedy Hal pochylił się nad celownikiem, przygotowała się do następnego rzutu.

BAM!

Płonący pocisk wyleciał z kuszy i walnął w bramę, ale akurat w miejscu, gdzie olej nie pokrył drewna. Lydia wyrzuciła strzałkę, stękając z wysiłku. Hal znów stracił strzałkę z oczu i skoncentrował wzrok na bramie. Nagle strzałka mignęła i trafiła w pęcherz, którzy, przebity w dwóch miejscach, rozdarł się, a reszta oleju wyciekła gwałtownie i dosięgła płonącego pocisku, tkwiącego w drewnie.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem brama stanęła w ogniu.



## Rozdział 37



Barat poprowadził swych ludzi płataniną krętych bocznych uliczek ku centrum. Uciekinierzy z miasta, którym udało się przedostać przez ostatnie dni na mokradła, donieśli, że Zovac przejął budynek urzędu miejskiego, stojący na głównym placu.

Barat i jego ludzie znajdowali się teraz w starszej części miasta, gdzie uliczki wiły się chaotycznie, bez ładu i składu. Dwa razy natknęli się na Madziarów, którzy pospiesznie wybudowali barykady w wąskich przejściach i próbowali odeprzeć atak.

Tylko że mieszkańcy Limmata mieli nad nimi znaczną przewagę. Urodzili się i wychowali w tym mieście, znali jego boczne uliczki i przejścia jak własną kieszeń. Kiedy drogę zagrodziła im barykada, rozdzielili się na dwie grupy i zniknęli pośród krętych przesmyków, czasami tak wąskich, że ramionami ocierali się o mury. Potem niespodziewanie zjawili się z drugiej strony, odcinając zaskoczonym Madziarom drogę ucieczki, a Barat z grupą ludzi zaatakowali ich od przodu.

Powtórzyło się to jeszcze raz. Siły wroga znacznie stopniały i rozproszyły się. Niektórzy z Madziarów zdołali wycofać się i dotrzeć do kolejnej barykady, lecz większość po prostu wzięła nogi za pas i poukrywała się w piwnicach i na strybach.



Zavac podniósł wzrok. Przybył kolejny posłaniec, tym razem ze wschodniej bramy.  
– Potrzebujemy więcej ludzi! – wykrzyknął mężczyzna. – Obcy podpłynęli do bramy od strony plaży i podpalili ją!

Zavac zaklął. Ten cudaczny, tak niewinnie wyglądający okręcik, którego załoga mogła liczyć co najwyżej tuzin ludzi, zmienił dwie wieże obronne w kupę dymiących zgliszczy – za pomocą jakiejś piekielnej maszyny wojennej.

Zavac spojrzął na posłańca.

– Kto dowodzi wartownikami na palisadzie?

– Petrac. Powiedział, że potrzebujemy więcej ludzi. Szczególnie łuczników. Tylu, ilu możesz dać. Jest pewien, że tamci znów zaatakują.

Zavac myślał intensywnie. W ciągu ostatniej godziny wciąż przybiegali posłańcy z nowinami. Ten ostatni uświadomił mu, że poważnie zlekceważył zagrożenie.

Kiedy wieże zostały zniszczone, od strony mokradeł nadciągnęła banda Skandian, przeszła przez zaporę i zaatakowała miasto od strony portu. A kiedy on posłał ludzi, by ich powstrzymać, siły limmatan sforsowały palisadę od wschodu. Madziarowie znaleźli się w potrzasku, między dwiema grupami przeciwnika. W dodatku wyglądało na to, że jeszcze trzecia zamierza włączyć się do bitwy.

Większość ludzi, którzy zginęli podczas obrony wież, pochodziła z załogi „Rai”. Zavac stracił też sześciu własnych ludzi. Dwunastu członków załogi posłał do portu, by dopilnowali bezpieczeństwa „Kruka”. Pozostali zgromadzili się w budynku. Załogi „Żmii” i „Rai” walczyły w porcie i w mieście.

W końcu podjął decyzję. Kiwając głową, przestudiował plan miasta, palcem wskazującym wyznaczył drogę do wschodniej bramy.

– Świetnie – stwierdził. – Wracaj do Petraca. Powiedz, że przyślę dwudziestu ludzi i tylu łuczników, ilu tylko uda mi się zebrać. Powiedz, żeby wytrzymał do chwili, gdy przybędą posiłki.

Posłaniec z wdzięcznością kiwnął głową i udał się do wyjścia. Znalazłszy się na zewnątrz, ruszył biegiem.

Andras wystąpił do przodu, marszcząc brew.

– Oszalałeś? Dwudziestu ludzi? To prawie połowa tego, co nam zostało!

Zavac rozejrzał się, po czym, upewniwszy się, że posłaniec nie może go usłyszeć, potrząsnął głową.

– Nie posłę ani jednego – odpowiedział. – Ale gdyby Petrac o tym wiedział, z miejsca by się załamał. Zbierz ludzi. Tylko po cichu. Wycofujemy się do portu, wsiadamy na „Kruka” i zmywamy się stąd.

Tak naprawdę nic już nie trzymało go w Limmat. Nie podbili miasta po to, by się w nim osiedlić. Chcieli wycisnąć jak najwięcej z kopalni szmaragdów, a teraz nadszedł czas, by zabrać to, co udało im się zgromadzić, i zniknąć.

A jeśli znaczyło to, że muszą porzucić swych sojuszników na pastwę wroga, to trudno.

Andras opuścił pokój, który Zavac wybrał sobie na gabinet, i przeszedł do głównego pomieszczenia, gdzie członkowie załogi „Kruka” czekali na rozkazy. Nie było w nim mebli. Normalnie odbywały się tu zebrania, uroczystości i audiencje. Na jednym końcu sali zebrało się dziesięciu ludzi z „Rai”, w tym pierwszy oficer imieniem Rikard. Teraz on dowodził załogą,

kapitan okrętu znajdował się we wschodniej wieży, kiedy ta spłonęła i runęła.

Rikard spojrzął na Andrasa i ruszył w jego stronę.

– Co się dzieje? – zapytał. Andras wskazał kciukiem za siebie.

– Wiadomość od Petraca. Prosi o posiłki, wróg zaatakował bramę. Trzeba sprawdzić, co tam się dzieje. Chcecie się do nas przyłączyć?

Był pewien, że Rikard odmówi. Owszem, obie załogi współpracowały, lecz nie łączyła ich jakaś szczególna sympatia.

– Chyba lepiej, żebyśmy zostali tutaj – odparł Rikard. – W razie gdybyś potrzebował naszej pomocy.

Andras udawał, że rozważa jego słowa. W końcu skinął głową.

– Może i tak – powiedział. – Zobaczmy się później.

Rikard przytaknął. Pomyślał, że kiedy Andras i jego ludzie wyjdą, odczeka chwilę, a potem ruszy wraz ze swą załogą na nabrzeże, gdzie czekała zacumowana „Raja”.

„Zostawmy im czarną robotę”, pomyślał. Kiedy załoga „Kruka” zajmie się wrogiem, oni niepostrzeżenie odpłyną. Żałował tylko, że kapitan nie powiedział, gdzie schował należną im część szmaragdów. Ale i tak zdobyli sporo łupów. To musiało im wystarczyć, najważniejsze – ocalić skórę.

Rikard pomachał na pożegnanie ludziom Andrasa.

Zavac, który wyszedł z budynku tylnymi drzwiami, czekał już na nich w bocznej uliczce, prowadzącej na nabrzeże. Na ramieniu miał ciężki worek. Andras wskazał nań i zapytał:

– Czy to jest to, o czym myślę?

Zavac uśmiechnął się dziko.

– Szmaragdy. Musiałem się nimi zaopiekować.

– Oczywiście – zgodził się Andras. – Szkoda by było, gdyby trafiły z powrotem w ręce mieszkańców miasta.

Obaj wiedzieli, że ich sojusznicy nie dostaną swojej działki. Ich rolą było zająć Skandian i limmatan, kiedy Zavac i reszta drużyny „Kruka” będą uciekać. Zavac powiódł wzrokiem po twarzach swych ludzi. Wybrał jednego, który towarzyszył mu podczas wielu wypraw i nieraz dowiódł swej lojalności.

– Zoltanie – powiedział – przejdź bocznymi uliczkami do falochronu i odetnij linę, na której wisi zaporę. I spal „Żmiję” – dodał po chwili namysłu. – Nie ma co zostawiać jej na pastwę wroga. Kieruj się na południe, a unikniesz spotkania ze Skandianami. Potem skręć na zachód. Zabierzemy cię po drodze. Czekać na falochronie.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Tak jest – powiedział, a potem poprawił pas z mieczem, odwrócił się na pięcie i wbiegł w płataninę uliczek.

– Reszta za mną – rozkazał Zavac.

Do portu wiodło kilka szerokich ulic, ale on nie zamierzał pójść żadną z nich. Istniało zbyt duże ryzyko, że mogą natknąć się tam na hordy Skandian. Poprowadził swych ludzi bocznymi uliczkami. Wiedział, że dzięki wrodzonemu zmysłowi orientacji nie zgubi drogi, choćby nie wiem jak kręte i zawile były uliczki.

W końcu wyszli na nabrzeże, kilka metrów od miejsca, gdzie czekała zacumowana „Raja”. Zavac rozejrzał się uważnie. Widział kilku Skandian, lecz znajdowali się jakieś czterdzieści metrów dalej. Pozostali już podążali w stronę centrum miasta, pewni, że nabrzeże zostało oczyszczone z Madziarów – którzy zginęli lub uciekli. „Rai” pilnowało trzech mężczyzn. Zavac wskazał na nich kciukiem i powiedział cicho do Andrasa:

– Zabij ich. I spal okręt.



Płomienie, które tak gwałtownie pożerały wysuszone drewno bramy, w końcu wygasły. W powietrzu zawisł gruby słup tłustego dymu.

Wartownicy zebrali się na kładce, z niepokojem przypatrując się poczerniałym belkom, by ocenić zasięg zniszczenia. „Czapla” nadal unosiła się na wodzie jakieś sto metrów od brzegu. Hal zwołał naradę. Wszyscy członkowie załogi zebrali się dokoła niego, kucając na pokładzie.

– Ulf i Wulf – zaczął Hal cichym głosem. – Taran gotowy?

Poprzedniego dnia Ingvar znalazł na plaży pień wyrzucony przez morze i przywiązał doń pętle. Miał za jego pomocą sforsować bramę. Teraz rolę Ingvara musieli przejąć bliźniacy.

– Gotowy – odparł Ulf.

Hal spojrzał na nich.

– Brama prawdopodobnie jest od środka zaryglowana. Ogień pewnie nie zniszczył całkiem rygla, lecz na pewno go osłabił. Myślę, że wystarczy, jak kilka razy walniecie porządnie.

Ulf i Wulf popatrzyli na siebie, po czym jednocześnie skinęli głowami. Hal spojrzał na palisadę.

Na razie nie było widać na niej łuczników, lecz mogło się to zmienić w każdej chwili. Hal powiódł wzrokiem dokoła i napotkał spojrzenie Lydii.

– Oslaniaj nas, kiedy będziemy szli przez plażę. Gdy dotrzemy na miejsce, pewnie zajmujemy całkowicie ich uwagę i będziesz mogła do nas dołączyć.

Lydia kiwnęła głową i nerwowo oblizała wargi. Potem podniosła wzrok i zobaczyła szeroki uśmiech Thorny. Skrzywiła się. Nie chciała, by posądził ją o tchórzostwo.

Hal ponownie zwrócił się do bliźniaków:

– Kiedy sforsujecie bramę, stańcie z boku. Thorn poprowadzi atak. Stig i ja razem z nim. Wy dwaj za nami. Lydio, znajdź jakiś dogodny punkt i strzelaj do każdego, kto wyda ci się podejrzany.

Lydia udawała, że ogląda uważnie grot jednej ze strzałek. Już wcześniej przypuszczała, że Hal nie pozwoli jej wziąć udziału w bitwie. Ale jego plan miał sens. Nie zamierzała przekonywać nikogo, że powinna brać udział w bezpośrednim starciu. Każdy z przeciwników miał nad nią przewagę fizyczną i był lepiej wyćwiczony w walce. Hal postanowił wykorzystać jej największe zalety – nieprawdopodobną sprawność i celność w posługiwaniu się atlatlem.

– A co z Ingvarem? – zapytał Ulf. – Zostawimy go samego?

– Ja z nim zostanę – odparł Edvin bez wahania. Hal jednak potrząsnął głową. Thorn często powtarzał mu, że ranny wojownik ma większe szanse przeżycia, jeśli dostanie natychmiastową pomoc.

– Chcę, byś nam towarzyszył, w razie gdyby ktoś został ranny. Stefanie, ty zostaniesz z Ingvarem.

To była słuszna decyzja. Stefan zaraz po Edvinie najslabiej radził sobie z bronią. Można było oszczędzić mu udziału w bitwie. Teraz ich drużyna liczyła aż dwóch ludzi mniej. Hal pomyślał z wdzięcznością, że na szczęście mają limmatan do pomocy. To wyrównywało ich szanse.

– Będę strzelał przez cały czas, nim dopłyniemy do brzegu. To powinno ich zniechęcić. – Spojrzał na bliźniaków i Edvina. – Ładujcie tak szybko, jak tylko potraficie. Thornie – powiedział, a ten podniósł wzrok. Właśnie zmieniał hak na potężną maczugę, nabijaną ćwiekami. – Kiedy znajdziemy się na lądzie, przejmiesz dowodzenie. Poprowadzisz nas do bitwy.

Hal popatrzył na towarzyszy. Na niektórych twarzach malował się lęk, na innych chęć walki.

– Wszyscy słyszeli? Na łodzi dowódcą jest Thorn. Wykonujcie jego rozkazy. Zrozumiano?

Rozległ się zgodny pomruk.

Thorn przywiązał protezę rzemieniem do ramienia i przesunął wzrokiem po twarzach chłopców.

– Kiedy bliźniacy staranują bramę, czy raczej to, co z niej zostało, przystępujemy do akcji. Ja prowadzę, Hal po mojej lewej stronie, Stig po prawej. Uformujemy klin. Pozostali idą za nami, kiedy dostaniemy się w szeregi wroga, rozszerzacie klin. Pamiętajcie, co wam mówiłem. Nie walcie za mocno. Teren może być niepewny, więc starajcie się zachować równowagę.

Przerwał, a po krótkiej chwili chłopcy odpowiedzieli zgodnym pomrukiem. Wszyscy wpatrywali się bacznie w Thorną, zastanawiając się, czy aby nie zapomnieli o czymś istotnym. I jak się spiszą w tej pierwszej prawdziwej bitwie w swoim życiu.

Thorn wyczuł ich niepewność i uśmiechnął się.

– Poradźcie sobie – powiedział. – Pamiętajcie tylko, czego was uczyłem. Brałem udział w setkach bitew. To nic takiego. Grunt to nie tracić głowy. I słuchać moich rozkazów. – Powiódł wzrokiem dokoła. Na widok ich min, już znacznie bardziej pewnych siebie, uśmiechnął się, by dodać im otuchy. – Czekamy na rozkazy, skirlu – powiedział do Hala.



## Rozdział 38



Zbliżają się! – krzyknął ostrzegawczo Petrac, dowódca oddziału Madziarów pilnujących bramy. Wcale nie musiał tego robić, i tak wszyscy wpatrywali się w niewielki okręt, który na chwilę stanął w dryfie. Załoga prawdopodobnie odbywała naradę. Teraz żagiel został wybrany, łódź zaczęła w szybkim tempie zbliżać się do brzegu.

„Gdzie ci łucznicy, których obiecał Zovac?“, pomyślał z goryczą. Ale w głębi serca już wiedział, że się nie zjawią. Nie było żadnych łuczników. Zovac oszukał ich i zostawił na pastwę losu.

Człowiek, któremu kazał sprawdzić stan bramy, z powrotem wspiął się na kładkę, biegnącą wzdłuż palisady.

– Niedobrze – stwierdził, nie czekając, aż Petrac zada pytanie. – Brama jest bardzo zniszczona. Belki były suche, niektóre nawet przegniły. Najgorsze, że rygiel nadpalił się pośrodku.

Rygiel był zrobiony z solidnej belki, umieszczonej na wspornikach po obu stronach bramy. Olej i płomień przedostały się przez szparę między skrzydłami bramy i poważnie go uszkodziły. Twarz Petraca ściągnęła się w zatroskanym grymasie.

– Może powinniśmy ustawić się przy bramie i przygotować się do stawienia oporu – zasugerował jeden z ludzi. Petrac jednak potrząsnął głową.

– Na razie lepiej zostańmy tutaj. Spróbujemy powstrzymać ich z tego miejsca, rzucając, czym tylko się da: włócznie, kamieniami, toporami. Potem zejdziemy na dół do.

Nie zdążył powiedzieć „bramy”, bo w tym momencie coś wielkiego i ciężkiego walnęło w belki palisady. Odłamki drewna poleciały w powietrze i pocisk – cokolwiek to było – przeleciał górą i uderzył w jednego z mężczyzn, który spadł z kładki na biegnącą dołem ulicę.

– Kryć się! – krzyknął Petrac i rzucił się na deski. Pozostali zrobili to samo. Kolejny pocisk walnął w palisadę, kilka metrów w lewo od pierwszego, dokładnie w miejscu złączenia dwóch pionowych belek i utkwiał w środku, na głębokości jakichś dwudziestu centymetrów. Drewniane odłamki poleciały w powietrze i zraniły jednego z wartowników. Petrac zauważył, że czubek pocisku wzmocniono paskami żelaza.

Nie miał jednak czasu na dalsze rozważania, bo trzeci pocisk właśnie trafił w górną część palisady, miażdżąc kolejne belki, poleciał wysoko w górę i spadł na ziemię. Tym razem nikt nie został ranny, ale ogłuszający dźwięk i siła uderzenia sprawiły, że wszyscy jeszcze mocniej przywarli do kładki.

Petrac wreszcie oprzytomniał i zauważył, że pociski nadlatują mniej więcej co piętnaście sekund. Dał znak jednemu z ludzi.

– Kiedy trafi następny pocisk, wstań i sprawdź ich położenie. Masz jakieś dziesięć sekund.

Mężczyzna zdecydowanie potrząsnął głową, nie patrząc Petracowi w oczy.

– Nie zamierzam wystawiać głowy, żeby mi ją odstrzelili – mruknął, ale dowódca złapał go za rękaw i szarpnął, zmuszając mężczyznę, by na niego spojrział.

– Rób, co ci każę – warknął. – Strzelają mniej więcej co piętnaście sekund, muszą mieć czas, żeby załadować następny pocisk. Nic ci nie grozi.

Jeszcze jeden pocisk przeleciał nad palisadą z upiornym świstem.

– Teraz! – wrzasnął Petrac i mężczyzna poderwał się z miejsca.

– Są prawie... – zaczął i w tym samym momencie osunął się do tyłu, trafiony w pierś ponad półmetrową strzałą. Utkwił w Petracu oskarżycielskie spojrzenie, a potem bezwładnie zsunął się z kładki i z łoskotem walnął o ziemię. Petrac, przerażony, przywarł do desek. Wiedział, że teraz nie ma siły, by którykolwiek z jego ludzi odważył się wychylić głowę zza palisady. Szybko podjął decyzję.

– Na ziemię i do bramy! – krzyknął. – Musimy ich powstrzymać!



Dziób „Czapli” miękko zarył w piasek.

– Ruszamy! – zakrzyknął Hal. Członkowie załogi już zeskakiwali na płyciznę i biegli w stronę bramy, Thorn na czele.

– Rozproszyc się! – rozkazał. – Nie zbijać się w grupy!

Ulf i Wulf dźwigali taran, grzęznąc w piachu pod jego ciężarem. Lydia przeskoczyła przez nadburcie sekundę po nich, miękko jak kot wylądowała na plaży i od razu rzuciła się do biegu.

Ostatni pocisk czekał gotowy do wystrzału. Hal stanął na szeroko rozstawionych nogach i ustawił kuszę, poruszając nią lekko to w jedną, to w drugą stronę.

Thorn i pozostali byli już prawie na miejscu. Nadal żaden z wartowników nie reagował. Hal zacisnął dłoń na spuście, gotów zwolnić go, kiedy tylko zobaczy zagrożenie.

Ale na palisadzie wciąż było pusto. W końcu, widząc, że Lydia i bliźniacy już dobiegają do bramy, wycelował w palisadę, gdzieś powyżej bramy, i zwolnił spust. Pocisk trafił w cel. Jak zwykle rozległ się dźwięk łamanego drewna, w powietrzu rozsypały się ostre kawałki. Hal chwycił tarczę i zeskoczył na plażę.

Miękki piasek utrudniał mu ruchy i czynił z niego idealny cel dla madziarskich łuczników. Nikt jednak nie próbował do niego strzelać. Dotarł do bramy, dysząc ciężko, częściowo z wysiłku, a częściowo z powodu napięcia.

– Miło, że zechciałeś do nas dołączyć – rzucił Thorn.

– Gotowy?

Hal uniósł rękę, wciąż oddychając z trudem, i wydyszał:

– Chwi... leczkę...

Odetchnął głęboko kilka razy, wyprostował się i skinął głową.

– Gotów – oznajmił. Prawie wrócił do formy, choć jego ramiona wciąż unosiły się w nierównym oddechu. Stwierdził, że kiedy bliźniacy sforsują bramę, na pewno dojdzie do siebie. Wskazując na bramę, powiedział:

– Przypuszczam, że na nas czekają. Nikogo nie widać na palisadzie.

– Przypuszczam, że masz rację – zgodził się Thorn.

– To im nie wyjdzie na dobre. – Wyciągnął rękę w stronę bliźniaków, potem wskazał na bramę: – Dobra, chłopaki, do dzieła!

Ulf i Wulf, trzymając za pętle, umieszczone na obu końcach tarana, zaczęli kołysać nim w przód i w tył, by nadać uderzeniu impet.

Thorn zrobił krok w przód i wskazał na szparę między skrzydłami bramy, a dokładnie na punkt, znajdujący się jakieś półtora metra nad ziemią.

– Uderzcie tutaj – polecił. Ulf i Wulf przytaknęli, marszcząc w skupieniu brwi. Jeszcze raz zakołysali taranem, a potem walnęli nim w bramę.

TRACH! Brama zadrżała, lecz nie poruszyła się.

– Jeszcze raz – polecił spokojnie Thorn.

Bliźniacy ponownie zakołysali taranem trzy razy, a potem z całej siły walnęli w bramę. TRACH!

Tym razem szpara poszerzyła się wyraźnie. Gdzieś z boku rozległ się głośny trzask.

– Jeszcze raz – polecił Thorn.

Bliźniacy znów zakołysali taranem. Czaple, zniecierpliwione, postąpiły krok naprzód.

– Stać – warknął Thorn. – Zostańcie na miejscach.

Hal, stojący po lewej stronie, pół kroku z tyłu, zerknął na niego. Twarz starego wojownika była spokojna i pozbawiona emocji. Poczawszy na sobie wzrok Hala, odwrócił się i powoli zmrużył oczy.

– Teraz im pokażemy.

Ulf i Wulf jeszcze raz uderzyli taranem w bramę. Rozległ się dźwięk pękającego drewna i nagle lewe skrzydło spadło z zawiasów, łamiąc się w nadpalonym miejscu. Rygiel trzasnął pośrodku, dwie połówki spadły na ziemię. Prawe skrzydło również poddało się sile nacisku

i zwiśło na zawiasach.

Bliźniacy, odzyskawszy siły po ostatnim pchnięciu, stanęli u boku Thornia.

– Bierzmy ich! – zakrzyknął stary wilk morski, a Czaple odpowiedziały bojowym okrzykiem i ruszyły, deptając po pozostałościach bramy.

Madziarowie zagroździ im drogę, Petrac na czele, z mieczem gotowym do ciosu i wzniesioną tarczą. Nagle znalazł się naprzeciwko potężnego Skandianina o siwej brodzie i zmierzwionej czuprynie, przykrytej rogowym hełmem. Zdążył jeszcze zanotować, że pozostali wojownicy wyglądają bardzo młodo, a potem jego wzrok padł na wielką nabijaną ćwiekami maczugę, która zastępowała Skandianinowi prawe ramię.

Thorn walnął nią w tarczę Madziara. Pirat zachwiał się. Thorn uderzył go metalową tarczą w nieosłonięty splot słoneczny. Madziar stracił dech w piersiach i zgiął się w pół. Kolejny cios maczugi dokończył dzieła, miażdżąc mu żebra. Mężczyzna padł na ziemię.

Hal osłonił się przed wymierzoną w niego włócznią, odwracając tarczę tak, że włócznia zsunęła się po niej. Jego przeciwnik, przygotowany, że napotka większy opór, stracił równowagę i poleciał do przodu. Hal, pamiętając wskazówki Thornia – że wystarczy precyzyjny ruch samym czubkiem klingi – wymierzył prędko cios. Ostrze zagłębiło się między żebrami mężczyzny, na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i strachu. Hal wyciągnął miecz i odepchnął rannego tarczą, przestąpił nad nim i ruszył dalej.

Za jego plecami Ulf również parł przed siebie, z toporem wzniesionym do ciosu i groźną miną, zdeterminowany, szukając wzrokiem jakiegoś przeciwnika. Jeden z piratów uchwycił jego spojrzenie i skoczył do przodu, zamierzając się mieczem. Ulf przyjął cios na tarczę i zadał toporem cios z boku. Godziny ćwiczeń pod okiem Thornia nie poszły na marne. Topór trafił mężczyznę w żebra. Padł na ziemię, z dziwnym okrzykiem, przypominającym łkanie. Ulf wyciągnął topór z jego ciała i odparował cios innego Madziara, który, początkowo pewien łatwego zwycięstwa, zbladł na widok zimnej furii w oczach Skandianina. Cofnął się i wpadł na jednego ze swoich, a ten popchnął go z powrotem do przodu. Mężczyzna stracił równowagę. Nawet nie zauważył błyskawicznego ciosu, który zadał mu z boku Hal.

Stig siał prawdziwy postrach. Wymachiwał toporem z taką mocą i szybkością, że wrogowie rozpięchli się w popłochu – ku wielkiemu niezadowoleniu Thornia, który kilku już sobie upatrzył. Topór w rękach Stiga zmienił się w wirującą plamę światła. Thorn przystanął i przez chwilę podziwiał niezwykłą zręczność swego ucznia. Stig walnął w tarczę kolejnego przeciwnika i rozplątał go jednym ciosem, a głowicą uderzył następnego, który poleciał do tyłu.

– Nieźle. Całkiem nieźle – mruknął Thorn z podziwem. Nagle, dostrzegłszy jakiś ruch kątem oka, przyjął na tarczę cios miecza, po czym zdzielił Madziara maczugą w głowę.

Lydia wspięła się na stos drewna, które wyrwało z palisady, kiedy chłopcy forsowali bramę. Przez chwilę bacznie przyglądała się walczącym. Zauważyła mężczyznę, który wydawał rozkazy Madziarom i posyłał kolejnych ludzi do walki.

– Koniec zabawy – mruknęła i wyrzuciła pocisk z atlatla. Dowódca właśnie popychał kolejnego podwładnego w stronę nacierających Skandian, wymachujących toporami i mieczami. Ciężka strzałka trafiła go w pierś, bez trudu przebijając skórzaną zbroję, a siła uderzenia powaliła na ziemię.

Na ten widok otaczający go towarzysze poczuli się zagrożeni. Kolejna strzałka dosięgła jednego w ramię. Zatoczył się i osunął na kolana, złamany nagłym bólem. Ten, który stał najbliżej, z przerażeniem spojrzął na smukłą dziewczęcą postać. Ich oczy się spotkały. Zobaczył, jak dziewczyna wyciąga z kołczana kolejny zabójczy pocisk, nawet na sekundę nie spuszczając z niego wzroku.

W pewnym momencie nie wytrzymał. Odwrócił się i rzucił do ucieczki. Następny zaraz



poszedł w jego ślady, potem jeszcze jeden i kolejny.

Hal, który właśnie walczył ze szczególnie zajadłym przeciwnikiem, krzyknął na ten widok:

– Uciekają!

Madziar zareagował odruchowo. Przestraszony, że zostanie sam przeciwko całej hordzie, prędko obejrzał się przez ramię. Zdążył zobaczyć, że jego towarzysze rzeczywiście uciekają i w tym samym momencie miecz Hala trafił go w udo. Nogi się pod nim ugięły i padł bezwładnie na ziemię zasłaną kawałkami drewna.

Strach mężczyzn, walczących na tyłach, udzielił się pozostałym. Petrac, ich przywódca, nie żył. Nie żył też Agrav, który na krótko zajął jego miejsce. Madziarowie, walczący na pierwszej linii, przerazili się, że zostali sami.

Po chwili i oni uciekli.

Czapple, wznosząc triumfalne okrzyki, rzuciły się w pogoń, ale powstrzymał ich donośny głos Thorny.

– Stop! Natychmiast!

Bał się, że jeśli teraz rozbiegną się w wąskich uliczkach, bez ładu i składu, bez pomysłu, dokąd tak naprawdę zmierzają i co mają robić, straci co najmniej połowę z nich. Wolał pozwolić Madziarom na ucieczkę i zatrzymać swych młodych wojowników przy sobie.

Jednakże nie wszyscy Madziarowie zdołali uciec. Zanim zdążyli schronić się w płataninie wąskich uliczek, Lydia wypuściła kolejny pocisk i kolejny pirat padł na bruk twarzą w dół.

W końcu szal bitewny minął. Skandianie podliczyli straty. Kilku z nich było lekko rannych. Na ziemi leżało kilkunastu Madziarów, niektórzy martwi, inni ranni i niezdolni do walki.

Thorn pomyślał, że to całkiem niezły bilans. Uśmiechnął się do Hala.

– Świetnie się spisałeś. Ty i Stig, i cała reszta. Naprawdę doskonale.

Hal niepewnie kiwnął głową. Teraz, kiedy już było po wszystkim, ogarnął go strach.

W wyobraźni znów zobaczył wymierzoną w siebie włócznię. Tylko że tym razem nie ześliznęła się po tarczy, a zagłębiła w jego ciało. Przymknął oczy, próbując pozbyć się tego obrazu. Potem otworzył je i spojrzał na Thorny. Podciągnął tarczę wyżej na ramieniu i powiedział:

– Poszukajmy Zavaca.





Thorn zmierzył wzrokiem swój oddział. Jak na razie, radzili sobie świetnie, ale zdawał sobie sprawę, że jest ich niewielu i każda kolejna grupa Madziarów zapewne będzie mieć nad nimi przewagę liczebną. Nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać, jakiej broni użyją przeciwko nim wrogowie. On wiedział, że muszą utrzymać dyscyplinę i nadal tworzyć zwartą grupę.

Zwrócił się do jednego z limmatan:

– Którędy można najszybciej dotrzeć do nabrzeża? Wszystko wskazywało na to, że piraci mają marne szanse: bramy broniła nieliczna grupka wartowników i nie przyszły im z pomocą żadne posiłki. Zamac na pewno postąpi jak każdy żeglarz, będzie próbował dotrzeć do portu i wsiąść na okręt. Tylko tam mógł poczuć się pewniej. Thorn, weteran niezliczonych morskich wypraw, doskonale znał to uczucie.

Mężczyzna wskazał jedną z uliczek po lewej stronie.

– Tędy można dotrzeć do głównego placu – powiedział. – A z niego prowadzi główna ulica do portu.

Thorn wyciągnął rękę z przymocowaną maczugą we wskazanym kierunku.

– W takim razie ruszamy. Stig, pójdziesz z nim przodem. Trzymaj się w odległości jakichś dziesięciu metrów, ale nie znikaj nam z oczu. Zatrzymuj się na każdym rogu czy zakręcie, póki cię nie dogonimy. Pozostali, ustawcie się w dwa szeregi, po przeciwnych stronach ulicy. Pojedynczo, co trzy metry. Nie zbijajcie się w grupy, bo staniemy się łatwym celem.

Te środki ostrożności okazały się jednak całkowicie zbędne. Wszyscy Madziarowie, którzy nie zdążyli opuścić miasta, dostali się w kleszcze, utworzone przez oddziały Barata i Skandian pod wodzą Svengala. Czaple napotkały tylko niewielkie grupki, złożone z dwóch-trzech ludzi, którzy na widok zdyscyplinowanej formacji uzbrojonych wojowników uciekali, gdzie pieprz rośnie.

Pojawił się inny problem – mieszkańcy miasta. Kiedy zorientowali się, że najeźdźcy uciekają, wylegli na ulice, by powitać i uściskać swych wybawicieli. Thorn z trudem torował sobie drogę w tłumie, Hal szedł tuż za nim.

Pierwszą większą grupę uzbrojonych ludzi spotkali dopiero na placu. Stig i przewodnik, dotarłszy do wylotu wąskiej uliczki, wiodącej do placu, wyszli na otwartą przestrzeń. Stig zatrzymał się, wznosił tarczę i topór. Na ten widok Thorn kazał im utworzyć zwarty oddział.

Z uliczki po przeciwnej stronie placu wynurzyła się grupa ponad trzydziestu mężczyzn. Na widok Stiga pierwszy z nich również przybrał postawę bojową. Ale po chwili obie strony opuściły broń.

– To ludzie Barata – powiedział przewodnik i ruszył przez plac, pozdrawiając swych ziomków. Tamci również wyszli mu na spotkanie, zaczęli ściskać go i witać radośnie. Stig poczekał na towarzyszy, po czym razem ruszyli przed siebie. Obie grupy spotkały się pośrodku placu. Przez chwilę żartowali i dzielili się wrażeniami z bitwy.

Jonas, pierwszy oficer, podszedł do Hala i z wdzięcznością uściśnął mu dłoń.

– Świetna robota! – powiedział z entuzjazmem. – Udało wam się odwrócić ich uwagę. Nie napotkaliśmy żadnego oporu. Po prostu przeszliśmy sobie przez ogrodzenie. A wszyscy Madziarowie, których mieliśmy szczęście spotkać, zwiewali przed nami jak króliki.



W budynku władz miejskich Rikard i niewielka grupa jego towarzyszy obserwowali z przerażeniem Skandian i limmatan, którym najwyraźniej dopisywał wyśmienity humor. Rikard przeklinał swój marny los. Zbyt długo zwlekał z ucieczką. Nie wiedział, gdzie się podziewa Zavac ze swą drużyną, sądził, że mogą oni wrócić w każdej chwili. A teraz było za późno. Wróg znajdował się tuż.

– Musi ich być co najmniej czterdziestu czy pięćdziesięciu – mruknął.

Jeden z jego ludzi, który raczej nie myślał bardzo szybko – o ile w ogóle myślał – dotknął palcem ostrza krótkiej szabli.

– Kiedy atakujemy, wodzu? – zapytał. Zwykle napadał na nieuzbrojonych, bezbronnych cywilów i w rezultacie wierzył, że na jego widok wróg zawsze weźmie nogi za pas.

Rikard rzucił mu spojrzenie pełne bezbrzeżnej pogardy.

– Kiedy atakujemy? Jesteś obłąkany czy niedorozwinięty? Na zewnątrz czeka armia uzbrojonych ludzi. Mają nad nami przewagę rzędu czterech do jednego i pałają żądzą zemsty. Musimy się stąd wynosić. Przedostać się jakoś na okręt. I cicho mi być! – dodał wściekłym szeptem.

Członkowie załogi „Rai” przeszli w ciszy na tyły budynku, wydostali się z niego tym samym wyjściem, z którego wcześniej skorzystał Zavac, a potem przemknęli uliczkami, wiodącymi do portu, raz po raz oglądając się za siebie, czy przypadkiem nie ścigają ich połączone siły Skandian i mieszkańców miasta.



Barat utorował sobie drogę między rozradowanymi wojownikami. Z daleka widział Stiga, którego sylwetka górowała nad tłumem, pogrążonego w rozmowie z Jonasem. Skierował się ku nim i zatrzymał dopiero, kiedy dumnie wypiętą pierś niemal dotknął szerokiej klaty Stiga.

Ten wyciągnął rękę na powitanie.

– Barat! Jak miło cię widzieć.

Barat odepchnął jego dłoń i spojrział w uśmiechniętą twarz Stiga, purpurowy ze złości.

– Mamy rachunki do wyrównania – oświadczył. Stojący dokoła mężczyźni cofnęli się niepewnie. Członkowie załogi „Czapli” wyraźnie zagniewani, ludzie Barata zaś zakłopotani zachowaniem swego dowódcy.

Stig uważnie zmierzył rozmówcę wzrokiem. Wielkim wysiłkiem woli zdołał utrzymać nerwy na wodzy. Thorn patrzył na niego, zdumiony, jak bardzo Stig zmienił się i wydorósł. Zaledwie parę miesięcy temu zareagowałby bardzo agresywnie na słowa Barata. „Nasz olbrzym jest już duży”, pomyślał. Być może miało to coś wspólnego z tym, że pełnił odpowiedzialną funkcję pierwszego oficera, a w czasie bitwy nawet zastępował Hala przy sterze. Istniały jednak pewne granice jego wytrzymałości.

– Uspokój się, Barat – powiedział Stig, nadal opanowanym głosem. – Właśnie świętujemy zwycięstwo. To nie jest odpowiedni moment na kłótnie.

Barat ryknął śmiechem.

– No jasne, wcale mnie nie dziwi, że nie masz ochoty na kłótnie, skoro tym razem jestem przygotowany do walki. To nie w twoim stylu, co, tchórze?

Twarz Stiga oblała się rumieńcem. Mieszkańcy zareagowali na słowa swego przywódcy pełnym dezaprobaty pomrukiem. Jonas wystąpił naprzód i położył rękę na ramieniu dowódcy.

– Baracie, tak nie można. Ci chłopcy wyświadczili nam ogromną przysługę.

– Czyżby? To głównie my musieliśmy tłuc się z wrogiem. Ale miło z ich strony, że zjawili się, kiedy jest już po wszystkim!

Jonas potrząsnął głową z zakłopotaniem.

– Nie napotkaliśmy prawie żadnego oporu! – zauważył. – Madziarowie nie czekali na nas przy palisadzie, ponieważ Hal i jego ludzie odciągnęli ich uwagę. Tylko dwóch spośród nas odniosło rany, i to drobne. I twierdzisz, że to my najwięcej się napracowaliśmy?

Jego towarzysze podeszli bliżej, coraz głośniejszymi głosami wyrażając poparcie dla słów Jonasa. Barat nie zamierzał jednak ustąpić. Dziobnął palcem pierś Stiga i powiedział:

– Mów sobie, co chcesz, ale ja mam rachunki do wyrównania!

– W takim razie wyrównaj je ze mną – odezwał się niski głos.

Thorn utorował sobie drogę przez tłum, podszedł do Barata i pchnął go lewą ręką. Barat poleciał kilka kroków do tyłu. Kiedy odzyskał równowagę, Thorn już był przy nim. Zbliżył twarz do jego twarzy i podjął:

– Ty śmierzący pyszałku. Przed chwilą patrzyłem, jak ci chłopcy narażają życie dla twojego miasta. A Stig wykazał się wyjątkową odwagą i zaangażowaniem. Nie zamierzamy marnować na ciebie czasu. Najpierw musimy dogonić Zavaca, lecz kiedy go dorwiemy, obiecuję, że wrócę tu i z rozkoszą roztrzaskam ci ten pusty łeb. Poczekaj tylko.

A potem potrząsnął swą potężną maczugą Baratowi przed nosem. Może włosy Thornia pokrywała siwizna, może ubranie przypominało raczej łachmany, ale był potężnym mężczyzną, szczególnie jak na lokalne standardy. Wielka maczuga i łatwość, z jaką nią władał, stanowiły przerażający widok. Barat pobladł. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

Thorn odwrócił się od niego z pogardliwą miną.

– Czaple! Czas ruszać w drogę! I tak straciliśmy mnóstwo czasu, a czeka nas jeszcze trochę pracy! – Rozejrzał się dokoła i odnalazł wzrokiem mężczyznę, który wcześniej służył im za przewodnika. – Hej, ty! Którędy do portu?

Mężczyzna wskazał szeroką ulicę po zachodniej stronie placu.

– Ta ulica wiedzie prosto do portu. Chcecie, bym was poprowadził?

Thorn patrzył przez chwilę we wskazanym kierunku.

– Chyba sobie poradzimy – odparł, po czym dał znak Czaplom i ruszył przed siebie.

Kiedy znajdowali się już niedaleko, dobiegły ich dźwięki, nieomylnie wskazujące na to, że gdzieś tam toczy się walka. Słysząc było uderzenia toporów o tarcze, szczękanie mieczy. I przenikliwe krzyki rannych. Przyspieszył kroku, a po chwili ruszył truchtem, za nim zaś Czaple, w dwóch luźnych szeregach.



Kiedy zawaliły się wieże, w dużym stopniu zawaliła się również siła obronna Madziarów. Svengal i jego ludzie zdołali przedostać się na drugą stronę zatoki, używając zapory jako mostu.

Strażnicy, którzy przeżyli atak na wieżę, widzieli, jak nadchodzą, i rzucili się do ucieczki, rozbici na niewielkie grupki, które poznikały w krętych wąskich uliczkach. Svengal rozdzielił

ludzi i posłał w pogoń za Madziarami, dwie grupy do miasta, a trzecią na nabrzeże. Widział „Kruka”, przycumowanego w porcie. „Raja”, zielony okręt, stała sto metrów dalej. Nagle zobaczył jeźor ognia liżący maszt. Członkowie załogi zeskoczyli na nabrzeże i zaczęli biec w stronę „Kruka”.

– Za nimi! – krzyknął Svengal i rzucił się w pogoń na czele trzeciej grupy. Było ich dziesięciu na dziesięciu.

Później Svengal stwierdził, że wrogowie byli skazani na porażkę. Skandianie mieli nad nimi trzykrotną przewagę liczebną.

Walka była krótka i gwałtowna. Rikard, zobaczywszy nacierającego nań potężnego dowódcę Skandian, pchnął w jego stronę jednego ze swych ludzi, a sam cofnął się, przerażony. Madziarowie nie potrafili walczyć uczciwie. Zwykle atakowali małe załogi handlowych statków lub nieprzygotowane do walki miasta, jak Limmat.

W starciu z wyszkolonymi i pełnymi żądzny walki wojownikami nie mieli większych szans. Svengal jednym ruchem rzucił na ziemię mężczyznę, którego Rikard chciał użyć jako tarczy, a potem powalił samego Rikarda. Niektórzy z piratów próbowali stawiać opór dzikim północnym wojom, ale padli pod ciosami toporów lub skończyli w wodach zatoki.

Kiedy Thorn i Czaple zjawili się w porcie, zostało tylko trzech Madziarów. Padli na kolana i błagali o litość. Skandianie, którzy nie mieli zwyczaju mordować przeciwników z zimną krwią, ulegli prośbom. Niektórzy zaproponowali Madziarom, by ponownie wzięli broń do ręki i spróbowali szczęścia. Piraci byli może tchórzliwi, ale na pewno nie głupi. Nie skorzystali z zaproszenia. W ramach rekompensaty Skandianie skopali im tyłki.

„Raja” stała już w ogniu. Było za późno, by ją ocalić. Płomienie szybko ogarnęły olinowanie, a potem kadłub, chłonąc żarłocznie nasączoną smołą wełnę, której używano do uszczelniania szpar między deskami poszycia.

Svengal odwrócił się na odgłos biegnących stóp. Z ulgą stwierdził, że to nie wróg, lecz Hal, Thorn i pozostali.

– Coś późno – burknął.

– Ale chyba udało ci się zapanować nad sytuacją – stwierdził Thorn. – Nie licząc tego – dodał, wskazując na „Raję”. Przez chwilę wszyscy z przerażeniem przyglądali się płonącemu okrętowi. Żaden żeglarz nie mógł spokojnie patrzeć na coś takiego, nawet jeśli okręt należał do wroga.

Thorn popatrzył na ciała leżące na nabrzeżu i na trzech ocalałych Madziarów.

– Tylko to zostało?

Svengal machnął ręką w stronę miasta.

– Pozostali się rozpierzchli. Posłałem za nimi ludzi. – Spojrzał na Hala i Stiga. – Twoi chłopcy świetnie się spisali – dodał. – Szczególnie młody Hal.

– Owszem – zgodził się Thorn, po czym, rozejrzawszy się po nabrzeżu, zapytał: – Widziałeś Zavaca?

Svengal potrząsnął głową.

– Nie. Ale w końcu się zjawi. Już nie mogę się doczekać.

– Obawiam się, że możesz przeżyć rozczarowanie – wtrąciła Lydia i wyciągnęła rękę przed siebie. Płonący okręt nie zrobił na niej takiego wrażenia jak na pozostałych, w odróżnieniu od nich patrzyła na budynki otaczające port, wypatrując oznak zniszczenia.

Thorn i Svengal pobiegli wzrokiem za jej wyciągniętym palcem. Na końcu zatoki, trzydzieści metrów od brzegu, „Kruk” właśnie podnosił kotwicę. Jak za sprawą magii, wzdłuż czarnych burt ukazały się dwa rzędy wiosel. Zaczęły unosić się i opadać rytmicznie. Drobną falą zmarszczyła wodę u dziobu.

– Nie uda im się wydostać z portu – stwierdził Svengal z zadowoleniem. – Zapora jest zamknięta.

Thorn odwrócił się. Potężna konstrukcja dryfowała na fali przyływu w stronę zachodniego falochronu.

– Chyba ktoś ją właśnie otworzył – zauważył.



## Rozdział 40



A niech go! – warknął Svengal. – Ciekawe, jak teraz wrócimy.

Rozejrzał się, szukając jakiejś drogi na drugą stronę zatoki. Zapora została odcięta, nie mogli zamknąć jej i użyć jako mostu, tak jak poprzednim razem.

– Możemy popłynąć na „Lwie Morskim”! – wykrzyknął Stig, wskazując na niewielki okręt, który Zavac wykorzystał w swoim podstępym planie. Nadal stał, przycumowany do falochronu, tuż przy wejściu do portu. Ale kiedy zaczęli biec w jego stronę, płomienie wybuchły wokół masztu, a po krótkiej chwili ogarnęły olinowanie i rozbiegły się po całym kadłubie.

– Popłyniemy na „Czapli” – powiedział Stig.

Thorn popatrzył na niego i skinął głową.

– Idziesz z nami? – zwrócił się do Svengala.

Skirl pokręcił głową.

– Obejdziemy zatokę i dostaniemy się do „Wilczego Wichru” lądem. Powinniśmy zdążyć.

Zaczęli biec, rozpraszając się po nabrzeżu, najszybsi wyprzedzili pozostałych.

Członkowie załogi „Czapli” stali niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Hal znów spojrzał na „Kruka”. Nagle poczuł przyływ nadziei.

– Utknęli na mieliźnie! – wykrzyknął.

Obawy pierwszego oficera „Czapli” sprawdziły się. Braki w umiejętnościach żeglarskich Zavaca nie wyszły Madziarom na dobre. Źle obliczył odległość, robiąc zwrot w ciasnym kanale i „Kruk” utknął na mulistej mieliźnie. W czasie odpływu była widoczna, lecz teraz zalała ją fala przyływu – tylko że zaledwie na kilka centymetrów. Piracki okręt odpłynął od brzegu, ale po paru metrach utknął na dobre. Nad powierzchnią wody unosił się groźny kształt tarana – ciężkiego, okutego żelazem drąga, sterczącego u dziobu. „Kruk” zarył stępką o dno i przechylił się na bok.

Członkowie załogi biegali gorączkowo po pokładzie. Niektórzy próbowali wiosłować, z nadzieją, że w ten sposób uwolnią okręt, ale „Kruk” utkwiał zbyt głęboko. Inni próbowali za pomocą wiosł zepchnąć okręt z mielizny. Nie mogli jednak znaleźć żadnego punku oparcia, gdyż muł był bardzo miękki i wiosła tylko nurzały się w cuchnącej mazi.

– Wpadli w pułapkę! – stwierdził radośnie Stig. – Mamy ich jak na tacy.

– Nie na długo – odparł Thorn. – Jest przypyływ. Góra dziesięć minut i woda ich uniesie. Ale przez ten czas zdążymy dobiec do „Czapli”.

Odwrócili się i pognali szeroką ulicą, wiodącą do placu. Trzej ocalali Madziarowie wymienili spojrzenia, nie wierząc we własne szczęście. Prędko chwycili broń i zniknęli w jednej z wąskich alejek. Płatanina ciemnych uliczek wydała im się bezpieczniejsza niż szeroka główna arterii miasta.

Ale wrażenie to okazało się złudne. Zdążyli przejść może dwadzieścia metrów i nagle, kiedy skręcili, zza rogu drogę zagroził im tłum, złożony ze wściekłych mieszkańców miasta, uzbrojonych w maczugi, noże, tasaki i stołki kuchenne.

Właśnie szukali madziarskich maruderów, pragnąc zemsty za doznane okrucieństwa. Wszystko rozegrało się bardzo szybko i gwałtownie. Po chwili mieszkańcy ruszyli dalej, zostawiając rozciągnięte na bruku zmaltretowane ciała trzech piratów.



Przy każdym ruchu miecz Hala obijał się o udo. W lewej dłoni wciąż trzymał tarczę, przekręcił więc pas i przytrzymał miecz prawą ręką.

„Niezbyt wygodny strój do biegania”, pomyślał ponuro.

Ale dzielnie parli przed siebie. Ich stopy głośno waliły o bruk, odbijając się echem od murów.

Stig prowadził, Jesper biegł tuż za nim, Hal i Thorn jako następni. Lydia bez trudu dotrzymywała im kroku.

Wpadli na plac. Mieszkańcy miasta i wojownicy zwrócili na nich zdumione spojrzenia, lecz oni nie mieli czasu się tłumaczyć. Stig zawahał się, nie wiedząc, którą z uliczek dotrą do bramy.

– Druga w lewo – zawołała Lydia. Stig skinął głową i znów przyspieszył kroku, a Jesper za nim.

Było późne popołudnie, ulice i alejki spowijał cień. Odgłos ich kroków i pobrzękiwanie oręża odbijały się echem od murów, tworzących wąskie korytarze. Stig spojrzał na Jespera i uśmiechnął się szeroko.

– Wiedziałem, że powinienem być pobiec w tym wyścigu przeciw Tursgudowi – powiedział. Podczas treningu drużyn Hal wybrał do tej konkurencji Jespera, nie Stiga. Stig pogodził się z decyzją przyjaciela, lecz czuł się bardzo rozgoryczony i nadal uważał, że Hal popełnił błąd.

Jesper spojrzał na niego.

– Czyżby? – zapytał, a potem przyspieszył i po krótkiej chwili dogonił Stiga, po czym go wyprzedził. Teraz Stig przyspieszył, ale odległość między nimi rosła coraz bardziej. Patrząc na oddalające się plecy Jespera, Stig mruknął pod nosem:

– Albo i nie.

Jeszcze nim zobaczyli bramę, dobiegł ich zapach spalonego drewna. A potem pokonali jeszcze jeden zakręt i byli na miejscu. Przez dziurę po spalonej bramie widzieli zgrabną sylwetkę

„Czapli” na piaszczystym brzegu. Przyływ już dosięgał dziobu, już kołysała się na drobnych falach.

Chłopcy wylegli na plażę. Jesper zatrzymał się w połowie drogi i wyciągnął kotwicę brzegową – Stefan, który przez cały czas czekał na nich, opiekując się Ingvarem, wsadził ją w piach pod ich nieobecność. Jesper potrząsnął kotwicą i posłał triumfalny uśmiech Stigowi, który został kilka metrów z tyłu.

– Coś mówiłeś na temat Tursguda? – zapytał.

Stig wzruszył ramionami, a potem wyciągnął rękę.

– Lepiej ja to wezmę. Jesteś zbyt delikatny, żeby dźwigać taki ciężar.

Razem ponieśli kotwicę.

Poziom wody szybko się podnosił. Hal pomyślał, że na szczęście nie muszą spychać „Czapli” na wodę. Byłoby to trudne zadanie, teraz, kiedy zabrakło Ingvara.

– Wszyscy na pokład! – krzyknął. – Stig, Jesper, popchnijcie łódź!

Pobiegł do steru. Stig i Jesper wsparli się o dziób i pchnęli „Czaplę” na głębszą wodę. Pomocne dłonie towarzyszy wciągnęły ich na pokład.

– Stig! Stefan! Podnieście prawy żagiel! – rozkazał Hal.

Liny zaskrzypiały o drewniane bloczki. Prawa rejka uniosła się i wskoczyła na miejsce z głuchym szcęknięciem. Łódź odwróciła się do wiatru. Przez chwilę Hal pozwolił jej tak płynąć, po czym kilka razy poruszył rumplem, by zmienić kierunek.

Kiedy Ulf i Wulf wybrali żagiel, wiatr wypełnił płótno i „Czapla” zaczęła obracać się szybciej. Thorn, nie czekając na rozkazy, umieścił płetwę w szczelinie. Hal od razu poczuł zmianę. Obrócił łódź do momentu, aż ustawiła się z wiatrem. Ulf i Wulf poluzowali żagiel, „Czapla” zaczęła nabierać prędkości. Plusk fal, rozbijających się o kadłub, stawał się coraz szybszy i głośniejszy. Łódź skierowała się w stronę wejścia do portu, zostawiając za sobą białą grzywę kilwaternu.

Thorn stanął obok Hala. Obaj rozglądali się niespokojnie, szukając sylwetek „Kruka” i „Wilczego Wichru”.

– Myślisz, że zdążymy? – zapytał Hal. Ton jego głosu zdradzał desperację. Byli tak blisko. Tak mało brakowało, by dopadli Zavaca i odzyskali Andomal. Tak niewiele dzieliło ich od powrotu do domu.

Thorn wzruszył ramionami. Nauczył się, że nigdy nie należy ani martwić się, ani cieszyć na zapas. Jak zdążą, to zdążą. Jak nie, czeka ich długa pogoń za „Krukiem”.

Zachodzące słońce wisiało nisko nad horyzontem. Patrzyli przed siebie, osłaniając oczy przed blaskiem. Na razie nie było widać żadnego okrętu.



Svengal i jego ludzie zdążyli okrążyć port i byli już w połowie zachodniego falochronu, kiedy „Kruk”, uniesiony falą przyływu, uwolnił się z pułapki na mieliźnie.

Kiedy go mijali, kilku Madziarów obrzuciło ich wyzwiskami i pogroźkami.

– Nie marnujcie na nich sił – powiedział Svengal do swych towarzyszy. – Będą wam potrzebne.

Spojrzał przez ramię i zobaczył, jak „Kruk” rusza z miejsca. „Wilczy Wicher” znajdował się zaledwie sto metrów dalej. W innych warunkach nie zdołaliby dogonić „Kruka” i przeciąć mu drogi. Tylko że wyjście z portu nie było takie proste, „Kruk” musiał lawirować między łodziami rybackimi, zacumowanymi wzdłuż brzegu. „Kruk” posuwał się więc do przodu powoli



i ostrożnie.

Po chwili Skandianie wdrapali się na pokład „Wilczego Wichru”. Wiosła zagrzechotały w dulkach. Svengal miał tylko dziesięciu ludzi – pozostali gonili Madziarów po uliczkach Limmat. Miał nadzieję, że tylu wystarczy i że uda im się zatrzymać Zavaca do przybycia Thornia i Hala.

Pomyślał, że nawet wtedy piraci będą mieć nad nimi przewagę liczebną. Ale potem drapieżny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Liczebność wroga nie miała większego znaczenia. W końcu byli Skandianami!

Przesunął ster, a mężczyźni zaczęli wiosłować, po pięciu przy każdej burcie. Wąski strumień prowadził przez mokradła wprost na pełne morze. Svengal jeszcze raz spojrzął w stronę portu i zobaczył maszt „Kruka”, który zdawał się przesuwać wśród piasków i wysepek, rozsianych na mokradłach, w coraz szybszym tempie, bo opuścił już ciasny port i wypłynął na wody zatoki. Ale „Wilczy Wicher” miał nad nim przewagę.

Pomyślał, że to będzie bardzo bliskie spotkanie. Nie było czasu na subtelne manewry – musieli po prostu odciąć tamtą drogę, podpłynąć i dokonać abordażu. Mieli tylko jedną szansę. Kiedy „Kruk” wypłynie na pełne morze i rozwinie prędkość, już go nie dogonią.

Ale „Wilczy Wicher”, którego odciążyli przed przeprawą przez mokradła, reagował niespodziewanie dobrze. Svengal nie musiał poganiać swoich ludzi, wiosłowali zapamiętale, i okręt, zanurzony na głębokość zaledwie dwudziestu-trzydziestu centymetrów, prędko pomknął po wodach strumienia i wypłynął na morze.

Svengal znowu się obejrzał. „Kruk” zbliżał się do wyjścia z portu. Również rozwinął pełną prędkość. Odległość między dwoma okrętami nie zmniejszała się ani nie zwiększała. „Wilczy Wicher” wytrzymywał konkurencję. Svengal zdawał sobie jednak sprawę, że to jego ludzie zmęczą się pierwsi podczas tego wyścigu.

„Thornie, pospieszcie się”, powiedział w myślach. „Jesteście nam potrzebni”.



## Rozdział 41



„Kruk” zostawił za sobą wejście do portu. Zavac triumfalnym gestem uderzył w ster. Udało się!

Nagle ze zdumieniem zobaczył jakiś okręt, nadpływający od strony mokradeł. Nie

zauważył go wcześniej, bo „Wilczy Wicher”, pozbawiony masztu, niemal znikł pośród piaszczystych łach i karłowatych drzewek.

Teraz jednak znalazł się na pełnym morzu. Fala pieniała się u jego dziobu. Zavac pomyślał, że obcy okręt wygląda jak gigantyczny skif. Poruszał się w dużym tempie i po chwili Zavac ujrzał rogate hełmy załogi.

Skandianie.

Mrużąc oczy, przyjrzał się bacznie okrętowi. Humor zaraz mu się poprawił. Naliczył bowiem tylko dziesięć wioseł, po pięć u każdej burty. A więc załoga liczyła zaledwie dziesięciu ludzi, podczas gdy na pokładzie „Kruka” znajdowało się ponad czterdziestu.

Oczywiście, bez trudu mógłby pokonać Skandian. Tylko że wcale nie musiał stawać do walki. Nie miał ochoty na spotkanie ze Skandianami, nawet dziesięcioma. Zamiast tego zamierzał zrobić zwrot w lewo i po prostu zostawić ich daleko w tyle. Nie zdołają utrzymać takiej prędkości jak „Kruk”, skoro było ich tylko dziesięciu. Spojrzał na słońce, które zdawało się balansować na linii horyzontu, wielkie i czerwone. Za pół godziny zrobi się ciemno, a wtedy uciekną.

Wsparł się na sterze, przygotowując się do zwrotu w lewo. Byle dalej od wilczego okrętu. Im bardziej zwiększy odległość między nimi, tym dłużej potrwa pościg i tym prędzej zmęczą się skandyjscy wiosłarze.

I zostaną daleko w tyle. Uśmiech rozjaśnił twarz Zavaca.

– Żagiel! Żagiel po lewej!

Uśmiech momentalnie znikł. Zavac odwrócił się prędko. To był ten przeklęty okręcik z cudacznym trójkątnym żagielkiem.

Płynął z wiatrem, woda bryzgała po obu stronach dziobu tnącego fale. Znajdował się dalej na morzu niż oni i poruszał się z większą prędkością. Utrzymując ten kurs, z łatwością mógł przeciąć im drogę.

Istniało tylko jedno rozwiązanie. Zawrócić w prawo, w stronę wilczego okrętu.

I staranować go.



Svengal zobaczył, że czarny okręt zawraca w ich stronę. Przez chwilę czuł euforię, kiedy „Czapla” wychynęła zza przylądka i zmierzała prędko przed siebie, by odciąć piratom drogę. Teraz, kiedy zdał sobie sprawę z zamiarów Zavaca, nic nie zostało z chwilowego uniesienia. Tylko „Wilczy Wicher” przeszkadzał „Krukowi” w wydostaniu się na wolność. Piracki okręt zmierzał prosto na nich, wiosłarze pracowali zawzięcie.

– Wiosłujcie z całych sił! – krzyknął Svengal do swoich ludzi. – Wiosłujcie, jakby chodziło o życie!

Nie mógł zawrócić, bo wówczas musieliby stanąć do walki z „Krukiem”, a nie mieli szans w starciu z okrętem uzbrojonym w taran. Mogli tylko odczekać i zrobić unik w ostatniej chwili. Gdyby udało im się uniknąć pierwszego ataku, byłiby uratowani. Zavac nie zawróci, by zaatakować ponownie, bo będzie się bał, że przez ten czas dogoni go „Czapla”. Wiosłarze wyętzali siły, dysząc ciężko. Svengal zaczął mierzyć kąty, prędkość i odległości. Po chwili stwierdził, że się uda. Unikną zderzenia z taranem, dosłownie o parę metrów.

Ale to wystarczy. Wygrają!

Nagle jednak zauważył, że „Kruk” nabrał jeszcze większej prędkości.



– Tam są!  
To Stig pierwszy zauważył oba okręty. Hal pochylił się, bo maszt zasłaniał mu widok. Najpierw „Kruk” zdawał się uciekać przed „Wilczym Wichrem”. Wiosła były pianę wzdłuż burt okrętu. Ale po chwili zawrócił w prawo. Widocznie Madziarowie też ich zauważyli. „Kruk” i „Wilczy Wicher” zbliżały się do siebie nieuchronnie. Thorn, stojący obok Hala, patrzył razem z nim na dwa okręty.  
– Uda im się! – krzyknął Hal. Doświadczenie podpowiadało jednak Thornowi coś innego.  
– „Kruk” blefuje – powiedział cicho. Radość Hala momentalnie zmieniła się w przerażenie. Thorn miał rację. „Kruk” przyspieszył. Taran, niczym gigantyczna strzała, celował prosto w delikatny kadłub „Wilczego Wichru”.



Kiedy Svengal stwierdził, że kolizja jest nieunikniona, a „Kruk” mierzy taranem prosto w nich, podjął desperacką decyzję.  
– Wszyscy na lewą burtę! Prędko! – krzyknął.  
Rozkaz wydawał się bezsensowny. Czarny okręt znajdował się właśnie po ich lewej stronie, instynkt podpowiadał każdemu, by uciekać na prawą. Ale Svengal wiedział, co robi. Pod ciężarem mężczyzn „Kruk” przechylił się i zanurzył, tak że nad powierzchnię wody wystawała tylko górna część kadłuba. Svengal liczył na to, że w ten sposób zmniejszy rozmiary zniszczenia. Potężne uderzenie wstrząsnęło okrętem. Svengal stracił równowagę i padł na deski pokładu. W lewej burcie ziała wielka szczelina. Svengal słyszał triumfalne okrzyki piratów i skargi własnych ludzi, którzy odnieśli obrażenia podczas kolizji. Podniósł się i rozkazał:  
– Weźcie wiosła i odepchnijcie okręt!  
Morska woda zaczęła wdierać się na pokład. Taran, potężna dwumetrowa belka wzmocniona żelaznymi sztabami, skryta tuż pod powierzchnią wody, wywaliła w poszyciu kadłuba kwadratową dziurę szerokości trzydziestu centymetrów. Przez chwilę taran tkwił ciasno w otworze niby wielki korek, ale kiedy „Kruk” zaczął się cofać, woda znalazła swobodny dostęp do środka okrętu. Svengal i jego ludzie musieli się spieszyć.  
Czterech członków załogi próbowało za pomocą wiosel uwolnić „Wilczy Wicher”. Okręty były jednak nadal szczipione taranem i ich wysiłki nie odniosły większego skutku. Svengal usłyszał, jak Zavac wydaje rozkaz swoim ludziom. „Kruk” zaczął się cofać. Woda buchnęła niepowstrzymanym strumieniem. „Kruk” zrobił zwrot i ruszył na zachód. Svengal usłyszał jeszcze wzgardliwy śmiech Zavaca.  
Svengal chwycił wiadro i krzyknął do swoich ludzi, by zaczęli wybierać wodę. Wiedział jednak, że to na nic. Było ich za mało. Los „Wilczego Wichru” zdawał się przesądzony. Wiedział, że to złamie serce Eraka. Jego przyjaciel nigdy mu nie wybaczy.



Czaple z daleka usłyszały straszliwy trzask, który towarzyszył zderzeniu okrętów. Ktoś jęknął, chyba bezwiednie naśladowując agonię „Wilczego Wichru”, kiedy taran rozplątał delikatne poszycie burty.

Widzieli, jak Svengal kazał ustawić się załodze przy lewej burcie, by zapobiec większym szkodom. Ale kiedy „Kruk” się oddalił, zobaczyli, że niewiele to pomogło. W burcie ziała wielka dziura, zbyt wielka, by nieliczna załoga „Wilczego Wichru” mogła sama sobie z nią poradzić.

Potem „Kruk” odpłynął. „Wilczy Wichur” unosił się na falach, niebezpiecznie przechylony na jedną stronę. Nie zatonął jeszcze tylko dzięki temu, że wcześniej został pozbawiony masztu i balastu i miał niewielkie zanurzenie. Wszyscy rozumieli jednak, że uszkodzenia są poważne i okręt lada chwila może pójść na dno.

– „Kruk” zmierza prosto na nas! – krzyknął Edvin ze swojej pozycji na dziobie.

Hal sądził, że „Kruk” popłynie z wiatrem. Ale tak się nie stało. Widocznie Zavac chciał mieć pewność, że nikt nie będzie go ścigał. Wiosła poruszały się rytmicznie, na wodzie utworzyła się biała grzywa. Kiedy „Kruk” unosił się na fali, wyraźnie było widać groźny taran.

Hal ukucnął i skierował wzrok przed siebie, używając forsztagu jako punktu odniesienia. Stwierdził, że kąt między kursem „Kruka” i „Czapli” zmienia się bardzo powoli, co znaczyło, że nie istnieje ryzyko kolizji. Jeśli „Kruk” i „Czapla” utrzymają obecną prędkość i kurs, „Kruk” minie ich bezpiecznie od strony rufy. Blisko, ale „Czapla” nie była zagrożona.

I nagle uświadomił sobie, że tamtemu właśnie o to chodzi. Mrużąc oczy, przyglądał się bacznie ruchom madziarskich wioślarzy. Tempo było szybkie, ale zapewne potrafili wiosłować jeszcze szybciej.

Thorn podszedł i stanął obok niego.

– Bądź ostrożny – powiedział.

Hal kiwnął głową.

– Wiem. – Nadal nie odrywał wzroku od „Kruka”, pewien, że ten zaraz przyspieszy.

Potem spojrzął na Ingvara, który leżał na pokładzie koło masztu, zawinięty w koce. Pomyślał, że gdyby wcześniej załadowali pocisk, teraz mogliby sprawić Zavacowi niemiłą niespodziankę. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Wiedział, że w tak ryzykownym momencie nie oddałby steru Stigowi.

Teraz! Ruchy wioślarzy nabrały szybszego tempa, w niemal niezauważalny sposób. Hal jednak był na to przygotowany. Biała grzywa spienionej wody u dziobu urosła odrobinę. Znow ukucnął i znow posłużył się forsztagem jako punktem odniesienia. Oba kursy nieodwołalnie zbiegały się w jednym miejscu. Wielki taran mierzyl prosto w serce „Czapli”.

Thorn również zorientował się, że „Kruk” przyspieszył.

– Zmierza...

– Widziałem.

Odległość między „Krukiem” i „Czaplą” malała. Czoło Hala przecięły zmarszczki. Wiedział, że wszyscy członkowie załogi patrzą teraz na niego. Jeśli zrobi zwrot zbyt wcześnie, „Kruk” może szybko zawrócić, dogonić ich, zanim nabiorą odpowiedniej szybkości i walnąć taranem od strony rufy. Aby ucieczka się udała, musiał odczekać do ostatniej chwili, aby Zavac uwierzył, że nie zauważyli zmiany tempa, a potem niespodziewanie zrobić zwrot, tak by ich kursy się nie przecięły. Zavac na pewno spróbuje tylko raz. Hal był przekonany, że jeśli uda mu się utrzymać prędkość i wyminąć „Kruka”, Zavac nie będzie ich ścigał. Zwrot i pościg zajęłyby zbyt wiele czasu. Owszem, Zavac miał wielką ochotę ich zatopić, ale przede wszystkim chciał uciec, czym prędzej zniknąć w zapadających ciemnościach.

„Kruk” był już bardzo blisko. Rósł coraz większy i większy, unosząc się i opadając na falach, tak że co chwila ich oczom ukazywał się straszliwy taran, niby jakiś gigantyczny kieł. Thorn nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Członkowie załogi czekali w całkowitym milczeniu.

Przez jedną straszną chwilę Hal myślał, że źle obliczył odległość. Zaraz jednak zapanował nad ogarniającą go paniką. Za chwilę miał wyminąć „Kruka”. Zobaczył, że Zavac

skręcił lekko w lewo, odciągnął ster i krzyknął do bliźniaków:

– Luzujcie szoty! Prędko!

Przez cały czas lewy żagiel był postawiony i wybrany. Teraz, kiedy „Czapla” zaczęła skręcać w lewo, bliźniacy wypełnili rozkaz Hala. Wiatr wydał płótno żagla. Łódź zrobiła szybki zwrot, tak niespodziewanie, że Zovac nie zdążył zareagować. Hal w myślach pogratulował sobie pomysłu z płetwą, dzięki której łódź była wyjątkowo zwrotna i szybka.

„Thorn miał rację”, pomyślał. „szybkość i zręczność, oto nasze największe atuty”.

Zovac usiłował zrobić podobny zwrot, ale było za późno, a jego okręt reagował zbyt wolno na poruszenia steru. „Kruk” i „Czapla” minęły się, „Kruk” przeciął smugę kilwateru, którą zostawiła po sobie łódź Skandian. Na widok wściekłych min piratów chłopcy zaczęli dziko wiyatować.

Zovac, stojący u steru, potrząsnął pięścią. Jego twarz pociemniała ze złości. Nagle Hal zobaczył na niej przerażenie. Pirat dał nura w dół, w ostatniej chwili jeszcze przesunął ster. „Kruk” gwałtownie zmienił kurs i oddalił się od „Czapli”. Sekundę później powietrze z sykiem przecięła długa strzałka i uderzyła w ster.

– Pudło! – stwierdziła zde gustowana Lydia. Odległość między okrętami szybko rosła.

– Stawiają żagiel! – krzyknął Edwin.

Rzeczywiście, wielki prostokątny żagiel rozwinął się i wypełnił wiatrem. „Kruk” nabrał prędkości.

Hal przyglądał mu się, oceniając panujące warunki pogodowe. Wiatr sprzyjał „Krukowi”, ale „Czapla” mogła okazać się szybsza. Musiał tylko czym prędzej ruszyć w pościg.

– Moglibyśmy dogonić ich w ciągu dwóch czy trzech godzin – powiedział.

Thorn przytaknął, lecz milczał. To Hal był skirlem, decyzja należała do niego.

Hal patrzył przed siebie, niezdecydowany. Znajdowali się w połowie drogi między „Krukiem” a „Wilczym Wichrem”. Musiał wybrać. Powiódł wzrokiem od jednego okrętu do drugiego. Z każdą minutą wilczy okręt przechylał się coraz mocniej. Hal wiedział, że bez ich pomocy zatonie, a wraz z nim cała załoga – choć łódź była tak niedaleko.

Ale „Kruk” uciekał. „Kruk”, a na jego pokładzie Zovac i Andomala, największy skarb Skandii.

Uciekał, a wraz z nim uciekała jedyna szansa Hala i jego towarzyszy na odzyskanie normalnego życia i powrót do kraju. Jeśli nie odzyskają Andomala, na zawsze pozostaną wyrzutekami, pariasami, bez ojczyzny, bez przyszłości, bez honoru. „Kruk” był coraz dalej. Wkrótce zapadnie ciemność i piracki okręt całkiem zniknie im z oczu.

A wraz z nim nadzieja na szczęśliwą przyszłość. Musiał podjąć decyzję. I to już, teraz.

Wziął głęboki oddech. Uświadomił sobie, że właściwie nie musi decydować. Nie miał wyboru. Mógł obrać tylko jeden kurs. Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość.

– Szykujcie się do zwrotu – zawołał. – Płyniemy na pomoc „Wilczemu Wichrowi”!





Łagodnym łukiem ruszyli w stronę okrętu Skandian.

– Przygotujcie wiadra i czerpaki! Wszelkie możliwe naczynia! Kiedy tylko dopłyniemy, przeskoczcie na pokład „Wilczego Wichru” i zacznijcie wybierać wodę!

Lydia podeszła do niego i zapytała:

– A czy ja mogę się na coś przydać?

– Tak samo jak reszta, weź wiadro i wybieraj wodę. Musimy się pospieszyć, inaczej okręt pójdzie na dno.

– A nie da się jakoś zatkać dziury? – spytała, lecz w jej głosie słychać było powątpiewanie. Wszyscy widzieli potężny taran u dziobu „Kruka”. Dziura miała pewnie z pół metra. Hal spojrzął na Ulfa i Wulfa, stojących w gotowości, by strymować szoty.

– Też się nad tym zastanawiam – odparł i znów spojrzął przed siebie. Lewy żagiel był podniesiony. Nie musieli już robić zwrotu. Krzyknął: – Ulf! Wulf! Odetnijcie prawy żagiel od rejki i weźcie go ze sobą na pokład „Wilczego Wichru”.

Bliźniacy jednocześnie skinęli głowami. Działali jak jeden organizm. Wyciągnęli saksy i zaczęli przecinać pętelki, którymi żagiel był przymocowany do rejki, a potem zwinęli ciężkie płótno.

„Czapla” była prawie u celu. Hal uznał, że nadszedł odpowiedni moment i kazał bliźniakom poluzować żagiel. „Czapla” zwolniła. Po chwili jej dziób znalazł się obok rufy „Wilczego Wichru”. Stig stał na dziobie z przygotowaną liną. Hal pomyślał z wdzięcznością, że Stig to idealny pierwszy oficer. Nie czekał na rozkazy. Kiedy „Czapla” delikatnie uderzyła o rufę wilczego okrętu, Stig obwiązał linę wokół tylnej stewy i zaciągnął ją mocno.

Hal pomyślał, że jeśli „Wilczy Wicher” zacznie tonać, będą musieli prędko ją przeciąć. Przywiązał rumpel i pospieszył za swymi towarzyszami, którzy już przeskakiwali na pokład okrętu. Ulf i Wulf czekali koło masztu, trzymając między sobą zwinięty żagiel. Ich miny wyraźnie świadczyły o tym, że nie mają pojęcia, co Hal zamierza z tym zrobić, ale są gotowi wypełnić jego rozkazy.

– Za mną! – polecił.

Hal przeskoczył na pokład okrętu. W chwili, gdy jego stopy dotknęły desek pokładu, zdał sobie sprawę, że „Wilczy Wicher” nabrał naprawdę dużo wody. Podczas gdy „Czapla” unosiła się na wodzie lekko niczym ptak morski, „Wilczy Wicher” zdawał się ciężki i niezgrabny, jakby raczej stanowił część oceanu niż unosił się na jego falach.

Minął członków obu załóg, którzy gorączkowo wybierali wodę. Teraz, kiedy przybyło rąk do pomocy, robota szła znacznie szybciej.

Svengal spojrzął na niego, a potem, ze zdumieniem, na żagiel w rękach bliźniaków.

– Miło z waszej strony, ale nie mamy dodatkowego masztu – powiedział.

– Przewiesimy żagiel przez dziób i przeciągniemy pod spodem, aż zakryje dziurę – wyjaśnił Hal. – To powinno powstrzymać napływ wody.

Svengal zrobił wielkie oczy.

– Dobry pomysł – stwierdził, a potem ruszył na dziób, torując sobie drogę między członkami obu załóg, wylewających wiadra wody za burtę.

Pospiesznie rozwinęli żagiel, zawiesili na dziobie i pozwolili, by płótno opadło. Ulf i Wulf przeszli na prawą stronę, Hal i Svengal na lewą. Przeciągnęli żagiel pod kadłubem, aż do miejsca, które uszkodził taran.

– Chwileczkę – powiedział Hal. Podniósł porzuconą na pokładzie tarczę i wsunął ją między płótno i dziurę, tworząc coś w rodzaju korka. Potem naciągnęli dokładnie płótno, aż zakryło uszkodzone miejsce. Napór wody sprawił, że płótno przywarło dokładnie do brzegów tarczy.

– Naciągnijcie mocno! – krzyknął Hal. Svengal i bliźniacy pociągnęli za liny, przyczipione na obu krańcach żagla. Płótno, choć ciężkie, gęsto tkane i zaimpregnowane olejem, nie było jednak całkowicie nieprzemakalne, ale w połączeniu z tarczą-korkiem w dużym stopniu powstrzymało napływ wody.

Gwałtowny szeroki strumień zmienił się nagle w cienką strużkę.

Kilku członków załogi „Wilczego Wichru” odwróciło się i przyglądało ich działaniom.

– Wracać do pracy! – ryknął gniewnie Svengal. – To jeszcze nie koniec!

Mężczyźni pospiesznie zaczęli wylewać wodę. Nadal nie dało się odczuć jakiejś znaczącej różnicy, ale po kilku minutach, kiedy osiemnastu ludzi nieprzerwanie machało wiadrami, Hal odniósł wrażenie, że okręt zrobił się lżejszy. Odetchnął z ulgą. Przez cały czas dręczył go niepokój, że wszystkie ich wysiłki pójdą na marne i „Wilczy Wicher” pójdzie na dno, a „Czapla” wraz z nim. Ludzie pewnie by się uratowali, nie zabrakłoby desek, których mogliby się trzymać, ale nieprzytomny Ingvar, którego zostawili na pokładzie, niemal na pewno utonąłby, nim zdążyliby przyjść mu z pomocą.

Teraz, kiedy największe zagrożenie minęło, Hal wskoczył na nadburcie, szukając wzrokiem „Kruka”.

Było już prawie ciemno. W oddali mignął żagiel, a potem okręt rozplynął się na ciemnym tle.

Svengal zaklął pod nosem.

– Znów nam się wymknęli. Ci to mają diabelne szczęście.

Thorn podszedł do nich i kiwnął głową.

– Nic dziwnego. Diabeł dba o swoich.

Hal potrząsnął głową. W ustach czuł gorzki smak porażki. A tak niewiele brakowało. Nawet nie potrafił przypomnieć sobie przekleństw, które mogłoby oddać to, co czuł w tej chwili. Przygarbił się.

Thorn, widząc to, położył mu rękę na ramieniu.

– Nie upadaj na duchu – powiedział. – Ten dzień trudno nazwać całkowitą porażką. Poprowadziłeś atak na miasto, załatwiłeś ponad setkę krwiożerczych piratów, uratowałeś „Wilczy Wicher”, no i przy okazji Svengala i jego ludzi.

– Mną Erak pewnie by się nie przejął – wtrącił Svengal, szczerząc się od ucha do ucha – ale za uratowanie okrętu na pewno będzie wdzięczny.

Hal powiódł wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

– Ale to trochę za mało, by wyrównać utratę Andomala, prawda?

Przyjaciele wymienili spojrzenia. Svengal wzruszył ramionami, a Thorn odparł:

– Później będziemy się tym martwić. Na razie musimy dostać się na brzeg.



## Epilog



Płomienie setek pochodni migotały dokoła placu, kładąc się blaskiem na twarzach mieszkańców miasta, świętujących wyzwolenie.

Całe świnie i barany obracały się na rożnach, ustawionych pośrodku placu, skapujący tłuszcz syczał na pulsującym czerwieniu żarze. Mężczyźni, obracający rożnami, krzepili się kuflami piwa – na tę okazję specjalnie otworzono kilka beczek, a obok już czekały kolejne.

W mieście panowało prawdziwe święto, a drużyny „Czapli” i „Wilczego Wichru” chętnie włączyły się do zabawy. Hal postanowił, że odpłyną po jej zakończeniu. Wraz z wieczornym odpływem znów rzucą się w pogoń za „Krukiem”.

Tyle że nie miał pojęcia, dokąd ich to zaprowadzi.

Na razie jednak mogli cieszyć się i świętować wraz z mieszkańcami miasta – wielu podchodziło, by im podziękować.

Svengal chwycił duży dzban piwa z tacy i klepnął Hala w plecy.

– Szkoda, że nie możemy wam towarzyszyć – krzyknął, próbując przebić się przez panujący hałas, śmiechy i śpiewy.

Hal wzruszył ramionami.

– Musicie doprowadzić okręt do stanu używalności – stwierdził. – Zajmie wam to co najmniej miesiąc.

Dopłynąwszy do brzegu, Hal i Svengal obejrzeni dokładnie „Wilczy Wichru”, by oszacować rozmiar strat. Kilka wręgów zostało zmiżdżonych i wymagało wymiany, podobnie podłużnice, biegnące przez całą długość kadłuba. Oczywiście, należało usunąć i wymienić również zniszczone klepki, tworzące poszycie. Hal, który zdobył sporą wiedzę dzięki naukom w szkutni Andersa, ocenił, że okręt wymaga generalnej naprawy. Zwykle łatanie dziur na nic by się nie zdało.

Svengal ponuro kiwnął głową.

– To prawda – odparł. – Muszę doprowadzić okręt do pierwotnego stanu, zanim oddam go Erakowi.

Hal uśmiechnął się. Całe Hallasholm wiedziało o wielkiej miłości oberjarla do „Wilczego Wichru” i czulej troszczył, jaką go otaczał. Przez chwilę stali w milczeniu, przyglądając się Stigowi,



który miał głupią, ale wyraźnie szczęśliwą minę, gdy otoczyła go grupka bardzo atrakcyjnych dziewcząt, które koniecznie pragnęły z nim zatańczyć. Nagle Svengal odwrócił się i powiódł wzrokiem dokoła.

– Gdzie jest Thorn? – zapytał. – To nie w jego stylu rezygnować z dobrej imprezy.

Hal zacisnął wargi. Przypuszczał, że jego przyjaciel nie miał zbytnej ochoty wystawiać się na pokusę w postaci tych wszystkich beczek piwa i flaszek brandy.

– Nie wiem – odparł. – Był tu wcześniej, ale potem widziałem, jak chwycił Stefana za rękę i gdzieś go porwał. Nie wiem, dokąd mogli pójść.

– Hmmm – mruknął Svengal z namysłem. – Założę się, że coś kombinuje.



Więzienie mieściło się w niskim solidnym budynku z cegły i drewna. Cele znajdowały się w piwnicy. Jak to zwykle w więzieniu, oświetlenie było bardzo skromne, jedynie pokój strażników stanowił wyjątek.

Nad masywnymi dębowymi wrotami, wzmocnionymi sztabami metalu, płonęła jedna jedyna pochodnia. Jej płomień rzucał migotliwy krąg żółtego światła na brukowaną ulicę. Z bocznej alejki wychyły się dwie postaci i podeszły do wrót. Z daleka dochodziły słabe odgłosy zabawy.

Jeden z mężczyzn był Skandianinem, potężna sylwetka i rogaty hełm nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Drugi, niższy i lżejszej budowy, miał na sobie długi płaszcz.

– Gotów? – zapytał Thorn. Stefan uniósł dłoń.

– Chwileczkę – odparł, a potem ściągnął ramiona, tak że kaptur przysłonił mu twarz.

Przez krótką chwilę intensywnie koncentrował myśli.

– W porządku, teraz chyba jestem gotowy – odparł. Tyle że głos nie należał już do Stefana. Brzmiał ludzaco podobnie do głosu Barata.

– Jak ty to robisz? – Thorn z podziwem pokręcił głową.

Następnie zapukał do drzwi drewnianym hakiem.

Po chwili rozległy się powolne kroki, potem klucz zagrzechotał w zamku i jedno skrzydło uchyliło się, skrzypiąc na kamiennej posadzce.

– Tak? – zapytał strażnik. Spojrzał na nich przez szparę, blokując ciałem dostęp do środka. Miał nadwagę i utykał, co tłumaczyło, czemu tak ospale zareagował na ich pukanie. Był zdecydowanie w nieprzyjaznym nastroju, wściekły, że przerwano mu wieczorną drzemkę. Rzadko kiedy ktoś zachodził do więzienia. A już szczególnie w nocy.

– Jestem Barat Tumański – warknął Stefan. – Muszę przesłuchać więźnia imieniem Rikard. To pilne.

Strażnik nie ruszył się nawet na centymetr. Obejrzał się przez ramię, w stronę ciemnych korytarzy.

– Jest późno – rzucił opryskliwie. Thorn już otworzył usta, lecz Stefan go ubiegł.

Wyprostował się dumnie i wrzasnął z wściekłością:

– Wiem, że jest późno! Przecież mówię, że to pilne! Muszę przesłuchać go natychmiast. Pospiesz się, durniu! I tak już się spóźniłem na zabawę! – Tu machnął kciukiem w bliżej nieokreślonym kierunku. Strażnik zawahał się, ale nie ustąpił.

– Przepuść mnie! – wrzasnął Stefan rozkazująco. – Nie wiesz, kim jestem?

Strażnik, przestraszony, odsunął się na bok i schylił głowę. Otworzył szerzej drzwi i wpuścił mężczyzn do środka. Stefan niecierpliwie pstryknął palcami.

– Dobra! Gdzie on jest? Ruszaj się, patalachu! Nie zamierzam siedzieć tu całą noc.

Strażnik powoli ruszył w stronę kamiennych schodów, prowadzących do podziemnych cel. Zaczął schodzić po nich, sapiąc z wysiłku, Stefan tuż za nim, a Thorn na końcu. Znaleźli się w niskim długim korytarzu, oświetlonym pochodniami, umieszczonymi na ścianach w nieregularnych odstępach. Dawały niewiele światła.

Strażnik wskazał drzwi, znajdujące się w połowie korytarza.

– Tam jest – powiedział.

Stefan, kipiąc z gniewu, wrzasnął:

– Mam szeptać do niego przez dziurkę od klucza czy jak? Otwórz drzwi, tępaku!

Strażnik, mrużąc coś pod nosem, podszedł do drzwi. Przez chwilę szukał odpowiedniego klucza w pęku przy pasie i wreszcie je otworzył. Skrzypnęły zawiasy.

– Powinienem zostać, kiedy będziesz go wypytywał – powiedział. Jego ton wyraźnie zdradzał, że nie jest pewien, czy Stefan, a właściwie Barat, na to przystanie.

I miał rację.

– Jeszcze czego! Wracaj na górę, i to już. Będzie mi tu szpiegował. Wynocha!

– Ale... więzień... – zaprotestował strażnik nieśmiało.

– Mój człowiek zadba o to, by nie uciekł – przerwał mu ostro Stefan, wskazując na potężną sylwetkę Thorna, niewyraźnie rysującą się w słabym świetle. – A teraz wracaj do siebie!

Strażnik poszedł sobie, mrużąc coś pod nosem, i zaczął wspinać się po schodach, od czasu do czasu oglądając się przez ramię. Thorn z zafascynowaniem oglądał cały ten spektakl – wystarczyła drobna demonstracja władzy i strażnik zmienił się w służalczą, przestraszoną istotę. „Udawaj, że masz władzę”, pomyślał, „a ludzie ci ją dadzą”.

Kiedy strażnik wszedł na górę, Thorn wskazał na otwarte drzwi.

– No, dalej. – Po czym dodał: – Tak przy okazji, świetna robota.

Rikard apatycznie uniósł wzrok. Był jednym z tych nielicznych piratów, którzy przeżyli i trafili do więzienia. Wielu udało się uciec poza miasto, ponad połowa zginęła w bitwie, a pozostali uciekli na pokładzie „Kruka”.

Rikard wziął udział w potyczce na nabrzeżu ze Svengalem i jego ludźmi. Nierozsądnie wybrał sobie Svengala na przeciwnika i w rezultacie przyszło mu zapoznać się bliżej z jego toporem.

Cios okazał się wprawdzie niezbyt precyzyjny, ześliznął się po hełmie, ale to wystarczyło, by pirat padł na ziemię ogłuszony. Odzyskał przytomność wiele godzin po tym, jak bitwa się skończyła. Ruszył przez miasto, oszołomiony i półprzytomny. Wkrótce złapano go i wsadzono do więzienia.

Teraz Thorn przejął główną rolę. Zajął miejsce naprzeciwko Rikarda, który siedział na ławce, za prostym drewnianym stołem.

– Potrzebuję informacji – zaczął Thorn, od razu przechodząc do rzeczy.

Rikard zaśmiał się wzgardliwie.

– Niby czemu miałbym ci ich dostarczyć?

– Ponieważ mogę ci pomóc się stąd wydostać – odparł Thorn. Zauważywszy błysk zainteresowania w oczach

Rikarda, podjął: – Wiesz, co się stanie, jeśli tego nie zrobię?

– Powiesz mi – odparł pirat, lekko załamującym się głosem.

Thorn przytaknął.

– No właśnie. Tak postępuje się z piratami. Wiesz się ich. Niezbyt przyjemny sposób na odejście z tego świata.

– Przyszedłeś, żeby mnie podręczyć?

Thorn potrząsnął głową.  
– Skądże znowu. Przyszedłem, by dać ci szansę na ucieczkę. O ile powiesz mi to, czego chcę się dowiedzieć.

Rikard przyglądał mu się podejrzliwie.

– Niby czemu mam uwierzyć, że chcesz mi pomóc?

– Nie chcę – odparł Thorn. – Jeśli o mnie chodzi, mogą cię powiesić razem z ostatnim praniem. Albo nie. W ogóle o to nie dbam. Interesuje mnie tylko, dokąd popłynął Zovac. I sędzę, że potrafisz na to pytanie odpowiedzieć.

Patrzył mężczyźnie prosto w oczy i mimo kiepskiego światła dojrzał w nich błysk. Rikard wiedział, dokąd udał się Zovac. Thorn był tego pewien.

– Powiedz mi, co chcę wiedzieć, to cię stąd wydostanę.

Rikard pochylił głowę, bacznie przyglądając się Thor – nowi spode łba.

– Jak mam ci zaufać? Powiem ci, a ty mnie tu zostawisz.

Skandianin wzruszył ramionami.

– To prawda. Tylko że ja nie zamierzam puścić cię wolno. Przecież ty też mógłbyś mnie okłamać. Popłyniesz z nami, a kiedy upewnimy się, że mówiłeś prawdę, wtedy cię uwolnimy.

Odczekał, aż Rikard przetrawi jego słowa, po czym dodał miękko: – A jeśli się okaże, że nas okłamałeś, wyrzucimy cię za burtę.

Zapadła cisza. Po chwili Thorn powiedział:

– Decyzja należy do ciebie. Ale pamiętaj, że czas ucieka.

Rikard spojrzał na zamknięte drzwi.

– A co ze strażnikiem?

Thorn zaśmiał się krótko.

– Myślisz, że ten wór słoniny może mnie powstrzymać?

Rikard potrząsnął głową. Po chwili namysłu powiedział:

– Dobrze. Ale powiem dopiero, kiedy będziemy na morzu.



Barat wszedł na podium ustawione naprzeciw budynku władz miejskich. Uniósł ręce i powoli gwar i śmiechy ucichły. Kilka osób wykrzyknęło jego imię. Uśmiechnął się z wdzięcznością w ich stronę i każdemu z osobna kiwnął głową.

– Dziękuję, przyjaciele – zaczął, kiedy wreszcie zapadła cisza. Znow się uśmiechnął i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. – Drodzy przyjaciele. Mamy za sobą ciężkie chwile. Straciliśmy przyjaciół i bliskich. W nadchodzących dniach uczymy ich pamięć żałobą.

Rozległ się zgodny pomruk. Potem Barat dodał, weselszym tonem:

– Ale dziś wieczorem świętujemy! Cieszymy się, że zrzuciliśmy jarzmo, które próbowali narzucić nam najeźdźcy. Stanęliśmy do walki i wygraliśmy ją!

Rozległy się spontaniczne okrzyki radości. „Choć czy na pewno spontaniczne?”, pomyślał Hal. Zauważył, że kilku ludzi Barata robi za klakierów.

– Chcę powiedzieć, że jestem bardzo dumny z moich podwładnych. Ze wszystkich mieszkańców Limmat, którzy wraz ze mną sforsowali palisadę i przegonili najeźdźców! – Znow przerwały mu radosne wiwaty. – A szczególnie chciałbym podkreślić zasługi pewnej młodej damy, która walczyła równie dzielnie jak każdy z mężczyzn, biorących udział w tej bitwie. – Rozejrzał się dokoła. – Lydio, zechciej podejść tu do mnie.

Widział ją wcześniej, stała kilka metrów od podium i gawędziła z przyjaciółmi

i sąsiadami. Teraz wskazał na nią i ruchem ręki dał znak, by do niego dołączyła. Lydia jednak potrzaskała głową, wyraźnie zirytowana. Tłum zaczął skandować jej imię.

– Lydia! Lydia! Lydia!

Widząc, że się nie wywinie, przecisnęła się przez tłum i weszła na podium, ignorując pomocną dłoń Barata. Jej twarz pokryła się purpurą. Barat szybko zabrał rękę, ale objął Lydię ramieniem.

Nie odepchnęła go, lecz kosztowało ją to sporo wysiłku.

– Oto ona, moi kochani. Równie dzielnej dziewczyny nie znają dzieje tego miasta.

I z dumą muszę wyznać, że wkrótce zostanie ona moją żoną!

– Co? – powiedział głośno Stig. A potem zobaczył minę Lydi, która gniewnie potrzaskała głową, mówiła coś do Barata. Ale tłum oszalał z radości. Barat tylko się uśmiechnął. Ludzie kochają romantyczne historie, a on doskonale o tym wiedział.

Znów uniósł dłoń. Kiedy okrzyki ucichły, przemówił z powagą:

– Jak już wspominałem, w ciągu tych dni straciliśmy wielu przyjaciół. Ale nie poddaliśmy się, nawet kiedy sytuacja wyglądała beznadziejnie! Nie zaprzestaliśmy walki!

– W sumie to głównie zwiąłeś na mokradła – stwierdził Edvin z irytacją. Pozostali członkowie drużyny zamruczeli zgodnie. Barat podjął:

– Stworzyliśmy plan kontrataku, kontrataku, który ja sam poprowadziłem.

I zwyciężyliśmy!

– Zabawne – powiedział Stefan. – Mógłbym przysiąc, że to Hal stworzył plan kontrataku.

O ile sobie przypominam, Barat tylko próbował go oprotestować.

– Zamknij się – wysyczał Hal przez zęby.

Barat przesunął wzrokiem po tłumie. Odnalazłszy grupkę Skandian, dodał:

– Chciałbym też podziękować naszym sojusznikom za to, że odwrócili uwagę wroga, co pomogło nam uzyskać przewagę. – Tłum znów zaczął wiwatować, a Skandianie zakipieli ze złości.

Jesper zwrócił się do Hala, który patrzył na to wszystko z kamienną twarzą.

– Przecież to ty zniszczyłeś wieże. Ty przewiozłeś ludzi Barata na drugą stronę. To ty pokonałeś piratów przy wschodniej bramie. A potem posłałeś Zavaca i jego kompanów gdzie pieprz rośnie! A co on zrobił? Przeskoczył jeden płotek!

– Daj spokój – odpowiedział Hal. – Nie widzisz, że to mowa polityczna? Barat zamierza zostać burmistrzem.

Poprzedniego burmistrza zabili piraci, na samym początku. Teraz Barat próbował wykorzystać szacunek, którym darzono go jako dowódcę wojsk, i pozytywne uczucia tłumu, wywołane przez publiczne oświadczenia, by umocnić własną pozycję. Nagle Hal uświadomił sobie, że Lydia już nie stoi na podium. Znikła dobrych kilka minut wcześniej.

– A więc, moi drodzy przyjaciele – podjął Barat – jeśli w nadchodzącym czasie mogę zrobić cokolwiek dla was i naszego miasta, z pokorą oddam się na wasze usługi. – Ludzie zaczęli klaskać i pokrzykiwać z uznaniem. Barat uśmiechnął się i uniósł ramiona. – Ale dzisiaj świętujemy zwycięstwo. Od jutra zaś zaczniemy odbudowywać potęgę Limmat.

Tłum znów zaczął wiwatować i Barat jeszcze raz uniósł ramiona. Rozejrzał się i nagle stwierdził, że Lydia już nie stoi u jego boku. Zmarszczył brwi, ale szybko zakamufłował grymas uśmiechem i zaczął kłaniać się i machać do tłumu.

– Chodźcie – powiedział Hal do swych towarzyszy. – Wynośmy się stąd, zanim zwiymiotuję.



Svengal i kilku jego ludzi odprowadzili ich do portu, gdzie czekała „Czapla”. Ingvar spał na posłaniu z baraniego futra, przykryty kocami. Edvin podszedł do niego i upewniwszy się, że wszystko w porządku, kiwnął głową w stronę Hala. Wcześniej rozważali, czy nie lepiej zostawić Ingvara w Limmat, by wydobrzeć, lecz potężny chłopak, kiedy tylko odzyskał przytomność, gwałtownie sprzeciwił się temu pomysłowi:

– Należę do załogi „Czapli”. Płynę z wami.

A ponieważ jego stan zaczął się poprawiać, Hal nie protestował. „Bez Ingvara to by nie było to samo”, pomyślał.

Na pokładzie czekali już na nich Thorn i Stefan. Hal, kiedy upewnił się, że z Ingvarem wszystko dobrze, spojrzał na nich ze zdumieniem i zapytał:

– A gdzie wy dwaj się podziewaliście?

Uśmiech na twarzy Stefana sięgał od ucha do ucha.

– Odbiliśmy Rikarda z więzienia – oznajmił, po czym wskazał na niekształny zwój brezentu, leżący na pokładzie. – Jest tam pod spodem.

Przez kilka minut Hal nic nie mówił. Potem spojrzał Thornowi prosto w oczy.

– No dobrze. Ale po co?

– On wie, dokąd płynie Zovac – wyjaśnił Thorn. – Zawarłem z nim umowę. Powie nam, a my go uwolnimy.

– A dokładnie w jaki sposób to się odbyło? – zapytał Hal.

Thorn zawahał się, ale Stefan pospieszył z odpowiedzią.

– Thorn przywalił dozorcę. Dozorca stracił przytomność. A my sobie poszliśmy.

– Przywaliłeś dozorcę? Rozpoznał cię?

Thorn wzruszył ramionami.

– Gdzie tam. Na pewno pomylił mnie z jakimś innym jednorękim Skandianinem.

– A jeśli Rikard nas okłamie?

– Przytrzymamy go tak długo, aż się okaże, czy mówił prawdę. Jeśli nie, wyrzucę go za burtę.

Hal skrzywił się i stwierdził:

– Uczciwy układ. No, ale lepiej ruszajmy, zanim dozorca się ocknie i podniesie alarm.

Wszyscy weszli na pokład. Svengal i dwaj członkowie jego załogi ustawili się u dziobu i rufy, by odwiązać cumy. Wioślarze zasiedli na ławkach.

– Poślę kogoś, żeby otworzył zaporę – powiedział Svengal.

Hal skinął głową.

– Pomyślnych wiatrów – rzucił.

– Pomyślnych wiatrów – odparł Svengal. – Do zobaczenia w Hallasholm.

– Kiedy wrócimy z Andomalem – powiedział Hal. Powiódł wzrokiem dokoła, by sprawdzić, czy droga wolna. Już miał dać sygnał Svengalowi, gdy z ciemności wychynęła jakaś smukła postać. – Zaczekajcie – powiedział Hal.

– Lydio? To ty?

Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała na zwrócone ku niej uśmiechnięte twarze chłopców.

– Chcę z wami popłynąć – oznajmiła.

Hal otworzył usta, lecz zawahał się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Lydia podjęła:

– Słyszałeś go chyba? Nie mogę tu zostać z tym nadętym bufonem. Jak mógł powiedzieć, że za niego wyjdę? Jak on śmie?

Hal nadal milczał.

– Jeśli tu zostanę – powiedziała z desperacją w głosie – nie minie miesiąc, a przysięgam, że wsadzę mu w coś jedną z moich strzałek. Poza tym mam rachunki do wyrównania z Zavakiem. Jego ludzie zabili mojego dziadka.

– Pozwól jej z nami popłynąć – powiedział Stig, a pozostali chóralnie wyrazili swe poparcie. Hal uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Czemu nie? Dlaczego miałbym odmówić? Ktoś jeszcze chce się z nami zabrać? Może ty, Svengalu?

Wilk morski uśmiechnął się krzywo.

– Bardzo bym chciał, ale niestety, muszę zająć się „Wilczym Wichrem”.

Lydia miała przy sobie śpiwór, plecak i broń. Teraz rzuciła to wszystko Wulfowi. Kiedy już miała przeskoczyć na pokład, Stig wystąpił naprzód z promiennym uśmiechem na twarzy i wyciągnął ku niej pomocne ramiona.

Zmierzyła go wzgardliwym spojrzeniem.

– Cofnij się, Skandianinie – powiedziała. – To, że nie mam ochoty na Barata, jeszcze nie znaczy, że mam ochotę na ciebie.

Zeskoczyła lekko na pokład, a Stig zrobił krok w tył i zgiął się w dwornym ukłonie.

„Czapla” odbiła od nabrzeża. Thorn spojrział w niebo i stwierdził:

– No, to zapowiada się bardzo ciekawa podróż.



